



GIGANT FIBR WSKOWYCH

**GABINET  
FIGUR  
WOSKOWYCH**

**OPOWIEŚCI NIESAMOWITE**



WYDAWNICTWO POZNAŃSKIE • POZNAŃ • 1980

Isolde Kurz  
**SŁONECZNA MARA**

W ostatni wieczór przed odjazdem całe towarzystwo zebrało się we Florencji — gromadka niemieckich przyjaciół, którzy spędzili zimę w Italii, przemierzając ją śpiesznie znanymi szlakami. Wszyscy mieli już dość wrażeń i tęsknili za domem. Nieustanny, nie mieszczący się już w żadnych słowach podziw przechodził powoli w znużenie. I tak kraj, który wzbudzał z początku same zachwyty, zaczynał stopniowo doprowadzać do pasji, gdy okazywało się, że życia nie starczy, aby zgłębić wszystkie jego bogactwa.

Wyrazicielem tej przytłaczającej atmosfery stał się młody artysta, odznaczający się niezwykle przenikliwością, który dotarł w swych wędrówkach najdalej ze wszystkich.

Nie chciałybyśmy przecież żyć w kraju, gdzie wszystko zostało już dokonane, jakże to

zniechęca i przytłacza. Na każdym kroku zastępują nam drogę zmarli i słynny dwuwiersz Schillera nabiera odwrotnego znaczenia, bo to do nich należą godziny, a żywi nie mają racji.

Włoska przyroda, wtrąciła młoda kobieta, nie jest właściwie przyrodą, lecz raczej sztafżem, czymś do oglądania. Nie sposób wtargnąć do jej wnętrza, można ją co najwyżej obserwować z boku. Wolę już nasze niemieckie dębiny z ich wilgotnymi, mszystymi dywanami i szemrzącymi strumykami. Są nam bliższe i mówią naszym językiem. Czyż jest coś bardziej wyniosłego niż te zamknięte w sobie pinie i cyprysy, które zdają się powiadać człowiekowi: „Odczep się, nie mam z tobą nic wspólnego” lub też nieprzystępnie ignorują w ogóle jego obecność.

Ja, powiedział ktoś inny, nie mam Italii nic do zarzucenia, wyjąwszy fakt, że jest tu zbyt jasno i światło słoneczne przenika do najmniejszej szczeliny. Nic się tu nie ukryje, nie ma najdrobniejszego nawet mrocznego zakątka, nie ma tu miejsca dla duchów, błędnych ogników w gnomów. Nie chciałbym żyć w kraju, który nie ma upiorów.

Czy to prawda, że we Włoszech nie ma upiorów? — dopytywali się pozostali.

Z całą pewnością. Mogę się tu powołać na młodego woźnicę, który obwoził nas po Maremmie. Kiedy tylko miałem okazję usiąść obok niego na koźle, wypytywałem go o opowieści z krainy duchów. Z początku nie mógł zrozumieć, o co w ogóle chodzi. Sprawa wyjaśniła się dopiero, gdy wytłumaczyłem mu, czym są duchy — duszami powracających zmarłych. Spojrzał na mnie z ogromnym zdziwieniem i przecząco potrząsnął głową. W jego rodzinnych stronach w okolicy Sieny, powiedział, nic o takich rzeczach nie wiadomo. Zmarli spoczywają w spokoju tam, gdzie ich pogrzebano. Nagle coś sobie jednak uświadomił i dodał: — Tak, teraz sobie przypominam, kiedy byłem mały i chodziłem jeszcze do szkoły, słyszałem o niejaki — jak on się tylko nazywał — Łazarz zdaje się, który miał podobno powstać z martwych. Ale nie można przecież wierzyć temu, co ludzie wygadują.

Wszyscy wybuchnęli śmiechem. Głos zabrał teraz mężczyzna, siedzący dotąd w zupełnym milczeniu. Słuchano go z uwagą, bo był dziwakiem, i otwierał usta tylko wtedy, gdy miał rzeczywiście coś do powiedzenia, a ponadto mieszkał w tym kraju, znanym pozostałej części towarzystwa jedynie z pośpiesznych podróży, od dwudziestu bez mała lat.

— Nie ma upiorów? — zaczął wolno i monotonicznie. — No tak, jeśli mówicie państwo o szarych bądź czarnych, przemykających chyłkiem cieniach północy, to rzecz jasna, muszę się z państwem zgodzić: nie ma ich tu, bo natychmiast pożarłoby je słońce. Lecz gdybyście państwo posłuchali mojej rady i spędzili w Italii pełnię lata miast uciekać przed pierwszym skwarem, zobaczylibyście, czym są włoskie upiory.

Mówił niskim, jednostajnym, hipnotyzującym głosem.

— Duchy w pełni lata? — odezwało się kilka głosów, w których zabrzmiała nutka powątpiewania.

— Oczywiście. Rzecz w tym, że państwo nie potraficie wyzwolić się spod presji utartych wyobrażeń. Jeśli słyszycie o duchach, myślicie natychmiast o zimowych wieczorach, zaśnieżonych polach, nawałnicy, mgle i północnej godzinie. I wtedy zjawiają się płochliwe, pełznące cienie, które bardziej zgoła lękają się żywych istot niż te owych błędzących w mroku, nieuchwytnych postaci. Tu noc nie jest wcale ostoją ciszy i spoczynku, jest pełna hałasu i muzyki, należy do żywych. Niech mi ktoś jednak pokaże choćby jedno rozmyte widmo północy, które w swej okropności mogłoby zmierzyć się z białą marą południa. Jak zbiec przed słoneczną marą, jeśli ona doścignie mnie nawet w spalonej przez słońce, nie znającej cienia Kampanii, jeśli wybałusza na mnie swe zimne, wypłowiałe od światła oczy żeglarsza, które zespoliły w sobie niezmiernie przestrzenie pustyń i oceanów? Zmora ta czuje się najlepiej w okresie przesilenia letniego, w południe, przy ogłuszającym dźwięku cykad, na rozległych, rozżarzonych równinach, wśród złocistożółtych łańców pszenicy, gdzie powietrze drży od skwaru i milknie nawet skowronek. Jej domem jest brzeg morza, gdzie rozpalony piasek odbija światło jak zwierciadło. Nadciąga zwykle z Afryki, dmuchając po drodze swym gorą-

cym oddechem w twarz żeglarzom, którzy oszołomieni staczają się z pokładu. Na drodze jej wędrówek nie zakwitnie żaden kwiatek, nie zazieleni się najpodlejsza nawet roślinka. A mimo to jest ona równie piękna jak okrutna. Z bliska ujrzałem ją tylko dwukrotnie, za pierwszym razem w Pizie. Znacie państwo Pizę? Ależ nie, widzieliście ją jedynie w czasie deszczu. Wyobraźcie więc sobie państwo plac katedralny rozżarzony w słońcu, osamotniony w oddaleniu od gwarne go świata, cudowne kamienne pnącza spowite oszalamiającą zmysły, nieziemską jasnością, która pozbawia je przedmiotowości, przenosząc rzeczy w sferę zjawisk. Marmurowa bajka, skamieniały sen na jawie na szmaragdowozielonej łące. Urągająca prawom równowagi, niepokojąca oko krzywa wieża, katedra i baptysterium oślepiające jak śnieg, a jednocześnie przezroczyście w tym intensywnym świetle, za nimi cmentarz, a jeszcze dalej czarny mur miejski — granica świata. Powietrze jest o tej porze lekkie jak eter, a z ziemi, która zdaje się być zupełnie ulotna, wydostają się duchy, by usadowić się przy bramie cmentarnej. Jest to najodpowiedniejsze miejsce dla słonecznej mary, jej księżęca metropolia. Tam też po raz pierwszy dane mi było doznać okropności tej zmory unoszącej się z otchłani wszechrzeczy. Ale to jeszcze nic — kilka lat później ujrzałem ją naprawdę w dolinie Pezy. — Zamilkł nagle i utonął w rozmyślaniach, jak to zwykle bywa u pustelników przywykłych do rozmowy z samym sobą.

— Dalej, dalej! — wołano ze wszystkich stron.

— Nie sposób tego opowiedzieć, jest to bowiem tylko pewien stan, a nie konkretne zdarzenie.

Ponieważ całe towarzystwo uparcie nalegało, ustąpił w końcu i zaczął opowiadać:

Było to wczesną wiosną w latach osiemdziesiątych. Pewnego pięknego dnia wybrałem się — jak co roku o tej porze — na przechadzkę, by przewietrzyć i wygrzać w słońcu moje znękaną zimą ciało. Z San Casciano powędrowałem bez konkretnego planu przed siebie, utrwalając w szkicowniku z dyletancką przyjemnością pałac, wille, fantastyczne kamieniołomy i grupy drzew. Noc spędziłem w podrzędnej knajpie, z której pognało mnie dalej jeszcze przed świtem. Nie ma nic cudowniejszego niż ów wyścig ze słońcem chłodnym rankiem na opustoszałych, wilgotnych od rosy wiejskich drogach, kiedy niebo jest jeszcze szare, a złote „W” Kasjopei migocze zamglone jakby za welonem z gazy, dopóki nad wschodnimi wzgórzami nie pojawi się różowa poświata, zwiastująca słońce, które pojawia się wreszcie, popychając przed sobą kłębiące się masy chmur. F i a t l u x — jak określał to zjawisko Michał Anioł — powtarza się z równą gwałtownością każdego ranka. Starzec stwórca zdaje się być widoczny jak na dłoni, kiedy zmagając się z żywiołem, oddziela światło od ciemności i nie sposób wyrazić jak wiele szczęścia wymyka się codziennie człowiekowi, który marnotrawi poranki w pościeli.

Wkrótce dotarłem do miejsca, gdzie krajobraz zatracał stopniowo florencki charakter; góry przesunęły się na drugi plan, okolica stawała się bardziej równinna, a ja zanurzyłem się w morzu niskich pagórków. Niezliczone i równomierne jak zastygłe fale podnosiły swe głowy zwieńczone koroną willi z czerwonej cegły i szarych kamiennych zagród, które można by wziąć za zamki, gdyby nie brak okiennic określający je jako domy chłopskie. Droga wiodła przez pewien czas wzdłuż ubogiej w wodę, mętnej rzeczki zwanej Elsą. Niekończące się winnice, które otaczały drogę z obu stron, dawały w swym wąskim cieniu niewielkie tylko schronienie przed coraz wyżej wznoszącym się słońcem. Wzgórza nie łączyły się w łańcuchy, lecz wyrastały z ziemi pojedynczo jako małe stożki porośnięte gdzieniegdzie przyszyrzyżonymi na okrągło jak zabawki oliwkami. Niżej między cyprysami wiły się w górę jak na obrazach Benozzo Gozzoliego wąskie, żółtawe ścieżki.

Nagle zrobiło się piekielnie gorąco, dojrzewające łany żyta zastygły z braku choćby najmniejszego podmuchu żarzyły się jak kawałek spadającego słońca. Nie napotkałem żywej duszy, była to bowiem niedziela, kiedy ludzie przesiadują raczej w swych zagrodach. Od

czasu do czasu widziałem tylko zbite wokół zielonego stoku wzgórza stada białych baranów podobne do gęstych tumanów pyłu, albo też docierał do mnie zza wzgórz dźwięk niewidzialnych dzwoneczków. Droga, od dawna już nie biegnąca wzdłuż rzeki, omijała wsie, wiodąc mnie coraz głębiej w morze wzgórz i pagórków; skoro tylko wspiąłem się na jakieś wzniesienie, wyrastały jak okiem sięgnąć nowe, jedynie na południu zamykał horyzont ostry, niebieski łańcuch górski. Wille skończyły się, a zabudowana okolica zdawała się być zupełnie opuszczona. Droga wiła się to w górę, to w dół jak długi, biały wąż, wzbudzając we mnie uczucie nieskończoności. Ciągle miałem przed oczyma płótna Benozzo Gozzoliego, któremu bliskie są takie krajobrazy i wcale bym się nie zdziwił, gdyby z naprzeciwka pojawili się jego Trzej Królowie na pięknie osiodłanych rumakach w towarzystwie dziarskich pazi.

Już od dłuższego czasu obserwowałem samotnie stojącą górę uwieńczoną płaskim grzbietem, która z daleka wydawała się porośnięta niezwyklej wysokości drzewami. Ukazywała się — zależnie od tego, którądy wiodła moja droga — raz na lewo, raz na prawo, to znów przede mną, bądź też za mną. Posuwając się naprzód, zauważyłem, że to, co wziąłem za drzewa, było smukłymi, czworokątnymi wieżami. Jedne z nich — strzeliste — wydawały się sięgać niebios, inne zaś wyglądały jak strzala zahamowana w połowie lotu; wszystkie podobne były jednak nieugiętym, zuchwałym śmiałkom, zdolnym stawić czoła najpotężniejszym błyskawicom. Całą powierzchnię otaczał solidny mur z wystającymi basztami i wieżyczkami, co z daleka sprawiało wrażenie szachownicy po rozegranej do połowy partii, z której zostało się tylko kilka wież i pionków. Musiało to być San Gimignano, osobliwe miasto, które od lat już chciałem zobaczyć, a teraz wystarczyło po prostu pójść dalej tą drogą, by dotrzeć do jego bram.

Idąc dalej, odkryłem ze zdziwieniem, że biel połyskująca na gruboziarnistym skraju drogi nie miała nic wspólnego z kamieniami, lecz przeciwnie — były to muszle i skorupy ostryg. Okazało się, że i samą drogę pokrywały szczątki morskich stworów. Pola usłane były muszlami, mniejszymi i większymi, we wszystkich możliwych gatunkach. Niektóre z nich wielkości talerza tworzyły pagórki, pozbawione rzecz jasna trwałego podnóża. Napotykałem na całe ławice ostryg i skamieniałych koralii wrosniętych w ziemię. Ten barwny tokański ogród leży na dnie dawnego morza, na zwiewnej, piaszczystej pustyni, nad którą przeszła kiedyś potężna fala, a ja wspiąłem się wystarczająco wysoko, by objąć wzrokiem całą tę ogromną nieckę, otoczoną w oddali niby wybrzeżem łańcuchem górskim.

Tajemnicze miasto leżało teraz znów na lewo ode mnie, tak blisko, że mógłbym dosłyszeć głos niedzielnych dzwonów. Wieże usytuowane były w najwyższym punkcie, ściśnięte jedna przy drugiej, jakby w obawie przed niebezpieczeństwem, pozostała część miasta leżała natomiast na stoku wzgórza za potężnymi, szarymi murami. Droga ciągnęła się jednak zakośkami jeszcze z dobrą milę i nigdzie nie znalazłem ni śladu cienia. Niewidoczne cykady towarzyszyły mi swym przenikliwym brzęczeniem, monotonnie i upiornie, zupełnie jakby to ostre, bezlitośnie białe światło przemówiło, by nękać mnie jeszcze nawoływaniem. Drzewa oliwkowe, pozbawione wierzchołków, przyszczyżone były na kształt szerokich, pustych w środku wianków, aby słońce mogło przedostać się aż do miąższu. Poza tym nie było żadnych innych drzew prócz krzewów jeżyn i dzikich, różanych żywopłotów, których miejsce zajmowały gdzieś skąpe kępki lawendy.

Dotarłem w końcu do podnóża góry, skąd powędrowałem dalej wybrukowaną ulicą. Nagle rozległ się za mną tętent kopyt, galopem minęli mnie na mułach dwaj ponurzy mężczyźni w szerokich, filcowych kapeluszach. Gdyby nie odgłos podków, wziąłbym ich za cienie.

Stałem przed wspaniałą bramą ze zwietrzałej cegły, opatrzoną zębatym gzymsem. Parę kroków w bok, w cieniu karłowatych akacji płynęła w rynience studzienna woda. Chciałem się napić, ale strumyczek uderzony podmuchem wiatru wymknął mi się z ręki. Wydawało mi się, że śnię. Podczas gdy w dole, na równinie słońce spalało na popiół nieruchome źdźbła trawy, tu na górze wiało i huczało, zupełnie jakbym trafił do krainy wiatrów.

Pod akacją, na podniszczonej drewnianej ławce siedziała młoda kobieta z dzieckiem przy piersi, nieruchoma jak kamienna statua patrzyła przed siebie zmęczonym, beznadziejnym wzrokiem.

Pozdrowiłem ją i spytałem, czy jestem w San Gimignano. Skinęła głową i spojrzała na mnie z takim smutkiem w oczach, że musiałem położyć jej na kolanach monetę.

Trafiłem na długą, opustoszałą ulicę, chłodną i mroczną jak piwnica i powędrowałem w głąb miasta między dwoma rzędami wysokich pałaców połączonych tu i ówdzie wiszącymi mostami. Od czasu do czasu poprzeczne uliczki, po których hulał wiatr, pozwalały dojrzeć aż po horyzont ciemny błękit nieba. Ulica zawiodła mnie na plac kościelny, na którym stały dziwaczne wieże, najwyższa przy ratuszu ozdobiona wiankowym gzymsem, pozostałe zaś pozbawione wszelkich zdobień, spłaszczone, jakby przycięte od góry. Zląkłem się butnej zuchwałości, jaką emanowały te budowle; tylko zbrodnia mogła wznieść je tak wysoko, że wydawały się urągać niebu.

Mimo upału, jaki panował na skąpanym w ostrym słońcu placu, wstrząsnęły mną dreszcze — poczułem wokół siebie aurę zamierzchłych stuleci. Musiał tu mieszkać żelazny lud, okrutny i napastliwy, który nie przebierał w środkach, by przydać swemu miastu splendoru. Zrobiło mi się żal ich potomków skazanych na nędzną wegetację w cieniu tych wież. Nieliczni przechodnie, których spotkałem przy wejściu do miasta, skradali się za mną chyłkiem, zachowując jednak bezpieczną odległość. Trzynastoletni może chłopak, od którego nie udało mi się wyciągnąć nic więcej nadto, że ma na imię Orazio, przyłączył się do mnie już pod bramą miejską, by bez słowa towarzyszyć mi zawzięcie w dalszej wędrówce. Nieopatrznie dałem mu kilka soldów, żeby się go pozbyć, co spowodowało niestety, iż od tej pory prześladował mnie jak cień.

Czepiały się mnie i inne próżnujące cienie, które spotykaliśmy po drodze, tak że wkrótce towarzyszyła mi w wędrówce po długich, roznoszących szerokim echem nasze kroki uliczkach i wymarłych placach cała czereda milczących wałkoni. W zadziwieniu spoglądałem w górę ku potężnym, kamiennym kolosom, otulającym głębokim cieniem wąskie uliczki miasta. Okrągłe łuki okien podpierały smukłe, marmurowe kolumnienki. Frontony domów ozdobione były mauretańskiej wprost delikatności ornamentami, które szczyptą fantazji rozjaśniały przytłaczającą powagę starych ciosów i cegieł. Od czasów średniowiecza nie przesunięto tu ani kamienia, między stare budowle nie wcisnął się ni jeden nowy dom, a pałace zachowały się w idealnym stanie, zupełnie jakby czas, który zmiata wszystko, czego nie zdoła przekształcić, zapomniał w swym biegu o tym mieście.

Przechodziłem w centrum miasta przez monumentalne bramy z resztkami rzymskich murów, które wyglądały na pozostałości wcześniejszego systemu obronnego i były o wiele jeszcze starsze niż umocnienia na zewnątrz miasta. Oglądałem cudowne fasady świątyń, które mogą pochodzić jeszcze sprzed naszej ery, okazałe kamienne schody i bogato zdobione perystyle. Boczną uliczką dotarłem z powrotem na plac katedralny i to właśnie w momencie, gdy otworzyła się kościelna brama i ciemna ludzka fala rozlała się schodami w dół po rozświetlonym placu.

W mgnieniu oka zostałem otoczony, wlepiano we mnie oczy, oglądano ze wszystkich stron jak zamorskie zwierzę, dawano wyraz zdziwieniu, jakim cudem znalazłem drogę na górę. W milczeniu obstąpili mnie mężczyźni, kobiety i dzieci, tłum gapiących się upiorów z zapadłymi oczami. Ich ubrania były zniszczone, twarze zmęczone od niewyspania, a spojrzenia, którymi mnie obrzucali, zdawały się pytać: „Czego chce ten człowiek z innej epoki?”

Być może wydał im się dziwny mój ekwipunek, a może do San Gimignano w ogóle rzadko docierali obcy, jedno jest wszakże pewne: nigdy nie widziałem bardziej ciekawskich i nieufnych ludzi. Na każde pytanie z mojej strony reagowali pytaniem: kim jestem, czego tu szukam i jak długo mam zamiar tu zostać. Niektórzy prosili o datek, inni oferowali mi na sprzedaż bezwartościowe rupiecie, a ich poważne twarze tak bardzo nie zgadzały się z tym

upodleniem, że zdawały się należeć nie do nich, zupełnie jakby były dziedziczną spuścizną, która w osobach tych ludzi utraciła swe pierwotnie wyższe przeznaczenie. Dokądkolwiek szedłem, ciągnęli za mną w milczeniu jak narastająca ciągle procesja, bo tymczasem opróżniły się też inne kościoły. Tu i ówdzie spoglądała ku mnie z tłumy jakaś ładna dziewczęca twarz, ale i te miały w sobie coś z owej bladości i smutku, jakby spoczywał na nich dokuczliwy ciężar. Miasto wydawało mi się teraz, kiedy poznałem jego mieszkańców, jeszcze bardziej niesamowite niż przedtem, gdy widziałem jedynie opustoszałe place i uliczki.

Obejrzawszy kościoły z ich słynnymi malowidłami w chórze, wstąpiłem trochę już rozprężony do gospody, za mną wtoczyło się do niej oczywiście całe San Gimignano. Oberżysta, który wyglądał jeszcze bardziej chyba odrażająco niż pozostali tubylcy, solidnie się napracował, żeby zrobić dla mnie miejsce, usuwając ludzi z izby, podczas gdy ja opróżniłem dwie szklanki wina, przymuszając się równocześnie do zjedzenia choćby paru kęsów stawy.

Ale i tak nie sposób tu było wysiedzieć, bo izbę wypełniał zapach niezamieszkanego pomieszczenia i choć natychmiast otworzyłem wszystkie okna, nie udało mi się wygnać z gospody tej piwnicznej stęchlizny.

Na poczerniałej ścianie wisiały dwa obrazy, które dokładnie sobie obejrzałem. Jeden, namalowany na płótnie surowymi farbami był najwidoczniej niezbyt udaną kopią jakiegoś starego malowidła, a przedstawiał patrona San Gimignano — świętego biskupa z infułą i pastorałem, trzymającego na kolanach niby szachownicę całe miasto z jego wszystkimi wieżami. Miasto, ciągle to miasto! Jakże dziwni, ale i czcigodni wydają się nam dziś owi starszacy wie z ich umiłowaniem ojczyzny, ci, dla których żadna ofiara złożona rodzinnej ziemi nie była zbyt wielka. Jakże gorąca musiała być idea wspólnoty, namiętność potężna jak śmierć, która zespoliła cały lud, by mogło powstać miasto takie jak to, gdzie każdy kamień nasycony jest wolą przetrwania po wsze czasy! Z jaką pasją poświęcał się każdy i zabiegał o to, by jak najokazalej przyozdobić swą kochankę, miasto! I jakże obcy są nam ci zawzięci osadnicy, nam, którzy nie możemy znaleźć sobie dziś na ziemi stałego miejsca, nam, którzyśmy wraz z potrzebą zatracili jednocześnie zdolność budowania! Należy im się głęboka cześć!

Drugi obraz na nadgryzionej przez ząb czasu, pękniętej, drewnianej płycie był chyba oryginałem pochodzącym jeszcze z dobrych dni sztuki. Przedstawiał młodą dziewczynę ze spiętymi włosami, trzymającą w ręku wydrażoną na kształt talerza muszlę z przeciętym owocem granatu. Postać i szata były zamazane, ale można było jeszcze rozpoznać pełne wdzięku rysy twarzy. Im dłużej się im przyglądałem, tym bardziej mnie fascynowały, przykuły wręcz moją uwagę. Policzki pożarły dwie wilgotne plamy, ale te obrażenia nadawały jej piękności melancholijnego uroku, zupełnie jakby tak właśnie miało być.

Było w tej twarzy coś, co nie pozwalało mi o niej zapomnieć, dręczyło, budziło we mnie współczucie jak niezasłużony, nieokupiony ból.

Oberżysta, który nie odstępował mnie ani na chwilę, jak gdyby przyszło mu pilnować więźnia stanu, potwierdził moje przypuszczenia względem pierwszego obrazu: młody artysta, który mieszkał tu przez pewien czas, sporządził kopię malowidła z ratusza i odjeżdżając zostawił ją w gospodzie. O drugim nie mógł, bądź też nie chciał mi jednak powiedzieć nic ponadto, że obraz znajduje się już od niepamiętnych czasów w posiadaniu jego rodziny i że nikt już nie wie, kogo on przedstawia. Skoro tylko zauważył, iż jestem nim zainteresowany, zaproponował mi, abym go kupił, i nie popuścił, aż zaoferowałem mu w końcu jakąś nieznaną sumę. Wtedy zmienił jednak nagle zdanie, opowiadał o pewnym tajemniczym zdarzeniu, jakie miało mieć miejsce w związku z tą dziewczyną i dał mi do zrozumienia, że lepiej byłoby, gdybym kupił ten drugi obraz, na co ja wyśmiałem go po prostu i poszedłem dalej swoją drogą.

Przed drzwiami natknąłem się znów na wielkie zbiegowisko oczekujących na moje wyjście ludzi. Orazio, który sądził zapewne, że dzięki dłuższej znajomości posiadał był największe prawa co do mojej osoby, powitał mnie już w korytarzu. Wspiąłem się znów na górę, by



wyciągnąć się na zacienionej trawie porastającej bajecznie zapuszczony ogród położony wśród miejskich umocnień, dając jednocześnie do zrozumienia podążającemu za mną tłumowi, że nie jestem więźniem i życzę sobie być wreszcie sam. Gapie rozpięzchnęli się, szemrząc pod nosem, pozostawili jednak przy mnie na warcie owego niemego chłopca. Przycupnął jak pies pod moimi nogami i nieruchomy obrzucał mnie głodnym, uważnym spojrzeniem, jakby chciał coś wy badać, jakby pożywał czegoś, czego nie potrafił wyrazić. Siedziałem jak zakłęty, tak dziwne mi się to wszystko wydało. Zaprawdę, to chyba przekazywane z pokolenia na pokolenie przekleństwo winne jest temu, że ci ludzie nie potrafią się śmiać. Kiedy chłopak zapadł w końcu w drzemkę, a ja chciałem się właśnie cichaczem oddalić, pojawili się nad murem dwaj mężczyźni i obudzili go, rzucając kamieniami. Nie pozostało mi nic innego, jak użyć podstępny, wysyłając chłopaka z pieniędzmi, żeby coś załatwił, a wszystko w nadziei, że wykorzysta okazję i zniknie wraz z łupem.

Kiedy tylko mnie opuścił, od razu zrobiło mi się lekko na duszy. Z mojego stanowiska obejmowałem wzrokiem całą bezkresną równinę usianą niezliczonymi wzgórzami porośniętymi oliwkami, które wyciągały swe szyje jak zwieńczone pianą fale. Ile lat mogło minąć od czasu, gdy nad tą niecką szumiało morze? A gdyby znów wróciło z ogromnymi zwałami pieniającej się wodnej masy, by zażądać na powrót tego, co było kiedyś jego własnością? Gdyby porwał z sobą cały kwitnący dorobek ludzkiego wysiłku, by rozbić swe fale dopiero na dole, na zachodzie, uderzając o błękitną zaporę gór! Czy porwałoby też z sobą to miasto z wieżami, a może wystawałoby ono z wód jak samotna wyspa i nadal stawiało opór kolejnym stuleciom?

Tak, te wieże, to one fascynowały mnie swoim demonicznym urokiem. Kto dał im prawo, by wbijały się tak zuchwale w ziemię? Skąd wzięto właściwie kamienie, żeby wznieść te sięgające niebios budowle? Jakie czary zakłęte są w ich fundamentach?

Zaszyłem się cały wraz z głową w krzewach macierzanki i mrugając oczyma spoglądałem przez szczeliny mojego słomkowego kapelusza. Wiatr ustał i zrobiło się tak cicho, jakby czas zapadł w sen. Nieruchome listki oliwki nade mną wyglądały jak wyczelowane przez złotnika, a tam, gdzie niebo przezierało przez srebrne listowie, jego głęboki błękit nabierał odcienia czerni.

Wybiło południe. Wolniutko i ciężko jak ołów rozedrgało się w rozżarzonej ciszy dwanaście uderzeń z pobliskiej dzwonnicy. Po ostatnim powietrze ciągle jeszcze drżało, zupełnie jakby ten pogłos nigdy nie miał się urwać. Nie było to zamieranie dźwięku dzwonów, lecz osobliwy, niewytłumaczalny dla mnie, bezgłośny hałas, jakby tupot tysięcy ludzkich nóg za murem potężnej twierdzy, tupot o bruk, nie dający żadnego odgłosu. Drganie narastało, zbliżało się brzęcząc, szemrząc i zawodząc. Gdzie to było — daleko, blisko, nade mną w powietrzu, a może w ziemi? Rozwarłem szeroko oczy, ale nic nie widziałem, mój wzrok przebiegał przestrzeń i natrafiał tylko na bezcielesną jasność. A przecież czułem, że coś się wokół mnie dzieje. W spalającym wszystko na popiół upale wstrząsnął mną lodowaty dreszcz.

Przeźroczyste powietrze zaczęło jednak stopniowo gęstnieć pod wpływem mojego wyczerpanego wzroku i w polu widzenia pojawiły się nieokreślone bliżej zarysy, nazwijmy je białymi cieniami, na pół rozplynięte postacie, nieobecne cieleśnie, jakby odbijane z daleka przez fatamorganę. Miały początkowo tylko dwa wymiary i były przeźroczyste. Ale im dłużej się im przyglądałem, tym bardziej stawały się okrągłe i cielesne, zacząłem też rozróżniać barwy. Najpierw przebił się fiolet kościelnej chorągwi, potem rozpoznałem kapłanów w ornamentach z krzyżami i kropidłami, radnych miejskich w dziwacznych zwiewnych togach i potężny tłum ludu stłoczonego w niewytłumaczalny sposób na niebywale małej powierzchni. Stali ramię przy ramieniu, depcząc sobie po piętach i tak osobliwie nachodząc jeden na drugiego, jakby kilka pokoleń naraz postawiło stopę na tym samym skrawku ziemi. A te twarze! Wyrażał się w nich najzagorzalszy upór, bezwzględność połączona z podstępnością. To okrutne piętno, które ze zdziwieniem dostrzegłem z początku na twarzach mieszkańców miasta, osią-

gnęło tu najwyższy stopień okropności. W ich oczach tkwiła nieopanowana żądza, coś na kształt głodu, którego nie byłaby w stanie zaspokoić żadna ziemska strawa. Drżałem z obawy, że ich spojrzenia mogłyby paść na mnie, ale oni omijali mnie wzrokiem; jakbym w ogóle nie istniał. Ich spojrzenia spotykały się w jednym punkcie, w podobnym do piwnicy szybie tuż obok muru, na skraju którego leżała potężna kupa obrobionych kamieni. Z szybu wystawał czubek drabiny, ze środka dochodziły odgłosy uderzeń młotów. Na prawo i na lewo od szybu ustawili się dostojnicy, a uzbrojeni mężczyźni utworzyli szpaler, spychając na boki tłoczący się z obu stron tłum.

Co tu się dzieje, pomyślałem i sparaliżowany strachem nie miałem odwagi odetchnąć. Przypadkowo zupełnie, bo stanąłem na palcach, mój wzrok padł ponad głowami tłumy w dół na rozżarzoną, drżącą od skwaru równinę, gdzie dostrzegłem czarną, ruchomą kreskę, której przedtem nie zauważyłem. Przypominała ona do złudzenia kłębiącą się procesję mrówek, ciągnęła się od stóp wzgórza hen aż po leżący w oddali grzbiet górski. Stopniowo dopiero rozpoznałem w niej długi łańcuch ludzkich postaci, a niepokój w ich szeregu spowodowany był podawaniem z rąk do rąk ciężkich kamieni.

Jak błyskawica przemknęła mi przez głowę myśl: szaleńcy, oni budują nową wieżę!

Zanim zdążyłem zdać sobie dokładnie sprawę z tego, co zauważyłem, rozbrzmiała dziwna muzyka, na którą składało się tylko kilka ciągle powtarzających się, niezwykle żalonych dźwięków. Tłum zafalował, wszystkie głowy obróciły się w stronę, skąd dochodziła muzyka. Przez szpaler ludzi przedzierali się muzykanci, niosąc dziwnie uformowane nieznanym mi instrumenty dęte. Ich nogi opasane były jaskrawą, ściśle przylegającą tkaniną podobną do tej, w którą przybrani byli w większości pozostali widzowie. Nie znalazłem zresztą nic osobliwego w tym, że starożytne stroje zachowały się w mieście, które samo jest skamieniałym fragmentem przeszłości. Poruszający się przede mną ludzie byli teraz absolutnie uchwytli, tak iż nie mogłem pojąć, jak to się stało, że przedtem jawili mi się w rozmazanej i nierzeczywistej postaci. Miałem wrażenie, że moje oczy posiadały zdolność nowego sposobu postrzegania.

Za muzykantami kroczyli dwaj mężczyźni, których wyglądu nie zapomnę do końca życia. Ten z prawej, w czarnym, usianym gwiazdami płaszczu, sprawiał wrażenie poważnego i nieprzystępnego, i kiedy obrócił głowę, tak że jego spojrzenie musnęło moją postać, wydawało mi się, iż gdzieś tę twarz niedawno widziałem. Nie mógłbym jednak teraz powiedzieć, czy była to miejscowa święta z obrazu, czy któraś z figur ze ścian kościoła. Drugi natomiast utkwiał mi tak żywo w pamięci, że mógłbym go narysować — wysoka, chuda postać w przepasanym odzieniu roboczym, w ręce miarka i młotek. Uznałem go za budowniczego. Jego twarz była zrujnowana jak miasto nawiedzone trzęsieniem ziemi, miała tak przerażający wyraz, jakby doznała kiedyś nadludzkiej boleści zwalczonej nadludzką wolą. W jego zapadłych oczach żarzyło się bezwzględne zdecydowanie; takie spojrzenie może mieć tylko potępieniec, który za wysoką cenę zaprzedał swą duszę i do tego cieszy się jeszcze z ubitego interesu. Za nimi szedł służący, niosąc w rękach zakryty przedmiot.

Mężczyzna w czarnym płaszczu podniósł, dotarłszy do skraju szybu, swoją laską zdobioną na końcu floresowatymi znakami astrologicznymi. Zadźwięczał dzwoneczek, lud padł na kolana i nad całym tłumem zapadła śmiertelna cisza. Widziałem, jak od środka umocowano drabinę, a ten, którego wzięłem za budowniczego, wyciągnął ręce do służącego odwijającego spowity w sukno przedmiot. Węzełek zaczął się poruszać i mych uszu doszło kwilenie dziecka, zdławione natychmiast męską dłonią.

Zimny pot wystąpił mi na czoło, kiedy przez głowę przemknęła mi myśl o mrocznym zabobonie z zamierzchłych czasów, według którego żywa istota zamurowana w fundamentach zapewniać miała budowli żywot po wsze czasy.

W tym momencie ciszę przerwał krzyk, trudno właściwie powiedzieć krzyk, raczej widmo krzyku, nic bowiem nie było słyhać, odczuwało się jedynie dźwięk ostro przecinający powietrze. Przez szpaler biegła jak opętana jakaś kobieta, chciała rzucić się na budowniczego,

lecz uzbrojeni strażnicy odepchnęli ją z powrotem do tyłu. Kopała i wymachiwała wokół siebie rękami jak oszalała, wydając z siebie w walce raz po raz krótkie okrzyki rozpaczliwej przenikające mnie do szpiku kości. Jeden z mężczyzn zatkał jej ręką usta, inni chwycili ją za nogi i ramiona i wynieśli na zewnątrz. Chciałem jej przyjść z pomocą, chciałem zawołać: „Po co to bezsensowne okrucieństwo, czary i tak straciły już swą moc!” Pojąłem nagle jak w olśnieniu całe zajście i zrozumiałem, że dzieło mogło dokonać się tylko w absolutnej ciszy.

Ale moje ciało było sparaliżowane, usta zabezpieczone. Nieprzytomną kobietę niesiono tuż obok mnie; ujrzałem jej twarz — to była żebraczka, którą widziałem przy studni pod bramą miejską, nie, to nie była ona sama, lecz ktoś do niej podobny, postarzała kopia kobiety przy studni. Miała też na sobie inny zupełnie niż wtedy strój.

Naraz czary opadły, znów poczułem w sobie siłę i rzuciłem się w zbiegowisko, lecz o dziwo, zbity tłum, zbrojni strażnicy, kapłani — wszystko rozstępowało się przede mną jak powietrze. Pędząc jak szalony, nie czułem żadnego oporu, biegłem z takim rozpędem, że w końcu upadłem. Gdzie — w próżnię, w otwarty dół? Nie wiem.

Po chwili wstałem i stwierdziłem, że nie odniosłem żadnych obrażeń, wokół mnie było ciemno choć oko wykol. Zacząłem szukać drabiny, którą tu przedtem widziałem, ale nie natrafiłem na nic prócz murowanych ścian. Z góry nie docierał najmniejszy nawet promyk światła, otaczała mnie śmiertelna cisza. Co się stało? Gdzie jestem? Czyżby mnie zamurowano? Opadł mnie kurczowy strach, szukając wokół po omacku, zauważyłem, że dostałem się do podziemnego ganku. Namacałem wilgotną ścianę wykopaną w ziemi, grunt, po którym posuwałem się po omacku do przodu opadał coraz niżej. Przejście biegło niezliczonymi zakosami coraz głębiej i głębiej. Musiałem znajdować się chyba pod ulicą, bo nad moją głową słychać było odgłos kroków na bruku. Nagle zahaczyłem palcem u nogi o kamień, i w ganku, który tu właśnie się kończył pojawiło się słabiutkie światełko.

Badając zmurszały mur, trafiłem na otwór wystarczająco duży, by mogła się tamtędy przedostać jedna osoba. Z trudem precyzyjnie przeszedłem i znalazłem pod stopami kilka stopni, po których ostrożnie zszedłem w dół. Byłem przygotowany na duży spadek wysokości, lecz niespodziewanie miałem znów pod nogami ziemisty grunt, po którym dostałem się do więziennego zgoła pomieszczenia, dokąd docierały z góry odgłosy kroków. Lampka stojąca w kącie na ziemi rzucała niepewne światełko na wilgotne ściany.

W półmroku, na porośniętym mchem kamieniu poruszyła się siedząca postać. Rozpoznałem w niej natychmiast dziewczynę z pękniętego obrazu na drewnie. Długie, rozczesane włosy spoczywały wokół niej na ziemi niby szata w fałdach. U stóp leżał rzecz jasna talerz z muszli, a w nim rozcięty owoc granatu.

Opanowało mnie jednocześnie ogromne uczucie szczęścia i bólu. „Sylwio!”, zawołałem, nabrałem bowiem naraz absolutnej pewności, że tak jej na imię, ale gdy podniosła głowę, ujrzałem na prześlicznej twarzy te same zgniłe plamy, ona zaś uśmiechnęła się smutno, widząc moje zmieszanie.

Uścisnąłem jej dłonie, by dać do zrozumienia, że znajduję ją jeszcze bardziej piękną niż wszystkie najśliczniejsze i najszcześniejsze stworzenia świata i nie wiem dokładnie, jak to się stało, że w chwilę potem siedziałem na tym omszałym kamieniu obejmując ramieniem jej szyję.

„Niech cię nie przeraża, że jestem taka brzydka”, powiedziała, „leżę tu już od dawna i słucham, jak wichura potrząsa wieżami, lecz one ciągle jeszcze stoją”.

Ale kto — kto to zrobił? Chciałem spytać, lecz mogłem to tylko pomyśleć, ponieważ głos odmówił mi posłuszeństwa.

Mimo to zrozumiała mnie, bo powiedziała cichutko, jakby wymawiała okropne słowo: „Mój ojciec”.

Jej ojciec! Tak, to było właśnie to! Teraz już wiedziałem — to była stara, straszna historia, o której słyszałem przed laty, tak mi się przynajmniej wydawało.

Jej ojciec był największym budowniczym w San Gimignano. Powodowany szaleńczą ambicją poprzysiął sobie, że jego wieże przetrwają na wieki. Współdziałał z nim astrolog, odczytujący z gwiazd najodpowiedniejszy na rozpoczęcie budowy moment, potem kładziono kamień węgielny i zamurowywano w szybie żywe dziecko. Co wieża, to zbrodnia. Kiedy budował najwyższą i najmasywniejszą, lud zmusił go, by pogrzebał żywcem swoją córkę. Była najpiękniejszą dziewczyną w mieście, a miała na imię Sylwia.

Przytuliła się do mnie jeszcze bardziej, tak iż poczułem chłód bijący od jej ciała, i powiedziała, jakby rozwijając moje myśli: „Byłam zaręczona ze szlachetnym młodzieńcem, dawno już poślubił inną, podczas gdy ja leżę tu na dole i umieram z rozpacz. Czyżby jeźdźcy na białych koniach w ogóle nie mieli już przyjechać?”, spytała po chwili.

„Nie widziałem żadnych jeźdźców”, powiedziałem.

Wyjaśniła mi, że kiedyś, gdy minie wiele, wiele lat, a świat chylić się będzie ku upadkowi, przybędą z zachodu biali jeźdźcy, by odebrać całą ziemię, bo biali jeźdźcy są, jak mówiła, jej pierwotnymi mieszkańcami. Prastara przepowiednia powiada ponoć, że rozpadną się wtedy wszystkie wieże, a ona sama będzie wreszcie mogła zapaść w sen.

Ledwie wypowiedziała te słowa, uświadomiłem sobie, że mam ogromne pragnienie, którego przedtem wcale nie odczuwałem. Zdawała się wiedzieć i o tym, bo podała mi zaraz z dziwnym uśmiechem ów talerz z muszli, a w nim owoc granatu. Chciałem się poczęstować, lecz zaniechałem tego wystraszony, ponieważ plamy na jej policzkach poczęły ciemnieć, same zaś policzki zapadały się coraz bardziej i bardziej, aż w końcu widać już było tylko kości. Trupia głowa wlepiła we mnie oczy, ale tylko przez chwilę, bo nagle poczułem, jak wstrząsnęło jej ciałem i szkielet rozsypał się w mych ramionach.

Odskoczyłem z przeraźliwym krzykiem, uderzając głową o mur. Leżałem jeszcze ciągle w cieniu oliwki, moja głowa spoczywała na krawędzi kamienia, a ciało w ciernistych zaroślach. Wszystko się zmieniło, miejsce murowanego szybu zajmował teraz wypełniony żwirem dół i pokruszone kamienie, wśród których piął się szary, mocno pachnący piołun. Krwawiło mi czoło, ponadto podrapałem sobie ręce, zsuwając się w dół po ostrym żwirze, tak iż musiałem obmyć się przy studni z żurawiem. Okropnie kręciło mi się w głowie, a ziemia pod moimi stopami była tak niepewna, jakbym każdej chwili wpaść miał w nową otchłań. Srebrne wzgórza w dole na równinie, porośnięte oliwkami jawiły mi się jako niezliczone szwadrony jeźdźców na mlecznobiałych rumakach i dałbym głowę, że widziałem, jak z ich grzyw tryska piana.

Ogarnięty zgrozą dotarłem do mojej gospody, gdzie czekał już na mnie zapakowany starannie ów nieszczęsny obraz. Dałem oberżyscie drobne odszkodowanie, by zrekompensować jego daremny trud i przekonać go, żeby zatrzymał obraz u siebie. Za żadne skarby świata nie zdecydowałbym się spędzić nocy pod tymi wieżami.

Gdy tylko zaszło słońce, rozpocząłem odprowadzany jakiś czas przez niemego Orazio wędrowkę w dół, by udać się w powrotną drogę przez morze wzgórz. Wieże spoglądały za mną jeszcze długo, ale nie odwracałem głowy, dopóki kamienna zmora nie utonęła z tyłu w błękitnej mgle.

Kiedy skończył, ze wszystkich stron zaczęły padać pytania:

— A co z obrazem? Czy później niczego już się pan o nim nie dowiedział?

— Nigdy więcej nie byłem w San Gimignano.

— Taki koszmarny sen może przecież każdego zniechęcić — zauważył ktoś z towarzystwa.

Narrator pozostawił tę uwagę bez odpowiedzi i pograżony w myślach, jakby rozmawiał sam z sobą, powiedział w końcu niskim głosem:

— Bywają zdarzenia, które nie mogą zasnąć... Ale pozostają też i widma minionych wydarzeń — dodał i spojrział po pokoju takim wzrokiem, że wszystkich przeszedł dreszcz.

Georg von der Gabelentz

## GORYL

— Nie ma pan racji, wcale nie ma pan racji! — mówił hamburski armator, pan Molier, gniewnie rzucając hawańskie cygaro do brązowej popielniczki, która stała przed nim na biurku zarzuconym wszelkiego rodzaju korespondencją. — Mimo zaręczeń kapitana Grothansa, gazety i pan, kochany Slohmann bierzecie go za potwora w ludzkiej postaci, zapewniam, że niesłusznie. Nawet osobiście byłem u niego, a za kilka minut powtórzy panu swą drogę krzyżową, którą sam pan oceni, czy jest kłamstwem.

— Tak, wiem dobrze, o czym on opowiada. Ale nawet te odbite ślady ręki, czy to wszystko nie zostało wymyślone, by nas wywieść w pole?

— Nikt, komu staje przed oczyma pewną śmierć, nie dopuści się takiego oszustwa, podobne zamysły idą wówczas w niwecz. Pan nie bierze pod uwagę bardzo niezwykłych warunków, w jakich wszystko się wydarzyło.

Pan Slohmann, udziałowiec przedsiębiorstwa żeglugi Molier, Slohmann & Co., spacerował wolno po pokoju z rękami założonymi na plecy. Chwilę patrzył w zamyśleniu przez okulary w złotej oprawce na gwarny ruch pod oknami wysokiego parteru, błdził wzrokiem po ulicy i powiedział w końcu:

— Tak, pan ma właściwie rację, kapitan Grothans nie przypuszczał już wcale, że ocaleje cudem. Lecz ta upiorna małpa, musi pan przyznać, że wyjaśnienie brzmi prawie niemożliwie.

— Niemożliwie? Cóż w tym niemożliwego? Niesłusznie znajduje się to słowo w słowniku. Poza tym, niech pan posłucha opowiadania samego kapitana, a będzie pan musiał przyznać, że mogło być tylko tak, a nie inaczej. Zapewniam pana, że jest to czysta prawda, nawet jeśli brzmi dla nas tak dziwnie.

Slohmann obrócił się znowu do pokoju i oparł na tylnej ścianie kominka.

— Straszliwe przeżycie, kochany Molier, biedni ci ludzie! Człowiek jest faktycznie zmuszony wierzyć we władzę jakiegoś niesamowitego, nieuniknionego licha, wbrew naszej całej nowoczesnej wiedzy Grothans, nasz odważny kapitan przestępcą? Nie, pan ma słuszność, sam się bronię przed daniem temu wiary.

Podczas tej rozmowy w bogato umeblowanym pomieszczeniu wielkiego domu handlowego firmy, w górę ulicy szedł mężczyzna krokiem ciężkim, charakterystycznym dla marynarzy. Ponad basenem Alster ciągnęły chmary krzyczących mew; barki i małe statki sunęły szybko po błękitnej, wzburzonej powierzchni. Ulice falowały od pełnej pokrzykiwań, pracowitej gonytwy śpieszących się ludzi, podobnych do mrówek na leśnej drodze.

Kto przed rokiem widział kapitana Grothansa, ten będąc nawet jego najlepszym przyjacielem, nie rozpoznałby w przechodzącym wolno, bladym mężczyźnie o zmęczonych, zatonionych w poważnych myślach oczach, niegdyś silnego, tryskającego życiem mimo pięćdziesięciu lat, marynarza. Kapitan Grothans wracał ze szpitala. Widać było, że musiał przejść okrutne cierpienia. Wystarczyło kilka tygodni, by zbielały mu włosy i wyżłobiły się głębokie, surowe bruzdy na opalonym czole. Ten, który po powrocie z długiego rejsu na ląd, zaglądał każdej ślicznej niewieście pod kapelusz z łagodnym uśmiechem, zaś w winiarni Gastensa dawał popis najzabawniejszych anegdot, pijąc najmocniejszy grog, włókł się teraz ulicą z niezwykle zamyśloną twarzą. Przykre skutki choroby paraliżowały jego ruchy, był pochłonię-

ty myślami. Gdy poważnie zastanawiał się bądź mówił o czymś istotnym, wówczas zatrzymywał się, lub jeśli to nie uchodziło, przynajmniej zwalniał jeszcze bardziej i tak powolne kroki. Czerwoną chustką ocierał raz po raz pot z czoła, gdyż rozgrzał go niezwyuczajny dla niego trud przebycia kawałka drogi.

Teraz stał przed wejściem prowadzącym do pomieszczeń służbowych wielkiego przedsiębiorstwa żeglugowego i z pewnym wahaniem nacisnął na guzik elektrycznego dzwonka. Szklane drzwi otworzyły się, ukazując twarz służącego kantorowego, który przestraszył się na widok kapitana, po czym zniknął natychmiast.

„Czemu — pomyślał Grothans — ten typ przyglądał mi się na poły z przerażeniem i litością?”

W wysokich, przytulnych pokojach oczekiwali starego kapitana dwaj hamburscy armatorzy. Wygodne skórzane krzesła stały wokół dużego dębowego stołu, pokrytego różnymi papierami i czasopismami; masywny srebrny kałamarz w kształcie łodzi ozdabiał zasłane czerwonym suknem biurko. Pod ścianą widoczne było popiersie cesarza, obok niego zdjęcia największych statków armatora Möller, Slohmann & Co. Ciężkie, czerwone portierey zdobiły szeroko otwarte dwa potężne okna z widokiem na kunsztownie wycięte aleje drzew.

Sługa szeptem zameldował kapitana. Panowie podnieśli się z krzesel.

Pan Möller w czarnym surducie, złotych binoklach na nosie, krótko ostrzyżonych włosach i wypielęgowanej, jasnej brodzie, wyszedł naprzeciw wchodzącemu uprzejmie, choć z całą godnością wielkiego kupca.

— Dzień dobry, kapitanie! — powiedział z wyciągniętą ręką do gościa nieśmiało otwierającego drzwi. — Dzień dobry, cieszę się szczerze, widząc pana znów w zdrowiu!

Slohmann także pozdrowił gościa serdecznym uściskiem dłoni.

— Tak, wróciłem cały i zdrowy, moi panowie, lecz wasz statek i wasi ludzie zginęli!

Kapitan wymówił to cichym głosem, zacinając się, jakby wyznawał winę, co wyczuł nawet Möller. Jego mądre oczy spoczęły z życzliwością i współczuciem na tak nagle postarzałym mężczyźnie, który z zakłopotaniem obracał w ręce kapelusze i rękawiczki.

— Wiem o tym, mój drogi Grothans — odparł armator, wiem o tym, proszę, niech pan spocznie, niczego nie można już zmienić. Niechże się pan nie martwi, firma zaopiekuje się rodzinami, a na starym statku nie straciliśmy wiele. Budujemy nowy szkuner u Blohma & Vossa. Wkrótce zostanie zwodowany, a jeśli pan znów poczuje się na siłach, to popłynie pan od nowa na solidniejszych plankach. Lecz niech nam pan opowie tę niezwykłą historię. Pan Slohmann chętnie by jej wysłuchał z pańskich ust. Zaręczam, że ani trochę nie wątpimy w prawdziwość pańskich słów.

Poczęstował kapitana cygarem. Wkrótce nad mężczyznami unosił się błękitny, pachnący dym i wirował powoli ku oknu, by rozpląnąć się w powietrzu. Molier śledził w zamyśleniu niknące kręgi dymu, gdy kapitan zaczął snuć swą opowieść, z początku wolno i zacinając się, jak to czyni mężczyzna, który nie jest przyzwyczajony do prawienia powiastek. Wkrótce jednak ożywił się. Słuchacze czuli coraz wyraźniej, że przeżycie porwało tego skromnego człowieka i użyło mu elokwencji.

Zarzuciliśmy kotwicę w Monrovii, żeby zabrać na pokład wiadome skrzynie z pestkami palmowymi. Ostatniego dnia, tuż przed wyjściem w morze, przyszedł do mnie właściciel faktorii, Lachmann, prosząc, bym zabrał i przekazał w jego imieniu Hamburskiemu Ogrodowi Zoologicznemu podarunek w postaci goryla, wyjątkowo silnego okazu tego gatunku małp.

Na moje pytanie, dlaczego chce się pozbyć zwierzęcia, wyjaśnił: „Boję się go po prostu. Jako bardzo młode stworzenie nabyłem go od handlarza kością słoniową, który kupił go od jakiegoś tubylca. Początkowo zachowywał się całkiem dobrze, ale z wiekiem stawał się coraz bardziej krnąbrny i złośliwy. Mogę go teraz trzymać jedynie w mocnej klatce, a ponieważ żyję z moimi najbliższymi pod wiecznym strachem, że ta olbrzymia małpa mogłaby się

pewnego razu uwolnić i narobić wiele złego, wolę ją zatem oddać. Z powodu swojej dzikości i siły, zwierzęta te są niezwykle niebezpieczne. Wiem zaś, że do Europy rzadko trafia żywy egzemplarz. Dyrekcja ogrodu zoologicznego w moim rodzinnym mieście będzie tak samo zadowolona z posiadania goryla, jak my, gdy się go pozbędziemy. Jeżeli zdechnie na morzu, cóż, proszę zachować skórę i kazać ją wypchać”.

Cóż, wszystko brzmiało bardzo prosto i przekonująco. Gdybyśmy, a więc ja i moi biedni, zmarli towarzysze przeczuwali, co nas czeka z tym potworem, nie zabralibyśmy go za żadne skarby świata. Jeszcze tego samego dnia, z ogromnym wysiłkiem wciągnęliśmy na pokład ogromną, zrobioną z twardych drewnianych pali klatkę i przymocowaliśmy sznurami do masztu.

W kilka godzin później podnieśliśmy kotwice. Z początku wszystko szło dobrze, wkrótce jednak spostrzeżliśmy, że goryl stawał się dla nas odrażający i niesamowity.

W dzień sypiał zwykle w najciemniejszym kącie klatki na ciepłym pośłaniu ze słomy, nie reagując pozornie na to, co się działo wokół. Nie przeszkadzał nam wówczas, zapominaliśmy niemal o jego obecności. Ale inaczej było, gdy zapadał zmrok. Jak czarna bryła wysiadł lub leżał tuż przy prętach kraty. Jeśli przechodziło się obok, miało się wrażenie, że śpi wciąż tak jak za dnia. Zamknięte oczy, wielki, rozczochrany łeb schowany głęboko w ogromnych ramionach. Było to w gruncie rzeczy osobliwe, niemniej czuliśmy wszyscy zgodnie, że obserwował nas bystro, ba, skoro odwracaliśmy się do niego plecami, ścigały nas wręcz jego spojrzenia. Przyzwyczajiliśmy się w końcu do raptownego oglądania się na ciemną masę w klatce podczas nocnej wachty. Głęboko osadzone, złośliwe ślepie olbrzymiej małpy skierowane były stale na nas. Pojęliśmy teraz, dlaczego Lachmann nie chciał zatrzymać goryla i tęskniliśmy również do uwolnienia się od niego.

Morze Biskajskie przepłynęliśmy szczęśliwie i zmierzaliśmy już ku Kanałowi. Wieczór dziesiątego sierpnia był dusznym, zapowiadającym burzę wieczorem. Na północnym wschodzie stała czarna jak smoła ława chmur, z której błyskało się od czasu do czasu. Morze było dość spokojne, tylko obok statku mknęły białe, zwiastujące nieszczęście pasma piany o niezwykłym połysku, jakiego nigdy dotychczas nie widziałem.

Żaden z nas nie potrafił wyjaśnić tego szczególnego, bladego blasku w morzu. Nie było to zwyczajne świecenie morza, lecz zjawisko w rodzaju światła fosforycznego, migotającego, które to gasło prawie, to rozjaśniało się. Miało ono zapewne związek z elektrycznością atmosferyczną. Wszystko zwiastowało bliską burzę, nawet barometr silnie opadł. Zaciągnęliśmy tylko trochę żagle i czekaliśmy nadejścia burzliwego szkwału. Na pokładzie stał ze mną jedynie sternik Niels; niespokojnie patrzyliśmy na groźną pogodę i bujające, ślizgające się pasma piany, zwane przez marynarzy białymi koszulami śmiertelnymi. Istnieje ślepy przesąd, że są one ponoć koszulami, w które morze ubiera swe ofiary. Petrele zaczęły fruwać, skrzecząc wokół takielunku. Czuliśmy, że tym razem będzie to ciężka noc. No, przetrwaliśmy już niejedną!

Wiecie zapewne, moi panowie, że my, marynarze, jesteśmy zabobonni. Nic dziwnego, że tego grożącego niebezpieczeństwem wieczoru rozmowa o różnych sprawach naprowadziła nas i na upiora morskiego, jakim jest duch okrętowy. Rozmawialiśmy ze sobą jedynie półgłosem, by móc się porozumieć. Ściana chmur podnosiła się w tym czasie ciężko i czarno, coraz wyżej, niczym olbrzymia góra, błyskanie na horyzoncie stawało się coraz mocniejsze. W przestworzach dźwięczały przeciągłe, grzmiące ryki, pierwsze świszczące uderzenia zbliżającego się szkwału. Maszty trzeszczały i stękały, liny napinały się pod krótkimi chwytami burzy. W rękach czuliśmy łaskoczące drgania wskutek silnego napięcia elektrycznego w atmosferze.

Właśnie spytał mnie Niels: — Kapitanie, czy widział pan ducha okrętu? Bądź co bądź dziwna to sprawa, sądzę, że w jego ukazywaniu się musi być trochę prawdy.

Miałem zamiar wybić mu z głowy ten idiotyczny przesąd, gdy Niels, który spojrzał właśnie na niebo nad nami, zbladł jak prześcieradło, uchwycił się mego ramienia wskazując

na maszty. Drżąc szeptał mi przy tym do ucha: — Niech pan spojrzysz do góry kapitanie, widzi pan to? — To, tam u góry!

Spojrzałem we wskazanym kierunku i zapewniam was, moi panowie, że przeraziłem się tak samo jak sternik. U góry na maszcie przycupnął czarny upiór. Zmierzwiona, długa szczytina pokrywająca nieforemny łeb i tułów, była nastroszona. Od wierzchołków masztów odrywały się to tu, to tam niebieskie płomyczki, biegały i skakały niczym upiorne gnomy, po rejach, rzucając słaby blask na najbliższą okolicę. Na naszej łodzi płonęły ognie św. Elma. W tym momencie rozpoznałem też rzekomego upióra, Niels wiedział także: goryl, niech to diabli, opuścił swą klatkę i wdrapał się na grotmaszt. Do dziś nie wiem, jak udało się zwierzęciu otworzyć zamknięte drzwi.

Wkrótce rozszalała się burza. Powietrze przeszywała błyskawica za błyskawicą i natychmiastowy, bezustanny łoskot grzmotów. Morze wznosiło się coraz wyżej, rzucając statkiem dziko na wszystkie strony.

Skoro tylko jaskrawe światło błyskawicy padło na maszty, widzieliśmy wielkie potworne zwierzę wspinające się niespokojnie gdzieś tam na reje. Podobny ze swymi długimi, czarno owłosionymi łapami do potężnego pająka w pajęczynie, łąził po takielunku, niespokojnie, nagłymi zrywami to w górę, to w dół, z szaloną pilnością. Z karygodnym rozmysłem płatał ten straszny zwierz całe olinowanie.

Wszyscy ludzie byli teraz na pokładzie, należało jak najszybciej zwinąć płótno aż do ostatniego skrawka, lecz rozwścieczony goryl zagroził nam drogę do góry i nikt nie odważył się wejść na maszt.

Nawałnica przybierała coraz bardziej na sile. Fale zalewały nieprzerwanie pokład, porywając zeń plankę za planką. Mogła być północ, gdy uświadomiliśmy sobie, że szkuner został przedziurawiony i napełnia się wodą. Statek zaczął przechylać się najpierw powoli, później coraz szybciej na prawą burtę i tonąć. Pompa zepsuła się, rozkazałem przygotować łodzie. Wiatr gnał w powietrzu skrawki porwanych żagli, lecz przyczepionej do lin mały nie mógł przegnać.

Dziesięciu ludzi z załogi usiadło w kutrze, a nam udało się szczęśliwie spuścić go na wodę. Widzieliśmy, jak się oddalał, aż w ciemności zniknął nam z oczu w kierunku światła latarni morskiej na wyspie Guernsey. Krótco bowiem przed zmrokiem ujrzeliśmy Wyspy Kanału. Kuter wyrzucił się chyba wnet potem i zatonął, gdyż żadne zwłoki nie zostały wyrzucone na brzeg.

Na pokładzie statku pozostał jedynie Niels, marynarz Clasen i ja. Sklarowaliśmy mały jol i spuściliśmy go równie szczęśliwie na wodę. Gdy zajęci byliśmy łodzią, spojrzałem w świetle błyskawicy jeszcze raz ku masztom, które pod naporem burzy groziły w każdej chwili załamaniem. Goryl skradał się i wspinał wciąż niespokojnie po spryskanych pianą linach. Zdawało się, że w szalonej zabawie nie przeszkadzały mu w najmniejszym stopniu ani chybotańskie, ani kołysanie statku, wycie orkanu i szum morza.

Odepchnęliśmy się wiosłami od poważnie uszkodzonego statku, łamiąc przy tym jedno z nich, gdy zanosilo się, że fala sztormowa rzuci nami z całej siły w tonący statek.

Nasza mała jolka wyprysnęła w noc. Właśnie chciałem zająć się sterem, by utrzymać kurs na Wyspy Kanału, gdy zjawił się i wdrapywał się na pokład. Najpierw dwie długie łapy, później czworokątna, spływająca wodą czaszka, wysoko podciągnięte szerokie ramiona, w końcu gruby brzuch wielkiego goryla. To wstrętne bydlę wciągnęło się powoli na pokład, przycupnęło przy sterze i wytrzeszczało na nas wściekle, złośliwie zezujące ślepia. W jego spojrzeniu pojawiła się jakby pogroźka za to, że porzuciliśmy go na tonącym statku.

Czego nie bylibyśmy dali za to, żeby go pochłonęło morze! Te oczy były nieznośne, wstydziliśmy się przed nim, nienawidząc i bojąc się go przecie. Wiedział o naszej nienawiści, wiedział, że chętnie byśmy mu uciekli, dlatego ślepia błyskały mu czasami zimnym szyderstwem. Nie mogliśmy zapobiec, gdy Clasen skoczył zaciekle, chwycił za ostatnie z naszych



wiosła i zamachnął się nim na czarnego potwora, żeby go zmiażdżyć. Przecież, żeby łódź nie zboczyła z kursu, musieliśmy się dostać do steru, poza tym była zbyt mała dla czterech, a bliskość nieposkromionego zwierzęcia zbyt dla nas niebezpieczna. Niestety, wściekłość na czarną bestię uczyniła Clasena nieostrożnym. Gdy podniósł ciężkie wiosło, nowa fala zarzucała silnie łódź na bakburtę i nieszczęśnik stracił równowagę. Człowiek i wiosło wpadli do wody. Jeszcze raz ujrzelśmy jego ramię wynurzające się z syczącej piany, rozcapierzone palce chwytające w powietrzu jakiegoś oparcia, które zaraz zniknęły na zawsze w ciemnej głębi. Morze okryło go mokrą śmiertelną koszulą. Jakże cenne dla nas wiosło wywracało się w kłębach piany i na moment wysunęło się pionowo z wody, ale już następna, stojąca dęba fala, pogrzebała je także.

Tonący szkuner walczył tymczasem nadal odważnie z morzem zalewanym falami. Podobne do czarnego szkieletu olinowanie odbijało się w rozjaśnionym błyskawicami niebie.

Po zniknięciu biednego Clasena spojrzeliśmy na siebie z Nielsem struchlali z przerażenia, nie mogliśmy tonącemu nawet pomóc. To dlatego ukazały się nam koszule śmiertelne! Straciliśmy wraz z marynarzem nasze jedyne wiosło, goryl natomiast chwycił teraz za ster i tak nim kręcił, że coraz bardziej oddalaliśmy się od brzegu. W jaki sposób mieliśmy wyrwać zwierzowi ster, lub go unieszkodliwić? Byliśmy osłabieni trudami ostatnich dwunastu godzin i niemal zamorzeni głodem, dorosły goryl zaś jest silniejszy od najsilniejszego mężczyzny.

Nadchodził wieczór pierwszego dnia. Morze uspokajało się z wolna, chociaż wciąż rzucało naszą łódkę jak piłką, żeby płynąć, musieliśmy bez ustanku wylewać wdzierającą się do niej wodę. Wielki goryl siedział nieruchomo skulony na drugim końcu łodzi przy sterze, śledząc ze szczególną ciekawością każde nasze poruszenie.

Dochodzę do przekonania, że zwierz dokładnie wiedział, co czynił, utrzymując ster stale w takim położeniu, że dryfowaliśmy coraz bardziej ku otwartemu morzu. Wolałbym raczej siedzieć z tygrysem w łodzi niż z tą małpą. Tygrys rzuciłby się na nas natychmiast i rozłożył nas jednym ciosem łap, zachowanie goryla zaś było o wiele straszniejsze. Z natrętnym spojrzeniem obserwował nasz strach, strzegł każdy nasz najmniejszy ruch. Jego wielki łeb kołysał się wolno, to w tę, to w tamtą stronę. Niska, szeroka czaszka wyciągnięta była na ramionach. W tym obliczu wyglądającym jak karykatura ludzkiego grymasu, malowała się dzikość i okrucieństwo bestii.

Minął pierwszy dzień. Żadnego statku, który przyniósłby nam ratunek i wybawienie!

Jeszcze raz przysłała noc. Morze było całkowicie spokojne. Byliśmy śmiertelnie wyczerpani, a nie mieliśmy odwagi zasnąć. Naprzeciwko nas ślęczała wielka małpa ze skierowanym na nas wzrokiem, wciąż kiwając jednostajnie swym kudłatym łbem. Co jakiś czas potwór zaczął wydawać z siebie osobliwy dźwięk, powstały wskutek pocierania szczęki o straszliwe zęby. Wargi w tym czasie zaczęły mu się dziwnie poruszać. Czaszkę pochylał coraz niżej między szerokie bary, wysuwając ją jednocześnie do przodu z wyrazem straszliwej dzikości, jakby kulił się do skoku. Czub jego włosów nastroszył się. Głód dawał mu się na pewno we znaki.

Zaświtał nowy ranek i nastał drugi dzień od zatonięcia naszego statku. Nie mieliśmy już ani kęsa mięsa czy cebuli, i co jest tysiąc razy gorsze, straciliśmy niemal wszelką nadzieję na ratunek. Siedzieliśmy w łodzi zobojętniali, niezdolni do myślenia i zbyt słabi do czynu. Przy sterze tkwił prawie w bezruchu nasz straszliwy strażnik. Tak, gdybyśmy dostali się do steru, wówczas moglibyśmy skierować dryfującą łódź znów do brzegu, lecz zwierzę nie ruszało się z miejsca w tyle. Gdyby goryl tylko zasnął, razu pewnego sądziliśmy, że zamknął oczy, ale gdy przyglądaliśmy się dokładniej, przekonaliśmy się na nowo, że to nieprawda. Chciałem zaryzykować i odpędzić go od steru, gdy w uszach zadźwięczało mi straszne, głośniejsze i bardziej okropne niż przedtem zgrzytanie zębów. Czulem to straszliwe użębienie łamiące i miażdżące me kości. Głęboko osadzone oczy, zasłonięte najeżonymi brwiami zerkały, czyhając na mnie. Bezsilnie zatoczyłem się do tyłu.

Tak mijały znów niespokojne, bezkresne godziny. Na próżno przeszukiwaliśmy cały rozległy horyzont, wypatrując choć jednego żagla czy dymu parowca. Bolały nas oczy, paliło podniebienie wyschnięte mimo odrobiny koniaku, jaką mieliśmy przy sobie. W pośpiechu każdy wpychał do kieszeni tylko trochę mięsa i sucharów, — statek mógł w każdej chwili zatonać, a my wierzyliśmy przecież, że za parę godzin dotrzemy na ląd. Teraz za to głód zaczął swe straszliwe dzieło. Obaj wiedzieliśmy, że nie wytrzymamy zbyt długo, jeśli nie nadejdzie pomoc. Byłem tak osłabiony, że nie mogłbym stanąć na pokładzie. Gdy wypatrywałem ponad grzbietami fal jakiegoś statku, Niels leżał na dnie łódki i osłupiałym wzrokiem patrzył obojętnie przed siebie. Spytałem go o coś, lecz już nie odpowiadał. Co za męczarnie!

Widziałem już tylko jak przez szarawą zasłonę. Nie byłem zdolny myśleć, nie potrafiłem przynajmniej swym myślom nadać jakiegoś określonego kierunku; zdawało mi się, że mój mózg stępsiał całkiem i rozmięknął. Jeszcze tylko na bodźce z zewnątrz reagował bardzo wolno, jakby miał zamiar zasnąć.

Mimo mego stanu zauważyłem ku mojemu przerażeniu, że zwierz nie siedział już przy sterze, lecz zbliżył się do nas. Ze słabnącą siłą woli natężyłem wzrok i ujrzałem wyraźnie, nie było żadnej wątpliwości, że małpa zbliżała się, zwiększając tym samym odległość między swym grzbietem a rufą. Zobaczyłem też, jak wyciągnąwszy potężne ramiona, chwyciła się pierwszej ławki i przeniosła przez nią swe grube cielsko. Łeb, zwisający głęboko w ramionach poruszał się rytmicznie, to w tę, to w tamtą stronę, jednostajnie jak wahadło zegara. Im bliżej podchodziła bestia, tym wyraźniej dało się znów słyszeć zgrzytanie zębów.

Potwór też był bliski zagłodzenia, nie znajdując nic innego w łodzi, szedł na nas, szukał ludzkiego mięsa. Bez szansy ucieczki i obrony, bezsilnie oczekiwałem losu. Gdyby strach i rozpacz nie sparaliżowały mych członków, rzuciłbym się do morza, uchodząc okropnej śmierci w objęciach goryla. Zatrzymał się wtedy na moment, przycupnął raz jeszcze wlepiając w nas wzrok pełen łapczywości. Było tak, jakby chciał przedłużyć nasz śmiertelny strach. To ohydne kołysanie czaszki w tę i z powrotem! W ruchu tym było coś tak nieubłaganego, jak zbliżanie się śmierci.

Wtem Niels ocknął się z tępej zadumy, zmieszał się i usiadł. I wtedy usłyszałem nagle przeraźliwy, szalony, wprost niepohamowany śmiech. — Spójrz, spójrzże kapitanie, zwierz, cha, cha, cha, zwierz — wygląda jak duży czarny pająk, ogromny pająk, spójrz tylko, jak się skrada! — cha, cha, cha!

Nie jesteście sobie w stanie wyobrazić tego, moi panowie, co przeżywałem. Choć osłabiony, zdawałem sobie całkowicie sprawę z okropności mego położenia. To śmianie się, ten rozgłośny śmiech, sposób w jaki Niels wskazywał z drżącą z wyczerpania dłonią na goryla, mówiły mi aż nadto wyraźnie, że sternik zwariował. Dlatego tak długo patrzył w odrętwieniu przed siebie, jakby w niemej zgodzie z losem, dlatego nie reagował już od wielu godzin na żadne me słowo. Wskutek groźnej obecności śmiertelnego niebezpieczeństwa, na które był teraz narażony ze strony goryla, a której prawdopodobnie nie był świadom, dostał pomieszania zmysłów.

Ja natomiast siedziałem sam w łodzi z biednym Nielsem i strasznym gorylem, dookoła, jakby z dali, szumiące ponuro morze. Słuch miałem już przytępiony, łoskot przelewającej się wody dochodził do mnie jakby z mglistej dali, bardzo cicho, bardzo niewyraźnie. Jedynie zgrzytanie zębów słyszałem jeszcze wyraźnie, lub przynajmniej zdawało mi się, że słyszę. Goryl wysuwał do przodu długie łapy, opierał się o dno łodzi i podciągał następnie swe ociężałe cielsko, lazył, posuwając się coraz bliżej, całkiem wolno, całkiem cicho. Niels śmiał się wciąż na całe gardło z ruchów zwierzęcia w chybotliwej łodzi, które nadchodziło stopniowo i ostrożnie. Następnie goryl wlaźł nieszczęśnikowi na piersi, oczy mu pałały, łapy owijały ze wszystkich stron ciało ofiary. Ciężki korpus olbrzyma zakrył niemal całkowicie sternika. Wargi zbliżał do twarzy Nielsa, który śmiał się spazmatycznie. Jego ciało wiło się, jakby pod wpływem łaskotania.

Przerażony patrzyłem na grupę przede mną, niezdolny, by choć się ruszyć. Czulem ostry, dziki odór, a nawet gorący oddech zwierza, był tak blisko mnie, że mogłem go dosięgnąć ręką.

W szalonym śmiechu Niels odrzucił wówczas głowę daleko do tyłu, że odsłonił nagą szyję. Wtedy goryl raptownie spuścił niżej swój potężny łeb, jakby chciał pocałować gardło mężczyzny. Niels wydał chrapliwy, zdławiony krzyk. Śmiech na jego ustach zamarł nagle. Spomiędzy potężnych szczęk trysnęła krew, spływając po ssących wargach. Nieszczęsny sternik dawał już słabe znaki życia pod ciężarem straszliwej małpy, zmęczone ręce chwyciły szczeciniaste włosy siedzącego na nim potwora. Nie był w stanie ruszyć przygniatającego go ciężaru, twarz spurpurowiała mu najpierw z wysiłku, a potem bladła i bladła. W końcu ustały ostatnie słabe ruchy i drgania. Pająk olbrzym wyssał krew swej ofierze.

Czulem, że tracę zmysły, pociemniało mi w oczach, jeszcze przez chwilę widziałem siedzącego na ofierze ogromnego zwierza, później słyszałem jedynie niewyraźnie daleki, daleki szum wody, wreszcie nic więcej. Czekałem końca.

Gdy obudziłem się i odzyskałem powoli świadomość, znalazłem się w jakiejś kajucie. Jak panom wiadomo francuski parowiec „Sadi Carnot” wyłowił mnie wraz z łodzią. Gościnna załoga statku stała wobec zagadki. W łodzi znaleźli również biednego Nielsa, martwego, bez krwi, ze straszliwą raną na szyi. Na ławkach łodzi odkryto jeszcze ślady podobne do potężnej, zakrwawionej dłoni ludzkiej. Po gorylu ani śladu. Musiał zapewne przy zbliżaniu się parowca niepostrzeżenie skoczyć lub wpaść do wody, mówi się bowiem, że ludzka krew może wywołać u zwierząt pewien rodzaj upojenia. Załoga Francuza patrzyła na mnie z przerażeniem i o mało nie wzięła mnie w końcu za mordercę biednego Nielsa. Na szczęście lekarz okrętowy rozpoznał w śladach odciski łap jakiejś dużej małpy. Stwierdził także, że żadna ludzka szczeka nie mogłaby spowodować tak okropnych ran, jakie miał na szyi Niels. W taki sposób powróciłem jako jedyny uratowany.

Kapitan zakończył swe opowiadanie i milczał. Dawno już zgasło mu cygareto. Möller podsunął mi w milczeniu pudełko zapalek. Wziął je wolno czerwoną, szeroką dłonią, ukrywając je wśród palców. Nikt nie wyrzekł ani słowa. Słysząc było jedynie pocieranie zapalniczki o brunatną potarękę i głębokie zaciąganie się, którym kapitan rozżarzał ponownie cygareto.

Po chwili wstał z wolna i ościężał z głębokiego fotela. — A więc, moi panowie — zabrzmiało niemal uroczyście z jego ust — powierzcie nowy statek, gdy będzie gotowy, jakiemuś młodszemu ode mnie człowiekowi. Zestarzałem się i już nigdy nie wyruszę na morze.

Przełożyła Mariola Żojdź

## Georg von der Gabelentz **BIAŁY ZWIERZ**

Doktor Rüdiger odwrócił się, marszcząc gniewnie czoło:

— Nie, po tysiąckroć nie! Uważa mnie pan za dziecko, które wierzy w bajeczki i śmieszne historie o duchach? Zapewniam pana, że nie jestem spirytystą, owszem, zgadzam się z panem, że podczas seansów, świadomie lub nieświadomie, często dochodzi do incydentów. Lecz nie można po prostu zakwestionować prawdziwości tego, czego nie potrafimy od razu wyjaśnić znanymi obecnie prawami przyrody, gdyż jest to głupotą, jest po prostu zarozumiałstwem!

Stary doktor mówił w zapale tak głośno, aż zwrócił uwagę gości zebranych pewnego październikowego wieczoru w czytelni jednego z berlińskich hoteli. Przerwali rozmowy, by przysłuchiwać się dyskusji, jaką toczyło z doktorem kilku panów przy jednym z bocznych

stolików.

Jeden z nich, do którego zwrócone były ostatnie słowa, odparł:

— Ma pan zapewne na myśli przypadek Homesa, który przed paroma laty wywołał w naszym mieście wielką sensację. Ja natomiast skłonny jestem twierdzić, że wszystko polegało w gruncie rzeczy na oszustwie, na niewątpliwie bardzo sprytnym mamieniu widzów. Były to jedynie sztuczki zręcznego kuglarza, a nie pełne tajemniczości stany hipnotyczne osobowości podatnej na magnetyzm.

— Tego nie wiem, nie widziałem niestety Homesa i dlatego nie jestem upoważniony do wydawania sądu. Myślę właściwie o innym przypadku, który wydarzył się już dawno temu w osobliwych i pozornie niewyjaśnionych okolicznościach, za którego prawdziwość ręczę, gdyż sam byłem jego świadkiem.

— Pan? Doprawdy? Proszę nam opowiedzieć! — rozległo się ze wszech stron. Słuchacze przeciskali się do lampy i doktora Rüdiger, siedzącego przy kominku na niskim, pokrytym skórą krześle. Spojrzenie miał skierowane w głąb dużego pokoju, jakby tam, na tle ciemnoczerwonej tapety, przesuwiał się raz jeszcze cień jego przeżycia.

— Dobrze, opowiem państwu. Być może historia ta, która jak wspominałem, nie jest wymyślona i zdarzyła się naprawdę, udowodni państwu na nowo to, o czym wie człowiek mający otwarte oczy, a mianowicie, że na tej ziemi dzieje się jeszcze nieskończenie wiele dziwów. Jesteśmy przecież otoczeni zagadkami w całym tego słowa znaczeniu; początek i koniec naszego świata, naszego bytu — oto kwestie nurtujące nasze umysły. Nauka wyjaśniła już niektóre ujemne aspekty zjawisk fizycznych, być może wkrótce da także właściwe wyjaśnienie przeżytego przeze mnie zdarzenia, tak, jeśli się nie mylę, to wzmiankę o tym można znaleźć u kilku uczonych, ja przypominam sobie jedynie Aksakowa.

Dziwi państwa moje poruszenie, lecz po wysłuchaniu opowieści wasze zdumienie ustąpi. Właśnie dzisiaj przed dwudziestoma laty przeżyłem przerażającą noc, czuwając godzinami, które zdały mi się wiecznością, godzinami, w których przykucnął obok mnie straszny, błądy upiór, upiór trwogi. Tak, tak, to nie było nic innego, jak tylko nędzna, tchórzliwa trwoga przed czymś niepojętym, niezrozumiałym, która w kilka minut uczyniła ze mnie chorego nerwowo człowieka.

Czy zdajecie sobie w ogóle sprawę, jak to jest, gdy opanowuje kogoś trwoga? To coś zupełnie innego, niż strach. Strach przed śmiercią, przed karą, strach przed fizycznym bólem pokona każdy odważny mężczyzna. Podczas mej podróży po Indiach nie bałem się, gdy na obszarze tybetańskim pojмали mnie mnisi buddyjscy. Groziła mi straszliwa śmierć, gdyby mnie rozpoznano w przebraniu, a mogło się to stać w każdej chwili przy podstępnej charakterze i czujności Tybetańczyków. Ale wtedy miałem do czynienia z ludźmi, choć były to złe typy. Śmierci się nie obawiam, gdyż jest ona czymś naturalnym, jest wszystkim pisana, a w moim życiu zaglądałem jej w oczy wystarczająco często. Tamtej nocy było o coś tysiąckroć straszniejszego, przed czym drżałem, choć obecność tego czegoś jedynie wyczuwałem, jedynie domyślałem się. Wówczas poznałem, co to znaczy trwoga, trwoga tchórzliwa, porażająca nerwy.

Początek tego zdarzenia sięga bardzo odległych czasów, pozwólcie zatem państwo, że cofnę się wstecz pamięcią.

Zanim przeszedłem tu w Berlinie na emeryturę, pracowałem jako młody człowiek przez pewien czas w Szwajcarii, w nowo zbudowanym szpitalu w Genewie. W kręgu młodych cudzoziemców zawarłem tam przelotną znajomość z panem Iwanem Petroffem, gorliwym członkiem towarzystwa spirytystycznego, które i ja odwiedzałem dość często z czysto naukowej ciekawości.

Grupa ta postawiła sobie zadanie nawiązania kontaktu ze światem duchów oraz badania tej materii przy pomocy medium. Mówiąc szczerze, byli to dla mnie ludzie dość niefrasobliwi, a ja zachowujący wobec ich eksperymentów postawę pełną chłodu i wątpliwości, nie

ukrywałem, że z ich spotkań nie wynikało nic racjonalnego, nic, czego nie dałoby się łatwo wyjaśnić jako zwykłe przywidzenie lub sugestia.

Zmiana nastąpiła nagle, gdy pewnego dnia spotkałem w tamtym kręgu niejakiego pana Sassulitscha. Nikt nie znał pochodzenia tego osobliwego człowieka, on sam twierdził, że pochodzi z Serbii, co przyjęliśmy na wiarę. Nie obchodziło nas to zresztą. Choć nic mnie z tym człowiekiem nie łączyło prócz wymiany jak najbardziej zdawkowych pozdrowień, gdyż umyślnie uchodziłem mu z drogi, najwyraźniej mi nie sprzyjał, podobne wrażenie odnosili też wszyscy, którzy się z nim zetknęli. Nigdy nie widziałem człowieka tak odpychająco brzydkiego; był mały jak karzeł i do tego garbaty. Gdy dotykał jakiegoś przedmiotu uderzająco dużymi dłońmi, kościstymi cienkimi palcami, widziałem szpony drapieżnego ptaka. Rudy kolor zmierzwionych, nieuczesanych włosów, blada twarz pokryta piegami ukrywały jego wiek.

Było to dla mnie niezrozumiałe, dlaczego, mimo ogólnej odrazy, tolerowano tego Sassulitscha w naszym kręgu. Powód tkwił zapewne w niezwykłym wpływie, jaki miał ten człowiek na wszystkich, szczególnie jednak na Iwana Petroffa. Sassulitsch podawał mi przykłady magnetycznego działania na odległość graniczące z cudem, a ja starałem się w pojedynczych przypadkach znaleźć ich przyczynę naturalną. Kiedy oświadczył nam z całą powagą, że po śmierci zamierza pozostać w kontakcie z naszym światem zmysłowym, nikt nie zdobył się na śmiech lub sprzeciw, takie poruszenie wzbudzały we wszystkich, nawet najbardziej sceptycznych kołach jego rzeczywiście zdumiewające eksperymenty.

Gdy wieczorem zjawiał się w gronie znajomych, tak, w chwili gdy tylko jego mała postać wśliznęła się niezdarnie w drzwi, czuliśmy wyraźnie, wszyscy bez wyjątku, że przestawaliśmy być panami własnej woli. Jak już wspomniałem, najbardziej podatny na jego wpływ był Petroff. Ten wspaniały zarówno umysłem jak i wykształceniem człowiek rzucił się niestety bez reszty w ramiona spirytyzmu, oczekiwał w nich z niespotykanym uporem, pomimo mych kontrargumentów, rozwiązania wszelkich zagadek świata. Wkrótce przemoc Serba nad młodym człowiekiem ulegającym w nadzwyczajnym stopniu każdemu hipnotycznemu wpływowi była gorsza i bardziej niebezpieczna od władzy pana nad niewolnikami. Sassulitsch, w przeciwieństwie do innych hipnotyzerów, głaskał zwykle swą długą ręką lewe ramię wybrańca, którego chciał pograżyć w śnie hipnotycznym. Wystarczyło, że dotknął w ten sposób Petroffa, by ten uległ mu całkowicie i bezwolnie.

Już po kilku tygodniach mnożyły się oznaki nadużywania władzy nad Petroffem, któremu przypuszczalnie w stanie hipnotycznej nieświadomości, uważany powszechnie za chciwego i zepsutego Sassulitsch kazał czynić różne szkody. Podejrzewaliśmy w naszym gronie, choć brakowało nam dowodów, że pojedyncze, nie wyjaśnione kradzieże, ba, nawet włamania popełniane były w Genewie przez Petroffa pod wpływem hipnotyzera. Wiedzieliśmy niebawem, że młodzieniec w chwilach, gdy był znów niezależny, czynił wszystko, żeby uwolnić się od Sassulitscha, żeby go nie spotkać, lecz na próżno, coraz bardziej popadał w zgubną zależność. Ciężyło to na nim jak fatum, z każdym dniem stawał się bardziej lękliwy i mało-mówny, przez swą nieufność oddalał się coraz bardziej od wszystkich przyjaciół.

Od czasu zawarcia znajomości z Sassulitschem Petroff nie dbał wyraźnie o swój wygląd, nie zwracał uwagi na ubiór, niegdyś wprost przesadnie elegancki.

Przypominam sobie jeszcze jeden wieczór pochmurnego, deszczowego dnia, na ulicy wszyscy szczerlnie opatuleni, gdy zauważyłem przed sobą dwie postacie idące wzdłuż Rodanu w kierunku Jeziora, w których, zbliżając się, rozpoznałem ze zdumieniem Petroffa w towarzystwie garbusa. Zaciekawiony ruszyłem za nimi. Skręcili w boczną uliczkę i weszli do portowej spelunki, jednej z osławionych jaskiń rozpusty. Udało mi się zaglądnąć z dworu przez otwarte okno do dużej piwnicy, wypełnionej okropną hołotą, marynarzami, tragarzami kamieni, robotnikami portowymi, a ponadto kilkoma strojnymi w różnokolorową tandetę prostytutkami. Do takiej kompanii, której dawniej zawsze unikał, wszedł Petroff wraz z nie odstępującym go towarzyszem. Usiedli przy stole wśród pijącej cizby pozdrawiani głośnym i rado-

snym wyciem. Jeden z typów podszedł natychmiast do nich, mówiąc z ożywieniem, inni także cisnęli się i jakby o coś prosili. Wówczas Sassulitsch zdjął ze ściany gitarę i wręczył ją Petroffowi. Ten wzbraniał się przez chwilę, ale Sassulitsch pogłaskał go zachęcająco po ramieniu. Młodzieniec sięgnął bezwolnie po instrument i w cichnącem z wolna dzikim wrzasku, zaczął śpiewać jedną z owych obrzydliwych, nieokrzesanych i wulgarnych piosenek, jakie można usłyszeć jedynie w spelunkach. Gdy następował refren, dołączali całą zgrają, śmiejąc się i klaszcząc w ręce. Było to zachowanie budzące odrazę w każdym rozsądnym i przyzwoitym człowieku.

Jakże nisko upadł już biedny Petroff, skoro zapomniawszy o rodzinie i przyjaciółach, oddawał się pospolitym uciechom Sassulitscha!

Na zakończenie głośną wrzawą wyrazili uznanie, jedna z umalowanych dziewcząt objęła śpiewaka i pocałowała. Petroff, nigdy nie pijący mocnych trunków, wlał sobie ze śmiechem pełny kielich weinbrandu do gardła. A gdy na polecenie Sassulitscha przyniesiono mu kilka brudnych kości — chcieli grać o śliczną dziewczynę, którą zwali Madeleine — chyba nie był już przy zdrowych zmysłach.

To, co ujrzałem w speluncie, nappełniło mnie wstrętem i przerażeniem. W końcu, odurzony gryzącym odorem tabaki i wina buchającym z otwartego okna dusznej piwnicy, opuściłem swe stanowisko i wróciłem do domu, nie zdradzając się z tym nikomu, gdyż wiedziałem, że Petroff mógł tak postępować tylko pod hipnotycznym wpływem swego kusiciela.

Podejrzenie, że jako nieświadomy współnik garbusa dopuszczał się w okolicy wszelkich przestępstw, zakiełkowało na nowo po nagłym wyjeździe Petroffa z Genewy w nieznanym kierunku. Jego najbliżsi przyjaciele nie mieli pojęcia, dokąd się udał. Jak się okazało, ucieczka medium najbardziej dotknęła obrzydliwego Sassulitscha, ba, przysięgał na wszystko co najdroższe, że odnajdzie zbiega i porachuje się z nim. Nie wiedzieliśmy, czy obaj spotkali się raz jeszcze, ale gdy w parę dni później znaleziono na stromej skale nad jeziorem pusty portfel i kapelusz Petroffa, nie mieliśmy żadnej wątpliwości, że został tam prawdopodobnie zaciągnięty i zamordowany przez swego prześladowcę, względnie odebrał sobie życie, by uniknąć przeznaczenia. Wśród nocnej mgły zniknął z Genewy także Sassulitsch. Gdy rozeszła się pogłoska, że Petroff nie umarł śmiercią naturalną, władze zadały sobie wiele trudu, by schwytać Serba, ale bez powodzenia. Uszedł zręcznie wszystkim nagonkom.

Wkrótce i ja opuściłem na zawsze to miasto, a w wiele lat później osiadłem wreszcie na Litwie, niedaleko granicy rosyjskiej. Z biegiem czasu zatarły się wspomnienia o dawnych znajomych, bo nie słyszałem nigdy więcej ani o Genewie, ani o zagadkowo zmarłym niešťczęsnym Petroffie, ani też o Sassulitschu.

Moja praktyka lekarska rozciągająca się aż po odosobnione, oddalone gospodarstwa i dwory okolicy zmuszała mnie do trzymania wierzchowca. Ponieważ odbywałem wielogodzinne przejażdżki konne, sądziłem, że w kręgu mil znam dokładnie sąsiadujące ze sobą osiedla.

Pewnego dnia, a było to jak dziś, dokładnie trzeciego października, wracając właśnie z wizyty u chorego do mego mieszkania położonego na końcu miasteczka, zastałem przed domem jeźdźca, który zsiadł był właśnie z ociekającego potem konia, przywiązał do drzewa cugle i kierował się ku moim drzwiom.

Podjechałem bliżej i zawołałem go. Przystanął i spytał o doktora Rüdigerę.

— Ja nim jestem, czego pan sobie życzy?

Posłaniec, długi, żyłasty chłopak, chyba Rosjanin, wyciągnął zza pazuchy list, podając go ze słowami:

Pan musi natychmiast pojechać ze mną do mojego pana!

— To wezwanie było tak naglące, że zdumiony szybko otworzyłem list. Był mniej więcej tej treści:

*Panie Doktorze! Proszę udać się natychmiast z moim posłańcem, który zaprowadzi*

*Pana do mnie. Jestem chory i nie mogę opuścić domu. Jeśli Pan nie przybędzie, będę być może zgubiony! Proszę dopilnować, by nikt nie dowiedział się o tej wizycie!*

*oddany Panu Wilhelm Rosen*

Był to niezwykły sposób posyłania po lekarza, a co oznaczały słowa skreślone najwyraźniej w wielkim pośpiechu?

Spytałem posłańca, który już naciągał poluzowane popręgi, o stan i chorobę jego pana. Wzruszył ramionami i odrzekł kiepską niemczyzną:

— Nic nie wiem, zupełnie nic!

Wykrzywił przy tym usta, nieprzyjemnie szczerząc zęby, mrugał oczyma i stukał się ręką w czoło.

— Co, czy zwariował?

— Nic nie wiem, naprawdę nic! On nigdy w tym dniu nie zostać w domu, on bać się i wciąż mówić, że biały zwierz znów przyjsć!

Z tymi słowy Rosjanin obrócił się i skoczył na konia. Nie miałem czasu, by dowiedzieć się czegoś bliższego, chłopak nie potrafił zresztą nic więcej wyjaśnić, może nie chciał zdradzić choroby pana, którego nazwiska nie spotkałem wśród właścicieli okolicznych majątków.

W kilka chwil potem galopowaliśmy obok siebie w kierunku granicy rosyjskiej.

Mój towarzysz popędzał swego konia, nie wdawał się po drodze w żadną rozmowę, odpowiadał na moje pytania wykrętnie, zbywając mnie półsłówkami.

Po godzinie jazdy skręciliśmy w wąską dróżkę nieznaną mi zupełnie, ukrytej doliny leśnej i przy niewielkim domku urzędu celnego przekroczyliśmy granicę. Dolina miała dziwnie posępny charakter. Korony starych sosen tworzyły nad zapuszczoną drogą gęste, wysokie wrota. Potężne świerki obejmowały swymi długimi, splątanymi korzeniami, przypominającymi czułki polipów porośnięte mchem pagórki. Unoszące się znad strumyka opary zacierały granice wszelkich form i barw przenikających się wzajemnie. Wyczarowywały przed oczyma najróżniejsze, osobliwe, groteskowe twory. Znać było po tym, że od wielu lat żadna siekiera nie tknęła tego ustronia.

Z nadejściem zmierzchu, zgrzani i zmęczeni szybką jazdą stanęliśmy przed piętrowym domem, w którym mieszkał Rosen. Mój towarzysz odebrał mi konia, ja zaś wszedłem do obszernego budynku okolonego dużym majątkiem. W komfortowo urządzonej sieni, zdobnej w rozmaite myśliwskie trofea zawieszona na ścianach powitał mnie stary służący, także Rosjanin, i poprowadził przez liczne pokoje do pomieszczeń mieszkalnych właściciela, po czym oddalił się w milczeniu.

Wysoki, chudy mężczyzna, bez brody, w ciemnych okularach, podniósł się lekko z wygodnego, trzcinowego krzesła stojącego przy niezwykle dużym kominku i mocno uściśnął mi dłoń. Radosny uśmiech błąkał się po jego niebrzydkich rysach. Poprosił mnie płynną niemczyzną, bym usiadł i podziękował za szybkie przybycie. Później rzekł:

— Przed chwilą czułem się niezbyt dobrze, ale teraz jest mi już znacznie lepiej. Bardzo dziękuję, że pan przyjechał.

Mówiąc to, podszedł do dwojga drzwi pokoju, z których jedne prowadziły na koniec sieni i zamknął je starannie od wewnątrz, klucz wsuwając do kieszeni; rzucił okiem też na okna. Wówczas dopiero zajął z powrotem miejsce naprzeciwko mnie.

Badawczo przyglądałem się memu pacjentowi, odnosząc wrażenie, że nie był cierpiący, jego sylwetka była mimo sześćdziesięciu lat, jakie mu dawałem, wysmukła i silna, jego ruchy były oznaką zdrowia i siły. Nie uważałem go też za chorego umysłowo, aczkolwiek jego duże, ciemne oczy, na ile mogłem je rozpoznać, świadczyły o dręczącej go melancholii. Tonem spokojnym, nie nawiązując do listu, mówił o przeróżnych sprawach, o polityce i tym podobnym. Wyraźnie omijał kwestię choroby, więc i ja nie pytałem.

Tymczasem nadeszła noc. Zdawało mi się, że stała na dworze na parapecie i zaglądała

do nas. Wiatr ustał, czasami tylko zrywał się cicho z żalnym tonem w dali lasów. W pokoju było cicho, bowiem rozmowę, nie wiedząc czemu, jakby za obopólną zgodą, prowadziliśmy półgłosem. Tylko stary zegar na kominku tykał monotonnie głuchym, metalicznym dźwiękiem.

Rosen zapalił śpiesznie wszystkie świece i lampy, rozstawiając je tak, że rozjaśnił najodleglejsze kąty pokoju. Potem usiadł znów koło mnie przy kominku.

Opanowanie, z jakim prowadził początkowo rozmowę, zaczęło stopniowo ulegać jakiejś dziwnie potęgującemu się roztargnieniu. Spoglądał często na swój zegarek kieszonkowy i porównywał go wciąż na nowo z zegarem na kominku, drżały mu lekko ręce, gdy wyciągał z kamizelki złoty łańcuszek. Mimo to wypowiadał się nadal dość jasno i zrozumiale, czynił wrażenie człowieka na poziomie i z ogładą, któremu nieobce były różnorodne zagadnienia.

Zaczął się rozwódzić nad równouprawnieniem i wolnością dla chłopów, oraz wynikającymi z tego krokami korzyściami lub stratami dla pomyślnego rozwoju państwa rosyjskiego, wykazując i tu znajomość przedmiotu i bystrość umysłu, które mnie zdumiewały; przez moment zapomniał nawet o swym roztargnieniu.

Wtem, stojący na kominku zegar szafkowy zaczął wybijać kolejną godzinę. Nie zwróciłem na to specjalnej uwagi, zainteresowany wywodami mego niezwykłego pacjenta.

Rosen przerwał jednak w połowie swą wypowiedź, rzucił szybkie spojrzenie na wskazówki i liczył uderzenia. Osiem. Z westchnieniem ulgi oparł się o krzesło i rzekł cicho:

— Ósma godzina! Jeszcze nie przyjdzie!

Po czym podjął przerwany wątek rozmowy, nie przepaszając za swe dziwne zachowanie, ani go też nie wyjaśniając. Moje pytanie, czy dzisiejszego wieczora oczekuje jeszcze jakiejś wiadomości lub odwiedzin, jakby umyślnie zignorował, ciągnąc dalej o polityce i warunkach społecznych.

W godzinę później powtórzyła się ta sama scena. Gdy zegar zaczął bić, wolno i czysto, jakby uchodziło zeń życie, Rosen przerwał z miejsca swą kwestię i liczył dziewięć pojedynczych uderzeń. Następnie rozejrzał się po pokoju, upewnił się na nowo, że drzwi i okna były nadal dobrze zamknięte i z obliczem, na którym pojawiła się mieszanina strachu i przygnębienia, wyszeptał przysiadając się znowu do mnie:

— Nie przyjdzie jeszcze! Musimy poczekać!

Skrywany strach brzmiał w jego słowach, przysunął swe krzesło bliżej do mnie. Wciąż nie wyjaśniał swojego zachowania. Podniosłem się zatem z miną, jakbym miał odejść, gdyż byłem solidnie zmęczony i nie miałem specjalnie ochoty spędzić całej nocy jako świadek zwyczajów jakiegoś dziwaka i oczekiwać nieprzewidzianego wydarzenia, o którym mimo mych aluzji nie chciał mnie dzisiaj najwyraźniej poinformować. Jeszcze dobrze się podniosłem, gdy złapał mnie kurczowo za ramię i pchnął ze zdumiewającą siłą z powrotem na krzesło.

— Niech pan zostanie, zaklinam pana, niech pan zostanie jeszcze trochę! Tylko ze względu na eksperyment nie opuściłem dzisiaj murów tego domu, w przeciwnym razie nikt nie ujrzałby mnie tutaj w tę noc. To nieprawda, że jestem chory, jak panu pisałem, chciałem się jedynie przekonać, że przybędzie pan do mnie jak do ciężko chorego, któremu jako lekarz nie może pan odmówić swej pomocy. Powtarzam, jestem panu szczerze wdzięczny za to, że pan przybył; wyświadcza mi pan tym samym przysługę, której wielkości nie potrafi pan teraz absolutnie docenić. Moje zachowanie musi się panu wydawać dziwne. Tylko niech pan nie zaprzecza, widzę po panu, że w tym momencie zaczął pan wątpić w mój niezmacony rozum. O, niestety, zbyt świadom jestem wszystkiego, miałem przecież dość czasu by studiować stan mego umysłu. Powtarzam, że nie jestem dziwakiem nawet w najmniejszym stopniu! Chcę jedynie sprawdzić, czy pańska obecność, przytomność trzeźwego, obiektywnego człowieka przepędzi ten koszmar, którego się boję i tego...

Wtem Rosen poderwał się z krzesła i chwycił za jedną z dużych, bardzo ostrych ture-



ckich szabli, zwaną jataganem, która w ręku silnego mężczyzny jest bronią bardzo niebezpieczną. Z dłonią przy uchu nad słuchiwał uważnie. Jakieś drżenie, będące po części zdenerwowaniem, a po części strachem przechodziło jego ciało. Mimo woli i ja wstałem. nasłuchując. Nagle, zdawało mi się, że usłyszałem cichy, nieokreślony szmer, podobny do bezładnej bieganiny szczura po podłodze z desek. Oczy Rosena błędziły szukając po pokoju i zatrzymały się na drzwiach do sieni, zza których najprawdopodobniej dochodziły dźwięki.

— Nie słyszy pan? — spytał cicho, ściskając mi palcami nadgarstek.

Ale lekkie stąpania przebrzmiały już.

Próbowałem go uspokoić. Bieganina dużego szczura po korytarzu była jedynie wytworem imaginacji lub jakiegoś złudzenia akustycznego. To dlatego posłaniec stukał się palcem po czole, mój pacjent, wbrew temu, co mówił, miał wyraźnie halucynacje. Gdybym znał ich przyczynę, miałbym cenną wskazówkę w leczeniu go. Siłąc się na spokój, odparłem:

— Nic nie słyszę! Absolutnie nic! Sądzę, że obaj ulegliśmy złudzeniu. Proszę mi w końcu wyjaśnić, czego się pan boi?

Zaległa śmiertelna cisza. Rosen usiadł znowu i położył blisko siebie szablę na stół, na którym stały rozmaite przybory do palenia. Ja także zająłem miejsce na krześle.

— Jakże to dziwne! — powiedział. — Przysięgłbym, że słyszałem, jak szedł. Ale oczywiście, jeśli pan twierdzi... Jest pan pewny?

— Naturalnie! — odparłem. — Całkowicie, może pan być spokojny. Nic nie było!

Już po raz dziesiąty sprawdził opuszkami palców ostrość szabli.

— Czy uwierzy pan, że można nią odciąć rękę człowiekowi? — spytał znienacka i wypuścił w powietrze klingę, która przeleciała ze świstem obok mego ucha.

— Niewątpliwie z łatwością.

Mimowolnie odsunąłem się z krzesłem.

Niezwykle twardym spojrzeniem patrzył Rosen na błyszczącą broń i ważył ją na płaskiej dłoni.

— Tak, tak, jednym ciosem, jednym jedynym ciosem można go zniszczyć! A krótki cios w serce wystarczy też, żeby zabić człowieka, uciszyć go na zawsze! Taki jatagan, to rzeczywiście wspaniała rzecz! Lecz może są takie istoty, których nie można nawet nim zabić. Co pan o tym sądzi?

Oczy Rosena spoczęły w napięciu na moich ustach. Wolałbym widzieć broń w innej ręce, niż w ręce tego rozdrażnionego chorego.

— Ja? Cóż, mój Boże, to zależy tylko od tego, co pan chce zabić. Niemniej przypuszczam, że taką bronią każde stworzenie można by...

Raptem przerwano mi.

— Cicho, ani słowa! Słyszysz pan teraz drapanie do okna? Na miłość boską, nie słyszysz pan, jak chwyta za okno!

Zerwał się z krzesła z pobladłą twarzą, zerkając w kierunku ciemnych szyb, oczami nienaturalnie rozszerzonymi. Rzeczywiście, sam chwytałem od czasu do czasu cichy ton, brzmiący tym razem tak, jakby ktoś pukał z zewnątrz w szyby okienne, jakby dotykał, szukając tam czegoś. Ale gdy spokojnie zastanowiłem się, wnet znalazłem prawdopodobną przyczynę tego szmeru.

— Myślę, że to wiatr w podmuchach uderza zwiędłymi liśćmi z pańskiego ogrodu o okna — powiedziałem w końcu. — Któż inny zresztą miałby to czynić?

W tej chwili zadzwonił zegar. Rosen odwrócił się do niego i liczył, nie odpowiadawszy. Było dziesięć uderzeń. Wtedy usiadł z powrotem na swym krześle, przesuwając się blisko do mnie.

— Wierzy pan w to naprawdę? Może ma pan rację, że był to tylko wiatr, a jednak... nie, przecież dopiero dziesiąta. jeszcze nie przyjdzie! Ale kto go tam wie!

Znowu śmiertelna cisza!

Długi czas milczeliśmy obaj. W bliskości chorego ogarniało mnie stopniowo również nieokreślone uczucie jakiejś obawy, której nie mogłem się pozbyć mimo usilnych starań z mej strony. Pokój zaległa ciężka, nienaturalna cisza, liczne lampy i świece rozgrzewały powietrze. Rozjaśniały każdy kąt, a mimo to czuliśmy, że coś szykowało się wokół nas. Gdybym choć wiedział, czego oczekuję, co to za istota, która od godziny napelniała strachem nas, uwięzionych w pokoju, czatując i krążąc dookoła. Żaden z nas nie odważyłby się teraz otworzyć drzwi czy jedno z okien. Wiedzieliśmy, że wskoczyłoby to do środka. Czego bym nie dał za opuszczenie tego domu! Coraz bardziej czułem się uwikłany w dziwaczne urojenia Rose-na, udzielało mi się zdenerwowanie mego pacjenta, choć osobliwe szelesty wywoływał zapewne jedynie szczur, zeschnięte liście lub może zabłąkany ptak nocny. Chciałem przyjąć najprostsze wyjaśnienie. Wmawiać mogłem sobie cokolwiek, ale wytrzymać tego spokoju, tego niezrozumiałego czekania nie mogłem już dłużej. Mój partner rozglądał się bezustannie z ręką na szabli, nasłuchując to drzwi, to okna.

Panowała martwa cisza, wiatr ustał. Niebieskie płomyczki migotały niemo w gasnącym ogniu kominka. Wzdragaliśmy się za każdym razem na cichy trzask żarzącego się drewna.

— Czy mam zadzwonić na służbę? — spytałem, pragnąc towarzystwa innych ludzi.

— Na miłość boską, nie, nie mogą o niczym wiedzieć, nie potrafię im tego wyjaśnić! Proszę siedzieć!

Rosen spojrział przy tym na mnie tak groźnie, że myśl tę odrzuciłem natychmiast.

— Wobec tego, niechże mi pan powie wreszcie, czego się pan tak boi, czego pan oczekuje z każdym uderzeniem zegara, w przeciwnym wypadku opuszczę pana, gdyż muszę w końcu wiedzieć, o co tu chodzi!

Spodziewałem się, że z ust tego chorego usłyszę zupełną niedorzeczność, lecz wszystko, nawet najbardziej dziwaczne było w tym momencie lepsze od tej niepewności.

Podniósł się, zdjął okulary i stając tuż przede mną, patrzył we mnie przenikliwie. W końcu pochylił się i spytał:

— Wciąż mnie pan nie poznaje?

— Nie, doprawdy — odparłem niepewnie — ależ tak, wydaje mi się, że widzieliśmy się już kiedyś. Czy pan jest...

— Jestem Iwan Petroff!

Mimowolnie cofnąłem się o krok.

— Iwan Petroff! Mój Boże, ten nieżyjący? Iwan Petroff! Ten, który przed wieloma laty został zamordowany nad Jeziorem Genewskim?

— Tak, ten sam. Oczywiście zamiast ciemnych okularów nosiłem wówczas bujną brodę, włosy zaś nie były siwe. Dlatego nie rozpoznał pan mnie wcześniej. Jak pan widzi, dobrą przywdziałem maskę i wciąż żyję, jeśli to można nazwać życiem! Umarłem jedynie dla świata. W Genewie był pan zawsze sceptykiem — ciągnął Petroff. — Występował pan przeciwko zabobonom, więc powinien mi pan pomóc. Z dzieł okultystycznych wie pan przynajmniej tyle, że wpływ człowieka o silnej woli może spowodować zerwanie fatalnych więzów łączących medium z mistrzem. Jest pan lekarzem i pan jedynie może to uczynić, może mnie od niego ocalić! Dzisiaj nadeszła ta noc i ta godzina, w której go oczekuję, z pańską pomocą chcę dzisiaj wyjść mu naprzeciw, aby go zniszczyć. Zmusił mnie pan do tego, nie chciałem panu nic powiedzieć, żeby pan był spokojny i bezstronny, lecz widzę, że i pan wyczuwa jego obecność.

— Tak, ale na miłość boską, kimże jest ta straszliwa istota, która pana tak dręczy? — spytałem. — Czy żyje w pańskim otoczeniu? Ach, przypominam sobie! Czy to wciąż ten wstrętny garbus?

— Nie mogę panu na to odpowiedzieć. Nie żyje, dawno nie żyje!

— Więc Sassulitsch nie żyje? — spytałem. — Tak...nie rozumiem wobec tego...

— Od wielu lat nie żyje! — odparł Petroff.

Zrobiło mi się teraz jeszcze bardziej nieprzyjemnie w towarzystwie mężczyzny, którego o drzenie przyprawiał wyimaginowany powrót dawno zmarłego człowieka. Jakież zagadkowe zdarzenie pozbawiło biedaka rozumu. Jego ciemne oczy ciągle były rozbiegane, wyraz twarzy oscylował między dzikim postanowieniem a najgłębszym trwożliwym zwątpieniem.

Na początku wahałem się, za to teraz miałem pewność, że mam do czynienia z szaleńcem, choć strach nieszczęśnika, o którym wiedziałem tyle osobliwości, dziwnym sposobem udzielił mi się także. Mimo to zmusiłem się do wypowiedzenia tonem obojętnym:

— Oczywiście, pomogę panu z całą pewnością, obiecuję panu! Proszę mi tylko jasno powiedzieć, kogo się pan boi. Czyżby to był duch Serba? Wierzy pan w duchy?

— Tak — odrzekł Petroff. — To on! To znaczy nie on sam, nie jego duch, tylko jego ręka, jego straszna ręka, która sięgnie po mnie znowu dzisiaj. Garbusa, tego słabego karła nie potrzebuję się już bać, lecz tej ręki!

— Przecież pan powiedział, że on nie żyje, skąd więc ten niepokój? Nikt nie boi się dzisiaj duchów! Jak może być pan tak bezpodstawnie zabobonny? — dorzuciłem. Rosen spoglądał na mnie z gorzkim uśmiechem, jakby wiedział lepiej ode mnie.

— Czy przysięgnie pan milczenie? — zapytał.

— Tak!

— Więc dobrze, niech pan posłucha! Będę dla świata stracony, jeśli opowie pan cokolwiek, gdyż ludzie będą mnie mieć wówczas za obłąkanego lub przestępcę. Choć to może wszystko jedno, tak... Proszę, niech pan posłucha! Znowu jest tam, ten biały zwierz, teraz jest w kominku, na pewno w kominku! Chce sięgnąć po mnie z płomieni! Drzewa! Drzewa! Niechże pan pomoże, żebym go w końcu spalił!

Z tymi słowy Petroff rzucił się do kosza z drzewem obok kominka i wrzucił w gorączkowym pośpiechu jedno za drugim polano sosnowe w trzaskający od nowa i buchający żar. Tym razem nie słyszałem nic prócz trzasku świeżego drzewa i syku płomieni, ale niesamowita krzątanina nieszczęśnika działała na mnie niemal tak samo jak jego ciągły strach. Pomogłem mu i wrzuciliśmy całą zawartość kosza do ognia, aż płomienie wzbijały się wysoko. Po raz pierwszy Petroff wymienił sam białego zwierz, o którym wspomniał sługa. Co to za zwierzę upiorne wtargnęło w krąg wyobraźni tego chorego umysłu, zbliżając się, przyprawiało go o drzenie, nawet wskroś płomieni chciało doń dotrzeć, a które w napadzie bezsensownej wściekłości usiłował spalić? A ja, lekarz, sceptyk pomagałem mu w szalonym zamiarze!

Znowu staraliśmy się uchwycić jakiegokolwiek dźwięki, w napięciu, niczym warta oczekująca nocą zbliżającego się wroga.

— Ale bucha, ale pali się! — roześmiał się strasznie Petroff. — Czy oprze się temu biały zwierz?

Kłęczał przed otwartym kominkiem, po czym wstał i rozpoczął swą opowieść. W szybkich, gwałtownie wyrzucanych słowach, wciąż sobie przerywając i rozglądając się od nowa wokół, krótko opowiedział mi to, co następuje:

— Pan wie, że uciekłem z Genewy. Nie zostałem zamordowany, lecz przyjąłem inne nazwisko, podróżowałem tu i tam i ukryłem się w końcu tutaj. Nad Jeziorem zostawiłem kapelusz i portfel, żeby zatrzeć ślady. Minęło wiele lat, wierzyłem już, że uwolniłem się od Sassulitscha, żaden z moich genewskich przyjaciół nie znał przecież mojej kryjówki, uważano mnie za zmarłego. Wtedy, niech pan sobie wyobrazi, pewnego wieczora, dzisiaj mija dokładnie siedemnaście lat, ogarnął mnie nagle dziwny niepokój, otwierają się drzwi, obracam się, za mną stoi Sassulitsch! Na wiele godzin przedtem wiedziałem, że przyjdzie, czułem jego zbliżanie się we wpływie magnetyzmu. Jego złośliwe oczy, jego szydery, triumfujący śmiech zdradziły mi, że zamierzał się mną posłużyć w jakimś przestępczym planie, po to też wyciągnął swą długą rękę, żeby ponownie wziąć mnie całkowicie we władanie swej woli.

Odskoczyłem wściekły i uciekłem za stół, pchnąwszy go dwoma rękami w intruza. Nie mogłem zawołać mych ludzi, bo byli przypadkowo nieobecni, to jego sprawka, by zastać

mnie samego i bezbronego.

Na to garbus wyskoczył zza stołu zwinnie niczym kot i chwycił me ramię obrzydliwymi paluchami małpy. Skrzeczącym głosem wrzeszczał: „Niech pan uważa, jest pan w moim ręku! Tym razem nie puszcę pana!”

Ogarnęła mnie rozpacz. Wtedy zerwałem ze ściany dobrze naostrzoną broń i podniosłem ją ze wszech sił na tę łapę, podobną do łapy ogromnego pajaka, wyciągniętą po ofiarę. Potwór cofnął się z krzykiem, a ja niechcący jednym ciosem pozbawiłem go ręki. Kiedy zaś ujrzałem krew i zniekształconą diabelską wściekłością i bólem ohydną mordę, bez reszty rzuciłem się rozpaczliwie na niego i zanim zdążył się uchylić, wbiłem weń szablę. Poderwałem następnie garbusa w górę, złapałem i rzuciłem w sam środek buchających płomieni kominka, nakładając całe drzewo na zwłoki. Ukłąłem przed kominkiem i nie spocząłem wcześniej, aż spaliły się ostatnie szczątki tego przerażającego człowieka, który latami dręczył mnie i gnał bez wytchnienia i uczynił mordercą. Nie odczuwam do dziś jakiegokolwiek skruchy z powodu mego czynu, dobrze mu tak, po stokroć zasłużył sobie na taki koniec. Niemniej, zapewniam pana, że gorączkowo podniecony mym dziełem szczękałem wtedy zębami.

Petroff przerwał sobie na moment, nasłuchiwał i ciągnął dalej:

— Gdy zgasł płomień, zebrałem starannie resztki kostne do paki, by je ukryć i zniszczyć. Była to okropna praca, znalazłem wszystkie, oprócz prawej ręki. Odwróciłem się, szukałem po pokoju, zniknęła. Musiałem ją zatem również wrzucić do ognia i zdenerwowany potwornymi minutami, zapomnieć. Sprawdziłem jeszcze raz cały kominek, każdą kupkę popiołu, nic! Wciąż nic! Wówczas złapałem się za głowę, sądząc, że zwariowałem.

Widzi pan, tamta ręka, tamta straszliwa ręka nie została spalona, zniknęła tajemniczo, bezszelestnie, gdy zajęty byłem przy kominku, umknęła do jakiegoś kąta, może wydostała się tamtym oknem. Odsunąłem od ściany wszystkie meble, drżąc, świeciłem pod każdą szafę. Jak szalony dopadłem ponownie okropnej paki ze zwęglonymi kośćmi, wyciągałem je pojedynczo, wszystkie, układałem po kolei, aż leżał przede mną, na podłodze cały kościotrup, przecierałem sobie setki razy oczy: brakowało wciąż prawej ręki! Przesypałem między osmalonymi palcami cały popiół, mimo nieznośnego smrodu i palącego gorąca, na próżno! Wszystko na próżno! Ręki nie było!

Jak mam panu opisać, co wówczas wycierpiałem! Nikt nie widział przybycia Sassulitscha, nikt nie zauważył ani jego j zniknięcia, ani go poszukiwał. Zbrodnia ta pozostała nie wykryta i nie pomszczona.

Wtedy wymyśliłem bajeczkę dla moich ludzi, że boję się pewnego widma i z jego powodu nigdy nie zostanę w domu na noc, gdy się pojawi. Więc lękali się białego zwierza, choć nigdy nikt go nie widział. To śmieszne, ale obawiałem się, że pewnego razu przyjdzie jednak. Z pańską pomocą chcę mu dzisiaj stawić czoła, muszę zniszczyć ostatnią cząstkę tego martwego upiora, który zniszczył mi moje życie. Dlatego proszę się ze mnie nie śmiać, proszę mnie nie brać za obłąkanego. Nie jestem szalony, naprawdę nie!

Ale — spytałem — jak można znosić takie niemożliwe urojenie, taką manię, że jakaś zaginiona ręka zagraża panu? To wszystko jest tylko uludą.

Przyznaję, że tym pytaniem sam chciałem się uspokoić. Petroff odparł szybko:

— Jak mogę to znosić? To także panu powiem. Czy nie czuł pan sam, że właśnie ta noc ma w sobie coś szczególnego? Dzisiaj jest całkiem inaczej niż to bywa nocą, całkiem inaczej! O. są noce, w których jest tu cudownie pięknie i spokojnie. Kocham tę samotnię, ten las, te łąki! Lecz dzisiaj, ta śmiertelna cisza wokół domu, nawet nie słychać szmeru strumyka, to człapanie, to dotykanie okien z tamtej strony i drzwi, te ciche szelesty, które wyraźnie słyszeliśmy przedtem, sądzi pan, że to szczury na ganku, o nie, to biały zwierz. Przeczuję, tak wiem, że dzisiejszej nocy jest znowu blisko, że czyha na mnie, że zajdzie mnie z ciemności.

Niezwykła opowieść mogła polegać na prawdzie, względnie być wytworem zmęczonej gorączkowej wyobraźni, jako lekarz mogłem stwierdzić, że nieszczęśnik cierpiał wskutek

swego czynu na rodzaj manii prześladowczej, na chorobliwe, nadmierne rozdrażnienie nerwów pogłębione w rzeczy samej swoiście upiornym nastrojem owej nocy, któremu jako człowiek, wbrew własnej woli sam także uległem.

Mój rozmówca spoczął na krześle, jakby przygnieciony wspomnieniem przerażającego czynu i patrzył na ziemię. Nie mówił więcej.

Zdawało mi się, że słyszę bicie naszych serc, gdyż znowu zapanowała cisza. Nadśluchiwaaliśmy w oczekiwaniu. Nie miałem odwagi zajrzeć do żarzącego się kominka, w obawie, by nie zobaczyć martwego garbusa.

Zegar na kominku wybijał powoli jedenaście razy! Petroff liczył je po kolei.

Jedenasta godzina, słyszy pan, jedenasta godzina! Jak wtedy, jedenasta godzina! Teraz musi nadejść! — Jego głos był krzykliwy i ochryply.

W okropnym zdenerwowaniu zaczął biegać po pokoju, wymachując szablą w zaciśniętej pięści i zerkając bojaźliwie na podłogę, pod meble, we wszystkie kąty.

Wtem zatrzymał się na środku pokoju, tułów wychylił daleko do przodu, jak szermierz napiął wszystkie mięśnie ciała, wzrok skierował na drzwi. Na czole perlil mu się pot.

Zerwałem się również. Obląkany z wygiętą bronią wzbudzał we mnie teraz mniej grozy od coraz wyraźniej słyszalnego hałasu, dochodzącego znowu od drewnianej podłogi korytarza. Nie było już żadnej wątpliwości, coś zbliżało się do drzwi, lecz nie były to ani spokojne kroki człowieka, ani zwierzęcia, wyglądało mi to na niecierpliwe drapanie paznokciami.

Poczułem, jak od stóp do głów oblało mnie zimno. Na próżno rozglądałem się za jakąś bronią, choć wiedziałem, że mi to nic nie pomoże. Zaraz powinien był wejść, rzucić się na nas ten upiorny zwierz, którego bał się Petroff od szesnastu lat, od nocy owego trzeciego października. Zawołałem głośno, wrzasnąłem powtórnie:

— To nic, to na pewno nic nie jest! Niech się pan uspokoi na Boga!

Choć sam usiłowałem sobie za wszelką cenę wmówić, że to nic innego jak tylko maligna, nie udało mi się.

— Nadchodzi! — wykrztusił Petroff nienaturalnie ochryplym głosem, jakby nie znał ludzkiej mowy.

Jego oczy rozszerzone szalonym strachem śledziły jakąś istotę, która musiała się zbliżać do niego, pełzając po podłodze, gdyż zwrócone były ku ziemi z wyrazem okropnego przerażenia. Wolno uniośł uzbrojoną rękę wysoko nad głową i zamierzył się, oddychając ciężko. Jego siwe włosy zjeżyły się.

Wiedziałem, że coś tam było, słyszałem przecież, jak zbliżało się po ziemi, coś, jakby skrobanie długimi paznokciami. Lecz nic nie widziałem, choć wyteżądałem wzrok. Czułem natomiast, o, czułem doskonale, że nie byliśmy już sami w pokoju.

Tych chwil nie zapomnę do samej śmierci. Trząsałem się ze strachu, musiałem trzymać się stołu, brakowało mi tchu, byłem bliski omdlenia, moje nerwy, moje zmysły były napięte jak cięciwa, która może się zerwać.

Nagle broń Petroffa spadła jak błyskawica, ale już w następnym momencie wydał z siebie przeraźliwy, okropny krzyk i zatoczył się ku ziemi. Palce wypuściły szablę. W pustkę sięgał rękami po coś siedzącego na jego piersi i wymierzał ciosy ze straszliwym jękiem. Wciąż nie byłem w stanie poruszyć się, moje członki były jakby odlane z ołowiu, przyglądałem się pełnej grozy walce, nie niosąc ni wsparcia, ni ratunku.

Po kilku sekundach wszystko ucichło, oczy obląkanego wytrzeszczone były i szklane. Ciało ani drgnęło, usta były otwarte jak u wisielca.

Stopniowo wracała mi energia, coraz bardziej znikало przytłaczające uczucie zależności od przerastającej mnie, potężniejszej siły.

Teraz pociągnąłem za dzwonek i oparłem się z całych sił o zamknięte drzwi. Z zewnątrz też ktoś pomógł wreszcie i otworzyły się raptownie. Wpadł stary sługa, pomógł mi podnieść z podłogi bezwładnego, przenieść go na łóżko i rozebrać. Petroff nie żył, ale nie dały się zau-

ważyć żadne ślady obrażenia zewnętrznego, przyczyny śmierci należało szukać w ciężkiej, wewnętrznej chorobie. Niepocieszony służący zapewniał mnie wciąż na nowo, że jego pan nigdy nie chorował, nigdy na nic się nie uskarżał.

Przybiegła cała służba zbudzona krzykami o pomoc i moim dzwonieniem. Opowiedziałem im, co się zdarzyło, stali wobec takiej samej zagadki jak i ja. Otworzyliśmy wszystkie okna w pokoju, by ulotniło się duszne, gorące powietrze. Patrzyli na mnie z przerażonymi minami, zapewniając później, że miałem bieluteńką twarz jak ściana pokryta wapnem.

Najgłośniejsz biadolił nad nagłym końcem Petroffa stary służący, snując szalone domysły na temat choroby swego pana.

Chcąc uspokoić nerwy, zostawiłem na chwilę lamentującą i gadającą służbę i wycofałem się do pokoju obok, żeby uprzytomnić sobie wszystkie przerażające szczegóły tego strasznego przeżycia i zrozumieć całą niezwykłość ostatnich godzin. Nigdy dotychczas nie widziałem całkowicie zdrowego na ciele człowieka, który skończył w tak zagadkowy sposób. Potrzebowałem skupienia, bo inaczej też bym zwariował. Tak minęło parę godzin.

Nastawał dopiero dzień; w pomieszczeniach, które nocą wywierały tak niesamowite wrażenie, było teraz jasno i przyjemnie. Wtem drzwi mego pokoju otwarły się cicho i pojawiła się głowa starego sługi. Drżąc wyrzucił z siebie słowa:

— Bardzo proszę, panie doktorze, niech pan pójdzie tam ze mną i zobaczy, co się stało! Biały zwierz był tam!

Poszedłem za starym do sypialni Petroffa, inni przyleźli także, stanęli kołem i patrzyli z przerażonymi twarzami na zwłoki pana. Z ich uwag wypowiedzianych szeptem dochodził mnie wciąż ten sam okrzyk:

— Biały zwierz! Widzi pan to, panie doktorze? To był biały zwierz!

Podszedłem szybko.

Na szyi nieszczęśnika pokazał się tak wyraźnie, że rozpoznać można było najmniejsze linie papilarne, kształt dużej, chudej, wpijającej się w gardło zmarłego, ręki.

Przełożyła *Mariola Żojdź*

## Gustav Meyrink **MÓZG, KTÓRY WYPAROWAŁ**

*Szewcowi Voigtowi  
w dowód czci poświęcam*

Hiram Witt był geniuszem umysłu, myślicielem potężniejszym i głębszym jeszcze niż Parmenides. I tak było istotnie, gdyż o j e g o dziełach nie mówił absolutnie żaden człowiek w Europie.

O tym, że udało mu się już przed dwudziestu laty z komórek zwierzęcych pod działaniem pola magnetycznego i poprzez mechaniczną rotację wyhodować na płytkach szklanych absolutnie doskonałe mózgi, mózgi, które — wnioskując ze wszystkich danych — potrafiły nawet samodzielnie myśleć, pisano tu i ówdzie w gazetach, jednak głębszego zainteresowania naukowego sprawa nie wywołała.

Tego rodzaju sprawy nie pasują bowiem absolutnie do naszych czasów. A poza tym — cóż można by począć w krajach mówiących po niemiecku — z mózгами myślącymi samodzielnie?!

Gdy Hiram Witt był jeszcze młody i pełen ambicji, prawie każdego tygodnia posyłał w trudzie uzyskane jeden lub dwa mózgi do wielkich naukowych instytutów — niechby je tam przebadali i wypowiedzieli się na ich temat!

Robił to zresztą w imię sumiennosci — ku chwale prawdy.

Wytwory te, w szklanych pojemnikach, postawiono w ciepłe, kazano nawet profesorowi gimnazjalnemu Aurelianowi Fliesspapierowi wygłaszać przed nimi wyczerpujące wykłady o „Zagadce świata” Häckla — mając oczywiście na względzie wysoki stopień świadomości tych mózgow — jednak rezultaty były tak dalece niepokojące, że trzeba było prawie zrezygnować z dalszych prób kształcenia. Bo pomyśleć tylko: już w trakcie wykładu niemal wszystkie mózgi rozpękły się z hukiem, pozostałe zaś drgnęły dziko kilka razy, po czym niepostrzeżenie zdechły i bardzo brzydko potem cuchnęły.

Tak, a jeden nawet, silny egzemplarz łososiowej barwy, miał się raptownie obrócić, rozsadzić swój szklany pojemnik i wdrapać się aż na ścianę.

To zaś, co o mózгах powiedział wielki chirurg, profesor Wasenmeister, było także wysoce niepoehlebne.

„Gdyby to były choć wyrostki robaczkowe, które można wyciąć — powiedział — ale mózgi! W mózгах nie ma przecież żadnych wyrostków robaczkowych”.

I tak załatwiono nowy wynalazek.

Przed laty.

Od tego czasu Hiram Witt dostarczał mózgi restauratorowi Kempieńskiemu — pięćdziesiąt procent taniej niż rzeźnicy miejscy — i z tego utargu pokrywał potrzeby życiowe oraz koszty dalszych badań.

Pewnego dnia siedział znowu, w bezruchu niczym kamienny posąg, w swoim laboratorium na Schendderedengstrasse nr 8, na trzecim piętrze, przed szklaną płytą obrotową, która kręciła się w systemie osi ze stali z tak zawrotną szybkością, że wyglądała zupełnie jak matowo połyskująca mgławica.

Całą noc spędził przy tym eksperymencie, obserwując nieruchomym wzrokiem jego przebieg.

I jeśli ukryte siły natury wiedzą, że nadchodzi moment, kiedy swą tajemnicę zmuszone będą wydać na łup człowiekowi, wtedy zamykają zazdrośnie, niewidzialnymi rękami, furtki swoich zmysłów przed światem zewnętrznym, i wtedy, w ledwo dającym się ułoić szepcie duszy, zdradzają miejsce, z którego bierze się ich istnienie, ich imię, oraz to, w jaki sposób należy je przyzywać, a także, jak można je okiełznać; nienawidzą próżniaczych podsłuchiwa-czy, leniwych myśli na progu świadomości, i wtedy nie chcą, żeby ktokolwiek był przy tym.

W takich momentach opada nas jakaś obca, czyhająca czujność świata wewnętrznego, wtedy jest tak, jakby puls zaczął łomotać jakimś nowym niezwykłym rytmem.

Jak gdyby oddech zapomniał o swoim normalnym życiu, wciska się jakieś inne powietrze niż to zwykłe atmosferyczne — coś nieznanego, nieważko płynnego — dla odżywienia naszej krwi.

To właśnie czuł Hiram Witt od połowy nocy — tkwiący bez tchu, prawie bez bicia serca — to, że nic innego nie dociera do niego, jak tylko ta błyszcząca metalowa płyta, kręcąca się przed nim z brzękiem wokół swej osi, niczym myśl, która wystąpiła z jego ciała i stała się materią.

Rozbrzmiewające rozległe tony, które nocą przelatywały przez uśpione miasto niczym samotne fruujące sowy, nie docierały do jego uszu.

Podobne do cienia ramiona boga snu, gdy ten o drugiej i o piątej godzinie cicho, cichutko wyrasta z podłogi — spoza szaf i drzwi pomyka za tymi, co czuwają, miękkimi jak

puch, olbrzymimi rękami kieruje się za migocącymi jeszcze iskierkami świadomości istot, żeby w nie uderzyć — otarty się bezsilnie o niego.

I rano powolny przeszedł obok niego, słońce odsunęło na bok małe światełko jego lampy — on nie czuł nic, i nic nie widział.

Na dole, na ożywionej ulicy rozległy się przeraźliwe gwizdki i dźwięczna muzyka żołnierzy, którzy przystrojeni złocnymi guzikami z symbolicznym rogiem bawolim na czele, ciągnęli przez miasto — a on niczego nie słyszał.

Zrobiła się już dwunasta i dzwony południowe rozległy się nad jazgotliwym hałasem zaułków, i wtedy nareszcie drgnęła ręka Hiram Witta w kierunku kręcących się kół i całą tę maszynę zatrzymała.

W zagłębieniu szklanej płyty było teraz widać mały ludzki mózg, a przy nim, jak to stwierdził uczonego na pierwszy rzut oka, małe zaczątek nerwów — początek, załazek rdzenia kręgowego!

Hiram Witt zachwiał się z wrażenia.

Oto! Oto!

Odkrył, wreszcie to odkrył, ostatni brakujący człon łańcucha: matematyczne, czysto wyrozumowane wielkości, osie wszechświata!

Nic innego!

Nic zbędnego, ani odrobiny ponad to, wokół czego skupiają się jakieś cechy specyficzne, sama tylko równowaga — życiotwórcze liczby — i sam ich wzajemny stosunek, jedyny absolutny korzeń życia. Dostrzegalność, namacalność, ciężar — jakże one znikają! Znikają jak błędy rachunkowe.

Mózg ma się do rdzenia kręgowego jak siła ciężkości do siły odśrodkowej. To było rozwiązanie ostatniej zagadki.

Tak, tak, ten, kto to pojmie i pozna te proste sposoby, ten może to uczynić również widocznym i namacalnym, „materialnym”, jak nazywają to prostacy.

Hiram Witt patrzył kompletnie wzburzony, nawał myśli, które huczały w jego wnętrzu, oszalał go.

Musiał je pozbierać, żeby zdać sobie sprawę, gdzie właściwie jest, gdy wtem przeraził się ogromnie, spojrzenie jego padło na nagi ludzki kadłub — naprzeciwko pod ścianą — który przez pełne dwadzieścia lat wyhodował z małych komórek, tak jak się hoduje drzewo gumowe, i który teraz jako dorosły, nieświadomy swego istnienia twór, stał przed nim. Hiram Witt uśmiechnął się beztrasko: „To także jedna z moich zbędnych prac! Po co w ogóle budować kadłub? Wystarczy, że uzyskam tylko mózg i rdzeń kręgowy, po co mi jakiś tam grat do wykonania czynności?”

I niczym szalony myśliwy, który ze swoimi zjawiskowymi psami gna naprzód, dusza jego pędziła w zawiłych myślach w fantastyczną przyszłość, kiedy to jak dzielnik, który rozбивa sumy liczb, będzie mógł kazać zniknąć ciałom ziemskim z krainy bytu.

Stugłośnie hurra z ulicy, z dołu, rozdarło powietrze. Hiram Witt otworzył szybko okno i wyjrzał.

Jakiś wagał w żołnierskiej czapie i jakiś pawian w oficerskim mundurze przejeżdżali dorożką i lustrowali — otoczeni rozentuzjanzmowanym tłumem i półkolem pochyłych czołobitnie ludzi z obstawy — fasadę domu.

I zaraz potem zaczęli obaj, owa małpa na czele i ten drugi, wspinać się po piorunochronie w górę, aż dosięgli pierwszego piętra, gdzie rozbili szyby i weszli do wnętrza.

Wkrótce potem wyrzucili odzież, meble i kilka kufrów przez okno na ulicę, po czym znów ukazali się na gzymsie i kontynuowali swoją wspinaczkę wyżej, na drugie piętro, gdzie powtórzyło się to samo widowisko.

Hiram Witt natychmiast pojął, co go czeka, śpiesznie przeszukał kieszenie, i wygarnął wszystkie pieniądze i inne rzeczy coś warte.



W tymże momencie małpa i ów wagabunda wśliznęli się przez okno po parapecie do pokoju. „Ja jestem — powiedział wagabunda — ja jestem...”

„Tak, tak, wiem, panie kapitanie, pan jest tym dowcipnisiem, który wczoraj zdobył ratusz w Köpenick” — wpadł mu w słowo uczony.

Wagabunda zaniemówił tylko na moment, po czym wskazał dumnie na tyłek pawiana i rzekł: „Ten pan w mundurze jest moją legitymacją, ot”.

W samej rzeczy, tyłek, zbyt wysoko ceni się go w dzisiejszych czasach, pomyślał Hiram Witt i podał mu skromnie cztery marki i pięćdziesiąt fenigów, zegarek na łańcuszku i trzy złote plomby wypadłe z zębów: „To jest wszystko, co mogę dla pana uczynić”.

Wagabunda zawiązał zdobycz starannie w papier, wsadził ją do kieszeni i zawołał: „Świnio, ej! Pięty ra-zem!”

I podczas gdy Hiram Witt postąpił posłusznie wedle rozkazu, pawian i wagabunda spuścili się w pełnej godności postawie przez okno.

Gdy znów ukazały się mundury, na dole rozległo się hurra ludzi z obstawy.

Uczony usiadł na swoim stole do eksperymentów z uczuciem smutku: „A zatem, szybko przygotować sześć mózgów dla Kempnińskiego, żeby wyrównać stratę. Aha, zresztą jeden, zdaje mi się, zbywa jeszcze od wczoraj”.

Wyciągnął spod łóżka talerz z wspaniałym żywym mózgiem i postawił go na stole.

Wprawił szklaną płytę w ruch i właśnie chciał zacząć pracę, gdy zapukano energicznie i równocześnie domem wstrząsnął głuchy, silny łomot.

Hiram Witt odsunął ze złością krzeselko.

„Czy dziś w ogóle nie będzie spokoju?”

Gdy rozwarły się drzwi, ostrym krokiem wmaszerował do pokoju oficer w towarzystwie kilku kanonierów.

„Ot! Pan jest tym głupkiem od robienia mózgów, Hiram Witt?! Ot! Świnia! Cii-cho stać! Ręce przy szwach od portek!”

Hiram Witt wstał posłusznie, najpierw przejechał niepewnie rękami wzdłuż tułowia, po czym złożył je, niczym w nagłym olśnieniu, pomiędzy nogami.

Oficer skrzywił pysk.

„Ot! Łobuz, zwaryjował! Szew od portek, ot, szew!”

„Pardon, moje spodnie są mianowicie zszyte od wewnątrz, nie jestem podporucznikiem rezerwy, nie wiem, które szwy od spodni miał pan na myśli” — odpowiedział niepewnie uczony.

„Czego pan sobie w ogóle życzy ode mnie — chciał mówić dalej — pan kapitan z ratusza był tu co dopiero; albo może jest pan zgoła owym szewcem Voigtem z Köpenick?” — ale oficer przerwał mu: „Tu! Hej! Legitymacyja!”

I Hiram Witt przeczytał:

„Legitymacyja. Jo poświadczam nieniejszym na oficjerskie słowo honoru że jo kapitan, Fritz Schnipfer Edler von Zechprell jezdem. Podp. Fritz Schnipfer Edler von Zechprell, kpt. gwardyjski regiment 1000” i na pierwszy rzut oka rozpoznał po piśmie, że piszący znajduje się w początkowym stadium paraliżu umysłowego.

Złożył przed oficerem głęboki ukłon.

Tymczasem ów rytmiczny łomot, który wstrząsał domem, zbliżał się coraz bardziej, wreszcie armata wepchnęła ciekawie swój okrągły ryj w drzwi.

To wszystko było właściwie zbędne, uczony bowiem nie miał najmniejszych wątpliwości co do tego, że ten dzień nadejdzie, i gdy kapitanowi przy jakimś ruchu ręką wypadła z kieszeni kartka, na której wyraźnie można było przeczytać, że jest to recepta na siarczan cynku, mina Hiram Witta wyraziła jeszcze większe przekonanie.

„Ot, głupek od mózgów, Witt, wiek sześćdziesiąt lat, zawód: indywiduum, zamieszkały Schendderedengstrasse nr 8, od dwudziestu lat wytwarza pan sztucznych ludzi, he?” —

indagował oficer i. zdjawszy swój hełm przykrył nim, nie zwracając na to uwagi, mózg, który leżał na stole.

Uczony przytaknął skinieniem głowy.

„Gdzie une som?” — pytał dalej oficer.

Hiram Witt wskazał na nagiego człowieka bez mózgu, który stał oparty o ścianę.

„Jes un meldowany do służby wojskowy?”

Uczony zaprzeczył ze zdziwieniem.

„Obowiązku zapomniał? Świnia!” — ryknął oficer i dał swoim kanonierom znak, na co ci natychmiast zaczęli opróżniać mieszkanie, wynosić z pokoju krzesła, łóżka, odzież, aparaturę, i w końcu także wytaszczyli owego sztucznego człowieka.

„Czy nie włożymy mu mózgu, jeśli już musi iść do wojska?” — spytał Hiram Witt z rezygnacją, i mimo że oficer pogardliwie uznał to za zbyt cenne, podniósł hełm z talerza.

To, co teraz ukazało się jego oczom, było tak dalece zaskakujące i niesamowite, że uczonemu wypadł hełm z ręki.

Mózg, który dotąd znajdował się pod hełmem, po prostu znikł, a na jego miejscu leżała... na jego miejscu leżała... morda! Tak, tak, morda!

Krzywa morda z ostro ku górze zakręconym wąsem.

Hiram Witt wlepił przerażony wzrok w talerz.

Wściekły taniec czarownic rozpętał się pod jego czaszką. A zatem tak to prędko wpływ hełmu przeobraża mózg w mordę?! Albo może przyczyna leży gdzie indziej? A może ten ostry metalowy szpic hełmu spowodował jakieś swego rodzaju galopujące wyparowanie mózgu? Tak jak na przykład piorunochron sprzyja wyładowaniom atmosferycznym do ziemi? Czy może dlatego policja ma kuleczki na ostrzu hełmów, żeby zatrzymywały takie wyparowywanie? Ależ nie, bo skutki tego musiałyby być widoczne. Być widoczne... Być widoczne... Burmistrz z Köpenick... Pawian... Zero podzielone przez zero równa się jeden. Ratunku, ratunku, obłąd. Ratunku, ja zwariuję!

I Hiram Witt krzyknął przeraźliwie, kilka razy zakręcił się w kółko, po czym padł jak długi. Na twarz.

Oficera, drużyny i armaty już dawno nie było. Mieszkanie puste. W rogu siedział w kucki Hiram Witt, z idiotycznym uśmiechem na ustach i liczył zapamiętane na swoich guzikach: kapitan Zechprell, szewc Voigt, szewc Voigt, kapitan Zechprell, dobrze, niedobrze, dobrze, niedobrze, siarczan cynku, dobrze, rozmiękczenie mózgu, kapitan Zechprell, szewc Voigt”.

Wreszcie zamknięto go w domu wariatów, ale obłąd nie ustąpił; w ciche niedziele można usłyszeć go, jak śpiewa:

*„Od Mozy aż do Nie-emna  
od Adygi aż po Belt,  
Niemcy, Niemcy poo-nad wszyy-ystko,  
ponad wszystko in der Welt”.*

Przełożyła Maria Świętek

## Gustav Meyrink **GABINET FIGUR WOSKOWYCH**

— Dobry miałeś pomysł, by zatelegrafować do Melchiora Kreuzera! Czy sądzisz, że przychylił się do naszej prośby, Sinclair? Jeśli pojechałby pierwszym pociągiem — Sebalduś spojrzal na zegarek — każdej chwili musiałby tu być.

Sinclair wstał i miast odpowiedzi wskazał na okno.

Na zewnątrz widać było wysokiego, szczupłego człowieka, zdążającego spiesznie ulicą.

— Niekiedy nie zauważone przez nas przemykają chwile, które nieśmiało ukazują nam codzienne zdarzenia w nowym świetle, czy też odnosisz czasem takie wrażenia, Sinclair? — To tak, jakby człowiek się nagle obudził i natychmiast potem zasnął, lecz w tej chwili na okamgnienie odchylił rąbka tajemnicy zagadkowych wypadków.

Sinclair przyjrzał się uważnie przyjacielowi.

— Co chcesz przez to powiedzieć?

— To pewnie wpływ tego nastroju, jaki opanował mnie w gabinecie figur woskowych — prawil Sebaldus — jestem dziś niezmiernie wrażliwy... kiedy z oddali nadchodził Melchior i jego postać stawała się coraz większa, im bardziej się zbliżała, było w tym coś dręczącego, coś... jakże mam to wyrazić, coś niemilego, świadczącego o tym, iż oddalenie jest w mocy spleść ze sobą wszystkie sprawy, czy są to ciała czy tony, myśli, urojenia czy wydarzenia. Albo na odwrót, widzimy je najpierw maleńkie z oddali, potem powoli stają się większe, wszystkie, wszystkie, również i te niematerialne, które nie muszą przebywać żadnej trasy. Atoli nie znajduję na to właściwych słów. Czy pojmujesz, co mam na myśli? Odnoszę wrażenie, iż podlegają one tylko jednemu prawu!

Przyjaciel zadumany skinął głową.

— Tak, niektóre wydarzenia i myśli zbliżają się ukradkiem, jakby „tam” istniały wznie-sienia ziemi lub coś w tym rodzaju, za którymi mogły się ukrywać. Niekiedy wyskakują nagle z ukrycia i nieoczekiwanie stają przed nami w całej swej potędze.

Słychać było otwieranie drzwi i wkrótce potem do winiarni, gdzie siedzieli, wszedł doktor Kreuzer.

— Melchior Kreuzer, Christian Sebaldus Obereit, chemik — dokonał prezentacji Sinclair.

— Domyślam się, dlaczego pan do mnie zadeszował — rzeki przybyły. — Stare zmartwienia pani Lukrecji!? I ja przejąłem się, przeczytawszy wczoraj w gazecie nazwisko Mohammeda Daraschekoh. Czy dowiedzieliście się już czegoś? Czy to ten sam?

Na nie brukowanym placu rynkowym stał namiot gabinetu figur woskowych. Ostatni refleks wieczornego nieba lśnił różano na szczycie szyldu złożonego ze stu niewielkich ostro-kanciastych lusterek, w których widniał wyszlifowany napis: *Orientalne panoptikum Moham-meda Daraschekoh, prezentowane przez Mr. Congo-Browna.*

Ściany namiotu z płótna żaglowego, na których pomalowano jaskrawe, podniecające sceny, kołysały się cicho i wydymały niby policzki olbrzymiej twarzy, jakby ktoś wewnątrz przy nich manipulował i opierał się o nie.

Do wejścia prowadziły dwa drewniane schodki, u góry zaś, za szklanym kloszem, stała naturalnej wielkości woskowa figura kobiety w błyszczącym trykocie.

Błada twarz o szklanych oczach wolno się obracała i spoglądała w dół na publiczność tłoczącą się wokół namiotu, na każdego z osobna, po czym patrzyła na bok, jakby spodziewa-ła się jakiegoś tajemnego rozkazu od ciemnoskórego Egipcjanina, siedzącego przy kasie, później zaś trzema drżącymi ruchami karku odrzucała głowę, aż zakołysały jej długie, czarne włosy, by po chwili z wahaniem znów powrócić na swoje miejsce, spoglądać rozpaczliwie przed siebie i powtarzać od nowa te ruchy.

Od czasu do czasu owa postać skręcała nagle ramiona i nogi, jak w silnym kurczu, odrzucała śpiesznie głowę i skłaniała się w tył, aż czoło dotykało pięt.

— Tamten motor porusza ów mechanizm, który powoduje te obrzydliwe wygibasy — powiedział półgłosem Sinclair, wskazując błyszczącą maszynę po drugiej stronie wejścia, która pracując wydawała cichy szmer.

— Electrissiti, tak życie, tak wszystko żyjące — powtarzał monotennie Egipcjanin z

góry, i podał zadrukowaną kartkę. — Tak, za pół godziny początek.

— Czy uważa pan, iż ten kolorowy mógłby coś wiedzieć o miejscu pobytu Mohammeda Daraschekoh? — zapytał Obereit.

Lecz Melchior Kreuzer nie słuchał. Był zagłębiany studiowaniem kartki i mruczał pod nosem te fragmenty, które się czymś szczególnie odznaczały.

— Magnetyczne bliźnięta Vayu i Dhanandschaya (ze śpiewem), cóż to takiego? Czy widzieliście to wczoraj? — zapytał nagle.

Sinclair zaprzeczył. Żyjący wykonawcy mają wystąpić dopiero dziś...

— Wszak pan znał osobiście Thomasa Charnoque, małżonka Lukrecji, nieprawda, doktorze Kreuzer? — przerwał Sebaldus Obereit.

— Istotnie, długie lata byliśmy przyjaciółmi.

— I nie przeczuwał pan, że może mieć w stosunku do dziecka jakieś złe zamiary?

Doktor Kreuzer potrząsnął głową.

— Wprawdzie widziałem, jak powoli ogarnia go choroba umysłowa, lecz nikt nie mógł przypuszczać, iż może ona tak nagle wybuchnąć. Zadręczał biedną Lukrecję straszliwymi scenami zazdrości, a kiedy my, przyjaciele, przedstawialiśmy mu bezpodstawność jego zarzutów, prawie nie słuchał. Opanowały go urojenia! Wówczas, kiedy przyszło na świat dziecko, sądziliśmy, że jego stan ulegnie poprawie. Nawet takie odnosiło się wrażenie. Lecz oto pogłębiła się jego nieufność i pewnego dnia otrzymaliśmy tę straszną wiadomość, że dostał obłąkania zmysłów, jął szaleć i krzyczeć, porwał dziecko z kołyski i odszedł.

Poszukiwania nie odniosły skutku. Ktoś widział go ponoć wraz z Mohammedem Daraschekoh na dworcu. W kilka lat później nadeszła, zdaje się z Italii, wiadomość, że znaleziono powieszzonego przybysza o nazwisku Thomas Charnoque, którego widziano często w towarzystwie małego dziecka i jakiegoś mieszkańca Wschodu. Daraschekoh i dziecka ani śladu.

I od tego czasu szukaliśmy bez rezultatu! Toteż nie wierzę, iż ten tu napis na jarmarcznym namiocie ma związek z tym Azjata. Z drugiej zaś strony to osobliwe nazwisko Congo-Brown!? Stale dręczy mnie myśl, że Thomas Charnoque musiał mu wcześniej tu i ówdzie odmówić pomocy. Wszelako Mohammed Daraschekoh był Persem znakomitego pochodzenia i dysponował wręcz niesłychaną wiedzą, w jaki sposób on miałby się dostać do gabinetu figur woskowych?!

— Być może Congo-Brown był jego służącym i obecnie nadużywa nazwiska swego pana? — próbował odgadnąć Sinclair.

— Możliwe! Musimy pójść za śladem. Nie dam sobie wyperswadować, że ten Azjata nie poddał Thomasowi Charnoque idei porwania dziecka, być może nawet ją w nim pobudził. Bezgranicznie nienawdził Lukrecję. Wnioskując z jej wypowiedzi, wydaje mi się, że bez przerwy prześladował ją propozycjami, aczkolwiek ona żywiła do niego wstręt. Lecz musiała kryć się za tym i inna jeszcze, o wiele głębsza tajemnica, która wyjaśniałaby żądzę zemsty Daraschekoh! Z Lukrecji nie można niczego więcej wydobyć, ze zdenerwowania prawie omdlewa, skoro tylko powierzchownie poruszyć ten temat. W ogóle Daraschekoh był złym demonem tej rodziny. Thomas Charnoque znajdował się w pełni pod jego urokiem i często zwierzał się nam, iż uważa tego Persa za jedyne żyjącego, wtajemniczonego ponoć w przejmujące grozą misteria, swego rodzaju przedadamickiej tajemnej zręczności, dzięki której dla jakichś niepojętych celów można człowieka rozczłonkować na kilka żyjących części. Oczywiście byliśmy zdania, iż Thomas jest fantastą, Daraschekoh zaś złośliwym oszustem, atoli nie udało się zebrać dowodów ani też nie zaistniała możliwość... Sądzę wszelako, iż program się zaczyna. Czyż Egipcjanin nie zapala już płomieni wokół namiotu?

Zakończyły się numery programu „Fatma, perła Orientu”, widzowie przesuwali się to tu, to tam, albo spoglądali przez judasze, umieszczone w obciążonych szkarłatnym suknem ścianach, na krzykliwie namalowaną panoramę, przedstawiającą zdobycie Delhi.

Inni zaś stali niemo przed szklaną trumną, w której spoczywał umierający Turek, ciężko

oddychając; obnażona pierś uwidaczniała przestrzał od kuli armatniej, sine brzegi rany zaś były zaatakowane przez gangrenę.

Kiedy figura woskowa otwarła powieki barwy ołowiu, zza skrzyni dał się słyszeć zgrzyt sprężyny zegarowej i niektórzy przyłożyli ucho do szklanych ścian, by lepiej słyszeć.

Mechanizm przy wejściu wyznaczał tempo i wprawiał w ruch instrument podobny organom.

Rozbrzmiewała mechaniczna, zziajana muzyka, dźwiękami, które przenikliwe, choć przytłumione, miały w sobie jednocześnie coś osobliwego, coś miękkiego, jakby dochodziły spod wody.

W namiocie rozchodził się zapach wosku i palących się lamp olejnych.

— Numer 311 — Obeah Wanga, Cudowna Głowa Voudous — czytał objaśniająco z karteczki Sinclair i wraz z Sebaldusem przyglądał się w kącie trzem odciętym ludzkim głowom, które niewiarygodnie wiernie otwarłszy szeroko usta i oczy, wystawały ze ściennej szafki z okropnym grymasem na twarzy.

— Czy wiesz, one nie są z wosku, są prawdziwe! — rzekł Obereit zaskoczony i wyciągnął lupę. — nie pojmuję tylko, w jaki sposób mogą być spreparowane. Osobliwie, cała powierzchnia cięcia na szyi jest pokryta skórą lub zarośnięta. Nie widzę ani jednego szwu! To formalnie tak wygląda, jakby wyrosły one niczym dynie i nigdy nie były osadzone na ludzkich ramionach. Gdyby tak można było nieco unieść to szklane wieko!

— Wszystko wosk, tak, żyjący wosk, tak, głowy nieboszczyków za drogie i śmierdzą... phi... — odezwał się nagle za nimi Egipcjanin. Przybliżył się do nich w taki sposób, iż go nie zauważyli, zaś twarz drgnęła mu, jakby powstrzymywał szalony wybuch śmiechu.

Obydwaj pozostali spojrzeli na siebie przerażeni.

— Żeby ten czarnuch tylko nic nie słyszał. Przed sekundą wszak mówiliśmy jeszcze o Daraschekoh — odezwał się po chwili Sinclair.

— Czy doktor Kreuzer zdoła wypytać Fatmę?! W najgorszym wypadku będziemy musieli zaprosić ją wieczorem na lampkę wina. Ciągle jeszcze stoi na zewnątrz i rozmawia z nią.

Na chwilę muzyka ucichła, ktoś uderzył w gong i za kurtyną dał się słyszeć przeraźliwy kobiecy głos:

— Vayu i Dhanandschaya, magnetyczne bliźnięta, ośmioletnie, największy cud świata. Spiefffają!

Ludzie zaczęli tłoczyć się do podium, stojącego w głębi namiotu.

Powrócił doktor Kreuzer i ujął za ramię Sinclaira.

— Mam już adres — wyszeptał — Pers żyje w Paryżu pod innym nazwiskiem, oto on.

I po kryjomu pokazał obydwu przyjaciółom niewielki zwitek papieru.

— Następnym pociągiem musimy udać się do Paryża!

— Vayu i Dhanandschaya ... spiefffają — zaskrzeczał znów głos.

Kurtyna odsunęła się na bok i niepewnym krokiem na podium weszła potwornie wyglądająca postać, ubrana w strój pazia, trzymając w ręku zawiniątko.

Sprawiała wrażenie ożyłego topielca odzianego w kolorowe aksamity.

Tłum ogarnęła fala odrazy.

Istota ta była wielkości dorosłego człowieka, lecz miała rysy dziecka. Twarz, ramiona, nogi, całe ciało, nawet palce nabrzmiały w osobliwy sposób.

Całe to stworzenie wydawało się nadmuchane niczym cienki gatunek kauczuku.

Bezbarwna skóra warg i rąk, niemal przezroczysta, jak gdyby napęczniona była powietrzem lub wodą, oczy przygasłe i bez oznak zrozumienia.

Bezradnie patrzyło wokół tępym wzrokiem.

— Vayu, fiększy prat — wyjaśnił głos kobiecy w obco brzmiącym dialekcie; zza kurtyny zaś trzymając w ręku skrzypce wyszła kobieta w kostiumie pogromczyni zwierząt, w

obsztych futrem czerwonych polskich butach.

— Vayu — oznajmiła powtórnie i wskazała smyczkiem na dziecko. Następnie otworzyła kajet i jęła głośno czytać:

Te oto dzieci rocaju męskiego mają osiem lat i stanowią najfiększy cud świata. Są połączone pępowiną, długość na trzy łokcie i zupełnie przesroczystą, kiedy są otetnie się jetno z nich, trukię musi umrzeć. Fprafiają w scifienie fszystkich uczonych. Vayu jest rosfinięty ponat fięk. Lecz umysłófo nietorosfinięty, potczas kty Dhanandschaya otsnacza się fięlką pystrością umysłu, ale jest taki mały. Jak niemóflę. Urocil się pofiem pez skóry i nie mosze rosnać. Musiał sostać umieszczony w sfieszęcym pęcheszu safierającym ciepłą folę. Kocice jeko nie są snani. Jest on najfiększym fyprykiem natury.

Dała Vayu znak, po czym ów z wahaniem otworzył zawiniątko, które trzymała.

Ukazała się głowa wielkości pięści o przezroczystych oczach.

Była to twarz opleciona niebieską siecią żyłek, twarz niemowlęcia, ukazująca straszne grymasy, sprawiała wrażenie podstępnie zniekształconej nienawiścią i pełnej nieopisanej występności, tak że widzowie mimowolnie się cofnęli.

— Mó... mó... mój prat D... D... Dhanandschaya — wyjąkało obrzmiałe stworzenie i spojrzało znów bezradnie w stronę publiczności.

— Proszę mnie wyprowadzić — szepnął Melchior Kreuzer — o Boże, czuję, że zemdleję.

Wyprowadzono półprzytomnego powoli z namiotu, czemu Egipcjanin z napięciem się przyglądał.

Kobieta jęła grać na skrzypcach i wychodzący usłyszeli jeszcze, jak szepleniała pioseńkę, zaś opuchnięty słabnącym głosem zaśpiewał:

Miałem psy-ja-cie-la  
lepse-go nie znaj-dzies

Niemowlak zaś, niezdolny do artykułowania słów, piszczął przeraźliwie, wydając z siebie jedynie:

Iiii ha — ejheeh — hahehaa — he  
eiije — hee — e jiii hu ji

Doktor Kreuzer oparł się na ramieniu Sinclaira i odetchnął głęboko, wdychając świeże powietrze.

Z namiotu słyhać było oklaski widzów.

— Wszak to twarz Charnoque!!! To wstrząsające podobieństwo — jęknął Melchior Kreuzer — jak to jest... nie mogę tego pojąć. Wszystko zakręciło mi się w oczach, czułem, że zemdleję. Sebalduś, proszę, niech mi pan sprowadzi powóz. Chcę się udać do władz. Coś się musiało wydarzyć. Wy obaj jedźcie bezzwłocznie do Paryża!

Mohammed Daraschekoh... musicie go kazać natychmiast aresztować.

Obaj przyjaciele siedzieli znów razem i przez okna winiarni mieszczącej się na uboczu ujrzeli Melchiora Kreuzera podążającego spiesźnie ulicą.

— Zupełnie jak wtedy — rzekł Sinclair — jakże los bywa niekiedy oszczędny!

Dało się słyszeć trzask zamka u drzwi, doktor Kreuzer wszedł do izby i przyjaciele podali sobie dłonie.

Kiedy Sinclair wyczerpująco zobrazował, jak to obydwaj bez rezultatu szukali Persa przez dwa pełne miesiące w Paryżu, odezwał się w końcu Sebalduś Obereit:

— Winien jest nam pan właściwie długą relację, pisał pan do nas tak niewiele!

— Wkrótce odeszła mi ochota do pisania i niemal do mówienia również — przepraszał Melchior Kreuzer. — Czuję, że od tego czasu postarzałem się. Jak człowiek dostrzega, że

otaczają go stale nowe zagadki, to czuje się bardziej złamany, niżby można sądzić. Ludzie nie potrafią sobie niekiedy wyobrazić, co to znaczy, kiedy człowiek w swej pamięci musi dźwigać wiecznie nierozwiązalną zagadkę! Ponadto konieczność oglądania codziennych lamentów biednej Lukrecji! Niedawno zmarła, pisałem wam o tym, ze zgrzyoty i cierpienia. Congo-Brown zbiegł z więzienia śledczego i wyszły ostatnie źródła, z których można by dociec prawdy. Mam ochotę kiedyś później wszystko wam dokładniej opowiedzieć, kiedy czas złagodzi nieco wrażenia, teraz za bardzo się tym jeszcze przejmuję.

— Tak, ale czy nie znaleziono żadnego punktu zaczepienia? — spytał Sinclair.

— Wszystko to było bardzo rozproszone. Sprawy, w które nasi lekarze sądowi nie mogli uwierzyć lub wierzyć nie powinni. Mówiono: ciemne przesady, stek kłamstw, historyczne oszukiwanie samego siebie; wszelako niektóre sprawy były tak przerażająco jasne. Polecilem wówczas wszystkich od razu aresztować. Congo-Brown zeznał, że otrzymał bliźnięta, w ogóle całe panoptikum od Mohammeda Daraschekoh jako wynagrodzenie za wcześniejsze usługi. Vayu i Dhanandschaya to ponoć rozdwojony twór, spreparowany przed ośmioma laty przez Persa z jednego dziecka (dziecka Thomasa Charnoque), z zachowaniem czynności życiowych. Rozdzielił on rzekomo jedynie różne magnetyczne prądy, które posiada każda ludzka istota, i które to prądy można dzięki pewnym tajnym metodom oddzielić, potem zaś, posługując się zastępczymi substancjami zwierzęcymi, doprowadził w końcu do tego, że z jednego ciała powstały dwa o skrajnie różnych poziomach świadomości i cechach charakteru.

W ogóle Daraschekoh posiadał zadziwiające wprost umiejętności. Również niejaki trzy głowy Obeah Wanga nie są ponoć niczym więcej jak pozostałością jego eksperymentów i dawniej żyły przez długi czas. Potwierdza to Fatma, kochanka Congo-Browna i wszyscy pozostali, którzy prócz tego niefrasobliwej byli natury.

Ponadto Fatma zeznała, iż Congo-Brown był ponoć epileptykiem i w czasie pewnych faz księżycy ogarniał go stan takiego podniecenia, w którym wmawiał sobie, iż sam jest Mohammedem Daraschekoh. W owym stanie rzekomo zamierało mu serce i oddech, zaś rysy twarzy do tego stopnia się mu niby zmieniały, iż istotnie odnosiło się wrażenie, że jest to Daraschekoh (którego ongiś widywała częściej w Paryżu). Wszelako więcej jeszcze, promieniowała wówczas z niego taka nieprzewyciężona siła magnetyczna, iż był w stanie zmusić każdego człowieka, nie wypowiadając przy tym ani słowa polecenia, do natychmiastowego powtórzenia za nim wszystkich ruchów oraz gestów, jakie zademonstrował.

Było to zaraźliwe jak taniec św. Wita — nie do odparcia.

Posiadał też ponoć niezrównaną giętkość i doskonale na przykład opanował wszystkie osobliwe zwichnięcia derwiszy, za pomocą których osiągnąć można najbardziej zagadkowe zjawiska i stany świadomości — Pers sam go ich nauczył — i które są tak trudne do wykonania, iż żaden na świecie człowiek zwinny jak wąż nie jest ich w stanie naśladować.

W czasie ich wspólnej podróży z gabinetem figur woskowych od miasta do miasta zdarzało się też od czasu do czasu, iż Congo-Brown usiłował użyć tej magnetycznej siły, by dzięki niej przysposobić dzieci do przemiany w ludzi-węży. U większości z nich jednak następowało rzekomo złamanie kręgosłupa, u innych znów oddziaływało to zbyt silnie na mózg i stawały się niepoczytalne. Nasi lekarze oczywiście potrzęsali głowami nad tymi zeznaniami Fatmy i rzekomo to, co się później wydarzyło, wiele im dać musiało do myślenia. Congo-Brown uciekł mianowicie z izby przesłuchań przez pomieszczenie pomocnicze, zaś sędzia śledczy opowiada, że właśnie gdy zamierzał spisać z czarnuchem protokół, ów nagle wytrzeszczył na niego oczy i jął dziwnie wymachiwać rękoma. Opanowany podejrzeniem sędzia śledczy chciał zadzwonić po pomoc, lecz w tym momencie popadł jakby w atak tęcza, język automatycznie mu się przekręcił w sposób, którego nie był w stanie sobie przypomnieć (w ogóle stan ten musiał się zacząć w jamie ustnej), potem zaś stracił przytomność.

— Czy w ogóle nie można się było niczego dowiedzieć o sposobie, w jaki Mohammed Daraschekoh stworzył tę rozdwojoną istotę, nie zabijając przy tym dziecka? — przerwał

Sebaldus.

Doktor Kreuzer potrząsnął głową.

— Nie. Lecz myślałem wiele o tym, o czym opowiadał mi ongiś Thomas Charnoque.

Życie ludzkie jest czymś innym, niż je sobie wyobrażamy, mówił zawsze, składa się ono z licznych prądów magnetycznych, które częściowo krążą wewnątrz, częściowo zewnątrz ciała; nasi uczeni myślą się mówiąc, iż człowiek, z którego się ściągnie skórę musi umrzeć z powodu braku tlenu. Czynnikiem zaś, który ekstrahuje skórę z atmosfery, jest coś zupełnie innego aniżeli tlen. Skóra też w ogóle nie wchłania tego fluidu, tworzy ona tylko rodzaj siatki, która służy do umożliwienia owemu prądowi napięcia powierzchniowego. Podobnie jak siatka druciana — jeśli ją zanurzyć w roztworze wody i mydła, pokryje się w każdej kratce mydlanymi bańkami.

Podobnie duchowe własności człowieka, twierdził, otrzymują określone piętno w zależności od przewagi jednego lub drugiego prądu. Można sobie wyobrazić, iż dzięki przewodze szczególnie jednej siły powstanie nader zawiły charakter, przerastający naszą wyobraźnię.

Melchior zamilkł na chwilę, pogrążony w myślach.

— I kiedy wspomnę, jakie odrażające cechy posiadał karzeł Dhanandschaya, przez co w ogóle odmłodziło źródło jego egzystencji, we wszystkim tym znaleźć można jedynie straszliwe potwierdzenie owej teorii.

— Mówi pan o tym, jakby te bliźnięta nie żyły, czyżby zmarły? — spytał zdziwiony Sinclair.

— Przed paroma dniami! I to dobrze, płyn, w którym jeden z nich pływał większą część dnia, wysechł i nikt nie znał jego składu. — Melchior Kreuzer zapatrzył się przed siebie i wzdrygnął się. — Były tam jeszcze rzeczy tak okrutne, tak nie do opisania potworne, dzięki Bogu, że Lukrecja nigdy się o nich nie dowiedziała, że przynajmniej to zostało jej oszczędzone! Już spojrzenie onej straszliwie rozdwojonej istoty mogłoby ją zwalić z nóg. Jakby uczucie macierzyńskie rozplątane zostało na dwie połowy.

Pozwólcie mi już dziś o tym nie mówić! Obraz Vayu i Dhanandschaya... doprowadzi mnie jeszcze do szaleństwa. — Zamyślił się, po czym wstał nagle i zawołał:

— Należcie mi wina, nie chcę już o tym myśleć. Szybko, coś innego... Muzyka... byle co... tylko na inne myśli! Muzyka...!

Po czym zatoczył się do polerowanego automatu, stojącego przy ścianie i wrzucił doń monetę.

Brzdęk. Dał się słyszeć odgłos wpadającego pieniądza.

Aparat zabrzączał.

Po czym zabrzmiały trzy zbląkane tony. W chwilę potem w izbie słychać było donośne tony piosenki:

*Miałem przyjaciela  
Lepszego nie znajdziesz*

Przełożyła Maria Szematowicz

## Georg Heym OBŁĄKANIEC

Strażnik dał mu rzeczy, kasjer wręczył pieniądze, odźwierny rozwarł wielką bramę żelazną. Znalazł się w ogródku przed gmachem, nacisnął klamkę furki ogrodowej i — stanął na ulicy.

No, a teraz niechże świat czegoś zazna!



Ruszył wzdłuż szyn tramwajowych, pomiędzy niskimi domami przedmieścia. Dotarł do jakiegoś pola i na jego skraju rzucił się w grube maki i szczwół. Zaszył się w roślinach całkowicie, jak w puszystym zielonym dywanie. Tylko twarz wystawała mu niczym jasny wschodzący księżyc. No, na razie przynajmniej sobie siedział.

Był zatem wolny. Nadszedł też już ostatni czas, żeby go wypuścili, w przeciwnym bowiem razie pozabijałby wszystkich, wszystkich bez wyjątku. Grubego dyrektora — tego złapałby za rudą szpicbródkę i zaciągnął pod maszynę do wyrobu kielbas. Ach, cóż to był za wstrętny typ! Jakżeż on ię zawsze śmiał, przechodząc przez masarnię!

Do diabła, to był całkiem ohydny drab!

A lekarz asystent, ten garbaty wieprz, temu by jeszcze kiedyś chętnie mózg rozdeptał. A strażnicy z kitlami w białe pasy, wyglądający jak banda więźniów, te dranie, okradający mężczyzn i gwałcący kobiety w ustępach. To było już po prostu do zwariowania!

Naprawdę nie wiedział, jak wytrzymał cały ten czas. Trzy lub cztery lata. Jak długo właściwie siedział tam, w tej białej dziurze, w tym dużym pudle, wśród wariatów? Gdy rano szedł do masarni przez wielki dziedziniec, wszyscy leżeli tam wokół i szczyrzyli zęby, niektórzy obnażeni do połowy. Potem przychodzili strażnicy i wywlekali tych, którzy zachowywali się szczególnie źle. Wtrącano ich do gorącej kąpieli. Niejednego w niej rozmyślnie poparzone, wiedział o tym. Pewnego razu strażnicy chcieli przynieść do masarni nieżywego, z którego miały być zrobione kielbasy. Mieli je potem dostać do jedzenia. Powiedział o tym lekarzowi, lecz ten próbował wybić mu to z głowy. Tak, więc lekarz był w zмовie z tamtymi. Przeklęty pies! Oj, gdyby go teraz miał tu w rękach! W zboże by go wrzucił i grdykę mu wyrwał, temu przekłętemu świntuchowi, draniowi jednemu, przekłętemu!

A w ogóle po co go właściwie umieszczono w zakładzie? Przecież tylko dla szykany. Bo cóż takiego przeszkobał? Sprał żonę kilka razy, miał do tego pełne prawo, był przecież żonaty. Na policji powinni byli wyrzucić żonę, tak byłoby o wiele słuszniej. A oni wezwali jego, i przesłuchiwali go, istne sceny z nim wyprawiali. Pewnego zaś dnia w ogóle już nie wypuścili. Wpakowali do wozu i wyładowali właśnie tam. Co za niesprawiedliwość, co za bezczelność!

I komu to wszystko zawdzięczał? Przecież tylko żonie. Tak, policzy się teraz z nią. Dużo ma jeszcze na jej koncie do wyrównania.

Ze wściekłości wyrwał na brzegu pola kępkę kłosów zboża i zaczął nią wymachiwać jak kijem w rękę. Następnie wstał. A teraz biada jej!

Zarzucił pęk zboża wraz ze swymi rzeczami na ramiona, po czym ruszył znowu w drogę. Nie wiedział jednak dobrze, dokąd się udać. Daleko, na krańcu pól, dymił komin. Znał ten komin, położony był opodal jego mieszkania.

Opuścił przeto drogę i zбочzył na pole, wśród źdźbła. Prosto przed siebie do celu. Jakże przyjemnie było brodzić wśród grubych ździebeł, łamiących się i pękających pod stopami!

Przymknął oczy i błogi uśmiech przebiegł mu po twarzy.

Wydawało mu się, że idzie przez obszerny plac. Leżało na nim wiele, wiele ludzi, wszyscy twarzą ku ziemi. Widok był taki jak na obrazie w mieszkaniu dyrektora, na którym kilka tysięcy ludzi w białych płaszczach i kapturach leżało przed wielkim kamieniem, do którego się modlili. Obraz nazywał się Kaaba. „Kaaba, Kaaba” — powtarzał sobie za każdym krokiem. Wypowiadał to słowo jak gdyby potężną formułą zaklęcia, depcąc za każdym razem w lewo i w prawo po wielu białych głowach. Za nadeptaniem czaszki pękały, wydając odgłos, jak gdyby ktoś rozbijał młotkiem orzechy.

Niektóre wydawały odgłos bardzo delikatny; były to czaszki cienkie, dziecięce. Inny dźwięk wydawał się srebrny, lekki, wonny jak chmurka. Inne znowu grzechotały przy nastąpieniu na nie jak karczownice w lesie. Wtedy wysuwały im się z ust czerwone, trzepoczące języki, jak w piłkach gumowych. Ach, jakież to było cudowne!

Niektóre były tak miękkie, że stopa poniekąd w nich grzęzła, a czaszki od niej nie

odpadały. Tak więc szedł z dwoma czerepami u nóg, jak gdyby się właśnie wygramolił z dwóch skorupek jajkowych, których z siebie jeszcze w całości nie stracił.

Najbardziej jednak cieszyło go, gdy ujrzał gdzieś głowę starego człowieka, łysą i lśniąca jak marmurowa kula. Zabierał się do takiej głowy początkowo bardzo ostrożnie, poruszał nią wprawdzie kilka razy na próbę, tak, tak i tak. A potem przystępował do czynu: trach — i mózg wypryskiwał jak mała złota fontanna.

Stopniowo ogarniało go zmęczenie. Przypomniawszy sobie nagle wariata, któremu się wydawało, że ma szklane nogi i nie może biec. Siedział zatem cały dzień na stole krawieckim, ale strażnicy musieli go tam zawsze wprawdzie zanieść. Sam nie zrobił ani kroku. Gdy stawiali go na nogi, nie ruszał się po prostu z miejsca. A nogi miał zupełnie zdrowe, co każdy przecież widział. Nawet na ustęp nie poszedł ani razu sam, doprawdy nie, do tego stopnia był zwariowany. Ogromnie to było śmieszne.

Ostatnio przyszedł ich odwiedzić ksiądz, więc nawiązał z nim rozmowę o wariacie:

— Proszę tylko zobaczyć, pastarze, tam, ten krawiec, to przecież człowiek zwariowany. Co za głupie ścierwo!

Na to pastor wybuchnął śmiechem, aż się ściany zatrzęsły.

Wyszedł z gąszczy ździebeł, wszędzie na ubraniu i we włosach miał pełno słomy. Tłumoczek z odzieżą zgubił gdzieś po drodze, ale kłosa niósł jeszcze w ręce i powiewał nimi przed sobą jak złotą chorągwią. Puścił się, wyprężony, marszem w drogę. „Lewa, prawa, lewa, prawa” — mrucał pod nosem. A przyczepione do spodni koszyczki łopianowe przyskały od niego, zataczając długie łuki.

— Oddział, stój! — zakomenderował.

Zatknął niesioną chorągiew w piasek drogi polnej i rzucił się w rów.

Nagle ogarnął go strach przed słońcem, którego promienie padały mu na skronie. Wydało mu się, że słońce chce napaść na niego, skrył przeto twarz głęboko w trawę. Potem zasnął.

Zbudziły go głosy dzieci. Obok niego stanął mały chłopiec i mała dziewczynka. Gdy malcy ujrzeli, że mężczyzna się obudził, uciekli.

Zawrzała w nim straszna wściekłość na oboje dzieci, twarz nabiegła mu krwią.

Podskoczył jednym ruchem i puścił się w pogoń za malcami. Usłyszawszy jego kroki, dzieci zaczęły krzyczeć i biec szybciej. Chłopczyk ciągnął za sobą siostrę. Ta jednak potknęła się, upadła i rozplakała.

A płaczu w ogóle nie mógł ścierpieć.

Dopędził dzieci, poderwał dziewczynkę z piasku. Ujrzał ponad sobą wykrzywioną twarzyczkę i wrzasnął głośno. Także chłopczyk podniósł krzyk i chciał uciec. Wtedy pochwycił go drugą ręką, po czym zaczął uderzać główką jednego dziecka o główkę drugiego. „Raz, dwa, trzy, raz, dwa, trzy” — liczył i na „trzy” obie małe czaszki uderzały z trzaskiem o siebie jak pioruny. Już trysnęła krew. To wywołało odurzenie, zrobiło z niego boga. Musiał zaśpiewać. Przyszedł mu do głowy chorał. Zaczął więc:

*Warownym grodem jest nasz Bóg,  
Orężem nam i zbroją!  
Wybawia On ze wszelkich trwóg,  
Co nas tu niepokoją.  
Stary, chytry wróg  
Czyha, by nas zmógł;  
On złych mocy rój  
Prowadzi na nas w bój.  
Na ziemi czyż kto sprosta mu?*

Akcentował głośno poszczególne takty i za każdym taktem zderzał obie małe główki

jak muzyk uderzający w orkiestrze talerzem o talerz.

Skończywszy chorał, wypuścił z rąk obie sponiewierane czaszki. Teraz rozpoczął jakby w ekstazie taniec wokół dwojga zwłok. Wymachiwał przy tym ramionami niczym wielki ptak, a krew, którą ramiona były powalane, rozpryskiwała się wokół niego jak ognisty deszcz.

Nagle jego nastrój zmienił się. Jakaś niemożliwa do przewyciężenia litość nad obojgiem biednych dzieci zacisnęła mu niemal gardło od wewnątrz. Podniósł zwłoki z pyłu drogi i zawlókł je na drugą stronę w zboże. Garścią chwastów otarł twarzyczki z krwi, mózgu i brudu, po czym usiadł między dwojgiem małych zwłok. Ujął ich rączki w pięść i głaskał je okrwawionymi palcami.

Coś zniewoliło go do płaczu, bo wielkie łzy zaczęły powoli spływać mu po policzkach.

Wpadła mu do głowy myśl, że mógłby przywrócić dzieci znów do życia. Ukląkł przeto nad ich twarzyczkami i wdmuchiwał powietrze w otwory czaszek. Ale dzieci nie poruszyły się. Wtedy pomyślał, że to chyba jeszcze za mało, i ponowił próbę. Jednakże i tym razem bezskutecznie.

— No więc nic z tego — rzekł. — Co nieżywe, to nieżywe.

Stopniowo rozpoczęły nadlatywać z pól niezliczone chmary much, komarów i innych owadów, zwabionych odorem krwi. Zawisły gęstym obłokiem nad ranami. Kilkakrotnie usiłował je odgonić. Lecz gdy sam został ukłuty, stało mu się to zbyt uciążliwe. Wstał i poszedł sobie, a wówczas owady gęstym ciemnym rojem opadły krwawe otwory czaszek.

Tak, dokądże teraz?

Wtem przypomniało mu się zadanie, które sobie postawił. Miał przecież porachować się z żoną. I w przeczuciu zemsty twarz jego rozjaśniła się jak purpurowe słońce.

Zboczył w szosę prowadzącą ku przedmieściu.

Obejrzał się.

Droga była pusta. Wstęga jej ginęła w oddali. Na szczycie pagórka za nim siedział jakiś człowiek przed katarynką. Teraz na pagórek wspinała się kobieta ciągnąca ręczny wózek.

Zaczekał, aż kobieta się zbliżyła, przepuścił ją i poszedł za nią.

Wydawało mu się, że ich zna. Czy nie byli to handlarze warzywni z narożnika? Chciał do nich zagadać, ale było mu wstyd. „Ach, ona pomyśli, że jestem wariat z siedemnastki. Jeżeli mnie rozpozna, wyśmiej mnie. A ja nie pozwolę, żeby się ze mnie śmiano, do cholery! Raczej rozbiję jej łeb!”

Poczuł, jak znowu zanosilo się na to, że wzbierze w nim wściekłość. Bał się tego ponurego szaleństwa. „Tfu, pewno znów mnie weźmie” — pomyślał. Doznał zawrotu w głowie, stanął pod drzewem i przymknął oczy.

Nagle ujrzał ponownie bestię, która w nim tkwiła. W dole, w okolicy żołądka, na kształt wielkiej hieny. Z paszczą. I to ścierwo chciało się z niego wydostać. „Tak, tak, musisz wyjść.”

Teraz sam stał się zwierzęciem i zaczął leżeć drogą na czworakach. Szybko, szybko, inaczej ci zwieje. Ależ potrafi biec! Jednakże taka hiena jest szybsza.

Zaszczekał jak szakal. Kobieta obejrzała się. Ujrzawszy człowieka biegnącego za nią na rękach i nogach, z potarganymi włosami na obrzękłej twarzy, białego od pyłu — zostawiła wózek i puściła się z głośnym krzykiem w dół drogi.

Wtedy zwierzę zerwało się. Jak dzikus popędziło za nią. Długa grzywa powiewała za nim, pazury wzbijały się w powietrze, z paszczy zwiślał jęzor.

Teraz zwierzę słyszało już oddech kobiety. A ta ziajała, krzyczała i pędziła naprzód, ile sił starczyło. Tak, jeszcze sus, jeszcze dwa. Teraz zwierzę doskakuje jej do gardła.

Kobieta tarza się w piasku, zwierzę ją odwraca. Tu jest krtań, tam najlepsza krew; zawsze pije się z krtani. Dopada paszczą gardzieli kobiety i wysysa krew z ciała. Fe, do diabła, ależ to piękne!

Zwierz porzuca kobietę i podrywa się. Tam z góry nadchodzi jeszcze ktoś. Taki głupek!

Wcale nie dostrzega, że tu siedzą hieny. Skończony idiota!

Nadszedł stary człowiek. Zbliżywszy się ujrzał przez grube okulary leżącą w piasku kobietę, jej odzież w nieładzie, i kolana, które w walce o życie podciągnęła do brzucha. Wokół głowy widniała rozlana kałuża krwi.

Starzec zatrzymał się przy kobiecie, osłupiały z przerażenia. Wtem rozchyliły się wysokie chabry i wyszedł z nich mężczyzna, zrujnowany i obdarty. Usta miał pełne krwi.

„To z pewnością morderca” — pomyślał staruszek.

Trzęsąc się ze strachu nie wiedział, co począć. Uciec czy zostać.

W końcu zdecydował się popробować wpierv grzecznością. Bo z tym tam coś nie było zupełnie w porządku, to przecież było widać.

— Dzień dobry — powiedział obłąkany.

— Dzień dobry — odparł staruszek. — To straszne nieszczęście.

— Tak, tak, to straszne nieszczęście, ma pan zupełną rację — rzekł drżącym głosem wariat.

— Ale ja muszę iść dalej. Przepraszam pana.

Stary człowiek zrobił początkowo kilka powolnych kroków. Gdy już znajdował się w pewnej odległości i zauważył, że morderca nie biegnie za nim, przyspieszył kroku. Wreszcie puścił się pędem jak mały chłopiec.

— Nie, ale on śmiesznie wygląda, kiedy tak leci. Co to za zwariowany człowiek!

I obłąkaniec roześmiał się całą gębą, tak że krew zgromadziła się w fałdach twarzy. Wyglądał teraz jak potworny diabeł.

A zresztą niech sobie leci. Miał zupełną rację. On też by tak uczynił. Bo tutaj mogły zaraz wyleźć znów hieny ze zboża.

— Fe, jakież ja jestem powalany! — Spojrzał na siebie od góry do dołu. — Skąd się wzięło tyle krwi?

Zerwał z kobiety fartuch i pościerał z siebie krew, jak się tylko dało.

Stracił pamięć. W końcu nie wiedział już, gdzie się znajduje. Ruszył znowu na przelaj, drogami polnymi, przez pola w południowym skwarze. Zdawało mu się, że jest wielkim kwiatem wędrującym polami. Może słonecznikiem. Dokładnie nie mógł tego rozeznac.

Poczuł głód.

Później znalazł pole obsadzone rzepą, wyrwał kilka rzep i zjadł je.

Na jednym z pól natknął się na stawek.

Stawek rozpościerał się jak wielka czarna chusta w złocie zboża.

Wzięła go ochota do wykapania się, zdjął rzeczy i wszedł do wody. Ach, jakąż to sprawiło ulgę, jak uspokajało! Wchłaniał zapach wody, ponad którą rozpościerały się uroki rozległych pól, skąpanych letnim słońcem. „Ach, woda, woda” — szepnął delikatnie, jak gdyby chciał kogoś przywołać. A teraz popłynął jak wielka biała ryba w rozedrganym stawie.

Na brzegu uplótł sobie z trzciny wieniec i przejrzał się w wodzie. Potem zaczął podskakiwać na brzegu i tańczyć nago w jasnym słońcu — wielki, krzepki i piękny jak satyr.

Nagłą przyszła mu do głowy myśl, że robi coś nieprzyzwoitego. Ubrał się szybko, skurczył i wczółgał w zboże.

„Jeśli teraz nadejdzie strażnik i mnie tu znajdzie, to ładnie mnie wykrzyczy i doniesie o tym dyrektorowi” — pomyślał. Ponieważ jednak nikt nie nadchodził, nabrał znów odwagi i puścił się w dalszą drogę.

Wtem znalazł się przed płotem ogrodowym. Za nim rosły drzewa owocowe. Między nimi wisiła schnąca bielizna, wśród której spały dzieci. Ruszył wzdłuż płotu i wydostał się na jakąś ulicę.

Było na niej wiele ludzi, którzy mijali go bez zwracania uwagi. Przejechał także tramwaj.

Ogarnęło go uczucie bezgranicznego opuszczenia, tęsknota za domem wezbrała w nim

z całą siłą. Najchętniej pobiegłby zaraz z powrotem do zakładu. Nie wiedział jednak, gdzie się znajduje. A kogo miałby zapytać? Przecież nie mógł powiedzieć: „Proszę pana, gdzie tu jest zakład dla obłąkanych?” Wtedy na pewno poczytano by go za wariata, a do tego nie można było dopuścić.

I wiedział, czego chce. Miał przecież jeszcze wiele spraw do załatwienia.

Na rogu ulicy stał policjant. Obłąkaniec postanowił zapytać go o swą ulicę, ale nie potrafił się na to zdobyć. W końcu jednak nie mógł wiecznie stać w jednym miejscu. Skierował się przeto ku policjantowi. Nagle dostrzegł jeszcze wielką plamę krwi na kamizelce. No, tej nie powinien posterunkowy zobaczyć. Zapiął więc marynarkę. Zastanowił się, co chce powiedzieć, słowo w słowo, i powtórzył to sobie kilka razy.

Wszystko poszło dobrze. Zdjął kapelusz, spytał o swoją ulicę, policjant dał mu wskazówki.

„To przecież wcale nie jest daleko” — pomyślał. I nagle zaczął znów poznawać ulice. Ależ się zmieniły, teraz jechał nimi nawet już tramwaj elektryczny!

Ruszył w drogę, posuwając się wzdłuż domów. Kiedy napotykał kogoś, odwracał twarz ku murowi. Wstydził się.

W ten sposób dotarł do swego domu. Przed bramą bawiły się dzieci, które popatrzały na niego z zaciekawieniem. Wszedł po schodach. Wszędzie pachniało jedzeniem. Skradał się na czubkach palców dalej. Kiedy usłyszał, jak gdzieś poniżej niego otwierają się drzwi, zdjął ponadto obuwie.

Stanął teraz przed swymi drzwiami. Przysiadł chwilkę na stopniach i zastanowił się. Bo teraz nadszedł wielki moment. I co miało nastąpić, to musiało nastąpić, nie było co do tego kwestii.

Wstał i zadzwonił. Cisza. Przeszedł kilka razy po sieni schodowej tam i z powrotem. Przeczytał szyldzik na przeciwległych drzwiach. Mieszkali tam obecnie inni ludzie. Wrócił i zadzwonił jeszcze raz. Znów nikt nie otworzył. Schylił się, by zajrzeć przez dziurkę od klucza, ale tam było wszystko czarne. Przyłożył ucho do drzwi, by coś usłyszeć, może kroki, szept — nic jednak nie zakłóciło ciszy.

Teraz przyszła mu do głowy pewna myśl. Zrozumiał nagle, dlaczego mu nikt nie otwiera. Żona bała się go, jego żona nie miała odwagi. Ścierwo paskudne, wiedziała już, co się święci. No, zatem do dzieła!

Cofnął się parę kroków. Oczy jego stały się maleńkie jak czerwone punkciki. Niskie czoło spłaszczyło się jeszcze bardziej. Zgiął się. I jednym susem skoczył na drzwi. Te zatrzęszczały głośno, ale wytrzymały uderzenie. Krzyknął z całych sił i doskoczył raz jeszcze. Tym razem drzwi puściły. Deski wydały trzask, zamek wyskoczył, drzwi otworzyły się, a on wpadł do środka.

Ujrzał pustkę. Na lewo była kuchnia, na prawo pokój. Tapeta zdarta. Wszędzie na podłodze kurz i odpadła farba.

Tak, więc żona gdzieś się zaszła. Przebiegł wzdłuż czterech ścian opróżnionego pokoju, przez korytarzyk, ustęp, komórkę. Nigdzie nie znalazł niczego, wszystko było puste. W kuchni też nic. Wtedy jednym susem wskoczył na piec kuchenny.

Ależ, była tu przecież, biegła w koło. Wyglądała jak wielki, szary szczur. Tak więc wyglądała. Biegła wciąż wzdłuż ściany kuchennej, zawsze w koło, wobec czego wyrwał z pieca żelazną płytę i rzucił ją na szczura. Lecz szczur był znacznie zwinniejszy. Ale teraz, teraz go trafi. Rzucił więc ponownie. Ale teraz. Bombardowanie ścian żeliwnymi fajerkami wywoływało hałas i spadanie zewsząd nagromadzonego kurzu.

Zaczął krzyczeć. Ryczał jak opętany.

— Ty kurwo zatracona, ty świnió, ty... — wrzeszczał tak, że cały dom drżał.

Wszędzie zaczął rozlegać się rumor otwieranych drzwi, wszędzie powstawał hałas, który postępował już w górę schodów.

W drzwiach stanęło dwóch mężczyzn, a za nimi gromada bab z uwieszonym u fartuchów batalionem dzieciarów.

Wszyscy spoglądali na człowieka szalejącego na piecu kuchennym. Obaj mężczyźni dodawali sobie wzajemnie odwagi. Wtem jednego trafił w czaszkę pogrzebacz, drugiego rzuciło o podłogę, a obłąkaniec kilkoma długimi susami przedarł się jak olbrzymi orangutan przez tłum. Pobiegł po schodach ku górze, dotarł do drabiny, wspiął się po niej na dach, przełaził przez kilka murków, koło kominów, znikł w jakiejś luce, zbiegł po schodach i znalazł się nagle na zielonym placu. Przed nim stała pusta ławka. Osunął się na nią, zakrył twarz rękami i zaczął delikatnie popłakiwać.

Opanowała go potrzeba snu. Już zamierzał wyciągnąć się na ławce, kiedy zauważył, że z pewnej ulicy nadciąga wielki tłum ludzi, prowadzony przez kilku policjantów jak przez generałów.

„Pewnie mnie szukają, mam znowu iść do zakładu. Sądzą chyba, że nie wiem sam, co mam robić” — pomyślał.

Szybko opuścił park. Czapka jego pozostała na ławce. Z daleka dostrzegł jeszcze, jak jeden z mężczyzn wywijał nią w powietrzu niczym zdobycznym trofeum.

Minął kilka rojnych ulic, jakiś plac, potem szedł znów ulicami. Było mu nieswojo wśród mas ludzkich. Czuł się skrępowany, szukał cichego kącika, w którym mógłby się położyć. W pewnym domu była duża brama wjazdowa na podwórze. Przed bramą stał mężczyzna w brązowej liberii ze złotymi guzikami. Oprócz tego nie było tam, zdaje się, nikogo. Minął służącego, który pozwolił mu przejść spokojnie. Prawdę mówiąc — zdziwiło go to. „Czyżby mnie nie znał?” — zapytał siebie. Właściwie czuł się obrażony.

Doszedł do pewnych drzwi, które obracały się bez przerwy. Wtem został pochwycony przez jedno ze skrzydeł drzwi, popchnięty i — nagle znalazł się w rozległej hali.

Stały tam niezliczone stoły, pełne koronek, ubiorów. Wszystko pływało w złocistym świetle, rozpraszającym się poprzez wysokie okna w półmroku olbrzymiej sali. Z sufitu zwiślał olbrzymi żyrandol, migotały niezliczone diamenty.

Z boku hali prowadziły do góry duże schody, którymi wchodzili i schodzili różni ludzie.

„Do licha, ależ to wspaniały kościół!” — pomyślał. W przejściach stali panowie w czarnych ubraniach, paniątki w czarnych sukienkach. Przy pulpicie siedziała kobieta, a przed nią ktoś odliczał pieniądze. Jedna z monet upadła z brzękiem na podłogę.

Wszedł po schodach, minął wiele dużych komnat pełnych mebli wszelkiego rodzaju, przyrządów, obrazów. W jednej z sal znajdowało się dużo zegarów i wszystkie były jednocześnie. Zza wielkiej kotary dochodziły dźwięki harmonium, jakaś melancholijna muzyka, która zdawała się ginąć w oddali. Uchylił potajemnie kotary i zobaczył wielu ludzi przysłuchujących się grającej kobiecie. Wszyscy mieli wygląd poważny i skupiony, toteż i jego ogarnął jakiś bardzo uroczysty nastrój. Nie zdobył się wszakże na to, by tam wejść.

Dotarł do jakichś drzwi kratowych. Za nimi znajdował się wielki szyb, w którym zdawało się biec ku górze i w dół kilka lin. Z dołu nadjechała wielka skrzynia, kratę odsunięto. Ktoś powiedział: „Proszę w górę”, ten ktoś był w skrzyni i wzbijał się jak ptak ku górze.

Na górze napotkał wiele osób, które stały wokół dużych stołów zastawionych talerzami, wazami, kieliszkami, naczyniami, lub chodziły w przejściach pomiędzy szeregami podwyższeń, na których niczym pole szklanych kwiatów lśniły wysmukłe kryształki, świeczniki lub barwne lampy z pomalowanej porcelany. Pod ścianą, wzdłuż tych kosztowności, biegła wąska galeryjka, podwyższona o kilka schodków.

Przecisnął się przez tłum i wszedł po stopniach na galeryjkę. Oparł się o poręcz, ujrzał kręcących się na dole ludzi, którzy jak chmara czarnych much zdawali się wytwarzać wieczny szum ustawicznym poruszaniem głów, nóg i ramion. Uśpiony monotonią tych szmerów, odurzony popołudniową duchotą, chory od emocji doznanych w tym dniu — przymknął oczy.

Był wielkim, białym ptakiem, płynącym nad ogromnym, samotnym morzem i kołysa-

nym odwieczną jasnością, zawieszonym wysoko w błękitach. Głową dotykał białych obłoków, sąsiedował ze słońcem, wypełniającym nad jego głową niebo kształtu wielkiej złotej czaszy, która zaczęła potężnie buceć.

Jego skrzydła, bielsze niż morze śniegu, mocne, o osiach jak pnie drzewne, rozpościerały się na szerokość horyzontu, w dole zaś, w głębinach fal, zdawały się pływać purpurowe wyspy na kształt dużych różowych muszli. Bezkresny spokój, wieczna cisza drgała pod okapem tego wiecznego nieba.

Nie wiedział, czy to on leci tak szybko, czy też przeciągano pod nim morze. To było zatem morze.

Gdyby to opowiedział innym w zakładzie, dziś wieczorem w sypialniach, oj, byłiby ogromnie zazdrośni. Właściwie z tego cieszył się najbardziej. Ale lekarzowi raczej w ogóle nic nie zdradzi, bo ten by znów powiedział: „Tak, tak”. Ten przecież w nic nie wierzył. Taki to już był drań. Chociaż zawsze mówił, że wierzy wszystkiemu.

W dole, na morzu, płynęła wielka biała łódź z powolnymi żaglami. „Jakby jakaś z Portu Humboldta — pomyślał — ale większa.”

A do diabła, jak to pięknie było być ptakiem! Dlaczego nie stał się ptakiem już od dawna? I zataczał ramionami koła w powietrzu.

Z dołu kilka kobiet zwróciło na niego uwagę. Zaczęły się śmiać. Dołączyły się do nich inne, powstał tłok, ekspedientki pobiegły do kierownika.

Wszedł na parapet, wyprostował się. Wydawało mu się, że buja w górze nad tłumem.

Pod nim, na oceanie, jaśniało olbrzymie światło. Musiał teraz nurknąć w dół, tak, teraz był czas na to, by spuścić się w morze.

Lecz było tam coś czarnego, coś wrogiego, co mu przeszkadzało, co nie chciało puścić go w dół. On się wszakże z tym rozprawi, jest przecież taki silny!

Więc bierze rozmach i zeskakuje z balustrady w środek szkieł japońskich, w chińskie laki, w kryształ. Tam jest to czarne, tam jest to właśnie — i przyciąga ku sobie ekspedientkę, chwyta ją rękami za gardło i ściska.

A tłum ucieka gankami, zbiega w popłochu schodami, przeraźliwe krzyki napęniają cały dom. Słychać wołania: „Ogień! Ogień!” W mgnieniu oka pustoszeje całe piętro. Tylko kilkoro małych dzieci, zdeptanych na śmierć lub uduszonych, leży przed drzwiami prowadzącymi na schody.

On zaś klęczy na swej ofierze i powoli ją zadusza.

Wokół niego rozpościera się wielkie złote morze, a z obu stron spiętrzają się fale jak potężne, połyskliwe dachy. Jedzie na dużej czarnej rybie jak na koniu, obejmuje jej głowę ramionami. „Strasznie jest gruba” — myśli. Głęboko pod sobą widzi w zielonej głębinie zielone zamki, zagubione w kilku drgających promieniach słońca, widzi zielone ogrody w wiekuiestej topieli. Jak daleko może być do nich? Gdyby tak mógł się do nich dostać, tam, w dół.

Zamki obsuwają się coraz głębiej, ogrody zdają się zapadać coraz głębiej.

Zaczyna płakać, nigdy do nich nie dotrze. Jakież z niego straszny biedak! A ryba pod nim staje się bezczelna, jeszcze się trzepocze, przeklęta bestia, ale on jej już sprawi, i — zaciska jej gardło.

Za drzwiami pojawił się jakiś mężczyzna, przyłożył karabin do policzka, wycelował. Strzał trafił szaleńca w tył głowy. Zatoczył się kilkakrotnie w tę i tamtą stronę, potem upadł ciężko na swą ostatnią ofiarę, wśród brzęczącego szkła.

A gdy krew wypływała z rany, zdawało mu się, że zapada się gdzieś w głąb, coraz głębiej, leciutko jak puch. Z dołu poczęła się wznosić jakaś odwieczna muzyka, a zamierające serce otworzyło się, drżąc z niezmierzonej błogości.

## Georg Heym STATEK

Był to niewielki stateczek poławiaczy koralu, krążący za przylądkiem Jork po Morzu Arafura. Czasem widać z niego było na sieniej północy góry Nowej Gwinei, czasem na południu pustynne wybrzeża australijskie, ciągnące się jak brudnosrebrny pas po drżącym horyzoncie.

Na pokładzie było siedmiu ludzi. Kapitan — Anglik, dwóch dalszych Anglików, jeden Irlandczyk, dwóch Portugalczyków oraz chiński kok. A ponieważ było ich tak niewielu, żyli w dobrej przyjaźni między sobą.

Statek miał teraz iść w dół do Brisbane. Tam miało nastąpić wyładowanie, po czym ludzie mieli się rozejść, jedni w jedną, drudzy w inną stronę.

Kurs ich prowadził przez mały archipelag, na prawo i na lewo kilka wysp — resztek wielkiego pomostu, który ongiś, przed wiekami, łączył oba kontynenty: Australię i Nową Gwineę. Teraz nad pomostem szumiał ocean, a sonda nie mogła nigdy dosięgnąć dna.

Zawinęli łodzią do cieniejszej zatoczki na wyspie i stanęli na kotwicy. Trzech ludzi wysiadło na ląd, aby poszukać mieszkańców wyspy.

Przebrnęli przez nadbrzeżny las, następnie, wspinając się mozolnie, przeszli przez górę, przedostali się przez parów i znów przez pokrytą lasem górę. Po kilku godzinach wędrówki znaleźli się ponownie nad morzem.

Nigdzie na całej wyspie nie było śladu żywej istoty. Nie usłyszeli wcale śpiewu ptaka, żaden zwierz nie zaszedł im drogi.

Wszędzie panowała przerażająca cisza. Nawet roztaczające się przed nimi morze było nieme i szare.

— Ale ktoś musi tu przecież być, do diabła! — rzekł Irlandczyk.

Wołali, krzyczeli, strzelali z rewolwerów. Nic się nie poruszyło, nikt się nie pojawił. Powędrowali przeto wzdłuż brzegu, przez wodę, skały i nadbrzeżne zarośla — nie spotkali nikogo. Wysokie drzewa spoglądały na nich jak wielkie, upiorne stwory, i nie szumiały — niczym martwe olbrzymy w straszliwej zdrętwiałości. Ogarnęło ich przygnębienie — ponure i tajemnicze. Chcieli wyperswadować sobie strach, jeden drugiemu. Lecz gdy spojrzeli sobie wzajemnie w blade twarze, woleli milczeć.

Dotarli w końcu na cypel, który wybiegał w morze jak ostatni wyskok, ostatnie schronienie. Na samym krańcu cypla, gdzie droga ich zawracała z powrotem, ujrzeli coś, co ich na moment wprawilo w osłupienie.

Leżały tam na sobie trzy trupy: dwóch mężczyzn i jedna kobieta, w prymitywnej bieliźnie. Lecz na ich piersiach, ramionach, twarzach — wszędzie były jakieś czerwone i sine plamy, jak niezliczone ukąszenia owadów. Tu i ówdzie zaś wystawało z popękanej ich skóry, niczym wielkie pagórki, kilka wielkich guzów.

Jak szybko przyszli, tak szybko opuścili zwłoki. To nie śmierć ich spłoszyła. Twarze nieboszczyków zdawały się wyrażać zagadkową groźbę, w cichym powietrzu zdawało się czyhać jakieś niewidoczne zło, coś, czego nie potrafili nazwać, a co jednak tam było, jakaś bezlitosna, lodowata zgroza.

Zaczęli nagle biec, kalecząc się o ciernie. Byle dalej. Deptali sobie niemal po piętach.

Ostatni, jeden z Anglików, zaczepił się o jakiś krzak; kiedy chciał się odczepić, obejrzał się mimowolnie. I wtedy wydało mu się, że za pewnym grubym pniem drzewnym widzi coś, jakąś małą czarną postać, jak gdyby kobietę w żałobie. Przywołał towarzyszy i wskazał na drzewo. Lecz nie było tam już niczego. Wyśmiali go więc, choć śmiech ich brzmiał jakoś ochryple.



W końcu dotarli z powrotem do statku. Zepchnęli na wodę łódź, którą dojechali do statku.

Jak gdyby związani porozumieniem nie opowiadali nic o tym, co widzieli. Coś zasznurowało im usta.

Kiedy wieczorem Francuz oparty o reling przechylił się, zobaczył, że wszędzie na dole z ładowni statku, ze wszystkich luków i szczelin wynosiły się gromadami armie szczurów okrętowych. Grube, brunatne ich cielska płynęły przez wody zatoki, woda wokół mieniła się od nich.

Bez wątpienia — szczury opuszczały statek.

Poszedł do Irlandczyka i opowiedział mu, co widział. Ten jednakże siedział na linie, patrzył tępo przed siebie i nie chciał słyszeć o niczym. Również Anglik spojrział na niego ze wściekłością, gdy zjawił się w kajucie. Zostawił go stojącego.

Nastała noc i załoga zeszła do hamaków. Wszystkich pięciu mężczyzn leżało razem. Tylko kapitan spał sam w koi z tyłu pod pokładem. A hamak Chińczyka wisiał w kuchni statku.

Gdy Francuz przyszedł z pokładu, zobaczył, że Irlandczyk i Anglik się biją. Przewracali się pomiędzy skrzyniami, twarze ich zsiniały ze wściekłości. Inni zaś stali wokoło i przyglądali się. Zapytał jednego z Portugalczyków o przyczynę tego pojedynku i otrzymał odpowiedź, że obaj zaczęli się tłuc o nitkę wełnianą, którą Anglik zabrał Irlandczykowi.

Odstąpili wreszcie od siebie, każdy zaszył się w innym kącie kajuty i siedział tam, nie reagując na dowcipy innych.

W końcu wszyscy położyli się w hamakach, tylko Irlandczyk zwinął swój i poszedł z nim na pokład.

Przez wejście do kajuty było potem w górze widać, jak jego hamak, zawieszony między bukszprytem i jedną z lin, kołysze się na kształt czarnego cienia zgodnie z ruchami statku.

Ołowiana atmosfera nocy tropikalnej, nabrzmiała ciężkimi mgłami i dusznymi oparami, opadła na statek i spowiła go w posępność i beznadziejność.

Wszyscy spali już w jakiejś straszliwej ciszy, odgłosy ich oddechów dochodziły z daleka przytłumione, jak gdyby spod ciężkiej pokrywy olbrzymiej czarnej trumny.

Francuz bronił się przed zaśnięciem, ale stopniowo poczuł się wyczerpany daremną walką, a pod przymkniętym okiem zaczęły mu się przesuwać pierwsze obrazy marzenia sennego — niepewne zwiastuny snu. To jakiś konik, to kilku mężczyzn w olbrzymich staromodnych kapeluszach, to gruby Holender z długą białą bródką, to znów kilkoro małych dzieci, a za nimi pojawiło się coś, co wyglądało na wielki karawan w mętным półmroku pustych uliczek.

Zasnął wreszcie. A w ostatniej chwili miał wrażenie, jak gdyby z tyłu, w narożniku, ktoś stał i uporczywie się w niego wpatrywał. Chciał jeszcze raz otworzyć oczy, ale zamknęła je jakaś ołowiana ręka.

Pod czarnym statkiem kołysała się martwa fala. mur lasu dziewiczego rzucał cień daleko w skąpo rozjaśnioną noc, a statek pogrążył się głęboko w mrok północy.

Księżyc wysunął żółtą czaszkę spomiędzy dwóch wysokich palm. Na chwilę stało się jasno, potem satelita znikł znów wśród gęstych mgieł wędrownych. Tylko raz jeszcze pokazał się między płynącymi strzępami chmur, zamglony i mały jak straszne oko ślepców.

Nagle przeciągły krzyk rozdarł noc ostro jak uderzeniem topora.

Doszedł z tyłu, z kajuty kapitana, i to z taką siłą, jak gdyby wydany został tuż obok śpiących. Poderwali się w hamakach i w półmroku popatrzyli sobie wzajemnie w blade twarze.

Na kilka sekund zapanowała cisza; nagle krzyk rozległ się ponownie, zupełnie głośno, trzykrotnie. Wywołał straszne echo w nocnej dali, gdzieś wśród skał, potem jeszcze jedno zupełnie dalekie echo, podobne do zamierającego śmiechu.

Ludzie sięgnęli po światło, lecz nie można było go nigdzie znaleźć. Wobec tego wpełzli

na powrót w hamaki i siedzieli w nich całkowicie wyprostowani, jakby sparaliżowani, nie odzywając się.

Po kilku minutach usłyszeli człapanie kroków po pokładzie. Teraz kroki były ponad ich głowami, teraz jakiś cień przesunął się przed drzwiami kajuty. Teraz coś poszło ku przodowi.

I kiedy tak patrzeli na siebie szeroko rozwartymi oczami, doszedł do nich od przodu, z hamaka Irlandczyka, jeszcze raz głośny, przeciągły krzyk śmierci. Potem charczenie, krótkie, krótkie, drżące echo i — cisza grobowa.

Naraz księżyc wcisnął się jak tłusta twarz Malajczyka w otwór drzwi, ponad stopniami schodów, wielki i biały, i odbił swój blask w ich straszliwej bladości.

Wargi rozchyliły im się szeroko, a podbródki zawibrowały ze strachu.

Jeden z Anglików usiłował powiedzieć coś, ale język zagiął mu się w jamie ustnej do tyłu i skurczył; nagle wysunął się z ust nad dolną wargę, długi jak czerwona szmata. Język był sparaliżowany, tak że nie mógł go już wciągnąć z powrotem do ust.

Czoła ich były białe jak kreda. A na czołach gromadził się wielkimi kroplami zimny pot niepohamowanego przerażenia.

Tak mijają noc w jakimś fantastycznym półmroku, rozsypywanym w dole, po dnie kajuty, przez wielki, chowający się księżyc. Na rękach marynarzy ukazywały się niekiedy osobliwe figury, podobne do pradawnych hieroglifów: trójkąty, pentagramy, wizerunki szkieletów lub trupich czaszek, z których uszu wyrastały wielkie skrzydła nietoperzy.

Powoli księżyc zachodził. W chwili, kiedy jego olbrzymia głowa znikła w górze za krawędzią schodów, doszły do nich z przodu, z kuchni statku, suche jęki. a potem zupełnie wyraźnie usłyszeli lekkie pobekiwanie, takie jak u starych ludzi, kiedy się śmieją.

Pierwszy brzask wschodzącego dnia przeleciał straszliwym skrzydłem przez kopułę nieba.

Spojrzeli sobie w popielate twarze, wygramolili się z hamaków i dygocąc członkami wyleźli wszyscy na pokład.

Sparaliżowany, ze zwisającym językiem, wydostał się ostatni. Chciał coś powiedzieć, ale wydobył z siebie jedynie jakiś okropny bełkot. Pokazał na język i uczynił ruch wsuwania z powrotem. Wtedy jeden z Portugalczyków chwycił jego język palcami sinymi ze strachu i wepchnął mu go z powrotem w gardziel.

Przyściśnięci mocno do siebie, zatrzymali się przed lukiem statku i śledzili trwożliwie rozjaśniający się wolno pokład. Lecz nie było na nim nikogo. Tylko na przodzie w świeżym wietrze porannym kołysał się jeszcze w hamaku Irlandczyk, w tę i tamtą, w tę i tamtą stronę, niczym olbrzymia czarna kiełbasa.

Razem i jednocześnie, jakby przyciągani magnesem, ruszyli powoli w kierunku śpiącego, trzęsąc się we wszystkich stawach. Nikt nie zawołał do leżącego. Każdy wiedział, że nie otrzyma odpowiedzi. Każdy chciał możliwie jak najdłużej odwlec chwilę okropności. Wreszcie zbliżyli się i z wyciągniętymi szyjami wbili oczy w czarny kłębek zwinięty tam, w hamaku. Wełniany koc Irlandczyka był podciągnięty ku czołu. A włosy były rozwiane, aż poza skronie. Jednakże nie były już czarne, bo stały się tej nocy śnieżnobiałe. Ktoś ściągnął koc z głowy leżącego i wtedy ujrzeli blade oblicze nieżywego człowieka, wpatzonego rozwartymi, szklanymi oczami w niebo. Czoło jego i skronie usiane były czerwonymi plamami, a u nasady nosa wystawał jak róg — duży, siny guz.

— To jest dżuma.

Który z nich to powiedział? Wszyscy spojrzeli na siebie wrogo i wynieśli się prędko z trującego zasięgu śmierci.

Nagle zrozumieli wszyscy jednocześnie, że są zgubieni. Znaleźli się w bezlitosnych rękach straszliwego, niewidzialnego wroga, który może opuścić ich tylko na krótki czas. W tym momencie wróg schodził może z żagli albo wypelzał z za masztu; mógł również w tejże sekundzie już nadchodzić z kajuty albo unosić wstrętne oblicze ponad pokład, by przeganiać

ich jak pomylonych po statku.

W każdym z nich zakiełkowała ponura wściekłość przeciwko towarzyszom niedoli, wściekłość, z której przyczyn nie potrafili sobie zdać sprawy.

Rozeszli się. Jeden stanął obok łodzi, pobladła jego twarz odbijała się na dole w wodzie. Inni pousiadali tu i tam na ławie pokładowej, nikt nie rozmawiał z innymi, pozostali wszakże wszyscy tak blisko siebie, by w chwili, w której niebezpieczeństwo byłoby już blisko, mogli znów się skupić. Nic jednak się nie stało. A mimo to wszyscy wiedzieli, że wróg był obecny i śledził ich.

Siedział gdzieś tutaj. Może pośrodku nich na pokładzie jak niewidoczny biały smok, który drżącymi pazurami szuka ich serc i gorącym oddechem rozprzestrzenia jad choroby po statku.

Czy nie są już chorzy, czy nie czują gdzieś tępego odurzenia i pierwszego ataku śmiertelnej gorączki? Marynarzowi przy burcie wydawało się, jak gdyby statek zaczął się pod nim kołysać i chybotać — to szybko, to powoli. Poszukał oczyma innych i ujrzał same zielone twarze, pogrążone w cieniach i napiętnowane już straszliwą bladą szarością w poszczególnych plamach na zapadniętych policzkach.

„Może już w ogóle umarli, a ty jesteś jedynym żyjącym?” — pomyślał sobie. Na tę myśl zimny strach przeszył mu ciało. Wydawało się, jak gdyby nagle chwyciła go z powietrza jakaś lodowata ręka.

Powoli dniało.

Nad wielkimi równiami morza, nad wyspami, wszędzie rozpościerała się szara mgła, wilgotna, ciepła i dusząca. Nad brzegiem oceanu tkwił mały czerwony punkt jak zapalone oko. To wschodziło słońce.

Męka oczekiwania na to, co niepewne, wypędziła ludzi z zajmowanych miejsc.

Co robić? Trzeba przecież zejść na dół, trzeba coś zjeść.

Myśl jednak, że trzeba może będzie przechodzić przy tym przez czyjeś zwłoki...

Tam, na schodach, usłyszeli ciche szczekanie. Najpierw pojawiła się morda psa statkowego, potem tułów, ale cóż to wisiało mu u pyska? Ochrypliły krzyk przerażenia wyrwał się równocześnie z czterech gardeł.

U psiego pyska zwiślał trup starego kapitana; najpierw ujrzeni jego włosy, potem twarz, wreszcie całe tłuste ciało w brudnej koszuli nocnej, wyciągnięte przez psa powoli na pokład. Leżało teraz na górze, przed schodami prowadzącymi do kajuty, na twarzy płonęły te same straszliwe, czerwone plamy.

Pies puścił ciało i schował się.

Wtem usłyszeli, jak mruczy głośno w jakimś kącie, potem kilkoma skokami przybiegł z tyłu znów na przód, ale gdy mijał grotmaszt, zatrzymał się nagle, zaczął rzucać w koło, wreszcie wyprężył łapy ku górze jakby broniąc się przed czymś. Jednakże niewidzialny prześladowca zdawał się trzymać go bezlitośnie w pazurach.

Oczy psa wypłynęły na zewnątrz, jak gdyby osadzone były na łądych, język wysunął się z pyska. Zwierzę zacharczało kilka razy, jak gdyby zaciśnięto mu gardziel. Wstrząsnął nim ostatni skurcz, wyciągnęło nogi przed siebie i — przestało żyć.

Tuż potem Francuz usłyszał zupełnie wyraźnie człapiące koło siebie kroki, a przerażenie uderzyło go w czaszkę jak spiżowy młot.

Chciał zamknąć oczy, nie mógł jednak tego uczynić. Przestał być panem własnej woli.

Kroki posuwały się prosto przez pokład w kierunku Portugalczyka, który oparł się tyłem o ścianę statku, a rękami jak obłąkany uczepił burty.

Człowiek ten z pewnością widział coś. Chciał uciec, wydawało się, że chce przemocą oderwać nogi od podłogi, nie miał jednak siły. Niewidzialna istota zdawała się go chwycić. Wtem rozwarł zęby jakby w nadmiarze wysiłku i chropowatym głosem, dochodzącym niby z daleka, wybelkotał słowa:

— Mamo, mamo!

Oczy jego zgasły, twarz zszarzała jak popiół. Kurcz członków ustąpił. Padł do przodu, uderzając czołem ciężko o pokład statku.

Niewidzialna istota poszła dalej, Francuz usłyszał znowu wlokące się kroki. Wydawało się, że zmierza w stronę obu Anglików. Okropna scena powtórzyła się raz jeszcze. Tutaj również nastąpiło to samo dwukrotne wołanie, które ostatnia, śmiertelna trwoga wycisnęła im z gardła:

— Mamo, mamo!

Razem z tym wołaniem uszło z nich życie.

„Teraz przyjdzie do mnie” — pomyślał Francuz. Lecz nie przyszło nic, nic nie zakłóciło spokoju. Pozostał sam ze zmarłymi.

Czas poranku posunął się. Francuz nie ruszył się z miejsca. Opanowała go tylko jedna myśl: kiedy nadejdzie. Wargi jego powtarzały mechanicznie krótkie zdanie: „Kiedy nadejdzie, kiedy nadejdzie?”

Mgły powoli rozstały się. A słońce, które teraz stało prawie w pozycji południa, przemieniło morze w olbrzymią błyszczącą powierzchnię, w jakąś ogromną tafelę srebrną, która z kolei sama, niczym drugie słońce, wydzielała światło w przestrzeń.

Nastała znów cisza. Tropikalny upał kipiał wszędzie w powietrzu, które zdawało się wrzeć. Pot spływał Francuzowi z szarej twarzy zagłębieniami grubych zmarszczek. Głowa, nad której ciemieniem wisiało słońce, wydawała mu się olbrzymią czerwoną wieżą, pełną ognia. Widział zupełnie dokładnie, jak głowa rośnie mu od wewnątrz ku niebu. Coraz wyżej i coraz goręcej było wewnątrz. Ale w środku schodami krętymi, których ostatnie spirale ginęły w białym ogniu słońca, pełził zupełnie powoli śliski, biały ślimak. Jego rożki podchodziły, macając, w górę wieży, podczas gdy mokry odwłok wił się jeszcze w gardle.

Doznawał niejasnego odczucia, że właściwie jest za gorąco, że właściwie żaden człowiek nie może tego wytrzymać.

Wtem — bum! — ktoś uderzył go ognistym drągiem w głowę tak, że upadł. „To śmierć” — pomyślał. Przez chwilę leżał na rozżarzonych dylach statku.

Nagle obudził się. Jakiś delikatny, cienki śmiech zdawał się zamierać z tyłu za nim. Spojrzał i zobaczył: statek płynął, statek płynął, wszystkie żagle były podniesione. Wydymały się, białe i napuszone, ale nie było wcale wiatru, najłżejszego powiewu. Morze błyszczało jak lustro, białe, prawdziwe ogniste piekło. A w górze, na niebie, słońce rozpływało się w zenicie jak olbrzymia masa stali rozżarzonej do białości. Kapało z całego nieba, wszędzie przyczepiał się jego ogień, powietrze zaś zdawało się płonąć. W zupełnej dali jak kilka sinych punktów leżały wyspy, gdzie zarzucili kotwicę.

Naraz w górze pojawiło się znów przerażenie, olbrzymie jak tysiçonogi wij, który biegł przez jego żyły, wywołując za sobą ich zeszywnienie, gdzie tylko przedostawało się mrowie zimnych nóżek.

Przed nim leżeli nieżywi ludzie. Ale twarzą do góry. Kto ich odwrócił? Skórę mieli sinozieloną. Białe ich oczy spoglądały na niego. Poczynający się rozkład rozchylił im wargi i zmarszczył policzki w wyraz obłąkanego śmiechu. Tylko trup Irlandczyka spał spokojnie w hamaku.

Francuz usiłował podciągnąć się przy burcie statku powoli w górę, zupełnie bezmyślnie. Ale niewypowiedziany strach odebrał mu wszelkie siły. Upadł na kolana. Zrozumiał, że teraz przyjdzie.

Za masztem stało coś. Jakiś czarny cień. Teraz to coś przeszło człapiącym krokiem przez pokład. Teraz stanęło za daszkiem kajuty, a teraz wyszło z za daszka.

Stara kobieta w czarnej, staromodnej sukni, długie białe loczki spadały jej z obu stron na bladą, starczą twarz. W twarzy tej tkwiła, jak para guzików, para oczu nieokreślonego koloru, uporczywie w niego wpatrzonych. Twarz ta była wszędzie usiana sinymi i czerwonymi

krostami, na czole zaś sterczały jak diadem dwa czerwone guzy, na które zaciągnięty był biały czepeczek babciny. Szeleszcząc czarną krynoliną, szła prosto ku niemu. W przystępie ostatniej rozpaczy unosił ręce i nogi. Serce przestało mu bić. Upadł znowu.

Teraz była już tak blisko, że widział, jak oddech wychodzi z jej ust niczym powiewająca chorągiew.

Uniósł się jeszcze raz. Lewe ramię było już sparaliżowane. Coś zmusiło go do zatrzymania się, coś olbrzymiego przytrzymało go. Ale nie zrezygnował jeszcze z walki. Prawą ręką przydusił ją do dołu i wyrwał się.

Chwiejnym krokiem, bez zastanowienia, puścił się wzdłuż burty, obok nieboszczyka w hamaku, ku przodowi, gdzie wielka drabinka sznurowa biegła od końca bukszprytu na przedni maszt.

Zaczął się wspinać po drabinie, obejrzał się.

Dżuma biegła za nim. Była teraz już na najniższych szczeblach. Musiał zatem dostać się wyżej, wyżej. Dżuma nie dawała jednak za wygraną, była szybsza od niego, musiała go doścignąć.

Chwytał za sznury rękami i nogami jednocześnie, stawiał kroki tu i tam, zaplątał się stopą w okach, wyrwał ją, wreszcie znalazł się na górze. Dżuma była oddalona jeszcze kilka metrów. Zaczął się drapać wzdłuż najwyższej rei. Na jej końcu zwisała lina. Dopełznął do końca rei. Ale gdzież podziiała się lina? Zobaczył tylko pustą przestrzeń.

Głęboko w dole było morze i był pokład. I akurat pod nim leżeli obaj zmarli.

Chciał się cofnąć, a tu dżuma była już na drugim końcu rei.

Teraz zaś, unosząc się swobodnie na drewnie, zbliżała się chwiejnym krokiem jak stary majtek.

Dzieliło go od niej jeszcze tylko sześć kroków, jeszcze tylko pięć. Liczył je po cichu, podczas gdy śmiertelny strach rozwierał mu gwałtownym kurczem szczęki, jak gdyby przy ziewaniu. Trzy kroki, dwa kroki...

Cofnął się, sięgnął rękami w powietrze, chcąc się czegoś uchwycić, wywrócił i z trzaskiem spadł głową naprzód, uderzając nią w żelazną plankę. Legł z rozbitą czaszką.

Nad spokojny ocean nadciągał szybko ze wschodu czarny sztorm. Słońce skryło się w grubych chmurach jak umierający człowiek, zakrywający twarz chustą. Parę wielkich dżonek chińskich, które wychynęły z półmroku, miało rozwinięte wszystkie żagle i sunęło z szumem, uciekając przed sztormem z zapalonymi ku czci bogów lampionami i dźwiękiem piszczałek. Minął je statek — olbrzymi jak lecący cień demona. Na jego pokładzie stała czarna postać. W odbłaskach ognia zdawała się rosnąć, głowa jej wznosiła się powoli nad maszty, potężnymi ramionami zaś wymachiwała zataczając koła, jak żuraw lecący pod wiatr. Wśród chmur rozwarł się blady otwór. A statek zdążał prosto w tę straszliwą jasność.

Przełożył *Henryk Paweł Anders*

Alfred Döblin  
**MORD NA KWIECIE KACZEŃCA**

Z początku ów czarno ubrany pan liczył kroki, jeden, dwa, trzy aż do stu i z powrotem, idąc pod górkę szeroką drogą świerkową do kościoła św. Otylii. Za każdym ruchem kołysał się mocno w biodrach, na prawo i lewo tak, że niekiedy się zataczał; później o tym zapomniał.

Jasnopiwne oczy tryskające pogodą wpatrzone były w ziemię rozciągającą się pod stopami, ramiona zaś, wprawione w ruch od samych barków wymachiwały tak, że białe mankiety zsunęły się aż do połowy ręki. A gdy żółtoczerwone światło wieczoru błysnęło z nagła

spomiędzy pni drzew zmuszając oczy do zmrużenia, wtedy głowa nagle się odchyłała, a ręce wykonywały gwałtowne gesty obronne. Cienka laseczka spacerowa balansowała w prawej ręce ponad trawą i kwieciami rosnącym po brzegu drogi, igrając z kwiatkami.

I gdy tak ów pan szedł sobie spokojnie, nie zwracając na nic uwagi, laseczka zahaczyła się o to mizerne zielsko. Nie zatrzymał się, lecz dalej idąc tym samym spacerowym krokiem, pociągnął ją tylko lekko za uchwyt. Potem odwrócił się z urazą i przytrzymując ją mocno ramieniem, szarpnął, zrazu bezskutecznie, po czym wyrwał ją przy pomocy obu rąk zaciśniętych w pięść; wstrzymując dech rzucił dwa ostre spojrzenia, na laseczkę i na trawę, tak że złoty łańcuszek aż podskoczył mu u kamizelki.

Grubas stał przez moment oniemiały. Sztynny kapelusz zsunął się mu na kark. Zmierzył wzrokiem wybujałe kwiaty, a potem, wzniosłszy laskę, rzucił się na nie, i z twarzą nabiegłą krwią, zaczął siec nieme rośliny. Ciosy świstały na prawo i lewo. Łodygi i liście fruwały aż na drugą stronę drogi.

Sapiąc głośno, z błyszczącymi oczami, ruszył w dalszą drogę, tak szybko, że drzewa tylko migały; nie zważał na nic. Miał wysoko zadarty nos i twarz bez zarostu, twarz starzejącego się dziecka ze słodkimi usteczkami.

Przy ostrym skręcie drogi w górę należało uważać. Gdy już nieco zwolnił kroku i zdenerwowany wycierał sobie ręką pot z nosa, poczuł, że twarz wykrzywiła mu się w grymas, oraz że pierś oddycha gwałtownie. Przeraził się na myśl, że mógłby go ktoś zobaczyć, ktoś z jego kręgu od interesów, albo też jakaś dama. Przejechał ręką po twarzy i to muśnięcie upewniło go, że już się wygładziła.

Szedł spokojnie. Dlaczego jednak dyszał? Uśmiechnął się z niejakim zawstydzeniem. Nagle skoczył ku kwiatom i zaczął je siec laską; tak, otóż siekł je popędliwie i bardzo celnie, ruchami rąk, jakimi zwykł był swoich czeladników bić po twarzy, gdy mu nie dość sprawnie łapali muchy i, posortowane według wielkości, przedkładali w kantorze.

Wciąż jeszcze ów poważny pan kiwał głową nad tym szczególnym zdarzeniem. „Człowiek robi się nerwowy w mieście. To miasto tak działa mi na nerwy”. Kołysząc się w zamiśleniu w biodrach, zdjął z głowy sztywny angielski kapelusz i zaczął wachlować ku sobie świerkowy aromat.

Wkrótce znów zaczął liczyć kroki, raz, dwa, trzy, noga za nogą, ramiona wprawione w ruch kiwały się od samych barków. I nagle, omiótłszy wzrokiem brzeg drogi, pan Michael Fischer zobaczył, jak jakaś przysadkowata postać, on sam schodząc z murawy, rzuca się na kwiaty i jednemu kaczeńcowi odcina zręcznie głowę. Całkiem namacalnie rozegrało się przed nim to, co wydarzyło się przedtem na cienistej drodze. Ten kwiat, tam, był dokładnie jotę w jotę taki sam jak inne. Ale właśnie ten jeden przyciągnął jego spojrzenie, jego rękę, jego laskę. Podniosło się ramię, kij świsnął, ciach, i głowa spadła. Przekoziółkowała się w powietrzu, zniknęła w trawie. Dziko zabiło serce kupca. Ciężko spadła odcięta głowa rośliny i zaczęła wkręcać się w trawę, głębiej, coraz głębiej, poprzez powierzchnię murawy, w ziemię. Teraz zaczęła pędzić dalej, w głąb ziemi, tak że nie zdołałaby zatrzymać jej już żadna ręka. A górą, z kikuta łodygi kapała, płynęła z szyi biała krew, za głową, w ową szczelinę, najpierw troszkę jak u sparaliżowanego, któremu ślina cieknie z kącików ust, a potem popłynęła grubym strumieniem jak szlam, z żółtą pianą, prosto na pana Michaela, który na próżno usiłował uciec, umykał skokami w prawo, umykał w lewo, chciał przeskoczyć przez to na drugą stronę, a to coś już zaczęło lizać mu nogi.

Pan Michael odruchowo wsadził kapelusz na spoconą głowę. przycisnął ręce z laską do piersi. „Co się stało? — spytał po chwili. — Nie jestem pijany. Niemożliwe, żeby głowa się zapadła, ona musi tu leżeć, musi leżeć tu gdzieś w trawie. Jestem przekonany, że ona teraz spokojnie leży w trawie. A krew... Nie przypominam sobie tego kwiatka, nie wiem absolutnie o niczym.”

Zdziwiony, zmieszany, nie dowierzał sam sobie. Zastygł cały w tym niesamowitym

wzburzeniu, wstrząśnięty myślał o kwiatku, o uciętej głowie, o krwawiącej lodydze. Wciąż jeszcze skakał przez ten szlamowaty potok. No, gdyby go kto tak widział, ktoś z jego przyjaciół od interesów lub jakaś dama...

Pan Michael napuszył się, prawą ręką ścisnął kurczowo laskę. Spojrzał na swoje ubranie i upewnił się co do swojej postawy. A z tymi nieposłusznymi myślami już on sobie poradzi: zapanować nad sobą. Tym brakiem posłuszeństwa już on, szef, pokieruje energicznie. Tej tu czeredzie trzeba z całą stanowczością stawić odpór: „Czym można służyć? W mojej firmie takie postępowanie nie jest w zwyczaju. Służący, precz z tym łobuzem”. Stojąc wygrażał przy tym laską dokoła. Przybrał odpychający, zimny wyraz twarzy, no, niech no tylko. Jego pewność siebie posunęła się nawet tak dalece, że tam, na górze, na tej szerokiej uczęszczanej drodze, kpił już ze swego lęku. Ależ by się ośmieszył, gdyby na wszystkich słupach ogłoszeniowych Freiburga następnego ranka wisiał czerwony plakat: „Popełniono mord na dorosłym kaczeńcu, na drodze z Immental do kościoła św. Otylii między siódmą i dziewiątą wieczorem. Podejrzany o mord” et cetera. Tak to podrwiwał z siebie, opadłszy z sił, pan w czerni, zażywając chłodu wieczora. A tam, niżej, piastunki do dzieci, różne parki, znajdują to, czego dokonała jego ręka. Wtedy rozlegnie się krzyk i nastąpi ucieczka w panice do domu. Jego to będą mieć na myśli urzędnicy kryminalni, mordercę, który skrycie będzie śmiać się w kułak. Pan Michael aż wstrząsnął się z przerażenia nad własnym szaleństwem, nigdy by nie przypuszczał, że może być takim nikczemnikiem. Lecz tam na dole leżał widoczny dla całego świata dowód wybuchu jego energii.

Tulów sterczy sztywno ku górze, biała krew sączy się z szyi.

Pan Michael wyciągnął przed siebie ręce ruchem z lekka obronnym.

A tymczasem z góry sączy się ciągle bardzo gęsta i maziowata ciecz, tak że mrówki się przyklejają.

Pan Michael potarł skronie i westchnął głośno.

W pobliżu w trawie gnije głowa. Depczą po niej, rozmywa się w deszczu, rozkłada się. Robi się z niej żółta śmierdząca miazga, zielonkawa, mieniająca się żółtawo, szlamowata jak wymiociny. I to coś podnosi się żywe na niego, właśnie na pana Michaela, chce go zalać, opływa chlupoczącym strumieniem jego ciało, bryzga w nos. On podskakuje w górę, teraz już tylko wspina się na palcach.

Delikatny pan wdrygnął się. Poczul obrzydliwy smak w ustach. Z odrazy nie mógł przełykać, bez przerwy spluwał śliną. Co rusz potykał się, uskakiwał niepewnie coraz dalej, z siną bledością na wargach.

„Wzbraniam się, jak najbardziej stanowczo wzbraniam się nawiązać jakiegokolwiek stosunki z waszą firmą”.

Przycisnął chusteczkę do nosa. Ta głowa musi zniknąć, lodygę trzeba przykryć, zdeptać, zagrzebać. Las miał woń roślinnych trupów. Woń dochodziła aż do pana Michaela i owiewała go, stawała się coraz bardziej intensywna. Trzeba na to miejsce zasadzić inny kwiat, ładnie pachnący, najlepiej cały ogród z goździkami. Ta padlina wśród lasu musi zniknąć. Precz!

W momencie, kiedy pan Fischer już miał zamiar zatrzymać się, przemknęło mu przez myśl, że to po prostu śmieszne zawracać, więcej niż śmieszne. Cóż go obchodzi ten kaczeńiec? Wściekła złość zapłonęła w nim na tę myśl tak dalece, że aż sam poczuł się zaskoczony. Nie mógł się pozbierać, ugryzł się we wskazujący palec: „Uważaj, ty, powiadam ci, uważaj, przekłety łobuzie”. Równocześnie zawładnął nim zniechęcający ogromny strach.

Ponury grubas rozejrzał się trwożnie wokół, sięgnął do kieszeni od spodni, wyciągnął scyzoryk i otworzył go.

Nogi tymczasem niosły go dalej. Zbuntowały się przeciw niemu. Także one chciały rzucić się na swego pana; wzburzyło go to ich samowolne pędzenie przed siebie. On już te koniki w mig okielzna. Niech poczują. Ostre ukłucie w bok już je tam poskromi. A one niosły

go wciąż dalej i dalej. Wyglądało to prawie tak, jakby uciekał od miejsca zbrodni. Niech nikt w to nie wierzy. Jakiś szum ptaków, jakieś dalekie kwilenie było w powietrzu, wznosiło się od dołu ku górze. „Stać, stać! — wrzeszczał na swoje nogi. I wtedy wbił nóż w jakieś drzewo.

Obojgiem ramion objął pień i potarł policzkiem o korę. Palce rąk wykonywały w powietrzu jakieś ruchy, jakby coś zgniatały: „Do Kanosy nie pójdziemy!” Z czołem napiętym z wysiłku wpatrywał się blady jak śmierć w rysę w drzewie, przywarł do niego plecami, jakby od tyłu miało coś wyskoczyć na niego. Bezustannie słyszał, jak dźwięczy coś niby połączenie telefoniczne między nim a owym miejscem, mimo że kopniakami usiłował poplątać i podeptać druty. Starał się ukryć przed sobą, że jego wściekłość jakby się już uspokoiła, że drgnęły w nim cicha żądza i pragnienie, żeby tej żądzy dać folgę. Z zakamarków jaźni wyrwało się pożądanie za kwiatem i za miejscem zbrodni.

Pan Michael zrobił dla próby kilka zgięć w kolanach, powęszył w powietrzu nad słuchując na wszystkie strony, i szeptał ogarnięty strachem: „Chcę tylko pogrzebać tę głowę, nic poza tym. Potem wszystko będzie dobrze. Szybko, błagam, błagam”. Z uczuciem determinacji zamknął oczy, obrócił się na pięcie niby od niechcienia. A potem powlókł się, jakby nigdy nic, z powrotem, prosto z góry, beztróskim spacerowym krokiem, z cichym pogwizdywaniem, któremu nadał ton niefrasobliwości, i głaskał, oddychając z uczuciem ulgi, pnie drzew po drodze. Uśmiechał się przy tym, a jego usteczka zrobiły się okrągłe jak dziurka. Zaśpiewał głośno piosenkę, która mu nagle wpadła do głowy: „Siedział zajączek w bruździe i spał”. I znów szedł tanecznym krokiem, kołysząc się w biodrach, wymachując ramionami. Laskę z poczuciem winy wsunął głęboko w rękaw. Raz po raz przy zakręcie drogi nagle zawracał i skradając się patrzył, czy go kto nie obserwuje.

Może ten kwiat jeszcze żyje; no, bo niby skąd ma wiedzieć, że jest martwy. Przemknęło mu przez głowę, że mógłby rannego wyleczyć, gdyby podparł go patyczkami, a wokół głowy oraz łodygi założył opatrunek. Począł iść szybciej, i zapominając o swojej postawie, zaczął biec. Nagle zadrżał przed tym, co go czeka. Przy zakręcie upadł jak długi prosto na odrąbany pień, uderzył się w pierś i brodę tak mocno, że aż głośno jęknął. Wyprostował się, zostawił przez zapomnienie kapelusz w trawie, złamana laska rozdarła mu rękaw od wewnątrz; nawet tego nie zauważył. Hoho, chciano go zatrzymać, ale nic nie jest w stanie go zatrzymać; on już go znajdzie. Powlókł się znów z powrotem. Gdzież jest to miejsce? Musi to miejsce znaleźć. Gdybyż tylko mógł przywołać ten kwiat. Ale jakże on się nazywał? Nie wiedział nawet, jak on się nazywał. Ellen? Może było mu na imię Ellen, tak, na pewno Ellen. Szeptał w trawę, pochylał się, nawet trącał kwiaty ręką.

„Jest tu Ellen? Gdzie leży Ellen? Wy, tam, no co? Ona jest ranna, w głowę, nieco poniżej głowy. Może jeszcze o tym nie wiecie. Chcę jej pomóc; jestem lekarzem, samarytaninem. No, gdzie ona leży? Możecie mi zaufać, zapewniam was”.

Lecz w jaki sposób miał ją rozpoznać, on, który ją złamał? Może to właśnie ją chwycił w rękę, może ona tu w pobliżu niego wydawała ostatnie tchnienie.

Do tego nie wolno dopuścić.

Wrzeszczał: „Wydajcie ją. Nie unieszczęśliwiajcie mnie, wy, psy. Jestem samarytaninem. Nie rozumiecie po niemiecku?”

Położył się całym ciałem na ziemi, szukał, rył wreszcie na oślep w trawie, rozgniatał i rozrywał kwiaty, a jego oczy wprost płonęły. Potem długo jeszcze patrzył otepiąły przed siebie.

„Należy wydać. Na zasadzie przyjętych warunków. Rokowań. Lekarz ma prawo do chorego. Niech wkroczą tu przepisy”.

Drzewa stały głęboko czarne w sinym powietrzu, i tu nad drogą, i wszędzie wokoło. Bo też było i za późno, głowa z pewnością już uschła. Wstrząsnęła nim myśl o nieodwołalnej śmierci i dreszcz przeszedł mu po plecach.

Czarna baryłkowata postać podniosła się z trawy i potoczyła się wzdłuż skraju drogi w



dół.

Ona umarła. Z jego ręki.

Westchnął i potarł w zamyśleniu czoło.

Opadną go ze wszystkich stron. Niechby nawet, nie obchodzi go już nic więcej. Jest mu to obojętne. Być może, obetną mu głowę, oderwą uszy, ręce włożą w rozżarzone węgle. On już nie może nic więcej uczynić. Wiedział, że to sprawiłoby im wszystkim uciechę, lecz on nie wydałby z siebie ani jednego dźwięku, żeby tym podłym parobkom katowskim dać zabawę. Oni nie mieli prawa karać go, sami byli niegodziwcami. Tak, zabił kwiat, i to ich nic nie powinno obchodzić, miał do tego swoje prawo i obstaje przy tym przeciwko nim wszystkim. Miał swoje prawo zabijać kwiaty, i nie czuje się zobowiązany uzasadniać tego bliżej. Tyle kwiatów, ile tylko zechce, mógłby zabić, na tysiąc mil wkoło, na północ, południe, zachód i wschód, choćby oni nawet śmiali się z tego szydlerczo. A gdyby nie przestali się śmiać, skoczyłby im do gardła.

Stanął; jego oczy patrzyły gniewnie w głęboką czerń świerków. Wargi były napęczniałe od krwi. Potem ruszył pędem przed siebie.

Chyba musi tu w lesie złożyć kondolencje siostrze zmarłej. Da do zrozumienia, że to nieszczęście stało się prawie bez jego udziału, wspomni o pożałowania godnym wyczerpaniu, w jakie popadł. I o upale. A tak w gruncie rzeczy to wszystkie kaczęce razem wzięte są mu obojętne.

Z rezygnacją wzruszył ramionami: „Co oni jeszcze ze mną zrobią?” Przejechał brudnymi palcami po policzkach; stwierdził, że nie były takie jak trzeba.

Co to wszystko ma znaczyć; na miłość boską, czego on tu szuka!

Jak najkrótszą drogą chce stąd umknąć, w tył zwrot i prosto przez las, zastanowić się jeszcze raz jasno i spokojnie. Całkiem wolno, punkt po punkcie.

I żeby nie upaść na śliskim gruncie, zataczając się, chwytając się drzew. Kwiat, myśli chytrze, niech sobie zostanie na drodze tam, gdzie stoi. Jest dość takiego martwego zielska na świecie.

Ogarnia go jednak przerażenie, gdy spostrzeża, jak z jakiegoś pnia, którego dotknął, wycieka okrągła, jasnoblada kropla żywicy; drzewo płacze. W ciemności, złorzeczając na ścieżkę, spostrzeża wkrótce, że droga zwęża się jakoś dziwnie, jakby las chciał go zwabić w pułapkę. Drzewa zbierają się na sąd.

Musi się wydostać.

Znowu mocno uderzył się w pędzie o jakąś niską sosnę; a ta, uniósłszy ramiona, bije go. Wtedy siłą toruje sobie drogę, podczas gdy krew spływa mu strumieniem po twarzy. Spluwa śliną, zadaje ciosy na oślep, potyka się o drzewa głośno krzycząc, objijając się stacza się w dół, wreszcie na łeb na szyję pędzi przez ostatni odcinek na skraju lasu, w kierunku światła wsi, zarzuciwszy sobie podarty surduta na głowę, podczas gdy góra za nim odgrażając się szumi, grozi pięściami, a zewsząd słychać trzeszczenie i łamanie się drzew, które w trop za nim biegną i złorzeczają.

Stanął w kompletnym bezruchu koło latarni przed małym wiejskim kościółkiem. Nie miał kapelusza na głowie, w zmierzwionych włosach była czarna ziemia i sosnowe szpilki, których nawet nie strzepywał. Ciężko oddychał. A gdy mu ciepła krew popłynęła po grzbiecie nosa, wziął powolnym ruchem w obie ręce róg surduta i przycisnął go do twarzy. Potem podniósł ręce do światła i zadziwił się grubymi i niebieskimi żyłami na grzbiecie dłoni. Gładził te grube węzły i nie mógł ich rozmasować. Na dźwięk elektrycznej kolejki podreptał dalej wąskimi zaułkami do domu.

Teraz siedział całkiem ogłupiały w swojej sypialni, mówiąc głośno przed siebie: „Oto siedzę tu, oto siedzę”, i rozglądał się z powątpiewaniem po pokoju. Zaczął chodzić tam i z powrotem, zdjął z siebie ubranie i schował je gdzieś w rogu szafy na rzeczy. Włożył inne czarne ubranie i siadłszy na kanapie zaczął czytać dziennik. Zmiał go w trakcie czytania; coś

się zdarzyło, zdarzyło się coś. Bez reszty zaś upewnił się co do tego, gdy nazajutrz usiadł przy swoim pulpicie. Martwy jak kamień, nie był w stanie zakląć, jakaś dziwna cisza promieniowała z niego wokoło.

Z upartą gorliwością wmawiał sobie, że to wszystko musiał chyba śnić; ale krwawe pręgi na czole były prawdziwe. Zatem muszą istnieć sprawy, które są niewiarygodne. Drzewa dosięgały go bijąc, powszechny szloch rozlegał się nad zmarłą. Siedział zatopiony w myślach i nie troszczył się, ku zdziwieniu personelu, nawet o brzęczące muchy. Potem zaczął prześladować swoich uczniów ponurą miną, opuścił się w pracy i chodził tam i z powrotem. Widziano go często, jak bił pięścią w stół, nadymał policzki, wrzeszczał, że wreszcie zrobi porządek w interesie, i wszędzie, i nikomu nie pozwoli sobie tańczyć po nosie.

A gdy zagłębił się w rachunkach, okazało się nazajutrz przed południem, że dopisał kaczeńcowi dziesięć marek na korzyść. Przeraził się, popadł w gorzką zadumę nad swoją niemocą i poprosił prokurenta, żeby prowadził dalej rachunki. Po południu zaś osobiście włożył te pieniądze w osobną kasetkę; doszło nawet do tego, że założył dla kaczeńca oddzielne konto; poczuł się zmęczony, chciał mieć wreszcie święty spokój. Wkrótce odczuł potrzebę składania ofiary z potraw i napojów. Mała miseczka dla kaczeńca zjawiała się odtąd codziennie obok nakrycia pana Michaela. Gospodyni załamała ręce, gdy nakazał jej podać to nakrycie; ale pan w przystępie niebываłego wybuchu gniewu wyprosił sobie wszelką krytykę.

Pokutował, pokutował za swą tajemną winę. Odprawiał nabożeństwo do kaczeńca; on, spokojny kupiec, zaczął twierdzić, że każdy człowiek ma swoją własną religię, że należy mieć indywidualny stosunek do jakiegoś nieogarnionego Boga. Istnieją rzeczy, które nie każdy obejmie rozumem. Na jego twarzy poważnego małąpiątka pojawił się rys cierpienia; zgubił tuszę, oczy zapadły się głęboko. Kwiat wnikał w jego poczynania niczym sumienie, surowo, w największe sprawy i w najmniejsze, codzienne.

A słońce w tych dniach szczerze świeciło na miasto, na klasztor, na górę zamkową, świeciło całą pełnią życia. I wtedy któregoś ranka stojąc w oknie zapłakał ów zatwardziały człowiek po raz pierwszy od dzieciństwa. Zapłakał bez powodu, tak że omal nie pękło mu serce. Całe piękno świata zrabowała mu Ellen, ten znieawidzony kwiat, i teraz, przy pomocy całej wspaniałości przyrody oskarżała go. Słońce jaśniej swymi promieniami, a ona tego nie widzi; nie dane jej napawać się zapachem białych jaśminów. Nikt nie zadba o miejsce jej haniebnej śmierci, nikt się tam nie pomodli: to wszystko ma prawo rzucić mu prosto w twarz, choćby to było i śmieszne, a on odpycha to rękami. Wszystkiego została pozbawiona: światła księżycy, szczęścia oblubienicy lata, pogodnego żywota wespół z kukułką, ze spacerowiczami, z wózkami dziecięcymi. Zaciął swoje małe usteczka; chciał zatrzymać ludzi idących tam na górę. Gdybyż ten świat za jednym westchnieniem zapadł się, żeby temu kwiatu wreszcie zatkać pysk. Tak, myślał o samobójstwie, żeby wreszcie mieć spokój.

Raz po raz traktował Ellen z wściekłością, odrzucając precz, przypierał ją w nagłym rozbiegu do ściany, oszukiwał ją w małych drobiazgach, przewracał niby mimochodem jej miseczkę, rozliczał się na jej niekorzyść. Czasem traktował ją przebiegle, jak konkurenta w interesach. W rocznicę jej śmierci udawał, jakby nic sobie nie przypominał. Dopiero gdy zdawała się bardziej natarczywie upominać się o jakąś skromną uroczystość, poświęcił jej pamięci pół dnia.

Pewnego razu w towarzystwie pytano się nawzajem o ulubioną potrawę. Gdy spytano pana Michaela, co najchętniej lubi jeść, z zimnym rozmysłem odpowiedział prosto z mostu: kaczeńce; „kaczeńce są moją ulubioną potrawą”. Wszyscy wybuchnęli śmiechem, zaś pan Michael skurczył się na swoim krześle, z zaciśniętymi zębami słuchał śmiechu, upajając się tym, że rozzłościł kaczeńca. Czuł się jak odrażający smok, który z całym spokojem pożera wszystko co żywe, myślał o różnych takich przewrotnych japońskich sprawach i o harakiri. Mimo że w duchu oczekiwał od niej jakiejś ciężkiej kary.

Taką wojnę podjazdową prowadził z nią nieustannie; nieustannie miotał się między

udręką śmierci a ekstazą; rozkoszował się trwożliwie wściekłym wrzaskiem Ellen, który, jak mu się zdawało, słyszał raz po raz. Codziennie wymyślał nowe podstępny; często, w najwyższym podnieceniu, wychodził z kantoru do swego pokoju, żeby tam spokojnie obmyśleć plany. Trwała więc ta wojna w ukryciu, i nikt o niej nie wiedział.

Kwiat należał do niego, do komfortu jego życia. Ze zdziwieniem myślał o czasach, kiedy go jeszcze nie było. Chodził teraz często z hardą miną na spacer do lasu, w kierunku kościoła św. Otylii. I gdy tak wypoczywał któregoś słonecznego późnego popołudnia na jakimś obalonym pniu drzewa, zaświtała mu myśl: Tu, na tym miejscu, gdzie teraz siedzi, stał niegdyś jego kaczeniec, stała Ellen. To musiało być tu. Żalność i nieśmiałe nabożeństwo opanowały grubego pana. Jakże się wszystko odmieniło od tamtego wieczora do dziś! W zamysleniu pozwolił z lekka pociemniałym oczom błąkać się przyjaźnie po zielskach, po siostrach, może córkach Ellen. Po dłuższej zadumie drgnęło coś łobuzersko w jego gładkiej twarzy. Oj, teraz dostanie się coś jego kochanemu kwiatkowi. Jeśli wygrzebie z ziemi jakiegoś kaczeńca, jakąś córkę zmarłej i zasadzi ją w domu, będzie o nią dbać i pielęgnować, wtedy będzie miała ta stara ze swojej latorośli młodą nierządnicę. Tak, gdy się dobrze nad tym zastanowić, może ze wszystkim odkupić śmierć starej. Uratuje bowiem temu kwiatu życie, i tak zrekompensuje śmierć matki; ta córka prawdopodobnie i tak zejdzie na złą drogę. Och, ależ rozzłości to starą, całkiem ją unieszkodliwi. Biegły w prawie kupiec przypomniał sobie o paragrafie dotyczącym kompensacji wina. Wykopał więc scyzorykiem jakąś roślinkę w pobliżu, zaniósł ją ostrożnie w gołej ręce do domu i zasadził we wspaniale poślacanym naczyniu porcelanowym, które postawił na mozaikowym stoliku w swojej sypialni. Na dnie naczynia napisał węglem: „§ 2403, ustęp 5”.

Uszczęśliwiony podlewał codziennie roślinę ze złowrogim skupieniem i ofiarowywał ją zmarłej, Ellen. W myśl prawa, ewentualnie według przepisów policyjnych była zmuszona do rezygnacji ze swych pretensji; nie dostała już żadnego nakrycia przy stole, żadnej potrawy, żadnych pieniędzy. Często, gdy leżał na kanapie, wydawało mu się, że słyszy jej pojękiwania, jej przeciągłe westchnienia. Samopoczucie pana Michaela poprawiało się w niebywały sposób. Czasem miewał napady nieomal manii wielkości. Nigdy dotąd życie nie upływało mu tak przyjemnie.

Gdy któregoś dnia wieczorem wrócił spacerkiem, zadowolony, ze swego kantoru do mieszkania, jego gospodyni zaraz od drzwi oświadczyła mu jakby nigdy nic, że przy sprzątanu stoliczek się przewrócił i naczynie się zbiło. I że ona to podle zielsko śmietnikowe kazała wrzucić razem ze wszystkimi skorupami do wiadra na śmieci. Rzeczowy, lekko pogardliwy ton, którym ta osoba informowała o zdarzeniu, dawał do zrozumienia, że to co zaszło, sprawiło jej zadowolenie.

I wtedy przysadkowaty pan Michael zatrzasnął drzwiami, klasnął w swoje krótkie rączki, zapiszczał głośno ze szczęścia i objąwszy w biodrach zaskoczoną kobietę, podniósł ją w górę tak wysoko, jak na to pozwoliły siły i odległość do sufitu. Potem, niczym pies merdający ogonem wybiegł przez korytarz do swojej sypialni, z płonącymi oczami, podniecony do najwyższego stopnia; głośno dyszał, tupał nogami, jego wargi drżały.

Nikt nie mógł mu nic zarzucić; on nawet w najskrytszych myślach nie życzyłby kwiatu śmierci, nawet najmniejszym odruchem jednej myśli nie przyczynił się do tego. Ta stara, świekra, może teraz przeklinać i mówić co jej się żywnie podoba. On teraz nie ma już z nią nic wspólnego. Są rozwiedzeni. Wreszcie pozbył się już tego całego pokrewieństwa z kaczeńcami. Prawo i szczęście były po jego stronie. Nie ma co do tego żadnych wątpliwości. Wystrychnął cały ten tam las na dudka.

Natychmiast zapragnął wyruszyć do kościółka św. Otylii, do tego mrukliwego, dusznego lasu. W duchu wymachiwał już swoją czarną laseczką. Kwiaty, kijanki, także ropuchy muszą w to uwierzyć. Może mordować, ile tylko zechce. Gwiżdże na wszystkie kaczeńce.

Pelen złośliwej radości aż kulał się ze śmiechu na kanapie ów przysadzisty, starannie

ubrany kupiec, pan Michael Fischer.

Potem poderwał się, nacisnął kapelusz na głowę, jak burza przeleciał obok oniemiałej gospodyni z domu na ulicę. Śmiał się, głośno parskał. Tak znikł w mrocznym lesie na wzgórzu.

Przełożyła *Maria Świętek*

Gustav Meyrink  
**MEŹCZYŻNA NA BUTLI**

Melanchthon tańczył z nietoperzem, któremu głowa zwisała w dół, nogi zaś sterczały w górę. Skrzydła wyrastały z tułowia, w szponach tkwiła olbrzymia, złota obręcz, jakby dla znaczenia, iż zwisa on skądś — wyglądał zupełnie osobliwie i musiało to sprawiać niezwykle wrażenie na Melanchthonie, kiedy w tańcu zmuszony był stale spoglądać poprzez tę obręcz, jako że była ona dokładnie na wysokości jego twarzy.

Ów nietoperz był jedną z najbardziej oryginalnych masek na balu perskiego księcia, lecz również jedną z najbardziej odpychających.

Podpadła ona nawet Jego Księżęcej Mości Mohammedowi Darasche-Koh, gospodarzowi przyjęcia.

— Piękna masko, znam cię — zaszeptał do niej, czym wzbudził wielką wesołość wśród najbliższych stojących.

— To z pewnością mała markiza, bliska przyjaciółka księżnej — twierdził holenderski rajca, ubrany w stylu Rembrandta — nie może być inaczej, zna każdy kąt w zamku... wedle jej słów... a wcześniej jeszcze, kiedy kilka kawalerów wpadło na ten „mroźny” pomysł i kazało sobie przynieść od starego kamerdynera wysokie buty filcowe i pochodnie, by rzucać się w parku śnieżkami, przy czym nietoperz też niesforne zbytkował... mógłby się założyć, że widział na jej ręce błysnięcie znanej mu bransolety z hiacyntami.

— Jakże to interesujące — wmieszał się do rozmowy błękitny motyl — czy Melanchthon nie mógłby ostrożnie wysondować, czy hrabia de Faast, jak się ostatnimi czasy wydamuje, rzeczywiście jest ulubieńcem księżnej?

— Ostrzegam cię, masko, nie mów tak głośno — przerwał poważnie holenderski rajca.

— Dobrze, że grano właśnie koniec walca fortissimo, przed kilkoma sekundami stał tu bowiem książę w pobliżu!

— Tak, tak, najlepiej ani słowa o tych sprawach — radził szepcząc egipcjański Anubis. — Zazdrość tego Azjaty nic ma granic, być może nagromadzono w zamku więcej materiałów zapalających, niż przeczuwamy. Hrabia de Faast zbyt długo już igra z ogniem, a gdyby Darasche-Koh wiedział...

Surowa, kudłata postać, przedstawiająca zawiązany z liny węzeł, w gwałtownej ucieczce przed helleńskim żołnierzem w błyszczącym rynsztunku torowała sobie drogę poprzez grupę masek, które przyglądały się bez rozumienia obu osobnikom przemykającym żwawo na gumowych podszewkach po gładkiej jak lustro posadzce.

— Czyż nie obawiałbyś się, również i ty, mynher Kannitversthu, gdybyś był węzłem gordyjskim, i gdybyś wiedział, że za tobą podąża Aleksander Wielki? — zażartował odwrócony do góry nogami nietoperz i trącił wachlarzem długi nos Holendra.

— Oj, oj, piękna markizo, nietoperzu, bystry umysł ciągle się zdradza — zażartował wysoki jak tyka junkier Hans z końskim ogonem i kopytami. — Jaka szkoda, ach, jaka szkoda, że nóżkami do góry wolno cię oglądać jedynie w przebraniu nietoperza.

Ktoś wybuchnął gromkim śmiechem.

Wszyscy się obejrzeni i zobaczyli opasłego starca w szerokich spodniach i z głową osła.

— Ach, emerytowany pan wiceprezydent sądu handlowego zaśmiał się — stwierdził oschle junkier Hans.

W pewnej chwili zabrzmiało przygłuszone dźwięczenie i pośrodku ogromnej sali stanął kat w szkarłatnej todze westfalskiego sądu kapturowego, potrząsając spiżowym dzwonkiem, wsparty na swym błyszczącym toporze.

Z nisz i logii nadchodzili tłumnie przebierańcy: arlekini, „ladies with the rose”, ludożercy, ibisy i koty w butach, piątki pikowe, Chinki, niemieccy poeci z napisem „Tylko kwa-dransik”, Don Kichoci i jeźdźcy Wallensteina, kolombiny, bajadery i domina we wszystkich barwach.

Czerwony kat rozdzielił zebranych tabliczki z kości słoniowej ze złotym napisem.

— Ach, programy przedstawienia!!!

„Człowiek w butli”

Komedia marionetek w duchu Anbrey Beardsley'a księcia

Mohammeda Darasche-Koh

Osoby:

Człowiek w butli — Miquel hrabia de Faast

Człowiek na butli — Książę Mohammed Darasche-Koh

Dama w lektyce

Wampiry, marionetki, grubasy, małpy, muzykanci

Miejsce akcji:

Otwarta paszcza tygrysa

— Co?! Autorem tego przedstawienia marionetek jest sam książę?

— Przypuszczalnie będzie to scena z tysiąca i jednej nocy.

— A któż zagra damę w lektyce? — słychać było zaciekawionych, wzajem się wypytyjących.

— Czekają nas dziś niesamowite niespodzianki, o, tak — zaszczębiotał sympatyczny incroyable w gronostajach i uwiesił się na ramieniu opata — wiesz, pierrotom, z którym uprzednio tańczyłem tarantelę, był hrabia de Faast, który zagra człowieka w butli, zwierzył mi się, że marionetki przejmą nieopisaną grozą, lecz jedynie tych, którzy to rozumieją, a jednego... słonia książę zamówił telegraficznie z Hamburga... ale ty mnie w ogóle nie słuchasz — i w złości mała istota puszcza ramię swego partnera i ucieka.

Do sali przez szerokie podwoje z przyległych komnat napływali tłumnie stale nowi przebierańcy, zbierali się odruchowo w środku, biegali to tu, to tam, jak wiecznie zmieniająca się gra barw w kalejdoskopie, lub tłoczyli się przy ścianach, podziwiając znamienite freski Ghirlandajo, które obramowywały salę wznosząc się niczym bajkowe okolice aż do błękitnego, usianego gwiazdami plafonu.

Niby mieniąca się wszystkimi farbami wyspa leży ta sala, opłukiwana przez łany oprawnych kolorem fantazji, które obudzone raz w radośnie bijącym sercu artysty pędzącym duszom dnia dzisiejszego podszeptują teraz już prawie niezrozumiale prosty i powolny język.

Na srebrnych tacach służący podaje radośnie falującemu tłumowi napoje orzeźwiające — sorbet i wino. Wniesiono krzesła i ustawiono je w niszach okiennych.

Z chrobotaniem rozsuwają się ściany i wolno z ciemności wysuwa się scena, zdobna płomienną ciemnoczerwoną i żółtą lamówką i białymi zębami u góry i u dołu: stylizowana, rozwarta paszcza tygrysa.

Pośrodku sceny stoi olbrzymia kulista butla. Ze szkła grubego na stopę, wysokością dorównuje niemal wzrostowi dwóch mężczyzn i jest bardzo przestronna. W głębi teatru kurtyna

z różowego jedwabiu. Otwierają się kolosalne hebanowe drzwi sali i z majestatycznym spokojem wkracza słoń przystrojony złotem i klejnotami. Na jego grzbiecie siedzi purpurowy kat, prowadzi zwierzę trzonkiem swego topora. Z kłów zwisają łańcuchy z ametystów, falują wachlarze z pawich piór. Od boku aż do ziemi złotem tkane narzuty, zdobne frędzlami koloru rodzynek. Olbrzymie czoło za siatką błyszczących kamieni szlachetnych, słoń kroczy dostojnie przez salę.

Po kolei otaczają go przebierańcy i wiwatują wielobarwnej grupie szanownych aktorów, którzy siedzą na jego grzbiecie w palankinie: księżę Darasche-Koh w turbanie i czaplej agrafie. Obok hrabia Faast jako pierrot. Marionetki i muzycanci sztywno oparci niczym kukły.

Słoń dotarł do sceny i wyjmując trąbą mężczyzn kolejno z palankina. Oklaski i głośne okrzyki, kiedy wyciąga pierrota i wpuszcza go do szyjki butli, następnie zamyka metalowe wieczko i sadza na nim księcia.

Muzycanci siedli w półkolu i wyciągają osobliwe, wydłużonego kształtu, upiornie wyglądające instrumenty.

Słoń poważnie się im przygląda, po czym wolno kroczy do wejścia. Porywczo i swobodnie jak dzieci uwieszają się maski słoniowi na trąbie, uszach i kłach i radośnie wykrzykując usiłują go zatrzymać... lecz on niemal nie odczuwa ich szarpnięć.

Przedstawienie zaczyna się. Skądś, jakby spod ziemi, rozbrzmiewa cicha muzyka.

Orkiestra złożona z kukieł i marionetki pozostają nieporuszone jak z wosku.

Flecista ze szklanym, głupawym wyrazem twarzy wytrzeszcza oczy na plafon: dyrygentka w stylu rokoko, w peruce i kapeluszu z piórami, z podniesioną batutą, jakby nasłuchując. położywszy długie palce tajemniczo na wargach, ma rysy wykrzywione w nader lubieżnym uśmiechu.

Na pierwszym planie marionetki, garbaty karzeł o kredowobiałym obliczu, siwy, szczerzący zęby szatan, tudzież błada, uszminkowana śpiewaczka o czerwonych, łąkających ustach — wydają się w satanicznej swej chytryści znać straszliwą tajemnicę, która nakazuje im zastygnąć w namiętych konwulsjach.

Ponad znieruchomiałą grupę wznosi się jeżąca włos groza, pozornej śmierci.

Jedynie pierrot w butli znajduje się w bezustannym ruchu — wywija swym spiczastym filcowym kapeluszem, kłania się, od czasu do czasu pozdrawia perskiego księcia, który skrzyżowawszy nogi siedzi nieruchomo na wieku butli, po czym znowu wyprawia niestworzone miny. Jego koziółki rozśmieszają publiczność... jakże groteskowo wygląda! Grube ściany szklane tak osobliwie zniekształcają jego spojrzenie -- niekiedy ma wyłupiaste oczy, które nagle wychodzą na wierzch i tak zadziwiająco błyszczą, później znów ich w ogóle nie ma, widać jedynie czoło i podbródek lub potrójną twarz — niekiedy bywa gruby i nabrzmiały, potem znów podobny do kościotrupa, chuderławy i długonogi, niby pajak — albo znów brzuch pęcznieje mu na kształt kuli.

Każdy widzi go innym, w zależności od tego, jak spojrzenie pada na butlę.

Co pewien krótki odstęp czasu, bez żadnego rozpoznawalnego logicznego związku w postaci wstępuje stopniowo, na przeciąg sekundy, upiorne życie, które wkrótce potem zamienia się w poprzednie, okropne, pośmiertne stężenie, tak iż odnosi się wrażenie, że obraz ów przeskakuje przez martwe odstępy czasu z jednego stanu w drugi, jak wskazówka zegara na wieży przeskakująca cudownie z minuty na minutę.

Raz nawet figury zginając kolana wykonały w stronę butli trzy upiorne kroki taneczne — w głębi zaś ułomne dziecko zaczęło się wyginać niby w występnej udręce.

Jeden z muzykantów — Baszkir o błędnym spojrzeniu spod bezrzęsych powiek kiwał głową i z wyrazem lęklivego zamętu rozstawiał swe chude, szpetne palce o kulistych koniuzkach niczym pałeczki do bębnienia, przypominające woskowe symbole tajemnego wynaturzenia.

Po chwili zaś do śpiewaczki doskoczyła fantastyczna hermafrodyta o cechach kobie-

cych, odziana w długie, obwisłe koronkowe spodnie i zastygła w tanecznej pozie.

Niczym oddech ulgi powitano podczas tego bezruchu ukazanie się na scenie zamkniętej lektyki z drewna sandałowego, kiedy to dwaj Murzyni wynieśli ją z głębi różowych kotar i postawili w pobliżu butli, na którą teraz nagle padło z góry blade, niemal księżycowe światło.

Publiczność podzieliła się jakby na dwa obozy, jedni — niezdolni się poruszyć i odezwać słowem — byli zupełnie pod urokiem tych złudnych, zagadkowych tańców marionetek. od których promieniował demoniczny fluid zatrutej, niezrozumiałej żądzy, podczas gdy drudzy, zbyt prości, by mogło to do nich przemówić, śmiali się nieprzerwanie z zabawnego zachowania człowieka w butli.

Wprawdzie ów zaprzestał radosnych tańców, lecz obecne jego zachowanie wydawało im się równie komiczne.

Na wszystkie sposoby starał się dać, coś niesłychanie widać pilnego, do zrozumienia siedzącemu na butli księciu.

Tak, uderzał, a na koniec naskakiwał na ściany, jakby chciał je rozbić lub nawet wyrzucić butlę.

Przy tym wydawało się, że krzyczy on donośnie, aczkolwiek rzecz jasna przez grube na stopę szkło nie dochodził najmniejszy nawet szmer.

Na pantomimiczne ruchy i wygibasy pierrota Pers odpowiadał od czasu do czasu uśmiechem lub też wskazywał palcem na lektykę. Ciekawość widzów osiągnęła szczyt, kiedy przy takiej okazji wyraźnie zauważono, iż pierrot przez dłuższy czas przyciska twarz do szkła, by rozpoznać coś przy oknie lektyki, i później nagle jak oszalały zaczyna dłońmi objąć głowę; jakby ujrzał coś strasznego, pada na kolana i wyrывa sobie włosy. Po chwili zaś zrywa się na nogi i biegnie w butli z taką prędkością, iż przy odbijających w szkle zniekształceniach widać jedynie jasną, fruującą chustę.

Widownia zastanawiała się też, jak się ma sprawa „Damy w lektyce”, można było przypuszczać, iż do szyby lektyki przyciśnięto jakąś białą twarz, która bez ruchu spoglądała w stronę butli, wszystko pozostałe pogrążone było w cieniu, stąd publiczność mogła jedynie zgadywać.

— Cóż za sens może mieć ta niesamowita gra marionetek? — szeptało niebieskie domino i przytuliło się do junkiera Hansa.

W zdenerwowaniu, stłumionym głosem wymieniano opinie.

— Właściwego sensu to ta sztuka nie ma, albowiem jedynie sprawy, które nie oznaczają nic, co potrafi objąć umysł ludzki, mogą odnaleźć zagubione dojścia do duszy — stwierdziła salamandra — i tak, jak istnieją ludzie, którzy spoglądając na wodnistą sekcję pozbawionych krwi trupów poruszeni erotycznym upojeniem, wydają bezsilne w ekstazie okrzyki, tak również...

— Jednym słowem żądza i przerażenie idą w parze — przerwał nietoperz — wierz mi, z emocji drzę na całym ciele, w powietrzu znajduje się coś niewyczuwalnie potwornego, od czego nie potrafię się uwolnić, nieprzerwanie czuję obecność tego, niczym grubego całunu.

— Czy to rozchodzi się od marionetek?

— Nie sądzę. Emanuje to na mnie od księcia Darasche-Koh. Dlaczego on tak siedzi na butli, na pozór nie biorąc w niczym udziału? Wszak od czasu do czasu jakieś drgnienie przebiega mu twarz!!!... Odbywa się tu coś budzącego zgrozę, nie dam sobie nic powiedzieć.

— Sądzę, że jednak znalazłem pewne symboliczne znaczenie. odpowiadające temu, co przed chwilą właśnie powiedziałeś — wmieszał się do rozmowy Melanchthon. — Czyż człowiek na butli nie jest wyrazem zamkniętej duszy ludzkiej, która omdlewając musi się przyglądać, jak zmysły — marionetki — zuchwale się zabawiają i jak wszystko niechybnie pogrąży się w występku?

Donośny śmiech i oklaski przerwały mu ten wywód. Pierrot zwinął się na dnie butli, obejmując palcami szyję. Po chwili otworzył szeroko usta i wskazał w dzikiej rozpacz na

swą pierś, potem zaś do góry, na koniec złożył splecione dłonie, jakby usiłował o coś błagać publiczność.

— Chce mu się pić, no tak, taka wielka butla i ani kropli szampana, marionetki, dajcie mu coś do picia! — zawołał jakiś widz.

Rozległ się ogólny śmiech i oklaski.

Wtedy pierrot skoczył gwałtownie na nogi, rozerwał na piersi białe odzienie, zatoczył się i runął jak długi na dno.

— Brawo, brawo, pierrocie, wspaniała gra, da capo, da capo! — radośnie pokrzykiwano z widowni.

Kiedy jednak mężczyzna się nie poruszył i nie miał zamiaru powtórzyć sceny, aplauz z wolna ucichł i uwaga wszystkich skierowała się w stronę marionetek.

Stały one nadal w tej samej upiornej pozie, którą ostatnio przyjęły, lecz w ich minach pojawił się pewien rodzaj napięcia, którego uprzednio nie można było zauważyć. Odnosiło się wrażenie, jakby czekały na jakieś hasło.

W końcu garbaty karzeł o kredowobiałym obliczu spojrział ostrożnie w stronę księcia Darasche-Koh.

Pers nie poruszył się.

Twarz miał zapadniętą.

Wreszcie po chwili spośród postaci w głębi z wahaniem wystąpił jeden z Murzynów, podszedł do lektyki i otworzył drzwiczki.

Wówczas wydarzyło się coś na wskroś osobliwego.

Z lektyki wypadło sztywno ciało nagiej kobiety i z tępym odgłosem legło na scenie.

Na moment zapanowała śmiertelna cisza, po czym tysiące głosów zaczęło się przekrzykiwać... sala huczała.

— Co takiego, co się wydarzyło?

Marionetki, małpy, muzykanci — wszyscy podbiegli do kobiety; maski wchodziły na scenę.

Leżała na niej księżna, małżonka Darasche-Koh; zupełnie naga, przymocowana linami do stalowego pręta. Miejsca, gdzie powróz przecinał ciało, nabiegły sino krwią.

W ustach tkwił jedwabny knebel.

Nieopisane przerażenie sparaliżowało wszystkim ruchy.

— Pierrot! — zabrzmiał przeraźliwie jakiś głos. — Pierrot!

Obłędny, nieokreślony strach przeszył wszystkie serca niczym sztylet.

— Gdzie jest książę?!

W czasie tumultu Pers zniknął bez śladu.

Melanchthon stał już za plecami junkiera Hansa, na próżno usiłował podnieść wieczko butli, zaś niewielki wentyl był... zaśrubowany!

— A więc rozbijcie ściany, prędeż, prędeż!

Holenderski rajca wyrwał topór i jednym susem znalazł się na scenie.

Uderzenia zabrzmiały z hukiem jak dźwięki pękniętego dzwonu — ton budzący grozę.

Na szkłe pojawiły się głębokie rysy, niby białe błyskawice; ostrze topora wygięło się.

Wreszcie, wreszcie ... butla rozpadła się w kawałki.

Na dnie leżał uduszony hrabia de Faast, z palcami wczepionymi w pierś.

Przez salę bezgłośnie uderzając skrzydłami, przeleciały olbrzymie, czarne ptaki przerażenia.



Franz Kafka  
**KOLONIA KARNA**

Jest to szczególny aparat — powiedział oficer do podróżnego-badacza i jak gdyby z pewnym zdumieniem spojrzął na dobrze mu przecież znany przyrząd. Zdawało się, że podróżny jedynie z grzeczności przyjął zaproszenie komendanta, który go wezwał do asystowania przy egzekucji żołnierza skazanego za nieposłuszeństwo i obrazę zwierzchnika. Co prawda, także w kolonii karnej nie bardzo interesowano się tą egzekucją. W każdym razie tutaj, w małej dolinie, głębokiej, piaszczystej i zewsząd zamkniętej niczym nie porośniętymi stokami, oprócz oficera i podróżnego był tylko skazaniec, tępy mężczyzna o szerokich szczękach, zaniedbanych włosach i zmiętej twarzy. Był jeszcze także żołnierz, trzymający ciężki łańcuch, z którego zwisały małe łańcuchy, a te z kolei także między sobą były połączone specjalnymi łańcuchami. Krępowały one kostki nóg, przeguby rąk, a także szyję skazańca. Skazaniec wyglądał zresztą posłusznie jak pies i zdawało się, że można by mu pozwolić spokojnie biegać po stokach, a na początku egzekucji wystarczyłoby gwizdnąć, żeby przyszedł.

Podróżny niewiele uwagi poświęcał aparatowi i przechadzał się tam i z powrotem poza plecami skazańca, niemal widocznie myśląc o czym innym, podczas gdy oficer zajmował się ostatnimi przygotowaniem. To wpełzał pod aparat, głęboko wbudowany w ziemię, to znów wchodził na drabinę, by sprawdzić jego górne części. Były to prace, które właściwie można było powierzyć maszynie, ale oficer dokonywał ich z wielkim zapałem, czy to dlatego, że był szczególnym zwolennikiem tego aparatu, czy że z innych względów nie można było nikomu innemu powierzyć tej pracy.

— Teraz jest wszystko gotowe! — zawołał wreszcie i zszedł z drabiny.

Był niezwykle zmęczony, oddychał z szeroko otwartymi ustami, a za kołnierz munduru zatknięte miał dwie delikatne damskie chusteczki do nosa.

— Te mundury są jednak za ciężkie, jak na kraje podzwrotnikowe — powiedział podróżny, zamiast, jak tego oczekiwał oficer, zainteresować się aparatem.

— Zapewne — odparł oficer, myjąc zabrudzone oliwą i smarem ręce w przygotowanym kubku z wodą — ale one oznaczają ojczyznę; nie chcemy stracić z myśli ojczyzny. Ale niech pan teraz spojrzy na ten aparat — dodał zaraz, osuszył ręce ręcznikiem i równocześnie wskazał na przyrząd. — Dotychczas potrzebna była jeszcze praca rąk, ale odtąd aparat pracuje zupełnie sam.

Podróżny skinął głową i poszedł za oficerem. Ten zaś próbował zabezpieczyć się na wszelki wypadek, mówił więc:

— Zdarzają się naturalnie uszkodzenia; co prawda mam nadzieję, że dzisiaj ich nie będzie, ale zawsze trzeba się z nimi liczyć. Aparat powinien być w ruchu przez dwanaście godzin bez przerwy. Jeśli nawet trafiają się defekty, to są one całkiem drobne i natychmiast się je naprawia.

— Czy nie zechce, pan usiąść? — zapytał w końcu, ze stosu trzcinowych krzeseł wyciągnął jedno i ofiarował je podróżnemu; ten nie mógł odmówić.

Siedział teraz nad brzegiem wykopu, rzucił weń przelotne spojrzenie. Wykop nie był bardzo głęboki. Po jednej jego stronie wygrzebana ziemia piętrzyła się w wał, po drugiej stronie stał aparat.

— Nie wiem — rzekł oficer — czy komendant objaśniał już panu aparat.

Podróżny zrobił nieokreślony ruch ręką; oficer niczego więcej nie pragnął, gdyż mógł teraz sam udzielić objaśnień.

— Aparat ten — powiedział i ujął rękojeść korby, na której się oparł — jest wynalazkiem naszego poprzedniego komendanta. Współpracowałem już przy najwcześniejszych jego próbach, brałem także udział we wszystkich pracach aż do jego ukończenia. Zasługa dokonania wynalazku przypada zresztą wyłącznie naszemu poprzedniemu komendantowi.

Czy słyszał pan o nim? Nie? A więc nie przesadzę, jeśli powiem, że urządzenie całej kolonii karnej jest jego dziełem. My, jego przyjaciele, wiedzieliśmy już w chwili jego śmierci, że urządzenie kolonii jest dziełem na tyle skończonym w sobie, że jego następca, choćby miał w głowie tysiąc nowych planów, nie będzie mógł — przynajmniej w ciągu wielu lat — zmienić nic ze starego. I nasza przepowiednia się spełniła; nowy komendant musiał to uznać. Szkoda, że nie znał pan poprzedniego komendanta! Ale — przerwał oficer — ja tu gadam, a jego aparat stoi oto przed nami. Składa się on, jak pan widzi, z trzech części. Dla każdej z tych części z biegiem czasu powstały popularne swojskie określenia. Dolna część nazywa się „łóżkiem”, górna — „rysownikiem”, a ta tutaj środkowa, wisząca część nazywa się „broną”.

— Broną? — spytał podróżny.

Nie słuchał dość uważnie, słońce operowało zbyt silnie w nieocienionej dolinie, trudno było zebrać myśli. Tym bardziej godny podziwu wydawał mu się oficer, który w ciasnej, paradnej, obciążonej epoletami i obwieszanej sznurami żołnierskiej kurtce tak gorliwie wykladał swoją rzecz, a oprócz tego, podczas gdy mówił, jeszcze tu i tam śrubokrętem dokręcał jakąś śrubę. W podobnym usposobieniu jak podróżny zdawał się być żołnierz. Owinął sobie łańcuch skazańca wokół obu przegubów, ręką oparł się na karabinie, zwiesił głowę i nic go nie obchodziło. Podróżny nie dziwił się temu, ponieważ oficer mówił po francusku, a z pewnością ani żołnierz, ani skazaniec nie znali francuskiego. Tym bardziej było zastanawiające, że skazaniec starał się jednak zrozumieć wyjaśnienia oficera. Z pewnego rodzaju ospałą wytrwałością kierował zawsze wzrok w to miejsce, które właśnie oficer wskazywał, a kiedy teraz podróżny przerwał oficerowi pytaniem, i on także, podobnie jak oficer, spojrzał na podróżnego.

— Tak, broną — odparł oficer. — To odpowiednia nazwa. Igły są umieszczone tak jak w bronie, a także całość porusza się jak brona, choć tylko w jednym miejscu i o wiele kunsztowniej. Zresztą zaraz pan to zrozumie. Tutaj na łóżku kładzie się skazańca. Chciałbym najpierw opisać aparat, a dopiero potem pokazać samą procedurę. Będzie pan ją mógł później lepiej śledzić. Zresztą koło zębate w rysowniku zbyt się już starło i bardzo skrzypi, kiedy jest w ruchu; zaledwie można się wtedy porozumieć: niestety bardzo trudno tu dostać części zapasowe. — A więc tutaj, jak powiedziałem, jest łóżko. Jest ono całkowicie i dokładnie pokryte warstwą waty; dowie się pan jeszcze, w jakim celu. Na owej wacie kładzie się skazańca na brzuchu, oczywiście nagiego; tutaj są rzemienie, aby go przytrzymać za ręce, za nogi i za szyję. Tu u wezłowia łóżka, gdzie, jak powiedziałem, człowiek kładzie się najpierw twarzą, znajduje się ów mały klin filcowy, który z łatwością można tak wyregulować, aby wepchnąć go człowiekowi wprost w usta. A to w tym celu, aby przeszkodzić krzykom i rozgryzieniu języka. Naturalnie człowiek musi ten filc wziąć w usta, gdyż inaczej rzemień, przytrzymujący szyję, złamie mu kark.

— To jest wata? — spytał podróżny i pochylił się do przodu.

— Tak, na pewno — odparł oficer ze śmiechem — niech pan sam dotknie. — Ujął rękę podróżnego i przeciągnął je po łóżku. — Jest to wata specjalnie spreparowana, dlatego wygląda tak nie do poznania; będę jeszcze mówił o jej przeznaczeniu.

Podróżny zainteresował się już nieco aparatem; trzymając dłoń nad oczami dla ochrony przed słońcem, spojrzał w górę na aparat. Była to duża budowla. Łóżko i rysownik posiadały jednakowe wymiary i wyglądały jak dwie ciemne skrzynie. Rysownik wznosił się mniej więcej dwa metry ponad dwa metry ponad łóżkiem; oba przyrządy były na krawędziach połączone czterema mosiężnymi sztabami, które niemal iskrzyły się słońcu. Pomiędzy skrzyniami na stalowej taśmie wisiała brona.

Oficer ledwie zwrócił uwagę na poprzednią obojętność podróżnego, teraz jednak pochwycił jego budzące się zainteresowanie; dlatego przerywał swoje wyjaśnienia, aby zostawić podróżnemu czas na spokojną obserwację. Skazaniec naśladował podróżnego; ponieważ nie mógł osłonić oczu dłonią, mrugał ku górze nie osłoniętymi.

— A więc tutaj leży człowiek — rzekł podróżny, odchylił się w krześle i skrzyżował nogi.

— Tak — odpowiedział oficer, odsunął czapkę nieco do tyłu i przeciągnął dłonią po gorącej twarzy. — Teraz niech pan posłucha. Zarówno łóżko, jak i rysownik posiadają swoje własne baterie elektryczne; łóżko potrzebuje jej dla siebie, rysownik dla brony. Skoro tylko człowiek zostanie przytroczony, wprawia się łóżko w ruch. Drobnymi, bardzo szybkimi ruchami drga ono równocześnie na boki oraz w przód i w tył. Podobne aparaty widział pan może w zakładach leczniczych; tylko że przy naszym łóżku wszystkie ruchy są dokładnie zestrojone z ruchami brony. Właśnie tej bronie pozostawia się samo wykonanie wyroku.

— Jakże więc brzmi wyrok? — zapytał podróżny.

— Tego pan także nie wie? — zdumiał się oficer i przygryzł wargi. — Proszę mi wybaczyć, jeżeli moje wyjaśnienia są nieuporządkowane; bardzo przepraszam. Dawniej mianowicie zwykł był objaśniać sam komendant; ale nowy komendant zwolnił się z tego szaczonego obowiązku; że jednak nawet tak dostojnego gościa — podróżny obiema rękami próbował bronić się przed tymi wyrazami czci, lecz oficer obstawał przy nich — że nawet tak dostojnego gościa nie poinformował o formie naszego wyroku, to już jest coś nowego, co — miał już na wargach przekleństwo, opanował się jednak i rzekł tylko: — Nie powiadomiono mnie o tym, nie moja więc wina. Zresztą, owszem, jestem w stanie jak najlepiej objaśnić nasze sposoby wykonywania wyroku, gdyż noszę tutaj — uderzył się po górnej kieszeni kurtki — odręczne rysunki poprzedniego komendanta.

— Odręczne rysunki samego komendanta? — spytał podróżny. — Czyżby on wszystko łączył w swej osobie? Czyżby był żołnierzem, sędzią, konstruktorem, chemikiem, rysownikiem?

— Tak jest — odparł oficer kiwając głową z nieruchomym, zamyślonym spojrzeniem. Następnie krytycznie spojrzął na swoje ręce; wydały mu się nie dość czyste, aby dotykać rysunków; poszedł więc do kubła i umył je raz jeszcze. Potem wyciągnął małą, skórzaną teczkę i powiedział.

— Nasz wyrok nie jest ciężki. Za pomocą brony należy skazańcowi wypisać na ciele nakaz, który przekroczył. Temu skazańcowi na przykład — oficer wskazał na mężczyznę — wypisze się na ciele: „Szanuj swego zwierzchnika!”

Podróżny przelotnie spojrzął na skazanego. Gdy oficer na niego wskazywał trzymał on głowę pochyloną i zdawał się ze wszystkich sił natężyć słuch, aby się czegoś dowiedzieć. Ale ruchy jego nabrzmiałych, zaciśniętych warg wyraźnie wskazywały, że nic nie mógł zrozumieć. Podróżny chciał pytać o rozmaite rzeczy, ale na widok tego człowieka zapytał tylko:

— Czy on zna swój wyrok?

— Nie — odpowiedział oficer i chciał zaraz dalej ciągnąć objaśnienia, lecz podróżny mu przerwał:

— On nie zna swego własnego wyroku ?

— Nie — odparł znowu oficer i zatrzymał się na chwilę, jak gdyby pragnął usłyszeć od podróżnego bliższe uzasadnienie jego pytania, po czym rzekł: — Zawiadamianie go o wyroku byłoby niepotrzebne. Pozna go przecież na własnym ciele.

Podróżny chciał już zamilknąć, ale uczuł, że skazaniec wlepia w niego wzrok, jak gdyby pytał, czy pochwała on opisane postępowanie. Dlatego podróżny, który już oparł się w krześle, znowu pochylił się do przodu i zapytał jeszcze:

— Ale on chyba wie o tym, że w ogóle został skazany?

— Także nie — odrzekł oficer i uśmiechnął się do podróżnego, jak gdyby oczekiwał od niego jeszcze jakichś osobliwych wynurzeń.

— Nie — powiedział podróżny i przeciągnął dłonią po czole — a więc ten człowiek nie wie nawet jeszcze teraz, jak przyjęto jego obronę?

— Nie dano mu żadnej sposobności obrony — powiedział oficer i spojrzął w bok, jakby

przemawiał do samego siebie i nie chciał zawstydząć podróżnego opowiadaniem tych oczywistych dla niego rzeczy.

— Ależ on miał przecież chyba możliwość obrony — powiedział podróżny i wstał z krzesła.

Oficer poznał, iż grozi mu niebezpieczeństwo wstrzymania na dłużej objaśnień; podszedł więc do podróżnego, uwiesił się u jego ramienia, wskazał ręką na skazańca, który teraz, gdy tak wyraźnie zwrócono na niego uwagę, stanął wyprostowany — także żołnierz przyciągnął łańcuch — i powiedział:

— Rzec ma się w sposób następujący. Tutaj, w karnej kolonii, ja zostałem ustanowiony sędzią. Mimo mego młodego wieku. Gdyż we wszystkich sprawach karnych ja także stałem u boku poprzedniego komendanta, a zarazem najlepiej znam aparat. Podstawowa zasada, według której wydaję orzeczenia, brzmi: wina jest zawsze niewątpliwa. Inne sądy mogą nie wyznawać tej zasady, gdyż składają się one z wielu głów oraz mają nad sobą sądy wyższe. Tutaj jest inaczej lub przynajmniej było inaczej za czasów poprzedniego komendanta. Nowy okazał już zresztą chęć mieszania się do moich orzeczeń, ale dotychczas udało mi się przed tym obronić i także dalej mi się będzie udawało. — Pan chciał aby objaśnić panu ten wypadek; jest on równie prosty jak wszystkie. Dziś rano pewien kapitan złożył doniesienie, że ten człowiek, który został mu przydzielony jako ordynans i sypia pod jego drzwiami, zaspał. Jego obowiązkiem jest mianowicie wstawać przy uderzeniu każdej godziny i salutować przed drzwiami kapitana. Obowiązek, rzecz jasna, nie ciężki, a konieczny, gdyż ów człowiek powinien być zawsze rzeński, tak do czuwania, jak i do usługi. Wczorajszej nocy kapitan chciał sprawdzić, czy ordynans wypełnia swój obowiązek. Z uderzeniem drugiej godziny otworzył drzwi i znalazł go skulonego we śnie. Poszedł po pejcz i uderzył go w twarz. Zamiast teraz wstać i prosić o przebaczenie, ten człowiek chwycił swego pana za nogi, potrząsnął nim i zawołał: — Odrzuć pejcz, bo cię pożrę! — Oto jest treść sprawy. Kapitan przyszedł do mnie przed godziną, spisałem jego zeznania i od razu wydałem wyrok. Potem kazałem nałożyć temu człowiekowi łańcuchy. Wszystko to było bardzo proste. Gdybym tego człowieka najpierw wezwał i wy badał, powstałoby tylko zamieszanie. On by kłamał, a gdyby mi się udało zbić te kłamstwa, zastąpiłby je nowymi kłamstwami i tak dalej. Ale teraz go trzymam i już go nie puszcę. Czy już wszystko jasne? — Ale czas mija, egzekucja powinna się już zacząć, a ja nie skończyłem jeszcze objaśniać aparatu.

Zmusił podróżnego do zajęcia krzesła, znów podszedł do aparatu i zaczął:

— Jak pan widzi, kształt brony odpowiada kształtowi człowieka; tutaj jest brona dla tułowia, a tutaj są brony dla nóg. Dla głowy przeznaczone jest tylko to małe ostrze. Czy to dla pana jasne? — Nachylił się przyjaźnie ku podróżnemu, gotowy do najbardziej wyczerpujących objaśnień.

Podróżny ze zmarszczonym czołem oglądał bronę. Nie zadowolily go informacje na temat postępowania sądowego. Wciąż musiał sobie powtarzać, że idzie tu o karną kolonię, że konieczne są tutaj specjalne przepisy i że musi się aż do końca postępować po wojskowemu. Ale poza tym pokładał pewne nadzieje w osobie nowego komendanta, który widocznie, chociaż powoli, miał zamiar wprowadzić nowe postępowanie, tylko że nie może ono trafić do ograniczonej głowy tego oficera. Ten bieg myśli skłonił podróżnego do pytania:

— Czy komendant będzie obecny przy egzekucji?

— To nie jest pewne — odparł oficer, boleśnie dotknięty tym obcesowym pytaniem, a jego przyjazna mina zgorzkniała.

— Właśnie dlatego musimy się pośpieszyć. A nawet, choć z przykrością, będę musiał skrócić moje objaśnienia. Ale jutro, gdy aparat zostanie oczyszczony — gdyż jego jedynym błędem jest to, że tak bardzo się zanieczyszcza — mógłbym dodatkowo udzielić bliższych wyjaśnień. Teraz więc tylko najniezbędniejsze. — Gdy człowiek leży na łóżku, a ono zostało już wprowadzone w drgający ruch, brona opada na ciało. Sama ustawia się w ten sposób, że

ledwie tylko dotyka ciała ostrzami; gdy osiągnie się to ustawienie, ta oto stalowa lina natychmiast napręża się jak sztaba. I teraz zaczyna się zabawa. Niewtajemniczony nie widzi z zewnątrz żadnej różnicy pomiędzy karami. Wydaje się, że brona pracuje jednakowo. Drgając, zagłębia ona swoje ostrza w ciało, które ponadto drga wraz z łóżkiem. Aby zaś umożliwić każdemu kontrolę wykonania wyroku, brona została zbudowana ze szkła. Spowodowało to pewne trudności techniczne w związku z umocowaniem w niej igieł, ale po wielu próbach to się udało. Nie cofnęliśmy się, jak pan widzi, przed żadnym trudem. A teraz każdy może widzieć poprzez szkło, jak powstaje napis na ciele. Czy zechce pan podejść bliżej i obejrzieć sobie igły?

Podróżny podniósł się z wolna, podszedł i nachylił się nad brona.

— Widzi pan — mówił oficer — dwojakie igły w wielorakim ustawieniu. Każda długa ma obok siebie jedną krótką. Długa mianowicie pisze, a z krótkiej tryska woda, która zmywa krew, aby zachować pismo w stałej czystości. Woda z krwią zostaje następnie skierowana tutaj do małych rynien i spływa w końcu do tej rynny głównej, której rura odpływowa prowadzi do wykopu.

Oficer dokładnie pokazywał palcem drogę, jaką woda z krwią musi przebyć. Gdy obie rękami uchwycił wprost wylot rury odpływowej, aby to możliwie najbardziej unaoocnić, podróżny podniósł głowę i macając ręką za sobą, chciał wrócić na krzesło. Wtedy zobaczył ku swemu przerażeniu, że podobnie jak on sam, również skazaniec skorzystał z zaproszenia oficera, aby obejrzyć z bliska urządzenie brony. Szarpnął nieco łańcuchem zaspanego żołnierza i także pochylił się nad szkłem. Widać było, jak niepewnymi oczyma szukał tego, co właśnie oglądali obaj panowie, ale nie udawało mu się to, gdyż brakowało mu objaśnień. Nachylał się tu i ówdzie. Wciąż na nowo przebiegał wzrokiem po szkłe. Podróżny chciał go odpędzić, gdyż to, co czynił, było prawdopodobnie karalne. Ale oficer zatrzymał podróżnego silnie jedną ręką, a w drugą ujął grudkę ziemi z wału i rzucił nią w żołnierza. Ten gwałtownie otworzył oczy, zobaczył, na co skazaniec się odważył, upuścił karabin, zaparł się obcasami w ziemię, odciągnął skazańca do tyłu, aż ten upadł, i patrzył na niego z góry, jak obracał się i dzwonił łańcuchami.

— Pomóż mu wstać! — krzyknął oficer, gdyż zauważył, że skazaniec odciągnął zbyt nieważną uwagę podróżnego. Podróżny odwrócił się nawet od brony, wcale się o nią nie troszcząc, lecz pragnął tylko stwierdzić, co się dzieje ze skazańcem.

— Obchodź się z nim ostrożnie! — krzyknął znowu oficer. Obiegł naokoło aparat, sam ujął skazańca pod ramiona i z pomocą żołnierza postawił go na ślizgających się co chwila stopach.

— Teraz wiem już wszystko — powiedział podróżny, gdy oficer znów do niego powrócił.

— Z wyjątkiem rzeczy najważniejszej — odparł tamten, ujął podróżnego za ramię i wskazał w górę. — Tam, w rysowniku, jest zespół kół zębatach, które regulują ruch brony, a zespół ten nastawia się odpowiednio do wykresu, na który opiewa wyrok. Wykorzystuję jeszcze wykresy poprzedniego komendanta. Oto one — wyciągnął kilka kartek ze skórzanej teczki. Niestety, nie mogę dać ich panu do ręki, są najdroższą rzeczą, jaką posiadam. Niech pan usiądzie, pokażę je panu z tej odległości, tak że będzie pan mógł wszystko dobrze obejrzyć.

Pokazał pierwszą kartkę. Podróżny chętnie wyrzekłby kilka słów uznania, ale zobaczył tylko labirynt linii, wielokrotnie krzyżujących się nawzajem i tak gęsto pokrywających papier, że z trudem tylko można było rozpoznać między nimi białe, puste miejsca.

— Proszę czytać — powiedział oficer.

— Nie potrafię — odparł podróżny.

— Przecież to wyraźne — rzekł oficer.

— To bardzo kunsztowne — odpowiedział podróżny wymijająco — ale nie umiem tego

odcyfrować.

— Tak — rzekł oficer, roześmiał się i schował teczkę z powrotem — to nie jest kaligrafia dla szkolnych dzieci. To trzeba długo studiować. I pan na pewno w końcu by się w tym rozeznał. To pismo oczywiście nie może być proste; nie powinno ono zabijać natychmiast, lecz przeciętnie dopiero w ciągu dwunastu godzin; na szóstą godzinę oblicza się punkt zwrotny. Właściwe pismo musi więc otaczać wiele, wiele ozdobników; prawdziwe pismo otacza ciało tylko wąskim paskiem; reszta tułowia przeznaczona jest na ozdobniki. Czy potrafi pan teraz ocenić pracę brony i całego aparatu? — Niech pan tylko spojrzy!

Wskoczył na drabinę, zakręcił kołem, zawołał z góry:

— Uwaga, proszę odejść na bok! — i wszystko ruszyło. Gdyby koło nie skrzypiało, byłoby to wspaniałe. Oficer, jakby zaskoczony tą wadą koła, pogroził mu pięścią, następnie, usprawiedliwiając się, rozłożył ręce w stronę podróżnego i szybko zszedł z drabiny, aby z dołu obserwować ruch aparatu. Coś było jeszcze nie w porządku, co tylko on zauważył; wlaźł z powrotem na górę, wsadził obie ręce do wnętrza rysownika, potem, aby szybciej znaleźć się na dole, zamiast skorzystać z drabiny, ześliznął się po jednej ze sztab i natężając głos, aby być zrozumianym w tym łaskocie, krzyknął podróżnemu do ucha:

— Pojmuje pan działanie? Brona zaczyna pisać: kiedy z pierwszym napisem na grzbiecie człowieka jest już gotowa, zwija się warstwa waty i powoli obraca ciało na bok, aby dostarczyć broni nowego miejsca. Tymczasem miejsca z wrytym aż do krwi pismem kładą się na wacie, która dzięki specjalnemu spreparowaniu natychmiast tamuje krwawienie, co pozwala na dalsze pogłębianie pisma. Te tutaj haczyki na krawędzi brony oddzierają następnie, przy dalszym obrocie ciała, watę z ran, ciskają ją do wykopu i brona znów ma robotę. Tak pisze ona coraz głębiej w ciągu dwunastu godzin. Przez pierwsze sześć godzin skazaniec żyje niemal tak jak dawniej, cierpi tylko z powodu bólu. Po dwóch godzinach odejmuje się filc, gdyż człowiek nie ma już siły krzyczeć. Do tej tutaj elektrycznie ogrzewanej miski u węgłowia wlewa się ciepłą papkę z ryżu, z której człowiek, o ile ma ochotę, może wziąć tyle, ile zaczerpnie językiem. Każdy korzysta z tej sposobności. Ja wiem, że każdy, a mam duże doświadczenie. Dopiero około szóstej godziny nie znajduje już skazaniec przyjemności w jedzeniu. Zazwyczaj klękam wtedy tutaj na dole i obserwuję to zjawisko. Człowiek rzadko połyka ostatni kęs, obraca go tylko w ustach i wypluwa do wykopu. Muszę się wówczas uchylić, inaczej trafiłby mnie w twarz. Ale jakże spokojny staje się człowiek wtedy, około szóstej godziny! Najgłupszy przychodzi do rozumu. Zaczyna się to koło oczu: stąd się rozszerza. Widok ten mógłby skłonić do położenia się samemu pod bronę. Dalej nic się nie dzieje, człowiek zaczyna tylko odcyfrowywać pismo, otwiera usta, jak gdyby nasłuchiwał. Widział pan, że nie jest łatwo odczytać to pismo oczyma; ale nasz człowiek odcyfrowuje je swymi ranami. Jest to zresztą duża praca. Do jej wykonania potrzebuje on sześciu godzin. Potem jednak brona przekłuwa go całkowicie i rzuca go do wykopu, gdzie z pluskiem pada na wodę z krwią i watę. Wówczas wymiar sprawiedliwości dobiegł końca, a my, ja i żołnierz, zagrzebujemy człowieka.

Podróżny nachylił ucho do oficera i z rękami w kieszeniach surduta przypatrywał się pracy maszyny. Także skazaniec się jej przyglądał, jednak bez zrozumienia. Nachylił się nieco i śledził chwiejące się igły, gdy żołnierz na znak oficera, przeciął mu z tyłu nożem koszulę i spodnie, tak że z niego opadły; skazaniec usiłował pochwycić spadającą odzież, by okryć swą nagość, ale żołnierz podniósł go w górę i strząsnął z niego ostatnie szmaty. Oficer zatrzymał maszynę i w zapadłej teraz ciszy ułożono skazańca pod bronę. Zdjęto mu łańcuchy, a zamiast nich umocowano rzemienie; skazańcowi wydało się to w pierwszej chwili niemal ulgą. A teraz brona opuściła się jeszcze nieco niżej, gdyż był to chudy człowiek. Gdy ostrza go dotknęły, przez jego skórę przebiegł dreszcz; podczas gdy żołnierz zajęty był jego prawą ręką, on sam wyciągnął lewą w nieoznaczonym kierunku; był to jednak kierunek, w którym stał podróżny. Oficer bez przerwy patrzył z boku na podróżnego, próbując odczytać z jego

twarzy wrażenie, jakie robi na nim egzekucja, którą mu dopiero co, przynajmniej powierzchownie, opisał.

Rzemień, przeznaczony dla przegubu ręki, pękł; prawdopodobnie żołnierz zaciągnął go zbyt mocno. Oficer musiał pomóc, żołnierz pokazywał mu urwany kawałek. Oficer podszedł ku niemu i rzekł zwracając twarz do podróżnego:

— Maszyna jest bardzo skomplikowana, tu i ówdzie musi coś rwać się lub pękać; nie powinno to jednak wypaczać ogólnego sądu o niej. Rzemień można zresztą natychmiast zastąpić, użyję w tym celu łańcucha; ucierpi przez to co prawda delikatność drgań u prawego ramienia. — I zakładając łańcuchy mówił jeszcze: — Środki potrzebne dla utrzymania maszyny są teraz bardzo ograniczone. Za czasów poprzedniego komendanta korzystałem swobodnie z kasy przeznaczonej tylko na ten cel. Był tutaj magazyn, w którym przechowywano wszelkie możliwe części zastępcze. Przyznaję, że dopuszczałem się przy tym niemal marnotrawstwa, oczywiście dawniej, a nie teraz, jak twierdzi nowy komendant, któremu wszystko służy jako pretekst do zwalczania dawnych urządzeń. Teraz sam zarządza kasą przeznaczoną na utrzymanie maszyny, a jeśli posyłam po nowy rzemień, żąda zerwanego jako dowodu, nowy przychodzi dopiero po dziesięciu dniach, jest już jednak w gorszym gatunku i nie na wiele się przydaje. Ale jak ja mam tymczasem obsługiwać maszynę bez rzemieni, to nikogo nie obchodzi.

Podróżny rozważał: wtrącać się energicznie w cudze sprawy, to zawsze budzi wątpliwości. On sam nie był ani obywatelem karnej kolonii, ani obywatelem państwa, do którego ona należała. Gdyby chciał potępić lub zgoła próbować wstrzymać egzekucję, mogliby mu powiedzieć: „Jesteś obcy, siedź cicho.” Nie mógłby na to nic odpowiedzieć, lecz tylko dodać, że w tym wypadku on sam nie rozumie swego postępowania, gdyż podróżuje jedynie po to, aby obserwować, a w każdym razie nie po to, aby cokolwiek zmieniać w obcych procedurach sądowych. Ale tutaj sytuacja aż prowokowała do tego. niesprawiedliwość postępowania i nie-ludzkość egzekucji nie ulegała wątpliwości. Nikt nie mógł zarzucić podróżnemu jakiegokolwiek stronniczości, gdyż skazaniec był mu obcy, nie był jego rodakiem ani nawet człowiekiem wzbudzającym współczucie. A sam podróżny miał rekomendację wyższych urzędów, był tutaj przyjmowany z największą uprzejmością, a to, że zaproszono go na egzekucję, mogło nawet oznaczać, że pragnie się usłyszeć o niej jego opinię. Było to tym prawdopodobniejsze, że komendant, jak to teraz najwyraźniej usłyszał, nie był zwolennikiem tego postępowania, a w stosunku do oficera zachowywał się niemal wrogo.

Wtem usłyszał podróżny, że oficer krzyknął z wściekłości. Założył właśnie skazańcowi, nie bez trudu, filcowy klin w usta, gdy skazaniec, nie mogąc opanować podrażnienia, zamknął oczy i zwymiotował. Oficer szybko poderwał go znad klina i chciał odwrócić mu głowę nad wykop; było jednak za późno, nieczystości spływały już po maszynie.

— Wszystko to wina komendanta! — krzyczał oficer i rzucał się nieprzytomnie przy mosiężnych sztabach. — Maszyna zagnojona jak stajnia! — Drżącymi rękami pokazywał podróżnemu, co się stało. — Tak, jakbym godzinami nie próbował tłumaczyć komendantowi, że w dniu przed egzekucją nie należy wydawać żadnego jedzenia! Ale nowe, łagodne kierownictwo jest innego zdania. Zanim człowieka odprowadzą, damy komendanta napychają go słodyczami po dziurki od nosa. Przez całe życie żywił się śmierdzącą rybą, a teraz musi jeść słodycze! Zresztą, niechby nawet, nie miałbym nic przeciw temu, ale dlaczego nie można nabyć nowego filcu, o który proszę od kwartału. Jakże można bez wstretu brać do ust ten filc, który ponad stu ludzi ssało i gryzło w agonii?

Skazaniec położył głowę i wyglądał spokojnie, żołnierz zajęty był czyszczeniem maszyny koszulą skazańca. Oficer podszedł do podróżnego, który jakby coś przeczuwając odstąpił krok w tył, lecz oficer ujął go pod rękę i odciągnął na bok.

— Pragnę powiedzieć panu kilka słów w zaufaniu — rzekł — czy mogę?

— Oczywiście — odparł podróżny i słuchał z opuszczonymi oczami.

— Ten sposób dokonywania straceń, który ma pan teraz sposobność podziwiać, nie ma już obecnie w naszej kolonii żadnego otwartego zwolennika. Ja jestem jego jedynym rzecznikiem, a równocześnie jedynym obrońcą spuścizny starego komendanta. O dalszym rozwinięciu procedury nie mogę nawet myśleć, zużywam wszystkie swe siły, aby utrzymać to, co istnieje. Dopóki stary komendant żył, kolonia była pełna jego zwolenników; co do mnie, posiadam częściowo siłę argumentacji starego komendanta, ale zupełnie brak mi jego władzy; z tego powodu stronnicy jego poukrywali się, jest ich jeszcze wielu, ale żaden się do tego nie przyznaje. Gdyby pan dzisiaj, a więc w dniu straceń, poszedł do herbaciarni i posłuchał, co ludzie mówią, usłyszałby pan zapewne tylko dwuznaczne wypowiedzi. Są to sami zwolennicy, ale pod obecnym komendantem i przy jego obecnych poglądach dla mnie zupełnie bezużyteczni. A teraz pytam pana: Czy z powodu tego komendanta i pań, które wywierają na niego wpływ, ma to dzieło życia — wskazał na maszynę — ulec zniszczeniu? Czy można do tego dopuścić? Nawet jeżeli jest się obcym i tylko przez parę dni przebywa się na naszej wyspie? A nie ma czasu do stracenia, już się coś przygotowuje przeciwko memu wymiarowi sprawiedliwości; w komendanturze odbywają się już narady, do których nie jestem dopuszczany; nawet pańska dzisiejsza wizyta wydaje mi się znamieną dla całej sytuacji; tchórzliwie posyła się naprzód pana, obcego. — Jakże inaczej wyglądała dawniej egzekucja! Już na dzień przed straceniem cała dolina była pełna ludzi; wszyscy przychodzili tylko po to, aby się przypatrzeć; wczesnym rankiem zjawiał się komendant ze swymi damami, fanfary budziły cały plac obozowy; ja składałem meldunek, że wszystko jest gotowe; towarzystwo, w którym nie mogło zabraknąć żadnego wysokiego urzędnika, ustawiało się wokół maszyny; ten stos trzcinowych krzeseł jest mizerną pozostałością z owych czasów. Świeżo wyczyszczona maszyna błyszcząca, niemal do każdej egzekucji brałem nowe części zastępcze. Pod spojrzeniem setek oczu — wszyscy widzowie, aż tam, do wzgórz, stali na czubkach palców — komendant sam układał skazańca pod broną. Czynność, którą dzisiaj ośmiela się wykonywać zwykły żołnierz, należała dawniej do mnie, przewodniczącego sądu, i była czynnością zaszczytną. I teraz zaczynała się egzekucja! Żaden fałszywy ton nie zakłócał pracy maszyny. Wielu nawet już nie patrzyło, lecz leżało w piasku z zamkniętymi oczami. Wszyscy wiedzieli: Teraz staje się zadość sprawiedliwości. W ciszy słychać było tylko wzdychanie skazańca, stłumione przez filc. Dziś nie udaje się już nawet maszynie wycisnąć ze skazańca silniejszego westchnienia, którego filc nie mógłby stłumić; ale wówczas piszące igły wydzielały gryzący płyn, którego dziś już nie wolno używać. No, a potem nadchodziła szósta godzina! Nie można było zaspokoić prośb tych wszystkich, którzy chcieli przyglądać się z bliska. Komendant w swojej mądrości rozkazywał, aby przede wszystkim uwzględniać prośby dzieci; ja z racji mojego zawodu zawsze mogłem stać blisko; często też na prawym i lewym ramieniu piastowałem dwoje małych dzieci. Jakże nas przejmował wyraz zmiany na umęczonej twarzy, jakże mieniły się nasze policzki w blasku osiągniętej nareszcie, a już przemijającej sprawiedliwości! Cóż to były za czasy, kolego!

Oficer zapomniał widocznie, kto przed nim stoi; objął podróżnego i położył mu głowę na ramieniu. Podróżny był bardzo zakłopotany, niecierpliwie spoglądał ponad głową oficera. Żołnierz skończył już czyścić maszynę i teraz jeszcze wylał z puszek papkę ryżową do miski. Zaledwie zauważył to skazaniec, który już bodaj całkiem przyszedł do siebie, zaczął chleptać papkę językiem. Żołnierz go odpychał, gdyż papka była przeznaczona na później. W każdym razie było też rzeczą nieprzyzwoitą, że żołnierz brudnymi rękami sięgał do miski i jadł z niej na oczach łakomego skazańca.

Oficer szybko się opanował.

— Nie chciałem pana wzruszać — powiedział — Wiem, że nie można dziś dać pojęcia o tamtych czasach. Zresztą maszyna pracuje jeszcze i działa za siebie. Ona działa za siebie, nawet choć sama już tylko stoi w tej dolinie. A ciało wciąż jeszcze spada w końcu niepojęcie miękkim ruchem w głąb wykopu, choć nie gromadzą się wokół niego jak muchy setki ludzi,



tak jak dawniej. Niegdyś musieliśmy zbudować nad wykopem silną barierę, już dawno ją zwałono.

Podróżny chciał odwrócić twarz od oficera i spojrzał naokoło bez celu. Oficer sądził, że ogląda on pustkę doliny; dlatego ujął go za rękę, obrócił się wokół niego, by uchwycić jego wzrok, i zapytał:

— Widzi pan tę hańbę?

Ale podróżny milczał. Oficer odstał od niego na chwilę; z rozstawionymi nogami, z rękami opartymi na biodrach, stał spokojnie i patrzył w ziemię. Potem zachęcająco uśmiechnął się do podróżnego i rzekł:

— Wczoraj, gdy komendant pana zapraszał, znajdowałem się w pobliżu. Słyszałem zaproszenie. Znam komendanta. Natychmiast zrozumiałem, co pragnie przez to zaproszenie osiągnąć. Mimo że ma dość władzy, aby wystąpić przeciwko mnie, nie ma na to jeszcze odwagi; ale chce mnie poddać pańskiej opinii; opinii poważanego cudzoziemca. Dobrze to sobie obmyślił; jest pan drugi dzień na wyspie, nie znał pan starego komendanta ani kręgu jego myśli, pańskie europejskie poglądy są pełne uprzedzeń, być może, jest pan zasadniczym przeciwnikiem kary śmierci w ogóle, a tego rodzaju maszynowego sposobu przeprowadzania straceń w szczególności, widzi pan ponadto, jak smutno odbywa się takie stracenie bez udziału publiczności, na nieco już uszkodzonej maszynie — czyż biorąc to wszystko pod uwagę (tak myśli komendant) nie byłoby całkiem możliwe, że nie uzna pan mego postępowania za słuszne? A jeśli nie uzna go pan za słuszne (wciąż mówię po myśli komendanta), nie będzie pan tego przemilczał, gdyż z pewnością ma pan zaufanie do swych wielokrotnie sprawdzonych przekonań. Owszem, widział pan wiele osobliwości u wielu narodów i nauczył się pan je szanować, dlatego też nie będzie się pan prawdopodobnie wypowiadał przeciw temu postępowaniu z całą siłą, jakby to pan zapewne uczynił w swojej ojczyźnie. Ale komendant wcale tego nie potrzebuje. Wystarczy mu jedno ulotne, nieogłędne słowo. Nie musi ono nawet odpowiadać pańskiemu przekonaniu, niech tylko wyda się zgodne z jego życzeniem. Jestem pewien, że będzie pana wypytywał z całą przebiegłością. A jego damy będą siedzieć naokoło i nadstawiać uszu. Powie pan na przykład: „U nas postępowanie sądowe wygląda inaczej” albo „U nas przesłuchuje się oskarżonego przed wyrokiem”, albo „U nas tortury istniały tylko w średniowieczu”. Wszystko to są uwagi równie słuszne, jak panu wydają się oczywiste, niewinne uwagi, które nie dotyczą mego postępowania. Ale jak je przyjmie komendant? Widzę go, tego zacnego komendanta, jak natychmiast odsuwa krzesło na bok i śpieszy na balkon, widzę jego damy, jak płyną za nim, słyszę jego głos — damy nazywają go grzmiącym — i oto, co mówi: „Wielki badacz z Zachodu, powołany do badań nad postępowaniem sądowym we wszystkich krajach, powiedział właśnie, że nasza stara procedura jest nieludzka. Po tej opinii, wyrażonej przez taką osobistość, nie mogę naturalnie tolerować dłużej takiej procedury. A zatem z dniem dzisiejszym rozkazuję” — i tak dalej. Pan chce wtrącić, że nie powiedział pan tego, co on rozgłasza, że nie nazwał pan mego postępowania nieludzkim, przeciwnie, że w swym najgłębszym przekonaniu uważa pan je za najbardziej ludzkie i najbardziej godne człowieka. że podziwia pan również naszą maszynę — ale jest już za późno; nie wchodzi pan nawet na balkon, który jest już pełen dam; chce pan zwrócić na siebie uwagę; chce pan krzyknąć, ale damska rączka zamyka panu usta — a ja, wraz z dziełem dawnego komendanta, jestem zgubiony.

Podróżny musiał stłumić uśmiech; a więc tak łatwe było zadanie, które on uważał za tak trudne. Odpowiedział wymijająco:

— Pan przecenia mój wpływ; komendant przeczytał moje pismo polecające i wie, że nie jestem żadnym znawcą postępowania sądowego. Gdybym wyraził swoje zdanie, byłoby to zdanie człowieka prywatnego, znaczące nie więcej niż zdanie kogokolwiek innego, a w każdym razie o wiele mniej znaczące niż zdanie komendanta, który w tej karnej kolonii posiada, jak widzę, prawa bardzo rozległe. Jeśli jego sąd o tej procedurze jest tak stanowczy,

jak pan sądzi, wtedy — obawiam się — nadchodzi koniec tej procedury, bez mojej skromnej pomocy.

Czy oficer to już rozumiał? Nie, jeszcze nie rozumiał. Żywo potrząsnął głową, zerknął w tył na skazańca i żołnierza, którzy wzdrygnęli się i poniechali ryżu, podszedł całkiem blisko do podróznego, nie spojrział mu w twarz, lecz gdzieś na surdut i rzekł ciszej niż poprzednio:

— Pan nie zna komendanta; jest pan wobec niego i wobec nas wszystkich — proszę mi wybaczyć wyrażenie — nieco naiwny; niech mi pan wierzy, pańskiego wpływu nie można ocenić dość wysoko. Byłem szczęśliwy, gdy usłyszałem, że pan sam ma być obecny przy egzekucji. To zarządzenie komendanta miało we mnie ugodzić, ale ja obracam je na swoją korzyść. Nie zwiedziony fałszywymi podszeptami i pogardliwymi spojrzeniami — czego przy udziale liczniejszej publiczności nie mógłby pan uniknąć — wysłuchał pan moich objaśnień, obejrzał pan maszynę i może pan teraz ze zrozumieniem przyjrzeć się egzekucji. Pańska opinia już się zapewne umocniła; jeżeli istnieją jeszcze małe wątpliwości, rozproszy je widok egzekucji. I teraz przedstawiam panu mą prośbę: niech mi pan pomoże przeciwko komendantowi!

Podróżny nie pozwolił mu dalej mówić.

— Jakże ja mogę — wykrzyknął — to jest zupełnie niemożliwe! Mogę panu równie mało pomóc jak zaszkodzić.

— Pan to może — rzekł oficer. Podróżny z pewną obawą ujrzał, że oficer zacisnął pięści. — Pan to może — powtórzył oficer z jeszcze większym naciskiem. — Mam pewien plan, który musi się udać. Pan sądzi, że pański wpływ nie wystarcza. Ja wiem, że wystarcza. Ale przyjmując, że pan ma słuszość, to czyż dla utrzymania tej procedury nie należy koniecznie próbować wszystkiego, nawet — o ile to możliwe — rzeczy niewystarczających? Więc niech pan posłucha mojego planu. Dla jego przeprowadzenia trzeba przede wszystkim, aby pan dzisiaj w kolonii zechciał się wstrzymać z pańską opinią o procedurze. Jeśli nikt pana wprost nie zapyta, nie wolno się panu w żadnym wypadku wypowiadać; jednakże pańskie oświadczenia muszą być krótkie i stanowcze; powinno być widać, że ciężko jest panu o tym mówić, że jest pan rozgoryczony, że gdyby pan miał być szczery, musiałby pan wybuchnąć przekleństwami. Nie żądam, aby pan kłamał, w żadnym razie; powinien pan tylko odpowiadać krótko, na przykład: „Tak, widziałem egzekucję” albo: „Tak, wysłuchałem wszystkich objaśnień.” Tylko tyle, nic więcej. Powodów do zgorzknienia, które u pana winno być widoczne, jest dosyć, choćby nie były one po myśli komendanta. On naturalnie zrozumie to całkowicie błędnie i wytłumaczy sobie po swojej myśli. Na tym opiera się mój plan. Jutro odbywa się w komendanturze pod przewodnictwem komendanta wielkie posiedzenie wszystkich wyższych urzędników zarządu. Naturalnie komendant wpadł na myśl, aby z takich posiedzeń robić widowisko. Zbudowano galerię, która jest stale pełna widzów. Zmuszony jestem brać udział w tych naradach, choć otrząsam się ze wstrętu. Otóż pan w każdym razie z pewnością zostanie zaproszony na posiedzenie; jeśli dzisiaj zachowa się pan zgodnie z moim planem, wyglądać będzie, że zaproszenie jest pana usilnym życzeniem. Gdyby pan jednak z jakiejś niewyjaśnionej przyczyny mimo wszystko nie został zaproszony, musi pan zaproszenia zażądać; nie ulega wątpliwości, że je pan otrzyma. A więc siedzi pan jutro razem z damami w łoży komendanta. On, często spoglądając w górę, upewnia się, że pan tam jest. Po rozmaitych obojętnych, śmiesznych punktach obrad, obliczonych tylko na widzów — przeważnie są to prace nad budową portu! — zaczyna się wreszcie mówić o postępowaniu sądowym. Gdyby ze strony komendanta do tego nie doszło, albo nie doszło dość szybko, już ja się o to postaram. Wstanę i złożę meldunek o dzisiejszej egzekucji. Tylko ten meldunek, całkiem krótko. Nie ma tam wprawdzie zwyczaju składania takich meldunków, zrobię to jednak. Komendant dziękuje mi, jak zwykle, z uprzejmym uśmiechem i teraz nie może się już cofnąć, korzysta z dobrej sposobności. „Złożono właśnie — tak mniej więcej powie — złożono właśnie meldunek o egzekucji.

Do tego meldunku chciałbym tylko dodać, że właśnie przy tej egzekucji obecny był wielki badacz, o którego wizycie, tak niezwykle dla naszej kolonii zaszczytnej, wszyscy państwo wiecie. Jego obecność podnosi także znaczenie naszego dzisiejszego posiedzenia. Czy nie zechcemy więc zadać temu wielkiemu badaczowi pytania, w jaki sposób osądza on egzekucję dokonaną według starej metody i postępowanie sądowe, które ją poprzedza?” Naturalnie wszędzie oklaski, powszechna aprobata, ja zachowuję się najgłośniej. Komendant kłania się przed panem i mówi: „A więc w imieniu wszystkich stawiam to pytanie.” I teraz podchodzi pan do balustrady. W sposób dla wszystkich widoczny kładzie pan na niej ręce, inaczej ujmą je damy i będą się bawić palcami. — I teraz w końcu pan ma głos. Nie wiem, jak wytrzymam napięcie godzin poprzedzających tę chwilę. W swej mowie nie potrzebuje pan nakładać sobie żadnych hamulców, niech pan podniesie prawdziwy alarm, niech się pan pochyli nad balustradą, niech pan ryczy, ależ tak, niech pan wyryczy komendantowi swoje zdanie, swoje niezachwiane zdanie. Ale może nie chce pan tego, może nie zgadza się to z pańskim charakterem, może w pańskiej ojczyźnie zachowują się w takiej sytuacji inaczej, nic nie szkodzi, to także zupełnie wystarczy: niech pan wcale nie wstaje, niech pan powie tylko kilka słów, niech pan je wyszepce, tak aby usłyszeli je tylko siedzący pod panem urzędnicy, to wystarczy. Nie musi pan wcale sam mówić o braku zainteresowania egzekucją, o skrzypiącym kole, o zerwanym rzemieniu, o wstrętnym filcu, nie, wszystko to ja już biorę na siebie, i niech mi pan wierzy, jeśli moja mowa nie wypędzi go z sali, to zmusi go do tego, że padnie na kolana, że będzie musiał wyznać: „Stary komendancie, schylam się przed tobą w pokłonie.” — Oto mój plan; czy zechce mi pan pomóc w jego wykonaniu? Ależ oczywiście, zechce pan, więcej, musi pan!

Tu oficer ujął podróżnego za oba ramiona i ciężko oddychając spojrzał mu w twarz. Ostatnie zdania krzyczał tak głośno, że zwróciło to nawet uwagę żołnierza i skazańca; mimo że nic nie mogli zrozumieć, przerwali jedzenie i żując patrzyli w stronę podróżnego.

Odpowiedź, której musiał udzielić, była dla podróżnego od samego początku niewątpliwa; za wiele w swym życiu doświadczył, by tutaj mógł się wahać; był z gruntu uczciwy i nie ulegał trwodze. Mimo to teraz, w obliczu żołnierza i skazańca, zwlekał przez krótką jak oddech chwilę. Lecz wreszcie odpowiedział tak, jak musiał:

— Nie.

Oficer wielokroć zamrugał powiekami, ale nie spuścił z niego wzroku.

— Czy chce pan wyjaśnić? — zapytał podróżny.

Oficer w milczeniu skinął głową.

— Jestem przeciwnikiem tej procedury — powiedział podróżny. — Zanim jeszcze okazał mi pan zaufanie — zaufania tego naturalnie w żadnych okolicznościach nie nadużyję — zastanawiałem się już, czy miałbym prawo wystąpić przeciw tej procedurze i czy moje wystąpienie mogłoby mieć choćby małe widoki powodzenia. Przy tym było dla mnie jasne, do kogo musiałbym się najpierw zwrócić: naturalnie do komendanta. Pan mi to jeszcze bardziej uświadomił, jakkolwiek nie pan utwierdził mnie dopiero w tym postanowieniu. Przeciwnie, rozumiem pańskie uczciwe przekonanie, choć nie może mnie ono odwieść z mej drogi.

Oficer wciąż milcząc zwrócił się do maszyny, ujął jedną z mosiężnych sztab, a potem, odchyliwszy się nieco w tył, spojrzał w górę na rysownik, jak gdyby sprawdzał, czy wszystko jest w porządku. Wydawało się, że żołnierz i skazaniec zaprzyjaźnili się z sobą: skazaniec, choć mocno skrępowany, dał znak żołnierzowi, żołnierz nachylił się ku niemu, i skazaniec coś mu szepnął, a żołnierz kiwnął głową.

Podróżny podszedł do oficera i powiedział:

— Nie wie pan jeszcze, co chcę uczynić. Wyjawię wprawdzie komendantowi mój pogląd na procedurę, ale nie na posiedzeniu, lecz w cztery oczy; nie pozostanę tu też tak długo, żebym mógł zostać wezwany na jakiegokolwiek posiedzenie; już jutro rano odjadę albo przynajmniej zaokrętuję się.

Zdawało się, jak gdyby oficer nie słuchał.

— A więc procedura pana nie przekonała — rzekł do siebie i uśmiechnął się, tak jak starzec uśmiecha się nad głupotą dziecka, a poza uśmiechem ukrywa swe własne, prawdziwe myśli. — A więc nadszedł czas — powiedział w końcu i spojrział nagle na podróżnego jasnymi oczami, w których widać było jakieś wezwanie, jakiś apel.

— Na co nadszedł czas? — niespokojnie zapytał podróżny, lecz nie otrzymał odpowiedzi.

— Jesteś wolny — powiedział oficer do skazańca w jego języku. Ten z początku nie uwierzył. — No, jesteś wolny — rzekł oficer.

Twarz skazańca po raz pierwszy naprawdę się ożywiła. Czy to była prawda? Czy był to tylko przemijający kaprys oficera? Czy ten obcy podróżny wyjednał mu łaskę? Co to było? — zdawała się pytać jego twarz. Ale niedługo. Cokolwiek to być mogło, mógł, jeśli chciał, naprawdę być wolnym i począł się szarpać, o ile pozwalała na to brona.

— Zrywasz mi rzemienie — krzyknął oficer. — Uspokój się! Już cię puszczamy! — i razem z żołnierzem, któremu dał znak, zabrał się do pracy. Skazaniec cicho, bez słów, śmiał się przed siebie, zwracał twarz to na lewo do oficera, to na prawo do żołnierza, nie zapominał także o podróżnym.

— Wyciągnij go — rozkazał oficer żołnierzowi. Ze względu na bronę należało przy tym zachować pewną ostrożność. Z powodu swojej niecierpliwości skazaniec miał już kilka małych, szarpanych ran na plecach.

Ale od tej chwili oficer prawie się o niego nie troszczył, Podeszedł do podróżnego, wyjął znowu małą skórzaną teczkę, przerzucał w niej kartki, wyciągnął wreszcie tę, której szukał, i pokazał ją podróżnemu.

— Niech pan czyta — powiedział.

— Nie umiem — odparł podróżny. — Powiedziałem już, że nie umiem odczytywać tych kartek.

— Niech pan jednak dokładnie obejrzy kartkę — rzekł oficer i stanął obok podróżnego, aby czytać razem z nim. Gdy i to nie pomogło, aby ułatwić podróżnemu czytanie, zaczął wodzić małym palcem bardzo wysoko nad papierem, jak gdyby w żadnym wypadku nie można było dotknąć kartki. Podróżny, aby przynajmniej w ten sposób okazać się grzecznym wobec oficera, także zadawał sobie trud, ale bezskutecznie. Oficer zaczął więc sylabizować napis, a potem raz jeszcze płynnie go odczytał.

— To znaczy: „Bądź sprawiedliwy!” — rzekł. — Teraz umie pan już chyba przeczytać.

Podróżny tak nisko pochylił się nad papierem, że oficer w obawie przed dotknięciem odsunął go dalej; podróżny wprowadził już nie powiedział, ale było jasne, że wciąż jeszcze nie potrafi przeczytać.

— To znaczy: „Bądź sprawiedliwy” — raz jeszcze powiedział oficer.

— Być może — odparł podróżny. — Wierzę, że jest to tutaj napisane.

— Więc dobrze — rzekł oficer, przynajmniej częściowo zadowolony, i wstąpił z kartką na drabinę; z największą ostrożnością umieścił kartkę w rysowniku i zdawało się, że gruntośnie przestawił zespół zębatach kół; była to bardzo żmudna praca, trzeba było zająć się także całkiem małymi kółkami, niekiedy głowa oficera zupełnie zniknęła w rysowniku, tak dokładnie musiał badać mechanizm.

Podróżny z dołu bez przerwy śledził tę pracę, szyja mu zdrętwiała, a oczy bolały od słonecznego blasku, którym obsypane było niebo. Żołnierz i skazaniec zajęci byli tylko sami sobą. Żołnierz końcem bagnetu wyciągnął koszulę i spodnie skazańca, które leżały już w wykopie. Koszula była straszliwie brudna i skazaniec wyprał ją w kubie z wodą. Gdy włożył potem koszulę i spodnie, tak żołnierz jak i skazaniec wybuchnęli głośnym śmiechem, gdyż odzież ta była z tyłu rozcięta na dwoje. Skazaniec uważał widać za swój obowiązek zabawić żołnierza, gdyż w rozciętym ubraniu kręcił się przed nim w kółko, a żołnierz kucnął na ziemi

i śmiejąc się bił się w kolana. Mimo wszystko opanowali się przecież przez wzgląd na obecność panów.

Gdy oficer był wreszcie na górze gotów, uśmiechając się raz jeszcze objął spojrzeniem całość i poszczególne części maszynierii, zatrzasnął tym razem pokrywę rysownika, która dotychczas była otwarta, zszedł na dół, spojrzął do wykopu, a potem na skazańca, zauważył z zadowoleniem, że ów wyciągnął swoje ubranie, następnie podszedł do wiadra z wodą, aby umyć ręce, zbyt późno zauważył paskudny brud, zmartwił się, że nie może ich teraz porządnie umyć, zanurzył je wreszcie w piasku — ta namiastka mu nie wystarczała, ale musiał się nią zadowolić — po czym powstał i zaczął rozpinać swoją mundurową kurtkę. Spadły mu przy tym zaraz do rąk dwie damskie chusteczki, które zatknął za kołnierz.

— Masz tu swoje chusteczki — powiedział i rzucił je skazańcowi. A do podróznego rzekł wyjaśniająco: — Damskie prezenty.

Mimo widocznego pośpiechu, z jakim ściągał kurtkę, a następnie zupełnie się rozbierał, obchodził się jednak z każdą częścią ubrania bardzo troskliwie, przeciągnął nawet umyślnie palcami po srebrnych sznurach przy kurtce i otrząsnął frędzle. Nie bardzo zresztą zgadzało się z tą troskliwością, że skoro tylko uporał się z częścią ubrania, natychmiast niechętnym ruchem wrzucał ją do wykopu. Ostatnią rzeczą, która mu pozostała, był krótki sztylet z pendentem. Wyciągnął sztylet z pochwy, złamał go, zebrał potem wszystko: kawałki sztyletu, pochwę i pendent i odrzucił tak gwałtownie, aż zadźwięczało na dnie wykopu.

Stał teraz nagi. Podróżny zagryzł wargi i nic nie mówił. Wiedział wprawdzie, co się stanie, ale nie miał prawa w czymkolwiek oficerowi przeszkadzać. Jeżeli nawet postępowanie sądowe, z którym związany był oficer, było naprawdę bliskie uchylecia — być może wskutek wystąpienia podróznego, do którego ten ze swojej strony czuł się zobowiązany — to jednak obecnie oficer postępował całkowicie słusznie; podróżny na jego miejscu postąpiłby inaczej.

Żołnierz i skazaniec w pierwszej chwili nic nie rozumieli, z początku nawet nie patrzeni. Skazaniec był bardzo uradowany, że odzyskał chusteczki, ale nie zdołał cieszyć się nimi długo, gdyż żołnierz zabrał mu je szybkim i nieoczekiwanym ruchem. Teraz znów skazaniec próbował wyciągnąć żołnierzowi chusteczki zza pasa, za którym je schował, lecz żołnierz miał się na baczności. Tak przekomarzali się na pół żartem. Dopiero gdy oficer zupełnie się obnażył, zwróciło to ich uwagę. Zwłaszcza skazaniec zdawał się być tknięty przeczuciem jakiejś wielkiej zmiany. To, co zdarzyło się jemu, spotkało teraz oficera. Może odbędzie się to aż do końca. Prawdopodobnie obcy podróżny wydał taki rozkaz. Była to więc zemsta. On sam nie wycierpiał do końca, zostanie jednak teraz aż do końca pomszczony. Szeroki, bezgłośny śmiech pojawił się na jego twarzy i już nie zniknął.

Oficer zaś zwrócił się ku maszynie. O ile już przedtem było jasne, że świetnie ją znał, to teraz niemal przerażało, jak się z nią obchodził i jak mu była posłuszna. Zbliżył tylko rękę do brony, a ona wielokrotnie uniosła się i opadła, dopóki nie przybrała właściwego położenia, by przyjąć oficera; ujął tylko za brzeg łóżka, a ono już zaczynało drgać; filcowy klin podsunął się ku jego ustom, widać było, że oficer właściwie go nie chce, ale wahał się tylko przez moment, zaraz się poddał i przyjął go. Wszystko było gotowe, tylko rzemienie zwisały po bokach, ale widocznie były niepotrzebne, oficer nie musiał być przywiązany. Wtem skazaniec zauważył wiszące rzemienie, a jego zdaniem egzekucja nie była zupełna, skoro one nie były zapięte, żywo skinął więc na żołnierza i pobiegli, by skrupować oficera. Ten wyciągnął już jedną nogę, aby pchnąć nią korbę, która powinna wprawić w ruch rysownik, gdy zobaczył, że ci dwaj nadeszli; cofnął więc nogę z powrotem i pozwolił się przywiązać. Ale teraz nie mógł już dosięgnąć korby; ani żołnierz, ani skazaniec nie umieliby jej odnaleźć, a podróżny postanowił się nie ruszać. Nie było to potrzebne; ledwie zaciągnięto rzemienie, już maszyna zaczęła pracować; łóżko drgało, igły tańczyły po skórze, brona kołysała się tam i z powrotem. Podróżny już przez chwilę patrzył na to, zanim sobie przypomniał, że koło w rysowniku powinno skrzypieć; ale było zupełnie cicho, nie było słyhać nawet najlżejszego szmeru.

Dzięki tej cichej pracy, maszyna dosłownie nie zwracała uwagi. Podróżny spojrzął na żołnierza i skazańca. Skazaniec był bardzo ożywiony, wszystko go w maszynie interesowało, to się pochylał, to wyprostowywał, ciągle wysuwał palec, aby coś pokazać żołnierzowi. Było to dla podróżnego przykre. Postanowił pozostać tutaj aż do końca, ale nie potrafił znieść widoku tych dwóch.

— Idźcie do domu — powiedział.

Żołnierz byłby może na to przystał, ale skazaniec przyjął rozkaz po prostu jak karę. Składając błagalnie ręce prosił, aby mu wolno było tu zostać, a gdy podróżny potrząsając głową nie chciał ustąpić, klęknął nawet. Podróżny zobaczył, że rozkazy nic tu nie pomogą, chciał przejść na drugą stronę i przepędzić tych dwóch. Wtedy usłyszał łoskot wysoko, w rysowniku. Spojrzął w górę. A więc koło zębate jednak się psuło? Ale to było coś innego. Pokrywa rysownika powoli się uniosła, a potem zupełnie odskoczyła. Ukazały się i uniosły w górę tryby zębatego koła, wkrótce wyłoniło się całe koło. Było to, jak gdyby jakaś wielka siła zgniatała rysownik, tak że dla tego koła nie pozostało już miejsca. Koło przekreśliło się aż do krawędzi rysownika, spadło w dół, potoczyło się kawałek po piasku i upadło. Ale już drugie wysuwało się w górę, a za nim wiele dużych, małych i niemal nie różniących się między sobą. Z wszystkimi działało się to samo. Wciąż się zdawało, że teraz rysownik musi już być całkiem pusty, lecz wtedy zjawiała się nowa, szczególnie liczna grupa kół, wyłaniały się one, spadały w dół, toczyły w piasku i wywracały się. Wśród tego skazaniec zupełnie zapomniał o rozkazie podróżnego, zębate koła wprost go zachwyciły, wciąż chciał któreś schwycić, zarazem przynaglał żołnierza, aby mu pomógł, ale z przestachem cofał rękę, gdyż zaraz spadało nowe koło, które przynajmniej w pierwszej chwili nappełniało go obawą.

Podróżny natomiast był bardzo zaniepokojony; maszyna wyraźnie rozpadała się w gruzy; jej spokojne działanie było złudzeniem; doznał uczucia, że powinien zatroszczyć się o oficera, gdyż ten nie mógł już myśleć sam o sobie. Lecz podczas gdy wypadek z kołami zaprzętał całą jego uwagę, zapomniał obserwować resztę maszyny. Ale gdy teraz, kiedy ostatnie koło wypadło z rysownika, pochylił się nad broną spotkała go nowa, jeszcze gorsza niespodzianka. Brona nie pisała, tylko kłuła, a łóżko nie obracało ciała, tylko z drganiem unosiło je ku igłom. Podróżny chciał wdać się w tę sprawę, o ile możliwości zatrzymać całość, to już nie była tortura, jakiej pragnął dostąpić oficer, to był zwyczajny mord. Wyciągnął ręce. Ale wtedy brona, wraz ze zmasakrowanym ciałem, uniosła się i przechyliła na bok, tak jak to zwykle czyniła dopiero w dwunastej godzinie. Setkami strumyków płynęła krew, nie zmieszana z wodą, gdyż tym razem nie działały także rurki wodne. A teraz zawiodła jeszcze ostatnia rzecz: ciało nie odrywało się od długich igieł, wykrwawiało się, lecz zwisało nad wykopem i nie spadało. Brona chciała już wrócić do dawnego położenia, ale jak gdyby sama poczuła, że nie uwolniła się jeszcze od swego ciężaru, pozostała jednak nad wykopem.

— Pomóżcie przecie! — krzyknął podróżny do żołnierza i skazańca i sam chwycił za stopy oficera. Chciał tutaj ująć stopy, tamci dwaj powinni z drugiej strony chwycić za głowę i w ten sposób należało oficera powoli ściągnąć z igieł. Ale teraz tamci dwaj nie mogli się zdecydować; skazaniec nawet się odwrócił; podróżny musiał przejść do nich na drugą stronę i przemocą popchnąć ich do głowy oficera. Przy tym mimo woli ujrzał twarz trupa. Była taka, jak za życia, nie można było odkryć na niej żadnego znaku przyrzeczonego wyzwolenia; oficer nie znalazł tego, co wszyscy inni w maszynie znajdowali. Wargi jego były silnie zaciśnięte, otwarte oczy sprawiały wrażenie żywych, ich spojrzenie było spokojne i stanowcze; ostrze dużego, żelaznego kolca przeszywało czoło.

Kiedy podróżny, a za nim żołnierz i skazaniec, doszli do pierwszych domów kolonii, żołnierz wskazał na jeden z nich i powiedział:

— Tutaj jest herbaciarnia.

Na parterze domu znajdowało się głębokie, niskie pomieszczenie, sklepione na kształt

jaskini, o zadymionych ścianach i suficie. Od strony ulicy było otwarte na całej swej szerokości. Jakkolwiek herbaciarnia niewiele różniła się od innych domów kolonii, które z wyjątkiem pałacowych budowli komendantury były bardzo nędzne, to jednak wywarła ona na podróżnym wrażenie historycznego zabytku — uczuł potęgę minionych czasów. Zbliżył się, przeszedł w asyście swych towarzyszy między pustymi stolikami, które stały na ulicy przed herbaciarnią, i odetchnął chłodnym, stęchłym powietrzem, płynącym z wnętrza.

— Tutaj pogrzebano starego — rzekł żołnierz. — Duchowny odmówił mu miejsca na cmentarzu. Długo się zastanawiano, gdzie go pochować, w końcu pochowano go tutaj. O tym panu oficer pewnie nie opowiadał, bo tego naturalnie najwięcej się wstydził. Próbował nawet kilka razy w nocy odgrzebać starego, ale zawsze go przepędzano.

— Gdzie jest grób? — spytał podróżny, który nie mógł żołnierzowi uwierzyć.

Zaraz pobiegli przed nim obydwoj, żołnierz i skazaniec, i wyciągniętymi rękami wskazywali miejsce, w którym grób miał się znajdować. Zaprowadzili podróżnego aż do tylnej ściany, gdzie przy kilku stołach siedzieli goście. Byli to prawdopodobnie robotnicy portowi, silni mężczyźni o krótkich, czarno połyskujących brodach. Wszyscy byli bez kurtek, w podartych koszulach. Byli to ludzie ubodzy i pokorni. Gdy podróżny się zbliżył, niektórzy z nich wstali, przywarli do ściany i wpatrywali się w niego.

— To jest cudzoziemiec — rozległ się szept w wokół podróżnego. — Chce zobaczyć grób.

Odsunęli na bok jeden ze stołów, pod którym rzeczywiście znajdował się kamień nagrobny. Był to prosty kamień, dość niski, aby można go było ukryć pod stołem. Pokrywał go napis, złożony z bardzo małych liter, podróżny musiał uklęknąć, by je odczytać. Napis głosił:

„Tu spoczywa stary komendant. Jego zwolennicy, którzy muszą teraz pozostać bezimienni, wykopali mu grób i położyli kamień. Istnieje proroctwo, że po pewnej liczbie lat komendant zmartwychwstanie i z tego domu poprowadzi swych zwolenników do walki o odzyskanie kolonii. Ufajcie i czekajcie!”

Gdy podróżny przeczytał to i powstał, zobaczył, że ludzie stoją wokół niego i uśmiechają się, jak gdyby wraz z nim przeczytali napis, uznali go za śmieszny i wzywali podróżnego, aby podzielił ich zdanie. Podróżny udawał, jakby tego nie zauważył, rozdzielił między nich kilka monet, zaczekał jeszcze, aż przesunięto stół nad grób, opuścił herbaciarnię i poszedł do portu.

Żołnierz i skazaniec znaleźli w herbaciarni znajomych, którzy ich zatrzymali. Musieli się jednak szybko z nimi rozstać, bo podróżny znajdował się dopiero pośrodku długich schodów wiodących do łodzi, gdy już za nim nadbiegli. Prawdopodobnie chcieli w ostatniej chwili zmusić podróżnego, aby zabrał ich z sobą. Podczas gdy na dole podróżny umawiał się z przewoźnikiem o przejazd na parowiec, ci dwaj pędzili po schodach, w milczeniu, gdyż nie mieli odwagi krzyknąć. Ale gdy zeszli na dół, podróżny był już w łodzi, a przewoźnik odbijał właśnie od brzegu. Mogliby jeszcze wskoczyć do łodzi, ale podróżny podniósł z jej dna ciężką, węzlastą linę, pogroził im nią i w ten sposób wstrzymał ich od skoku.

Przełożył *Juliusz Kydryński*

## Alexander Moritz Frey **PASZPORT**

Był wieczór dwudziestego dziewiątego sierpnia roku 1914. Po ponurym placu dworcowym wałęsał się obojętny na wszystko student, Viktor Mann. Zatrzymał się bez pośpiechu, z wahaniem, podobnie jak kiepski mechanizm, w którego tryby dostanie się jakaś drobina i

stał przy brudnawożółtym papierze, leżącym na szarych kamieniach. Jakiś wyświechtany zeszyt — niemal z obrzydzeniem odwrócił go laską — to chyba jakaś książeczka pomocy domowej lub coś podobnego. Nie ruszał jednak dalej, tylko zastanawiał się, czy powierzyć swym plecóm i kolanóm trud przykucnięcia. Zeszyt bowiem mimo całego brudu wyglądał z obca, był umaczany jakby w tłuszczu, na grzbiecie miał dwa złotawe nity, które zamigotały matowym blaskiem zapalonych właśnie lamp łukowych rozległego placu. Przede wszystkim zaś miał na środku swej ubogiej, ciemnej okładki jakieś odręcznie napisane słowo.

Zdobył się na niewielki wysiłek i ugiął swe zmęczone plecy i niepewne kolana. Schylił się i podniósł dwómá palcami do krótkowzrocznych oczu natrętny przedmiot.

Atramentowy rządęk grubych liter pisanych misternie okrągłym pismem składał się na wyraz *Montélié*. Nad nim niebieskawy ślad stempla: *Classe 1912*.

Przerzucał zabrudzone strony, napotykał tu i ówdzie wyraz *Montélié*, a raczej nazwisko *Viktor Montélié* wśród innych nazwisk i wpisów. Pojął w końcu, że trzyma w rękach francuski paszport wojskowy.

Ruszył dalej, śpiesznie trzepnął książeczką o chude palce, by ją odkurzyć i zmusił się przy tym do kaszlu, by uchronić usta i oddech od zdradliwych rymów. Ponieważ książeczka wyglądała niezdrowo; jej wilgotna żółtość przypominała objawy gorączki, przesycony zaś naftą lub innym jakimś płynem wóółprzezroczysty papier — cienką skórę wymizowanego człowieka, lub szklistość gałek ocznych umarłego.

Nióś ją ulicą nienaturalnie, w jednej ręce wyciągniętej daleko od ciała. Od czasu do czasu rzucał okiem na okładkę. Wciąż to słowo *Montélié* napisane zamaszystym okrągłym pismem, osadzone tak pewnie, jakby nazwisko było samym żywym mężczyzną, dziarską częścią wielkiej Armii Francuskiej w marszu przeciwko Niemcom.

Lecz nagle przeszły go ciarki od dotyku kleistego i przepojonego diabli wiedzą jakimi niedobrymi substancjami zeszytu. Już zamierzał wrzucić go do ogródka przed domem, koło którego właśnie przechodził, gdy ujrzawszy gazetę wsuniętą między kraty, wpadł na inny pomysł. Przywłaszczył sobie jeden arkusz gazety, wsadził do niego zeszyt i wsunął go do zewnętrznej kieszeni surduta. Spoczął w niej jak kamień. „Olej tak go obciąża i te żółte nity”, tłumaczył sobie idąc ostrożnie dalej.

W jaki sposób francuski paszport znalazł się na placu dworcowym niemieckiego miasta? Wyjaśnienie! Student zatrzymał się ponownie i postukał niecierpliwie laską po asfalcie. Ostatecznie uznał, że albo zgubił go jakiś jeniec, którego tutaj przywieziono, albo ranny niemiecki żołnierz zabrał go ze sobą do domu stamtąd, gdzie się staje tuż-tuż naprzeciwko siebie, ciało za ciało, więc paszport za paszport. Co? Że to chyba niemożliwe? Że to niezwykle w tych niezwykłych czasach, żeby znaleźć paszport wojskowy jakiegoś Francuza w samym środku spokojnie wyglądającego miasta? Nie, bardziej niezwykle było to, że wczoraj lub przedwczoraj zastanawiał się, jak brzmiało nazwisko owego młodego Francuza, z którym przed paroma laty studiował w Genewie, a który nosił to samo co i on imię? Albo było to dopiero dzisiaj? Czy dzisiaj szukał nazwiska francuskiego kolegi ze studiów? Ależ pogmatwało się wszystko w pamięci i zatarło od ataków tej wojny! To codzienne wbijane do czaszki nowych wieści po to, by się pomieszało w końcu wszystko, a wszelkie poczucie czasu zatarciło się zupełnie! Czy było to może dopiero dzisiaj po południu? Nie wiedział, mimo najlepszych chęci. Ten Francuz w Genewie nie nazywał się przecież *Montélié*? Nie. Wprawdzie chyba podobnie, w samej rzeczy. A więc jak?

Bezskutecznie usiłował sobie przypomnieć. A musiał się coraz bardziej bronić przed głosem, który uporczywie szeptał, że tamten nazywał się jednak *Montélié*. Wiedział na pewno: to nie było to nazwisko. Mimo to sprawdzał je ciągle, poruszając niemo ustami, jak ktoś, kto przekonuje się na koniec, że postać, która mignęła przed nim, jest jedynie bratem szukanego, a nie samym poszukiwaniem...

Na wieczór wstąpił do bardzo skromnej gospody. Było zbyt późno na to, by otrzymać



ciepłą strawę. Zadowolił się chlebem i serem, przekąską, która najlepiej odpowiadała jego sytuacji finansowej. Miał za sobą długą bieganinę, nie mógł dzisiaj pracować, podobnie jak w poprzednich dniach, od tygodni zresztą nie mógł; od wybuchu wojny nie zaznał wewnętrznego spokoju. Na domiar złego zamknięto uczelnię. Nawet podróż do domu była dlań niemożliwa. Po co zresztą? Rodzice sami byli w drodze, klepiąc z dnia na dzień biedę gdzieś tam u krewnych, odkąd opuścili Prusy Wschodnie, gnani na złamanie karku rykiem wojny. Wtedy, gdy dowiedział się, że nie może liczyć ani na powrót do domu, ani na skromne wsparcie ze strony ojca, które zaspokajało tylko pierwsze potrzeby, bez wahania zgłosił się na ochotnika do regimentu miasta uniwersyteckiego. Miał dwadzieścia dwa lata i uznano go za niezdolnego do służby wojskowej. I tak zostało. Lekarz sztabowy pokiwał głową i powiedział patrząc dobrodusznie w jego rozczarowane oczy: Lepiej będzie zrezygnować z myśli o służbie, i to definitywnie. Wprawdzie ogólnie biorąc jest zdrow, niemniej pewna wyraźnie zaznaczona słabość całej struktury cielesnej oraz delikatność płuc przede wszystkim są przeciwwskazaniem do poczynienia choćby próby. Nie przetrzyma; a jaki pożytek będzie miała z niego ojczyzna, gdy i tak będzie leżał w lazarecie jak podczas przeszkolenia? Dobrodusznie rozpoczętą mowę zakończył bardzo energicznie i szorstko: Żadnego pożytku, a jedynie kłopot. Ubrać się!

Nie było rady. Jakikolwiek sprzeciw nie zdał się na nic; sprawa przesądzona. A tak chętnie pomaszerałby. Nie z żądzy krwi, nie z chęci szukania zemsty na obcym kraju, na polityce jakiegokolwiek obcego kraju. Czy w ogóle szukaniem zemsty można nazwać ślepe strzelanie do ludzi? Kogo się trafia? Niewinnych! Jednostka jest zawsze niewinna. Gdzie tkwi ta żądząca wola, to wielkie zaślepienie, ta nadludzka złość, które popędzają i poświęcają jednostkę? Gdybyż można było je spotkać! O, wówczas...!

Nie, wyruszyłby raczej z poczucia solidarności ze wszystkimi skazanymi na ból i wyrzeczenia, choćby dlatego, że sam będąc nieszczęśliwym odczuwał więź z licznymi, którzy zmuszeni byli iść nieszczęściu naprzeciw. Z poczucia wspólnoty z tymi, na których spadła ta niepojęta rola „Dlaczego tylko oni, a ja nie?”, zadawał sobie pytanie. „Czyż mam żyć na ubożu, jeść, pić i spać jak dotychczas, gdy kraje drżą od milionów kroków ludzi wykonujących jakieś tam tajemnicze posłannictwo? Bo nie chodzi jedynie o strzeżenie granic, o pokonanie przeciwnika, o osadzenie na tronie monarchy”, czuł niejasno, że chodzi o więcej. „I mnie przy tym nie ma”, przyznał posępnie.

Musiał pozostać w domu. Gdzie to było: w domu? Udzielał lekcji języka francuskiego i wprawiał początkujących do gry na fortepianie, gdyż przypadkowo w jego nędznej komórce pokrywał się kurzem instrument — stara skrzynia do wynajęcia, którą jego poprzednik niezwykle dziwnym trafem opłacił za cały rok z góry. — Żył przeciętnie za szesnaście marek tygodniowo.

Dokończył posiłku, przeżuując jeszcze kawałek chleba. Zbliżała się już pora, gdy zamykano gospody. Szykarz kręcił się wokół niego i starego, podpitego domokrażcy, swych jedynych gości ślęczących nad pustymi kuflami, dając do zrozumienia wyszukaną gestykulacją i badawczym spojrzeniem, że należy opuścić lokal, aby zgasić lampę i oszczędzić przynajmniej światła.

Atoli student pozostał — z tępej przekory. Zachęcająco tu nie było, ale został. Domokrażca natomiast był zbyt zamroczony, by w ogóle pojąć wypadki, jakie zachodziły w jego otoczeniu. Więc gospodarz, mrużąc gniewnie, powrócił do swego kąta przy szynku.

Moment ten wydawał się najodpowiedniejszy do bardziej skrupulatnego przejrzenia paszportu. Viktor Mann wyciągnął z kieszeni zawiniątko i położył je z udawaną beztróską na stole. Potem jednak zawahał się na myśl, że pod opakowaniem z gazety ukrywał się zeszyt oblepiony brudem i tłuszczem, i że byłoby to właściwie dość obrzydliwe, żeby teraz, zaraz po posiłku wypakować rzecz tak nieapetyczną. „Dokończę w spokoju tę kromkę — postanowił — nie dotknę tymi oto rękami, które łamią chleb, zagadkowych zarazków, od których roi się

zapewne na okładce i stronicach tej trzykrotnie grubszej od niemieckiego paszportu wojskowego książeczki. Może później, gdy pokonam już obrzydzenie!” I wsunął paszport z powrotem do kieszeni.

„On był przy tym!”, powiedział potem sobie. Ten Montélié był jednym z tych, których kroki rozbrzmiewały w Europie. Czy też ten Francuz poznany w Genewie stał teraz w polu? Jak on się nazywał? Kończyło się wszakże na Montélié? Nie, z pewnością nie. Ale czy tak z całą pewnością, na pewno nie. Że też można zapomnieć nazwiska człowieka, mówiąc lepiej: że to nazwisko potrafi tak zatrzeć się w pamięci, że nie sposób doń dotrzeć — człowieka, którego widziało się, z którym rozmawiało się, wprawdzie przez krótki okres życia, ale wówczas niemal codziennie! Zaledwie przed paroma laty! Człowieka, którego dłużnikiem w sensie ogólnym było się jeszcze dzisiaj. Jeszcze dzisiaj!

Gospodarz zajął się znowu łażeniem. Tym razem udało mu się spokojnie wypłoszyć gości. Pijany domokrażca przechylił się, gdy ujrzał w przeraźliwie pustym lokalu zbliżającego się doń gospodarza, którego nie od razu rozpoznał, lecz powodowany jakimś niejasnym wspomnieniem o policji i areszcie podniósł się chwiejnie, nadając swemu głosowi pożałowania godną moc i wymamrotał, że chce zapłacić. Do należnej kwoty brakowało mu jednak pięciu fenigów. Próżno szukał ich, szperając po wszystkich kieszeniach między bezdźwięcznymi zakamarkami ciała.

Szynkarz już zaczął wykrzykiwać na pijaną świnię, gdy do targu wtrącił się student, wyrażając gotowość zapłacenia zarówno długu, jak i dorzucenia brakującej sumy do rachunku domokrażcy.

I tak się stało. Gospodarz uczynił ponury skłon i wypuścił obu. Domokrażca chwiejnie wyprzedził w drzwiach studenta i potykając się, schodził kamiennymi schodami. Na dworze musiał oprzeć się o mur.

Viktor Mann zatrzymał się przy nim niezdecydowanie, rozważając, czy jest zobowiązany troszczyć się nadal o tego człowieka, o jego powrót do domu.

Domokrażca stał się poufały. Wysunął przed siebie zamkniętą skrzynkę zawieszoną z tyłu i otworzył ją. — Kupcie panie — plótl z przyzwyczajenia ciężki język. Sznurówki, szpilki do włosów, pocztówki...

Student czuł się trochę w obowiązku kupić coś, czy raczej wykupić się od tego maniaka. Wbrew sobie zajrzał do zużytej skrzynki, a ponieważ wszystko było dlań już niepotrzebne, wybrał z bezużytecznych przedmiotów najbardziej bezużyteczny. Wyciągnął małą kukielkę małpki, bardzo lichej, prymitywnej roboty, o kolorowej sierści na łapkach i w czerwonym kepi nad czarnymi perłami oczu.

— Trzydzieści fenigów — bełkotał domokrażca ze służalczą chciwością.

Viktor Mann poczuł się bezwstydnie oszukiwany, gdy usłyszał wymyśloną na poczekaniu cenę, trzykrotnie przekraczającą rzeczywistą wartość, ale nie oponował. Kupił.

Tym razem była jego kolej na szukanie po wszystkich kieszeniach brakujących do zaokrąglenia sumy pięciu fenigów. Już rozmyślał, czy podjąć się ciężkiego zadania wytłumaczenia pijakowi, że owe pięć fenigów oddał już właśnie, pośrednio bowiem, szynkarzowi — gdy znalazł monetę.

By nie dotykać ręki brudnego starucha włożył pieniądze do skrzynki i oddalił się spiesznie, goniony skroś nocy szemrzącym mamrotaniem słów pełnych szacunku.

Gdy przechodził podwórkiem swego domu w kierunku otwartych schodów prowadzących do oficyny, podniósł długą na palec małpkę w niebieskawą letnią noc. Czarny kształt nieforemnej figurki podrygiwał ponad tarczą księżycy. Zatrzymał się i poruszał drucianymi łapkami w tę i z powrotem: te objęły więc żółtą piłkę i wdrapywały się po niej ku górze. Rozśmieszyla go ta dziecinada. Oślepiiony nieco bladym światłem szukał schodów, które tonęły w nieprzeniknionych ciemnościach. „Mimo to prowadzą w g ó r ę”, pomyślał z przymusem.

W swoim pokoju zapalił świecę i zaczął się zaraz rozbierać. Paszport, który przez minioną godzinę przenikał wszystkie jego myśli, napierał się mocno. „Jutro — obiecywał — dzisiaj już nie! Jutro w świetle dnia”. Tkwił przecież dobrze zabezpieczony w kieszeni surduta, zawieszonym tam, na krześle. Ale małpka, druga zdobycz tej nocy, czekała na decyzję; gdzieś należało ją umieścić, Viktor Mann zajął się nią. Przyciśnięta do świecy, na której znalazła swe miejsce. wdrapywała się szybko do góry, nie ruszając się z miejsca, zwinnymi ruchami, które raptem zamarły. Viktor Mann położył się, zgasił płomień, do którego daremnie wspinała się małpka i naciągnął koc aż po chude, wystające obojczyki, wstrząsany dreszczami mimo letniej nocy.

Źle spał tej nocy, choć zaraz zasnął. Miał ponury sen. Szedł ulicami, zrytymi i pofałdowanymi tu i ówdzie. Podszedł do jakiegoś domu, przed którym jakiś mężczyzna zapraszał go skinieniem dłoni, by wszedł do środka, w taki sposób, że nie mógł odmówić. Mężczyzna nie tyle zapraszał, ile żądał. Viktor Mann pomyślał: „Konieczność zmusza mnie...” Wstąpił do środka i piął się najpierw bezkresnymi schodami, potem kamiennymi blokami piramidy, aż wreszcie stromymi skałami na szczyt. Szedł dysząc pod rozgwieżdżonym niebem. Miał za sobą wciąż owego mężczyznę, coś pobrzękiwało monotonicznie jak łańcuchy, musiał posuwać się do przodu, żadnym mięśniem nie próbował nie posuwać się do przodu. Z rezygnacją w sercu stwierdził: „Coś mnie gna...” U góry, gdy po godzinach stanął u góry, przyjęła go czerwona zasłona, nad którą migotały słowa jakby ogniem płynące. Spróbował odczytać: *Viktor Mann i Montélié*, a poniżej: *zwaśnieni bracia*. Coś jeszcze miało się uformować z rozjarzonego pisma. Czy nie: *tragedia Friedricha Schillera?*, pomyślał. Chwytał za ledwie urywki, a i to zupełnie inne. Ciągłe: *Bóg*, względnie *od Boga*. A to słowo wysuwające się do przodu, błyskające, przenikliwe i raptowne, to: *komedja*? Nie, wątpliwe. A to ponuro migocące, to: *tragedja*? Nie, także wątpliwe. Jasne, silnie żarzące się i niepojęte było jedynie: *od Boga*.

„Wejść”, szepnęła głos za nim, niby łagodnie, ale stanowczo.

Dawno wiedział, co go spotka. Podniósł zasłonę i w tym momencie znalazł się na scenie. Przed sobą ujrzał Viktora Montélié, studenta z Genewy, który dzierżąc w obu rękach szpadę, nacierał na niego; do stroju spacerowego nosił czerwone kepi; miał gniewne, całkowicie czarne, perłowe oczy.

Postać za Viktorem Mannem, wyczuwalna jako mur złożony z siły i woli, wsunęła mu pod prawe ramię pistolet. Wziął go i nacisnął, podczas gdy szabla Montélié zawisła mu nad głową. Groźnie wzniesione ręce przeciwnika opadły, wzięty go nagle w objęcia; nieruchome perłowe oczy rozplywały się w miłości. Mimo to szabla wraz z opadającymi rękami przejechała ostrzem po włosach Viktora Manna; po czole pociekło mu gorąco, a rana od postrzału tamtego, broczyła dymiąc czerwono. Viktor Mann i Montélié wsparli się wzajemnie, lecz upadli obaj. Zwaśnieni synowie tej ziemi — zwiastował głos.

Viktor Mann spadał rozłączony ze swym wrogiem-przyjacielem poprzez drżącą scenę na wierzchołek góry, poprzez huczącą górę coraz niżej, setkami metrów, które przedtem pokonał... i obudził się: zlany potem oddychał krótko, uczepony łożka od cofania się w dół.

Szukał zapalek, walcząc o spokojniejsze tchnienia płuc. Roztrzęsiony zapalił świecę. A kiedy drgnął błyszczący płomyk i zaczął się powiększać, ujrzał — mając w pamięci ostatnie przeżycia — wspinającego się po świecy groźnie i zarazem groteskowo Viktora Montélié. Ja w dół — w głębię gór — ty w górę! Zawsze przeciwnie! Nigdy serce przy sercu! Morderstwo za morderstwo! Niekiedy wstrząsane łkaniem objęcie, które grozi śmiercią. Zwaśnieni bracia...

Odczepił cienkie, druciane ramiona małpki od świecy; ochłonawszy nieco przykucnął na łożku, przyciągając kolana do brody i tworzył dzięki nieograniczonej ruchliwości swej zabawki śmieszne, straszne, głupio zarozumiałe, wzruszające, przymilne postacie ludzi-zwierząt.

Potem jednak odrzucił ruchliwą małpkę, która lekko i bezgłośnie upadła w ciemność na

podłogę, i zaczął medytować. Oczywiście, wszystko było zamętem i bezsensem! Paszport jakiegoś Montélié nigdy nie należał do poznanego w Genewie Francuza, którego nazwiska zapomniał, a który był dlań prawie jak przyjaciel.

Podniósł się i zbliżył ostrożnie do surduta powieszzonego starannie na wygiętym oparciu krzesła. Wyciągnął z kieszeni zapakowany paszport, włożył z powrotem do łóżka, rozpakował i rozłożył wyprostowaną gazetę na kolanach, nie chcąc powalać się lepkiem od brudu zeszytem.

Przerzucał kartki wolno i nieufnie, chcąc się uodpornić na nieprzyjemności. Istniała możliwość, że natknie się nagle na coś, co by sprawiło przykrość, było niezrozumiałe lub miało niezwykle powiązania. Nie było to najmądrzejsze, żeby parną nocą, w blasku świecy przetrząsać tak zdradliwą książkę, która — bardziej niż każda inna książeczka — należała do wyraźnie określonego człowieka, odnosiła się całkowicie do niego i traktowała jedynie o nim. Gdzie był, ten Viktor Montélié, spał, czuwał, dostał się do niewoli, ładował swą broń, znosił ból, śnił o... o jednym takim, co nazywa się Viktor Mann?

I znów pojawiło się to nazwisko *Montélié*. A obok, poniżej, na zapisanej drobnym pismem stronie wszystko to, czego dostarczają ludziom o ich bliźnich, pobieżne i suche dane. Wiek? Urodzony w roku 1892. A więc dwadzieścia dwa lata. Jest zatem w tym samym wieku. Jest studentem — jak on. Urodził się w Rochefort, w kantonie Montélimar, w departamencie La Brome — słowa, słowa, słowa, które nic nie znaczą. Ojciec nazywa się tak jak syn, tylko matka zwie się Marie Philomène.

Jak? Marie Philomène? Viktor Mann spojrział ku mrocznemu sufitowi i w migocącym ogarku nasłuchiwał. Ten student w Genewie — jego przyjaciel — mówił czasami o swej matce. Czy nie używał przy tym tego niezwykłego zwrotu: moja matka Marie Philomène? Ależ tak! Bo inaczej skąd miałby w uszach, niczym starą zapomnianą melodię, słowa: moja matka Marie Philomène...

Ścisnął szczupłe palce, starając się zachować spokój i wodził bezsilnymi oczyma po zmiętych fałdach poduszek.

Znowu wziął paszport do zziębniętych rąk i otworzył. Wertował na chybił trafił i przeczytał, że piechur Montélié jest dość dobrym strzelcem, że w październiku 1915 roku przejdzie do rezerwy, że przyjęło się powtórne szczepienie, że potrafi czytać i pisać, lecz nie potrafi pływać. Poznał miarę jego pleców i stóp, obwód klatki piersiowej i czaszki oraz jeszcze inne okropne szczegóły dotyczące człowieka, który tej ponurej nocy składa się z cyfr i stroniec pewnej książeczki i zjawia się nagle z brązowymi oczyma, czarnymi włosami i owalną twarzą, stoi tam w kącie — gdyby się miało tylko dość odwagi, by tam poświecić — którego matka nazywa się Marie Philomène...

Podniósł drgający płomień wysoko nad głowę, osłaniając drugą ręką oczy. Skąpe błyski światła tańczyły niespokojnie po nagiej ścianie; padając na butelkę do wody rozkładały się, kryły się w gładzi fortepianu, jedyne mebla na wysoki połysk, który był tu niezwykle obcy w swym znieważonym dostojeństwie. Błaski świecy sięgały tylko pustych zakamarków nędznego pokoju. Oczywiście cała izba, jak i każdy kąt, były puste, bez żywego ducha — wyłączając jego samego, skulonego w kocach.

Opuścił świecznik ponownie na krzesło zastępujące brakujący stolik nocny, odetchnął i zebrał się w sobie.

„Zapakuję ten przeklęty paszport i pośpię jeszcze”, postanowił. „Wszystko inne, jutro!”

Lecz dalej przerzucał oleiste arkusze, rozkładał tabele, czytał stronicowe zdania o przewinieniach i karach za nie, zatopił się w nieskończonych kartkach odzieżowych, aż powtórnie natknął się na tę stronę, która mówiła najwięcej o c z ł o w i e k u Montélié. I znów czytał rok jego urodzenia: 1892, i wraz z nim także dzień: 22 lipca. I w tym momencie wiedział, był to fakt niezbity, że ów Francuz w Genewie, będący przez kilka jasnych letnich miesięcy jego przyjacielem, obchodził urodziny również 22 lipca. I to żadnego innego dnia!

Skąd wiedział o tym tak niezłomnie? Ten fakt da się sprawdzić! Tamtego lata bowiem

obchodzili wspólnie 22 lipca. „Proszę przyjść, pan — powiedział Francuz swą łamaną niemieczyzną — mam jeszcze dwadzieścia dwa franki, a dzisiaj, 22 lipca, są moje urodziny. Przepuścimy te dwadzieścia dwa franki z okazji 22 lipca. Ani o franka mniej! Liczby muszą pasować”. Miał na myśli „pokrywać się”, jak się później okazało. O, jakże on — Viktor Mann — dobrze pamiętał jeszcze wszystko! I rzeczywiście pozbyli się pieniędzy z beztrząską lekkością, a kiedy obaj niezbyt trzeźwi zegnali się nocą, Francuz śmiejąc się postanowił: „Jutro zastawię mój rower. Wyżyję za to do 1 sierpnia. Zostało mi jeszcze pięć centymów, których nie mogę zatrzymać!” I wrzucił drobną monetę tylko po to, żeby się jej pozbyć, do najbliższej skrzynki pocztowej. „Do jutra!”, zawołał jeszcze i pobiegł w dół małą uliczką. Ale nic nie wyszło z tego jutra. Kiedy następnego popołudnia Viktor Mann wstąpił po niego, okazało się, że nagle wyjechał, że go powołano, jak mówiła gospodyni, nie wiadomo dokąd. Już choćby dlatego przypomniał sobie 22 lipca — ostatni wspólny dzień z człowiekiem, któremu do dziś winien był dziewięć franków i pięćdziesiąt centymów.

W ciemności wypisywał palcem cyfry. A więc ta data zgadzała się. I kolor włosów, i oczy, i na pewno wymiary ciała, a przede wszystkim to cudowne imię matki. Tylko to swoiste nazwisko, nazwisko Montélié nie zgadzało się, a może w końcu jednak? Gdyby odejść myślami daleko od tego całego człowieka, którego rozszyfrowaniem dręczył się, i przybiec nagle, i wydrzeć mu to nazwisko! Musiałoby się udać!

Wstał i przechadzał się gołymi stopami po krzywych deskach podłogi. Pływający w resztkach rozpuszczonego łożu knot dogasał powoli. Zatrzymawszy się przed nim, z niepokojem myślał o przyszłej nocy spędzonej w całkowitych ciemnościach. Wykorzystał ostatnie migotania światła, by przenieść krzesło od łóżka do fortepianu i usiąść przy instrumencie, by być bliskim możliwości wniesienia czegoś dźwięczącego do pustej drętwy pokoju. Ten fortepian! To, że dzisiaj potrafił nawet dawać lekcje gry dla całkiem początkujących, zawdzięczał również owemu latu w Genewie i przyjaźni z Francuzem, który oddał mu do dyspozycji swój fortepian, technicznie podszkolił, choć sam był zaledwie dobrym odtwórcą marszy, i czasami grał z nim na cztery ręce. To od niego usłyszał po raz pierwszy porywające dźwięki *Marsylianki*, której afektowaną wojowniczość tamten świadomie tuszował uroczystym wykonaniem. Chyba tak.

Cały otulony nocą podniósł wieko instrumentu i z cicha zaczął wygrywać takty *Marsylianki*. Wkrótce dodał swym rękóm mocy i grał dźwięczniej. Nie zagrał wiele. Ktoś walił w drzwi. Ostry, z trudem tłumiony głos jego gospodyni: „Czy zwarłował? Niech w tej chwili przestanie! Chce chyba, żeby go jutro właściciel wyrzucił i ją razem z nim?”

Wstał i obiecał posłusznie szepcząc przez szparę w drzwiach, że nie wyda już żadnego dźwięku. Człapiące pantofle kobiety oddaliły się.

Podszedł do okna. Pierwszy szary brzask pojawił się na podwórzu, a gdy spojrział w górę, ujrzał żalony skrawek nieba drżący lekko z nie narodzonego jeszcze światła. „Chwała Ci Panie!”, modlił się niemal. „Dostał mi się przecież ranek, nie na próżno rozwścieczyłem gospodynię. Teraz będę mógł zasnąć”.

Poszedł znowu do łóżka i odprężony leżał chwilę jeszcze drzemiąc, aż zapadł w sen bez snów.

Następnego popołudnia dużo chodził, wciąż z paszportem w kieszeni. Nie korciło go, żeby w nim wertować i szukać. Cierpiał głód; nie posiadał pieniędzy, by kupić sobie coś do jedzenia. Te trzydzieści fenigów wczoraj wieczorem za małąkę, to było wszystko, co przezornie odłożył na ten okropny dzień, po to, żeby je w końcu wydać na nic, na jakąś dziecinadę. Czy małąkę można usmażyć? Nie. Przestał się uśmiechać przejęty dreszczem: już choćby dlatego nie, że ostatniej nocy była w jakiś sposób Viktorem Montélié lub też studentem z Genewy. Oczywiście tylko we śnie. Ale zawsze! Tak więc oznacza to głodowanie. Przecież to nie przyszło niespodziewanie. To było do przewidzenia po głupim interesie z domokrążcą. „Lecz jutro będą znowu pieniądze. Nawet dużo, najpierw od ucznia Jonasa za bębnienie na

fortepianie pięćdziesiąt fenigów, a potem od młodego kupca, uczącego się francuskiego, który za każdym razem wstydliwie pozostawia na parapecie sześćdziesiąt fenigów. Czynią razem markę dziesięć. Co prawda obaj klienci zjawiali się dopiero wieczorem. Zatem poszczenie i przez jutrzejszy dzień, aż do nocy.

Była ładna pogoda, spacerował to tu, to tam, po placach i ulicach — wszędzie była wojna, bardzo umiarkowana, siana trzykrotnie. Na ławce w parku znalazł nadpsutą brzoskwinie pozostawioną zapewne przez jakieś dziecko. Wziął ją i zjadł. Dlaczego nie? Było to przynajmniej coś. Powinien był wczoraj odciągnąć domokrążcy te pięć fenigów, które wyłożył za niego przed kupnem zabawki. Byłyby dlań wybawieniem ze skurczów żołądka w tej i w nadchodzących godzinach. Teraz to i tak wszystko jedno. Później, gdy na stojąco i ze źle powstrzymywanym łakomstwem przetrzymał porę obiadową usiadł na ławce i czekał — patrzył przed siebie z oczekiwaniem. Nadchodził już wieczór. Jeszcze tylko doba i będzie chleb i kiełbasa, może nawet owoce! Upajał się wizją baranich żeberek z zieloną fasolką.

Z łąk podnosiły się mgły. Wilgotny opar zbliżał się do niego od nurtu rzeki. Zadrżał... „To wina pustego brzucha — rzekł od siebie — nie, nie pustka, nie mgła, to coś innego przejmuję mnie dreszczem, i dziś, na słonecznych ulicach zlewa zimnym potem moje plecy, to coś jest owym Montélié”. Ostrożnie dotknął kieszeni, jakby miał w niej nie paszport, a człowieka. „Czy ów Montélié i student z Genewy, który był moim przyjacielem, są tymi samymi osobami? Odpowiedź! Nareszcie jasna odpowiedź!”

Wstał. Wymówił słowo „odpowiedź” głośno, ponad łąkami, w mgłę...

Sam siebie wyśmiał. Jak? Montélié i Montélimar, i Bóg raczy wiedzieć co jeszcze, co brzmi podobnie! Student z Genewy nazywał się całkiem inaczej. Nosił nazwisko: no, raz, dwa, trzy — będziesz wiedział! Szybko: nazywał się... czyż nazywał się w końcu Montélié?

Viktor Mann pokiwał głową i ruszył ciemnymi drogami w kierunku miasta. I coraz bardziej ogłuszająco podnosiły się głosy w zamęcie: twój znajomy nigdy nie nosił nazwiska Montélié, żadnego, które nawet brzmi podobnie. Ależ! Oczywiście, tak się nazywał ten, któremu dłużny jesteś dziewięć franków pięćdziesiąt, który musi teraz walczyć przeciwko tobie. Twój przyjaciel także przeciwko tobie! Tak się nazywał, a ty nosisz teraz jego paszport w kieszeni niczym łup.

Nieco chwiejnie wydostał się na oświetlone ulice. Sprawiało mu przyjemność mechaniczne chodzenie za rzędem lamp łukowych, bladych księżyców; okręcał się wokół nich jak na linie nad wzburzoną tonią.

Ta świecąca lina wiodła na plac. Stało tam wielu ludzi niemo czatując. Stali po prawej i lewej stronie szyn tramwajowych, a on dołączył się do nich. Nie pytał, na co czekano. Czeka-no bowiem. Odpowiadało mu to, wciąż jeszcze musiały upłynąć prawie dwadzieścia cztery, nie, dwadzieścia dwie godziny, zanim coś zje. Lecz ze zdawkowych słów stojących dookoła miał dowiedzieć się, do czego ta gotowość: zobaczyć przejazd rannych, transportowanych z dworca do lazaretów. Podobno zapowiedziano cały pociąg.

Migocąc w mrocznej dali wynurzyły się kolorowe ślepie wagonów tramwajowych. Tocząc zbliżały się ostrożnie, powoli jak orszaki pogrzebowe. To byli oni; ci ich przywieźli stamtąd. Tłum przeszło trwożliwe poruszenie. Kiedy przejeżdżał pierwszy wagon, wyciągnęły się do niego ręce nie tylko z papierosami. Ale opadły z powrotem. Załoga na pomoście dała znak odmowny: ciężko ranni w środku. Stali zamarli, próbując wsłuchać się: żadnych jęków? Nic — cisza kostnic.

Jeden taki wagon, drugi, trzeci... Potem jednak wróciło życie będące znów radosną nadzieją. Za zasłoniętymi do połowy szybami jasne światło — mały ruchomy dom żołnierski. Pomiedzy przegrodami letnich wagonów — widoczni w otwartych drzwiach — siedzieli i palili, kiwali się w milczeniu. uśmiechali się, z ramieniem na temblaku, bielą wokół głowy. A sanitariusze przyjmowali to, co było przeznaczone dla ich podopiecznych; pozdejmowali czapki i zbierali w nie stosy papierosów i cygar. Obok wagonów biegły obdarowujące ręce.

Viktor Mann stał i patrzył wraz z innymi na to, co się rozgrywało. Ta uroczystą chęć ludu do oglądania i jego naiwne pragnienie czynienia dobra wzruszyły go w jakiś sposób. Łzy nabiegły mu do oczu. „To, że jestem nastrojony płaczkliwie, to wina jedynie mego niewychowanego żołądka — powiedział do siebie. — Dla mnie jedno z tych wczesnych jabłek, które się tam toczą pod koła! Może i ja na nie zasłużyłem...”

Sznur wagonów zamykał jeszcze jeden niemy wagon, rozjaśniony tylko w połowie, zamknięty na głucho od ulicy. „Nic nie dawać, niczego nie podawać”, powtarzał bezustannie i monotonnie podoficer na pomoście. „Ranni jeńcy”.

Tłum poruszyła zgroza połączona z ciekawością. Jakaś kobieta wrzasnęła, widząc już siebie wśród wroga, wydaną i zgubioną. Wiele ust mruczało: „Francuzi, ranni Francuzi”.

Viktor Mann usłyszał to. Ocknął się z lekkiego zamroczenia głodem. Uchwycił sens słów i połączył je z tym, co się w nim burzyło od dwudziestu czterech godzin. Przez tłum wysunął się chwiejnie do przodu, tuż za ostatni wagon. Przed nim w powietrzu wznosił się paszport — żołnierz Viktor Montélié — przyjaciel z Genewy! Tam za oknami należało go szukać, tam było wyjaśnienie i kres wszystkiego!

Wskoczył na stopień jadącego wolno wagonu, od złej strony, od wewnętrznej, wśliznął się pod kratę, przemknął za plecami podoficera powtarzającego wciąż „niczego nie podawać”, otworzył drzwi i znalazł się w środku.

Jakiś żołnierz w służbie sanitarnej podniósł się z kąta.

Po prawej i lewej stronie wąskiego przejścia ujrzał Viktor Mann piętrzące się łóżka. „Czy pan jest Viktorem Montélié?”, wyjąkał do najbliższego łóżka, oszołomiony pod wpływem jakiejś gorączkowej presji.

Z płaskiej poduszki uniosła się czarna, rozczochrana głowa. Obok leżało martwo czerwone kepi. Mierzyły go brązowe, nienaturalnie duże oczy. Nabierały z trudem wyrazu, wydobywając go z dali, jakby już z tamtej strony. Uchwycił ostatnie spojrzenia umierającego — żołnierza Montélié — spojrzenia studenta z Genewy... Czy tak było rzeczywiście? Czyje spojrzenia?

„Jestem panu jeszcze winien dziewięć franków pięćdziesiąt, tylko niech mi pan wybaczy”, rzekł Viktor Mann zakneblowany wstydem i bólem.

Poczuł na ramieniu uścisk ręki podoficera, który wszedł właśnie. „Czego pan tu szuka? — zagrzemiał jakiś głos. — Co pan sobie wyobraża? Oddam pana w ręce policji. Proszę natychmiast opuścić wagon!”

Wypchnięty, potknął się o stopień; spadł z powolnie jadącego wagonu, leżał w bezruchu, ale zebrał się, ponieważ otaczali go już szeptaający ludzie, uszedł grożącym mu pytaniom, dzięki spiesznym, niepewnym krokom i dopadł ławki w pobliżu fontanny.

Usiadł podpierając ręką płonąca głowę. Chusteczkę przyłożył do spoconego czoła i wypoczywał.

Drżącymi palcami wygrzebał paszport z kieszeni. Przerzucał kartki w tę i z powrotem, szeleszcząc nimi. Czytał, a przed oczami tańczyły mu słowa: matka Marie Philomène — 22 lipca — nie umie pływać — Montélimar — oczy brązowe...

Ale potem przerwał bezsensowne kartkowanie, od razu, gdyż wzrok padł na wpis zrobiony ołówkiem, nakreślony szybko: *mort le 20 aout*.

Te niewielkie, cienkie litery stały samotnie na całkowicie pustej stronie, jakby owinięte w całun, jakby zagubione na poboju. Odkrył je po raz pierwszy. Skąd pojawiły się nagle? Na Boga, czyż nie dość często wertował paszport?

Wstał i zaczął biec. Zmarł 20 sierpnia!

Kto? Kto zmarł? Ten w wagonie żył przecież jeszcze.

W najgorszym wypadku umarł dopiero teraz. Więc kto?

Zatrzymał się raptownie. Czy nie dzisiaj...? Tak, dzisiaj jest 20 sierpnia! Wpis zgadzał się zatem, napisała go ręka przeczuwająca śmierć, tamtego w wagonie tramwajowym, w śro-

dku obcego miasta, nocą. między dworcem a szpitalem „Dzisiaj, 20 sierpnia”, wymówił głośno, szczękając zębami.

„Dzisiaj piszemy 30”, zaoponował łagodnie jakiś człowiek, który zjawił się koło niego. Wysłuchał go wprawdzie, lecz słowa nie zrobiły żadnego wrażenia. Splot wydarzeń był zbyt przekonywujący, by uwierzyć komuś z ulicy, że jest 30 sierpnia.

Kroczył wolniej i walczył z przytomnością. Oczywiście, to z paszportem nie było wyjaśnione aż do końca, nawet jeśli wszędzie ujawniały się powiązania. A w gruncie rzeczy: co to szkodzi, kim był Montélié, i że tak się nazywał. Czy to ten, czy tamten. Co mówiło nazwisko. „Nie jesteśmy wszyscy braćmi! Mógłbym też nazywać się Montélié. Mam już na imię Viktor. Że też student, mój przyjaciel, musiał umrzeć przed dziesięcioma minutami w wagonie! Ach!”

Viktor Mann zasłonił ręką wykrzywioną twarz. Gdy ją opuścił, usłyszał kroki marszowe. Wyruszyły oddziały; piechota ustrojona kwiatami szła w kierunku dworca. Nowe posiłki tam, skąd karetkami przywożono z powrotem zużytych.

Viktor Mann biegł obok. Podnosiło go to na duchu. To bezwzględne maszerowanie krzepiło jego ducha. Coś niewidocznie, odczuwalne, ale miłe wszystkim kroczyło przed oddziałami: uwielbienia godna wola, pełna tajemniczości siła. Idzie na czele kompanii posępna pogarda śmierci!

Żołnierski krok wywołał w członkach studenta rytmiczne drganie. Porwał go ukryty przepych mundurów polowych. Przytłaczała siła sylwetek, która parla proporcjonalnie do przodu. Konieczność, która nie wprawiała w zakłopotanie, zmusiła go do zastrzelenia Montélié; leżał teraz umierający. Ona zmusi i tych wojaków; już tutaj — w ojczyźnie — zaczął się jej żelazny marsz. Przeciwno komu? Przeciwno komu?? Och, przeciwno samym sobie! Człowiek przeciwno człowiekowi. Potworne zniszczenie. Ruńcie, o niebiosy! A ty ziemio, powstań! Przeciwno sobie! Najwspanialsze ze wszystkich widowisko.

Czuł w każdej żyłce rytm maszerującej konieczności. Chwiejnie rzucił się aż do samego przodu, wzdłuż szarych szeregów żołnierzy. Znalazł parapet dostatecznie szeroki, wlał nań uginającymi się kolanami. Zaśpiewał w zbliżającym się rytmie tysiąca nóg, zaśpiewał głosem fałszującym przeraźliwie i cienko: *Allons enfants de la patrie! Le jour de gloire est arrivé!*

Ściągnięto go. W milczeniu otoczono tego, który zamilkł. Przez mgłę widział żołnierzy ciągnących dalej niezłomnie. Przez moment oddalone twarze naprzeciwko niego — tylko przez moment — i dalej.

„Pieśń Francuzów”, rozległ się z otaczającego go kręgu jakiś głos oślepiiony wściekłością.

Drugi na to, całkiem zachrypnięty: „Kpiny i drwiny! Co za niegodziwiec!” Potrząsano go mocno za ramię; w zamroczonym umyśle poczuł kłujący ból.

„To Marsylianka — wyjaśnił ktoś kształcony. — Podżeganie do nienawiści klasowej!”

Przez potrojony już liczebnie tłum torował sobie drogę policjant. Jego groźny spokój zdawał się pytać: „Kim pan jest? Jak się pan nazywa?”

„Viktor Mann”, wyszeptał student.

Urzędowy głos, niesiony wraz z pomrukiem tłumu: „Może pan to udowodnić?”

Otoczony Viktor Mann podniósł wzrok. Stojący przed nim bardzo wysoki i potężny policjant wzbudzał zaufanie mimo pełnionej służby. „Oto moja chustka do nosa”, odparł student. Trzymał ją jeszcze w palcach i podniósł do piersi tamtego. „Tu są wyhaftowane inicjały mego nazwiska”.

„Nie można legitymować się chusteczką, panie! — oburzył się policjant. — Pan pozwoli ze mną!”

„Jego papiery! — wrzasnął ktoś, aż drżąc z podejrzliwości. — A co on tam ma w ręce?”  
Wyrwano mu paszport.

„Proszę mi to oddać!”, rozkazał policjant.



„Montélié! — wrzasnął przeraźliwie niedowiarek. — Aha! Paszport francuskiego piechura. Mój kochany, skąd pan pochodzi?”

Policjant czytał także i bezsilnie kartkował. Spytał zacinając się, nie dowierzając straszliwemu faktowi: „Czy nazywa się pan Viktor Montélié?”

Student spojrział niezdecydowanie do góry. „A choćby, jeśli pan chce”, powiedział w przestrzeń.

„On nazywa się Viktor Montélié, Francuz!”, wrzeszczał nad tłumem ten sam niedowiarek.

Viktor Mann osunął się. Policjant pochwyił go jak pusty worek. „Czyż wszyscy nie jesteśmy braćmi? — mruczał. padając na ziemię. — Mógłbym nazywać się także Montélié... Pójdę więc do celi? Może tam będzie coś do jedzenia”. Ta myśl dodała mu otuchy. Prawie bez pomocy stał znów prosto.

„Szpieg?”, spytał za jego plecami czyjś bełkotliwy głos. Wydał mu się znajomy. Odwrócił się. Na samym przedzie szeregu stał domokrażca z wczorajszego wieczoru i mrugał zalęknionymi, kaprawymi oczyma.

„Szpieg!”, krzyczał niedowiarek do wszystkich, drżąc z nienawiści.

Oburzenie pełne gwizdów wznosiło się straszliwie szybko, do najwyższych granic. Wyładowało się w jednym ciosie, zadany tuzinami.

Dostało się również policjantowi. Cofnął się, próżno zmagając się z wściekłością.

Viktor Mann utrzymał się jeszcze przez moment, nie rozumiał dobrze, stał sztywno — statek tonący w bezruchu.

Wody pieniały się nad nim.

Przełożyła Mariola Żojdź

Gustav Meyrink

## **JAK DOKTOR HIOB PAUPERSUM ZANIÓSŁ SWEJ CÓRCIE SZKARŁATNE RÓŻE**

O późnej nocnej godzinie, w znanej monachijskiej okazalej kawiarni „Stefania” siedział zwracający uwagę swoim wyglądem starzec, patrząc w bezruchu przed siebie. Postrzępiony, w bezładzie zwisający krawat, jak również potężne pofałdowane czoło, sklepienie wysoko i zachodzące niemal aż do karku, zdradzały wybitnego uczonego.

Oprócz siwej, rzadkiej bródki, która wyrastając z plejady brodawek na brodzie, sięgała swoim końcem właśnie do tego miejsca kamizelki, gdzie u filozofów nie zwracających uwagi na świat zewnętrzny zwykle było brakować guzika, miał ów starzec niewiele z dóbr doczesnych wartych wzmianki.

A ściślej rzecz biorąc, właściwie zupełnie nic.

Tym żywiej więc zareagował, gdy nagle pewien gość w rogu z ukosa naprzeciwko przy stole, w binoklach, ubrany po wielkomięjsku, z uczernionym wąsem, wkładając sobie kęsami na nożu po kawałku łososa na zimno do ust (przy czym za każdym razem brylant wielkości wiśni migotał na odgiętym małym palcu wspaniałymi błyskami), raz po raz kierując ku uczonemu wnikliwy wzrok, otarłszy usta wstał, przemierzył prawie pusty pokój i uklonił się przed nim, pytając:

— Byłby pan łaskaw partyjkę szachów? Może partyjkę o jedną markę?

Jarzące się od barw fantasmagorie zbytku i rozkoszy wszelkiego rodzaju roztoczyły się przed oczami duszy uczonego, i podczas gdy jego serce jeszcze szeptało w zachwycie „to bydlę zesłał mi Bóg”, usta już rozkazywany kelnerowi, który wbiegł właśnie, żeby jak zwykle

włączyć uszkodzone oświetlenie, wygasłe w jednym rzędzie: „Julius, szachownicę”.

— O ile się nie mylę, mam zaszczyt z panem doktorem Paupersumem — zaczął rozmowę ów światowiec z pomadowanym wąsem.

— Hiob... tak, hm, tak... Hiob Paupersum — potwierdził z roztargnieniem uczony, ponieważ zafascynowała go wspaniałość morderczego wprost szmaragdu, który w kształcie reflektorka od samochodu zdobił jako szpilka w krawacie grdykę jego rozmówcy.

Dopiero widok szachownicy ostudził tę fascynację; potem w oka mgnieniu rozstawiono figury, obluźowane główki koników umocniono śliną, a brakującą wieżę zastąpiono nadłamaną zapalką.

Po trzecim ruchu światowiec zdjął binokle, jakby zmarł w bezruchu i zatopił się w cichej zadumie.

„Wydaje mi się, że chce wymyślić najgłupszy ruch na desce, bo nad czymże by tak długo rozmyślał” — zamruczał uczony, i nieobecny duchem, wlepił wzrok w damę ubraną w kolory zielonki dla świń, jedyną istotę w pokoju oprócz owego światowca, która niczym bogini opatrzona tytułem „Przez lądy i morza”, ze spokojem tronowała na sofie pod ścianą, mając przed sobą talerz roladek z pianką, a w sobie chłodne serce kobiece opancerzone stoma funtami tłuszczu.

— Poddaję się — zameldował wreszcie właściciel reflektorka samochodowego ze szlachetnych kamieni, zsypał figury, wyciągnął z zanadru złocony futerał, wyłowił z niego kartę wizytową i podał ją uczonemu.

Doktor Paupersum przeczytał: „Zenon Sawaniewski, impresario monstrów”.

— Hm, t-tak. Hm... monstrów, hm... monstrów — powtórzył po chwili nic nie rozumiejąc. — Czy pan nie zagrałby jeszcze kilku partyjek? — spytał potem głośno, mając na myśli powiększenie kapitału.

— Oczywiście, naturalnie. Ile tylko pan sobie życzy — odparł uprzejmie światowiec — ale nie warto byłoby wpierv porozmawiać o czymś przynoszącym więcej pożytku?

— O czymś więcej... przynoszącym więcej pożytku? — wyrwało się uczonemu, przy czym nieznaczne fałdki niedowierzania wystąpiły mu wokół oczu.

— Słyszałem przypadkiem — zaczął impresario i skinieniem zamówił u kelnera butelkę i szklanekę — całkiem przypadkowo, że pan mimo swej wielkiej sławy jako luminarz nauki nie ma aktualnie żadnej konkretnej pracy?

— Skądże. Zawijam codziennie dary miłosierdzia i naklejam na nie znaczki.

— I z tego jest się pan w stanie wyżywić?

— Tak, o tyle, o ile poprzez związane z tym oblizywanie znaczków jest dostarczana memu organizmowi pewna ilość węglowodanów.

— Tak, ale dlaczego nie wykorzystuje pan raczej znajomości języków obcych? Na przykład jako tłumacz w jakimś obozie jenieckim?

— Ponieważ znam tylko starokoreański, następnie hiszpańskie dialekty, dalej język Urdu, i jeszcze nauczyłem się z kilka tuzinów dialektów Murzynów plemienia Suahili, z tymi zaś ludami aktualnie nie jesteśmy jeszcze na stopie nieprzyjacielskiej.

— Powinien pan zamiast tego nauczyć się raczej francuskiego, rosyjskiego, angielskiego i serbskiego — wtrącił impresario.

— Wtedy wybuchłaby wojna akurat z Eskimosami a nie z Francuzami — odparł uczony.

— Tak? Hm.

— Tak, tak, drogi panie, tu nie ma co mówić hm, hm; tak jest, niestety.

— Ja na pańskim miejscu, panie doktorze, popróbowalbym z rozprawami o wojnie do jakiegokolwiek gazety. Tak po prostu od biurka. Temat jak znalazł, samograj, nic nadzwyczajnego.

— Próbowalem — poskarżył się starzec — informacje z frontu, zwięzłe, rzeczowe,

wstrząsająco proste w obrazowaniu, ale...

— Człowieku, pan zwariował — przerwał mu impresario. — Informacje frontowe zwięźle, rzeczowo? Informacje frontowe pisze się z rozmachem! Pan powinien...

Uczony bronił się z uczuciem zmieszania:

— Próbowałem wszystkiego, co tylko możliwe w życiu. Gdy dla mojej książki, czterotomowej wyczerpującej pracy popularnej na temat „O przypuszczalnym używaniu sypkiego piasku w przedhistorycznych Chinach” nie zdołałem znaleźć wydawcy, przerzuciłem się na chemię — uczony stał się rozmowniejszy od samego tylko przyglądania się, jak tamten popija wino — i wkrótce dokonałem odkrycia, jak hartować stal nowym sposobem.

— No, ale to przecież powinno panu przynieść pieniądze! — zawołał impresario.

— Nie, fabrykant, któremu pokazałem ten wynalazek, odradził mi go opatentować (on go sam potem opatentował) i był zdania, że pieniądze można zarobić małymi, mniej widocznymi wynalazkami, które nie budzą zazdrości u konkurencji. Postąpiłem według tej rady i wynalazłem potem chrzcielnicę dającą się składać, z dnem samoczynnie podnoszącym się, aby misjonarzom metodystom ułatwić nawracanie dzikich ludów.

— No, i?

— Dostałem dwa lata ciupy za obrazę boską.

— Niech pan wali dalej, panie doktorze — zachęcał światowiec uczonego — to wszystko jest niesamowicie interesujące.

— Ach, mógłbym panu całymi dniami opowiadać o niespełnionych nadziejach. Tak więc, aby uzyskać stypendium, które ufundował pewien znany mecenas nauki, poczyniłem kilka lat trwające studia w muzeum kultury narodów i napisałem książkę, która wzbudziła zainteresowanie: „Jak — na podstawie budowy podniebienia u peruwiańskich mumii — dawni Inkowie, na zasadzie domniemania, wymawialiby słowo Huissitopochtli, gdyby to słowo było znane nie w Meksyku, lecz w Peru”.

— I dostał pan to stypendium?

— Nie. Znany mecenas nauki powiedział mi, a było to jeszcze przed wojną, że teraz akurat nie ma żadnych pieniędzy. a tak w ogóle, jest miłośnikiem pokoju i musi oszczędzać, bo naprawdę istotne znaczenie mają przede wszystkim dobre stosunki Niemiec z Francją, a to dla utrzymania z trudem osiągniętych ogólnoludzkich wartości dzieł, oraz dla ich umocnienia.

— Ale gdy potem wojna wybuchła, miał pan przecież widoki?

— Nie. Mecenas orzekł, że teraz musi oszczędzać przede wszystkim dlatego, by także dorzucić grosik na pokonanie odwiecznego wroga po wsze czasy.

— No, ale po wojnie zaświtał dla pana szczęśliwy czas, panie doktorze!

— Nie. Potem ów mecenas powiedział, że teraz dopiero musi oszczędzać, by te niezliczone, obrócone wniwecz wartości ludzkie i dzieła znowu mogły zostać odbudowane, i żeby zakłócone dobre stosunki między narodami mogły być na nowo przywrócone.

Impresario zamyślił się długo i poważnie, potem spytał współczująco:

— Dlaczego właściwie pan się nie zastrzelił?

— Zastrzelić? Żeby zarobić pieniądze?

— No, nie, myślę... no, hm... tak myślę, że godne to podziwu, iż pan nie stracił odwagi, aby tak stale od nowa podejmować walkę z życiem.

Uczony stał się nagle niespokojny; w jego twarzy, dotąd nieruchomej, jakby wyciętej w drzewie, pojawiły się trwożliwe iskierki ożywienia.

W oczach strwożonych zwierząt, gdy są zaszczute na śmierć i stoją nad przepaścią, a za nimi prześladowca — zanim rzuca się w nią, aby nie wpaść w ręce swemu dręczycielowi — pojawia się błędny ognik męki i bezbrzeżnej głuchej beznadziei, taki sam, jaki teraz wystąpił w spojrzeniu starca. Jego chude palce, jakby pod wpływem jakichś drgawek wskutek hamowanego szlochu, błędziły po blacie stołu, jakby chciały znaleźć tam jakieś oparcie. Zmarszczka, która biegnie od skrzydełka nosa ku ustom, stała się nagle długa i prosta, i wygięła

jego wargi, jakby walczył z bezwładem. Kilka razy zdusił coś w przetyku.

— Wiem teraz wszystko — wyrzekł potem z trudem, jak kto, kto broni się przed tym, aby język nie stanął mu kołkiem — już wiem, pan jest agentem ubezpieczeniowym. Przez pół życia obawiałem się, żeby nie spotkać się z jednym z was. (Światowiec daremnie usiłował dojść do słowa, protestował rękami i miną.) — Już ja wiem: pan chce mi poufnie dać do zrozumienia, że powinienem dać się ubezpieczyć, a potem jakoś skończyć ze sobą, żeby... no, tak... żeby moje dziecko mogło przynajmniej żyć, a nie ginąć przy mnie z głodu! Niech pan milczy! Czy pan myśli, że ja nie wiem, iż ludziom waszego pokroju nic, ale to nic nie jest obce?! Wy przecież znacie całe nasze życie, wyłobiliście niewidoczne przejścia od domu do domu i tylko popatrujecie tymi waszymi wilczymi ślepiami we wnętrza domostw, węsząc, gdzie by co było do zabrania, ile fenigów ma każdy w kieszeni, czy gdy dziecko się urodzi, czy gdy człowiek się żeni, czy gdy planuje niebezpieczną podróż. Wy prowadzicie o nas buchalterię i szachrujecie między sobą naszymi adresami. A pan, pan zagląda mi w serce i czyta tam myśl, która już od dziesiątków lat mnie zżera. Tak, czyż pan ma mnie za aż tak podłego egoistę, i sądzi, że nie byłbym w stanie już dawno ubezpieczyć się i zastrzelić dla dobra mojej córki, z własnej woli, a nie dopiero naglony przez was, którzy nas chcecie tylko oszukiwać, i którzy oszukujecie wasze własne przedsiębiorstwo, oszukujecie na prawo i na lewo, żeby pozyskać władzę, i wiecie, jak się to powinno robić, żeby nic się nie wydało?! Tak, czyż pan myśli, że ja tego nie wiem, że wy potem, jeśli... już jest po wszystkim, zlecicie się i zdradzicie... znowu za „prowizję”? Tu oto jest samobójca, odszkodowania nie trzeba wypłacać... Czy pan myśli, że ja nie widzę... tego, co każdy widzi... jak ręce mojej ukochanej córki stają się coraz bledsze i przeźroczystsze z dnia na dzień, że ja nie rozumiem, co to znaczy: suche od febry wargi i kaszel w nocy?! Sam, nawet gdybym był łotrem, jednym z was, dla zdobycia lekarstwa i pożywnej strawy dawno bym już... ale wiem przecież, co by potem nastąpiło: pieniędzy by nie wypłacono... a potem... nie, nie można sobie tego wyobrazić!

Impresario chciał znów przerwać, aby obalić podejrzenie, jakoby był agentem ubezpieczeniowym, ale nie odważył się, bo uczony groźnie zaciskał pięść.

— A mimo to muszę jakąś inną jeszcze drogę wyjścia wziąć pod uwagę — skończył półgłosem doktor Paupersum, przedtem przez dłuższą chwilę na jego twarzy odbywała się jakaś niezrozumiała gra rysów, błędziło jakieś... jakieś widocznie tylko pomyślane zdanie... — to z tym „olbrzymem ambrazyjskim”.

— Olbrzym ambrazyjski! Do licha, toż jest pan właśnie przy moim temacie. To jest to, czego pragnę dowiedzieć się od pana! — Impresario nie dał się już powstrzymać: — Jak to właściwie jest z owym olbrzymem ambrazyjskim? Ja wiem, pan pisał kiedyś o tym rozprawę. Ale dlaczego pan nie pije, panie doktorze? Julius, biegiem jeszcze jedną szklankę!

Doktor Paupersum momentalnie przeobraził się znów tylko w uczonego:

— Olbrzymy ambrazyjskie — mówił sucho — były to niewydarzone twory ludzkie, a ich występowanie ograniczało się wyłącznie do tyrolskiej wsi Ambras, co dało powód do przypuszczeń, że musi tu chodzić o jakąś rzadką formę choroby, dla której przyczyn sprawczych szukać należałoby na miejscu, bo jak widać, gdzie indziej nie miała ona możliwości znaleźć korzystnego podłoża. Ja jednak byłem tym najpierwszym, który udowodnił, że wiadomych czynników sprawczych choroby szukać należy w wodzie jednego z tamtejszych, tymczasem wyschłego już źródła, a konkretne próby, jakie poczyniłem w tym kierunku, dały mi prawo zaproponować przeprowadzenie dowodu na samym sobie w ten sposób, że mogę w razie potrzeby zgłosić gotowość, w ciągu kilku miesięcy — mimo mojego podeszłego wieku — udowodnienia na moim własnym ciele tych właśnie, i dalej jeszcze idących zjawisk zakłóceń w rozwoju wzrostu...

— Na przykład jakiego rodzaju? — spytał w napiętym oczekiwaniu impresario.

— Mój nos mógłby po prostu wydłużyć się do rozpiętości ryja, na podobieństwo tego, który cechuje amerykańskie świnki morskie, uszy mogłyby urosnąć do wielkości talerzy,

moje ręce mogłyby zapewne już po upływie kwartału mieć wymiary średniej wielkości liścia palmowego (*Lodoices Sechellarum*), podczas gdy moje stopy przekroczyłyby, niestety z trudem, rozmiary pokrywy stulitrowej beczki. Co zaś tyczy się spodziewanego dalej guzowatego rozrostu kolan na wzór pewnego rodzaju środkowoeuropejskiego drzewa gąbkowego, to tu moje teoretyczne obliczenia nie są jeszcze definitywnie zakończone, tak że jakąś naukową gwarancję tylko z zastrzeżeniem mógłbym....

— Wystarczy! Pan jest tym, kogo potrzebuję! — z zapartym tchem wpadł mu impresario w słowo. — Proszę, niech mi pan nie przerywa. Zatem dobrze: zgadza się pan ten eksperyment wykonać na sobie, jeśli ja panu zagwarantuję roczne wpływy pół miliona i zaliczkę, jakieś parę tysięcy marek... powiedzmy... no, powiedzmy, kładę pięćset marek?

Doktor Paupersum był jak odurzony. Pięćset marek! — tak. czy istniało w ogóle tyle pieniędzy na świecie?!

Przez kilka minut widział już siebie przemienionego w przedpotopowego stwora z długim ryjem, w duchu słyszał jakiegoś Murzyna ubranego w krzyczący strój, zapowiadacza z jarmarcznej budy, jak wrzeszczy charkliwym głosem w tłum pocący się od piwa: „Tylko wchodzić, moi państwo, największe monstrum stulecia za marne dziesięć fenygów!” Ale potem ujrzał swoją ukochaną córkę w pełni kwitnącego zdrowia, ubraną bogato w białe jedwabie, z wianuszkami mirtowymi klęczącą błogo jako oblubienica przed ołtarzem, cały kościół oświetlony rześścią, idący z obrazu Matki Boskiej blask, i... — i przez moment ścisnęło mu się zapewne serce: on sam musiałby schować się za jakąś kolumnę, nie wolno by mu było już nigdy więcej ucałować córki, nawet pokazać się z daleka, żeby przesłać jej swoje błogosławieństwo... on, on, najbardziej odrażające monstrum świata. Bo przecież odstraszyłby oblubienicę! I odtąd musiałby już wciąż żyć w mroku jak zwierzę stroniące od światła, za dnia starannie się ukrywać... ale cóż to wszystko znaczyło! Śmierć! Drobiazgi! Żeby tylko jego córka mogła być zdrowa! I szczęśliwa! I bogata! — Cichy zachwyty zstąpił na niego: Pięćset marek! Pięć-set marek!

Impresario, który długie milczenie uczonego poczytał za niezdecydowanie, zebrawszy w sobie cały kunszt przekonywania, zaczął w te słowa:

— Panie doktorze! Niechże pan słucha! Pan zdepcze swoje szczęście nogami, jeśli pan powie — „nie”! Całe pańskie życie było dotąd nieudane. A dlaczego? Pan swój rozum przelał samą nauką. A nieustanne uczenie się to idiotyzm. Niech pan spojrzysz na mnie: czy ja się czego nauczyłem? Na naukę mogą sobie pozwolić ludzie, którzy już z domu są bogaci, a ci przede wszystkim w ogóle jej nie potrzebują... Człowiek winien być pokorny i... głupi, i wtedy natura go lubi. Czy pan już kiedy widział, żeby głupiec zginął marnie? Pan powinien był już od samego początku dziękując naturze rozwijać te talenty, które dał panu los w darze. Czyż pan nie oglądał może siebie nigdy w lustrze? Kto tak wygląda jak pan, choćby teraz, gdy pan jeszcze nie napił się wody z Ambras, dawno już mógłby sobie, jako kłown, ugruntować solidną egzystencję... Boże, przesłanki dobrotliwej matki natury są przecież tak olśniewająco proste do zrozumienia. Albo może obawia się pan przemawiać jako monstrum? Powiem tylko panu, że zebrałem już spory zespół. A wszystko to ludzie z najlepszych sfer. Mam tam na przykład pewnego pana, który urodził się bez rąk i nóg. Tego przedstawię niebawem Jej Wysokości królowej Italii, jako belgijskiego oseska, którego niemieccy generałowie zrobili kaleką.

Doktor Paupersum pojął jasno tylko ostatnie słowa.

— Co za bzdury pan opowiada! — uniósł się szorstko. — Najpierw mówi pan, że ten kaleka to stary człowiek, a potem chce pan go przedstawić jako belgijskiego oseska!

— Ależ to właśnie dodaje pikanterii! — przeciwstawił mu się impresario. — Ja po prostu stwierdzam, że on się tak gwałtownie postarzał ze zgryzoty, ponieważ musiał przyglądać się, jak pruski ułan żywcem zjadł jego matkę!

Uczony zaniepokoił się, celność odpowiedzi tamtego była aż nadto zaskakująca.

— No, dobrze, wedle mnie. Ale niech mi pan wpierw powie, jak pan zamierza wystawić mnie na widok publiczny, zanim będę mieć ryj, stopy jak dna beczkowe i tak dalej?

— Całkiem prosto! Przeszmugluję pana z fałszywym paszportem przez Szwajcarię do Paryża. Tam dostanie pan klatkę, ma pan co pięć minut ryczeć jak byk; trzy razy dziennie zjeść trzy żywe zaskrońce (tę sprawę załatwimy, to się tylko tak trochę odrażająco słyszy). Wieczorem będzie przedstawienie galowe: jeden Turek pokaże, jak złapał pana na łąkach w puszcach Berlina. A na zewnątrz będzie napisane na plakacie: „To jest pod gwarancją autentyczny niemiecki profesor (a to jest przecież prawda — do szwindlu nie przykładam ręki) — po raz pierwszy w życiu przywieziony do Francji!” — i tak dalej. Zresztą tekst chętnie przygotowuje mój przyjaciel d'Annunzio, ten znajdzie już właściwy poetycki rozmach.

— Co jednak będzie, jeśli tymczasem wojna się skończy? — uczony miał wątpliwości. — Wie pan, przy moim pechu...

Impresario uśmiechnął się:

— Niech pan się nie martwi, panie doktorze, czas, w którym Francuz nie będzie wierzył we wszystko, co się mówi przeciw Niemcom, nigdy nie nadejdzie. Nawet za tysiąc lat.

Czy nastąpiło teraz trzęsienie ziemi? — Nie, to tylko pikolak przystąpił do nocnej służby i jako muzyczną przygrawkę zwałił blachę kredensową ze szklankami.

Doktor Paupersum rozejrzał się błędnie wokoło. Bogini z „Przez łądy i morza” znikła, i zamiast niej tkwił na sofie stary, niepoprawny krytyk teatralny, który z przyzwyczajenia „rozszarpywał” w duchu premierę, mającą się odbyć w przyszłym tygodniu; pozbierał wilgotnym palcem kilka okruszków bułki ze stołu, rozduśił je przednimi zębami, strojąc przy tym miny zwierzątka zwanego tchórzem.

Doktor Paupersum powoli zaczął zdawać sobie sprawę, że to on sam — tak się szczególnie złożyło — siedział tyłem do lokalu, przypuszczalnie siedział tak przez cały czas, i wszystko, co przeżył naocznie, musiał widzieć przed sobą w wielkim ściennym lustrze, bo teraz jego własna twarz patrzyła na niego w nieruchomym zamyśleniu. A ów światowiec był jeszcze obecny, istotnie żarł zimnego łososia — nożem oczywiście — ale siedział po przeciwnej stronie w rogu, a nie tu, przy stole.

„Jak się tu właściwie znalazłem w kawiarni „Stefania”? — zapytywał siebie uczony.

Nie mógł sobie przypomnieć.

Potem powoli ocknął się: To przychodzi od tego wiecznego głodowania, gdy się widzi innych, jak jedzą łososia i piją przy tym wino. Moje ja rozdziwiło się na chwilę. Stara to rzecz i naturalna, w takich przypadkach jesteśmy z nagłą jakby widzami w teatrze, a i przecież zarazem aktorami tam, w dali, na scenie. Role zaś, które gramy, składają się z tego, cośmy kiedyś czytali i słyszeli, i na co skrycie mieliśmy nadzieję. Tak, tak, nadzieja jest straszliwym poetą! Wyobrażamy sobie rozmowy, w które wierzymy, żeśmy je przeżyli, widzimy, że robimy wszystko, aby świat zewnętrzny stał się nieistotny, a nasze otoczenie zakrzepło w innych złudnych formach. Nawet zdania, które rodzą się w naszych umysłach, nie są takie same jak zwykle; są one poowijane we frazy i uwagi towarzyszące, jak w noweli... Dziwna rzecz, to ja rozpada się niekiedy niczym wiązka gałązek, którą rozwiązujemy ze sznurka... — I znów przyłapał się doktor Paupersum na tym, że jego wargi szeptały: „Jak to się stało, że znalazłem się w kawiarni „Stefania”?

Nagle okrzyk radości zmiotł w nim wszystkie smutne myśli: „Przecież wygrałem jedną markę. Całą markę! Teraz już wszystko dobrze; moje dziecko może znowu wyzdrowieć. Szybciućko butelkę czerwonego wina, i mleko, i...”

W dzikim podnieceniu przeszperał kieszenie i nagle spojrzenie jego padło na opaskę z czarnej krepki, którą miał na rękawie, i jak na skutek ciosu stanęła przed nim straszna prawda: jego córka umarła przecież wczorajszej nocy.

Oburącz chwycił się za skronie... „tak, u-mar-ła”. Teraz też wiedział już, w jaki sposób

znalazł się w kawiarni: z cmentarza, z pogrzebu. Po południu była przecież chowana. Pośpiesznie, nieczule, z przymusem. Ponieważ tak bardzo padało.

A potem błąkał się po ulicach, godzinami, zaciął zęby i kurczowo wsłuchiwał się w stuk swoich obcasów, licząc ten stuk, i liczył, liczył, od jeden do sto i znów od nowa, żeby tylko nie zwariować ze strachu, że jego kroki mogłyby go wbrew woli zaprowadzić do gołego pokoju z ubożuchnym łóżkiem, w którym umarła ona, i które teraz... było puste. W jakiś tam sposób musiał być później tu złądować. Wszystko jedno.

Trzymał się brzegu stołu, żeby nie upaść. Bez ładu i składu kołatało się w jego uczonym mózgu: „Hm, tak, powinienem... powinienem był dać jej transfuzję krwi z moich własnych żył; dać krew...” — powtarzał w kółko; wtem przeraziła go myśl: „nie mogę zostawić mojego dziecka samego... na dworze w mokrą noc”, chciał krzyknąć, ale tylko ciche kwilenie wydarło się z jego piersi...

„Róże, bukiet róż, to było jej ostatnie życzenie — wstrząsnęło nim jeszcze raz — ...więc mogę jej przecież kupić bukiet róż, przecież wygrałem jedną markę w szachy” — od nowa przeszukał kieszenie i wybiegł bez kapelusza w mrok, za ostatnim maleńkim błędnym ognikiem.

Następnego ranka znaleziono go na grobie córki. Martwego. Z rękami głęboko wrytymi w ziemię. Przeciął sobie żyły, a jego krew spłynęła do tej, która spoczywała tam w głębi. Na jego białej twarzy gościł jednak blask godnego spokoju, którego nie jest w stanie zmaćć żadna już nadzieja.

Przełożyła *Maria Świątek*

## Franz Kafka **PRZEMIANA**

### I

Gdy Gregor Samsa obudził się pewnego rana z niespokojnych snów, stwierdził, że zmienił się w łóżku w potwornego robaka. Leżał na grzbiecie twardym jak pancerz, a kiedy uniósł nieco głowę, widział swój sklepiony, brązowy, podzielony sztywnymi łukami brzuch, na którym ledwo mogła utrzymać się całkiem już ześlizgująca się kołdra. Liczne, w porównaniu z dawnymi rozmiarami, żałośnie cienkie nogi migały mu bezradnie przed oczami.

„Co się ze mną stało?” — myślał. To nie był sen. Jego pokój, prawdziwy, nieco tylko zbyt mały ludzki pokój, mieścił się spokojnie wśród czterech dobrze znanych ścian. Nad stołem, na którym rozpościerała się rozpakowana kolekcja towarów tekstylnych — Samsa był komiwojażerem — wisił obraz, wycięty przez niego niedawno z ilustrowanego czasopisma i umieszczony w ładnej, pozłacanej ramce. Obraz przedstawiał jakąś damę w futrzanej czapce i boa. Siedziała wyprostowana, a ciężką, futrzaną mufkę, w której znikало jej całe przedramię, wznosiła naprzeciw widza.

Następnie Gregor skierował wzrok ku oknu i posępna pogoda — słyszało się krople deszczu, uderzające o blaszany parapet — wtrąciła go w całkowitą melancholię. „A gdybym tak jeszcze trochę pospał i zapomniał o wszystkich głupstwach” — pomyślał. Było to jednak zupełnie nieosiągalne, gdyż przyzwyczał się sypiać na prawym boku, a w swym obecnym stanie nie mógł przybrać tej pozycji. Jakkolwiek silnie przewracał się na prawy bok, wciąż padał z powrotem na grzbiet. Próbował tego chyba ze sto razy, zamykał oczy, żeby nie patrzeć na trzepoczące nogi, a przestał dopiero wówczas, gdy zaczął odczuwać nie znany mu

dotychczas lekki, tępy ból w boku.

„Ach, Boże — myślał — cóż za wyczerpujący zawód sobie obrałem! Dzień po dniu w podróży. Interesy są znacznie bardziej denerwujące niż we właściwym sklepie na miejscu, a do tego dochodzi plaga wyjazdów, troska o połączenia kolejowe, nieregularny, kiepski wikt, zawsze zmienne, zawsze nietrwale, nigdy nie poparte serdecznością kontakty z ludźmi. Do diabła z tym wszystkim!” Poczul lekkie swędzenie na brzuchu; z wolna przesunął się na grzbiecie ku poręczy łóżka, by móc lepiej unieść głowę, odnalazł swędzące miejsce, obsypane małymi, białymi punkcikami, których pochodzenia nie umiał ustalić. Chciał obmacać to miejsce jedną z nóg, ale zaraz ją cofnął, gdyż przy dotknięciu przeszył go zimny dreszcz.

Znów się prześliznął do swej poprzedniej pozycji. „To wczesne wstawanie — myślał — zupełnie ogłupia. Człowiek musi się wyspać. Inni komiwojażerzy żyją jak damy haremowe. Gdy ja na przykład w ciągu przedpołudnia wracam do gospody, żeby przepisać uzyskane zamówienia, ci panowie siedzą dopiero przy śniadaniu. Gdybym ja spróbował tego przy moim szefie, z miejsca bym wyleciał. Kto wie zresztą, czy tak nie byłoby dla mnie najlepiej. Gdyby mnie nie powstrzymywał wzgląd na rodziców, dawno bym wypowiedział, poszedłbym do szefa i z serca wygarnąłbym mu wszystko, co myślę. Spadłby z biurka! To także jest szczególnie sposób, siadać na biurku i z wysoka rozmawiać z pracownikiem, który w dodatku musi podejść całkiem blisko, bo szef źle słyszy. No, nadzieja nie jest jeszcze całkiem stracona, gdy zbiorę wreszcie pieniądze, by spłacić mu dług rodziców — może to jeszcze trwać pięć do sześciu lat — załatwię tę sprawę bezwarunkowo. Wtedy zrobi się to wielkie cięcie. Na razie pewnie muszę wstawać, bo mój pociąg odchodzi o piątą.”

I spojrzął na budzik, który tykał na komodzie. „Ojciec niebieski!” — pomyślał. Było wpół do siódmej, a wskazówki spokojnie szły naprzód, było już nawet dalej niż pół, zbliżały się trzy kwadransy. Czyżby budzik nie dzwonił? Widać było z łóżka, że nastawiony był prawidłowo na godzinę czwartą; na pewno też dzwonił. Tak, ale czy to możliwe, żeby spokojnie przespać ten dzwonek tak przeraźliwy, że aż drżą meble? No, spokojnie co prawda nie spał, ale prawdopodobnie tym mocniej. Cóż jednak powinien teraz zrobić? Następny pociąg odchodzi o siódmej, aby na niego zdążyć, musiałby się szalenie śpieszyć, a kolekcja nie była jeszcze spakowana i on sam nie czuł się szczególnie świeżym i ruchliwym. A nawet jeśli złapie pociąg, nie uniknie przekleństw szefa, gdyż woźny firmy czekał przy pociągu o piątą i dawno już musiał złożyć meldunek o jego zaniechaniu. Był on kreaturą szefa, pozbawioną kośćca i rozsądku. A gdyby zgłosił, że jest chory? To byłoby jednak bardzo nieprzyjemne i podejrzane, gdyż Gregor podczas swej pięcioletniej służby ani razu jeszcze nie chorował. Na pewno szef przyszedłby razem z lekarzem Kasy Chorych, robiłby wymówki rodzicom z powodu lenistwa ich syna i odrzucałby wszelkie tłumaczenia powołując się na lekarza Kasy Chorych, dla którego w ogóle istnieli tylko ludzie zupełnie zdrowi, lecz bojący się pracy. A zresztą, czy w tym wypadku tak całkiem nie miałby racji? Rzeczywiście, pominałszy istotnie nadmierną senność po długim śnie, Gregor czuł się całkiem dobrze, odczuwał nawet szczególnie silny głód.

Gdy wszystko to rozważał w największym pośpiechu, nie mogąc się zdecydować na opuszczenie łóżka — budzik wybił właśnie trzy kwadransy na siódmą — ktoś ostrożnie zapukał do drzwi u wezłowania.

— Gregor — zawołał ktoś, była to matka — jest trzy na siódmą. Czy nie miałeś jechać?

Ten łagodny głos! Gregor przestraszył się, gdy w odpowiedzi usłyszał swój własny. Zapewne, był to niezaprzeczenie jego dawny głos, ale mieszał się z nim, jak gdyby spod niego się dobywający i nie dający się stłumić, bolesny pisk, który tylko w pierwszej chwili pozostawiał słowom ich właściwy dźwięk, aby w dalszym ich brzmieniu zniszczyć go tak dalece, że nie wiedziało się, czy dobrze słyszy.

Gregor chciał szczegółowo odpowiedzieć i wszystko wyjaśnić, ale w tych warunkach ograniczył się tylko do powiedzenia:



— Tak, tak, dziękuję, mamó, już wstaję.

Pewnie z powodu drewnianych drzwi zmiana w głosie Gregora nie dała się zauważyć na zewnątrz, bo matka, uspokojona tym wyjaśnieniem, poczłapała z powrotem. Ale ta krótka rozmowa zwróciła uwagę innych członków rodziny na to, że Gregor wbrew oczekiwaniu jest jeszcze w domu, i już stuknął lekko, lecz pięścią ojciec do jednych z bocznych drzwi.

— Gregor, Gregor! — wołał — co się stało? — A po krótkiej chwili napomniał go raz jeszcze donośniejszym głosem: — Gregor, Gregor!

Przy drugich bocznych drzwiach cicho żaliła się siostra:

— Gregor? Czy źle się czujesz? Potrzeba ci czegoś?

Gregor odpowiadał na obie strony:

— Już jestem gotów — i starał się usilnie przez najdokładniejszą wymowę i wtrącanie długich pauz między pojedynczymi słowami pozbawić swój głos tego, co było w nim niezwykle. Ojciec także wrócił do śniadania, lecz siostra szeptała:

— Gregor, zaklinam cię, otwórz.

Gregor jednak nie myślał nawet o tym, by otworzyć. Owszem, chwalił sobie nabytą w podróżach ostrożność, która i w domu kazała mu zamykać na noc wszystkie drzwi.

Chciał najpierw wstać spokojnie i bez przeszkód, ubrać się i przede wszystkim zjeść śniadanie, a dopiero potem zastanowić się nad dalszymi krokami, gdyż zdawał sobie sprawę, że w łóżku nie doprowadzi swych rozmyślań do żadnego rozsądnego końca. Przypomniał sobie, że często już zdarzało mu się w łóżku odczuwać lekki ból, będący może wynikiem niewłaściwego leżenia, który następnie, po wstaniu, okazywał się czystym urojeniem i oczekiwał w napięciu, jak jego dzisiejsze wyobrażenia z wolna się rozwieją. Co do tego, że zmiana głosu nie była niczym innym jak zwiastunem silnego przeziębienia, zawodowej choroby podróżującego agenta, nie miał najmniejszych wątpliwości.

Odrzucenie kołdry przyszło bardzo łatwo; wystarczyło tylko nieco się nadać, a spadła sama. Dalej jednak szło gorzej, zwłaszcza dlatego, że był tak niezwykle szeroki. Aby się podźwignąć, musiałby użyć ramion i rąk, ale zamiast nich posiadał tylko wiele nóżek, które bez przerwy wykonywały najrozmaitsze ruchy i których w dodatku nie mógł opanować. Gdy chciał jedną z nich zgąć, od razu się wyprostowała, a gdy udało mu się wreszcie wykonać tą nóżką, co pragnął, to wszystkie inne tymczasem, jakby uwolnione z więzów, poruszały się w najwyższym, bolesnym podnieceniu. — Tylko nie zostawać bezużytecznie w łóżku — mówił sobie Gregor.

Najpierw chciał wyjść z łóżka dolną częścią ciała, lecz owa dolna część, której zresztą jeszcze nie widział i o której nie mógł też wyrobić sobie właściwego wyobrażenia, okazała się zbyt ciężka, aby ją poruszyć. Szło to tak powoli, że kiedy w końcu, doprowadzony niemal do wściekłości, zebrawszy siły nieopatrznie rzucił się do przodu, obrał zły kierunek, gwałtownie uderzył o dolną krawędź łóżka, a piekący ból, którego doznał, pouczył go, że obecnie właśnie dolna część jego ciała jest prawdopodobnie najbardziej uczulona.

Wobec tego próbował wydostać się najpierw górną częścią tułowia i ostrożnie zwrócił głowę ku brzegowi łóżka. To udało się łatwo, a całe ciało — mimo jego szerokości i ciężaru — podążyło w końcu z wolna za ruchem głowy. Ale gdy trzymał wreszcie głowę poza łóżkiem, w otwartej przestrzeni, uczył strach przed dalszym posuwaniem się naprzód, bo gdyby w końcu tak opadł, trzeba by chyba cudu, żeby uchronić głowę przed zranieniem. A właśnie teraz za żadną cenę nie mógł stracić przytomności; wołał już pozostać w łóżku.

Kiedy jednak, wzdychając po nowym wysiłku, ułożył się z powrotem tak jak przedtem i znów zobaczył swe nóżki ruszające się bardziej jeszcze — o ile to możliwe — niespokojnie i gdy nie znalazł żadnej możliwości zaprowadzenia w tej anarchii ładu i porządku, powiedział sobie wreszcie, że nie może pozostać w łóżku i najrozsądniej będzie zrobić wszystko, byle tylko przy najbliższej sposobności z łóżka się uwolnić. Wśród tego jednak starał się nie zapominać o tym, że od rozpaczliwych postanowień znacznie lepsza jest spokojna, najspokojniej-

sza rozważa. W takich momentach patrzył w okno, jak mógł najprzenikliwiej, lecz niestety widok porannej mgły, przesłaniającej nawet przeciwną stronę wąskiej ulicy, przynosił niewiele otuchy i pokrzepienia. — Już siódma — powiedział sobie przy nowym uderzeniu budzika — już siódma, a wciąż jeszcze taka mgła. — I przez chwilę leżał spokojnie, wstrzymując oddech, jakby od pełnej ciszy oczekiwał powrotu rzeczywistych i zrozumiałych stosunków.

Lecz później rzekł sobie:

— Zanim wybiję kwadrans na ósmą, muszę bezwarunkowo i na dobre opuścić łóżko. Zresztą do tej pory przyjdzie pewnie zapytać o mnie ktoś z firmy, bo firma otwiera się przed siódmą.

I teraz starał się o to, by całkowicie i równomiernie wykołysać z łóżka swe ciało w całej jego długości. Gdyby w ten sposób doprowadził je do wypadnięcia z łóżka, głowa, którą przy upadku miał zamiar ostro zadrzeć, pozostałaby prawdopodobnie nie uszkodzona. Grzbiet zdawał się być twardy — przy upadku na dywan nic mu się chyba nie stanie. Najbardziej dokuczala mu myśl o głośnym łoskocie, który się prawdopodobnie rozlegnie i wywoła jeśli nie przestrasz, to przynajmniej zaniepokojenie za wszystkimi drzwiami. Na to jednak musiał się odważyć.

Gdy Gregor już do połowy wystawał z łóżka — nowa metoda była raczej zabawą niż wysiłkiem, musiał tylko kołysać się na grzbiecie lekko się przesuwając — wpadło mu do głowy, jak łatwe byłoby to wszystko, gdyby ktoś przyszedł mu z pomocą. Dwoje silnych ludzi — pomyślał o ojcu i o służącej — zupełnie by wystarczyło; musieliby tylko wsunąć ramiona pod jego sklepiony grzbiet, w ten sposób wyjąć go z łóżka, pochylić się z ciężarem, a potem jedynie ostrożnie dopilnować, aby wykonał przeskok na podłogę, gdzie później zapewne jego nóżki znalazłyby zastosowanie. Tak, lecz pominąwszy już to, że drzwi były zamknięte na klucz, czy rzeczywiście miałby wołać o pomoc? Mimo swego trudnego położenia nie mógł powstrzymać uśmiechu na tę myśl.

Był już tak daleko, że przy silniejszym kołysaniu się ledwie utrzymywał równowagę i zaraz musiał powziąć ostateczną decyzję, bo do kwadransa na ósmą brakowało pięciu minut, gdy rozległ się dzwonek przy drzwiach od mieszkania. — To ktoś z przedsiębiorstwa — powiedział do siebie i niemal struchlał, podczas gdy jego nóżki tańczyły tym szybciej. Przez moment trwała cisza. — Nie otwierają — powiedział sobie Gregor, opanowany jakąś obłądną nadzieją. Lecz potem naturalnie służąca podeszła jak zwykle silnym krokiem do drzwi i otworzyła. Gregorowi wystarczyło, że usłyszał pierwsze powitalne słowo przybyłego, i wiedział już, kto to był — sam prokurent. Dlaczego tylko Gregor skazany był na pracę w firmie, w której najmniejsze zaniedbanie sprowadzało zaraz największe podejrzenie? Czyż wszyscy pracownicy razem wzięci byli łajdakami, czyż nie było wśród nich żadnego godnego zaufania, oddanego człowieka, który jeżeli nawet nie wykorzystał dla firmy tych kilku porannych godzin, szalał z powodu wyrzutów sumienia i nie był po prostu w stanie opuścić łóżka? Czy doprawdy nie wystarczyłoby przysłać z zapytaniem praktykanta — jeśli w ogóle to wypytywanie było konieczne — czy musiał tu przychodzić sam prokurent, i czy trzeba było pokazywać przez to całej niewinnej rodzinie, że zbadanie tej podejrzonej okoliczności mogło być powierzone tylko rozumowi prokurenta? I bardziej z powodu wzburzenia, w które popadł Gregor przez rozważania, niż wskutek istotnej decyzji, z całą siłą wyleciał z łóżka. Wywołało to głośne uderzenie, lecz nie właściwy łoskot. Dywan osłabił nieco upadek, a także grzbiet był bardziej elastyczny, niż Gregor myślał, toteż rozległ się jedynie niezbyt donośny, głuchy stuk. Głowy tylko nie trzymał dość ostrożnie i stłukł ją; kręcił nią i tarł o dywan z bólu i irytacji.

— Coś tam upadło — powiedział prokurent w pokoju po lewej stronie.

Gregor próbował sobie wyobrazić, czy prokurentowi nie mogłoby się zdarzyć kiedyś coś takiego, co dziś zdarzyło się jemu; właściwie trzeba przecież było brać taką możliwość pod uwagę. Ale jak gdyby w brutalnej odpowiedzi na to pytanie, prokurent w sąsiednim pokoju zrobił teraz kilka zdecydowanych kroków, zaskrzypiały przy tym jego lakierki. Z pokoju

po prawej stronie siostra, chcąc zawiadomić Gregora, szepnęła:

— Gregor, przyszedł prokurent.

— Wiem — powiedział do siebie Gregor, lecz nie odważył się podnieść głosu na tyle, by siostra mogła go usłyszeć.

— Gregor — mówił teraz ojciec z pokoju po lewej stronie. — Przyszedł pan prokurent i pyta, dlaczego nie odjechałeś rannym pociągiem. Nie wiemy, co mu odpowiedzieć. On zresztą chce też pomówić z tobą osobiście. Więc proszę, otwórz drzwi. Pan prokurent będzie już tak dobry i wybaczy nieporządek w pokoju.

— Dzień dobry, panie Samsa — przerwał głośno, lecz przyjaźnie prokurent.

— On się źle czuje — mówiła matka do prokurenta, podczas gdy ojciec przemawiał jeszcze do drzwi. — On się źle czuje, proszę mi wierzyć, panie prokurencie. Jakże mógłby Gregor inaczej nie przyjść na pociąg! Chłopak ma w głowie tylko firmę i nic więcej. Już się prawie złościłam o to, że nigdy wieczorem nie wychodzi; teraz był przecież osiem dni w mieście, ale każdy wieczór spędzał w domu. Siedzi tutaj z nami przy stole i spokojnie czyta gazetę albo studiuje rozkłady jazdy. Kiedy pracuje laubzegą, to już dla niego rozrywka. O, na przykład, przez dwa czy trzy wieczory wyciął małą ramkę, zdziwi się pan, jaka ładna, wisi tam w pokoju. Zaraz ją pan zobaczy, jak tylko Gregor otworzy. Zresztą jestem szczęśliwa, że pan przyszedł, panie prokurencie, my sami nie zdołalibyśmy namówić Gregora, żeby otworzył drzwi, on jest taki uparty i na pewno źle się czuje, choć rano się do tego nie przyznawał.

— Zaraz przyjdę — powiedział Gregor powoli i z namysłem i nie ruszał się, by nie stracić ani słowa z rozmowy.

— Ja też nie mogę sobie tego inaczej wytłumaczyć, łaskawa pani — powiedział prokurent. — Miejmy nadzieję, że to nic poważnego, choć z drugiej strony muszę powiedzieć, że my, ludzie interesu — niestety, czy na szczęście, jak kto chce — bardzo często ze względów handlowych nie możemy po prostu zwracać uwagi na lekką niedyspozycję.

— No więc, czy pan prokurent może już wejść do ciebie? — pytał niecierpliwy ojciec i powtórnie pukał do drzwi.

— Nie — powiedział Gregor. W pokoju po lewej stronie zapadło nieprzyjemne milczenie, w pokoju po prawej siostra zaczęła łkać.

Dlaczego jednak siostra nie poszła do tamtych? Musiała pewnie dopiero teraz wstać z łóżka i jeszcze nawet nie zaczęła się ubierać. I dlaczego płakała? Dlatego że nie wstał i nie wpuścił prokurenta, dlatego że groziła mu utrata posady i że szef zacząłby później znowu nękać rodziców dawnymi roszczeniami? To przecież były na razie całkiem zbyteczne troski. Gregor był jeszcze tutaj i ani przez myśl mu nie przyszło, żeby opuścić rodzinę. W tej chwili leżał sobie tu na dywanie i nikt, kto by znał jego stan nie mógł od niego poważnie żądać, by wpuścił prokurenta. Ale z powodu tej drobnej nieuprzejmości, dla której później bez trudu znajdzie się odpowiednią wymówkę, nie można było przecież Gregora natychmiast usunąć z posady. I Gregorowi zdawało się, że znacznie rozsądniej byłoby pozostawić go teraz w spokoju, zamiast przeszkadzać mu płaczem i namowami. Ale to właśnie niepewność dręczyła tamtych i usprawiedliwiała ich postępowanie.

— Panie Samsa! — zawołał teraz prokurent podniesionym głosem. — Co się stało? Barykaduje się pan w swoim pokoju, odpowiada pan tylko „tak” i „nie”, sprawia pan ciężkie, niepotrzebne zmartwienie swoim rodzicom i w niesłychany wprost sposób zaniedbuje pan — o tym wspominam tylko mimochodem — swoje handlowe obowiązki. Mówię tutaj w imieniu pańskich rodziców i pańskiego szefa i jak najpoważniej proszę pana o natychmiastowe, wyraźne wyjaśnienie. Dziwię się, dziwię się. Sądziłem, że znam pana jako spokojnego, rozsądnego człowieka, a tu nagle wygląda na to, jakby chciał pan zacząć popisywać się dziwacznymi kapryсами. Szef próbował mi wprawdzie dziś rano wyjaśnić pańskie zaniedbanie — mówił o powierzonym panu od niedawna inkasie — ale ja, doprawdy, dałem niemal moje słowo honoru, że to wyjaśnienie nie może być trafne. Teraz jednak widzę ten pański niepojęty upór i

całkiem tracę jakąkolwiek ochotę, aby wstawić się za panem choćby w najmniejszym stopniu. A pańska posada wcale nie jest najmocniejsza. Początkowo miałem zamiar powiedzieć panu to wszystko w cztery oczy, ale skoro pozwala mi pan tutaj bezużytecznie tracić czas, nie wiem, dlaczego pańscy szanowni rodzice nie mieliby się także o tym dowiedzieć. Wyniki pańskiej pracy były też ostatnio bardzo niezadowolające; pora roku nie jest wprawdzie odpowiednia do robienia nadzwyczajnych interesów, przyznajemy to ale takiej pory roku, żeby nie robić żadnych interesów, w ogóle nie ma, panie Samsa, i być nie może.

— Ależ panie prokurencie! — zawołał Gregor z przejęciem i w podnieceniu zapomniał o wszystkim innym. — W tej chwili, natychmiast otwieram. Lekka niedyspozycja, zawrót głowy nie pozwolił mi wstać. Teraz jeszcze leżę w łóżku. Ale już znowu czuję się całkiem dobrze. Właśnie wstaję z łóżka. Tylko małą chwilę cierpliwości! To jeszcze nie idzie tak łatwo, jak myślałem. Ale czuję się już dobrze. Że też to może tak spaść na człowieka! Wczoraj wieczorem czułem się jeszcze zupełnie dobrze, rodzice to wiedzą, albo raczej już wczoraj wieczorem miałem lekki przedsmak tego. Można było to po mnie zobaczyć. Jak mogłem nie zgłosić tego w firmie! Ale zawsze się myśli, że przetrwa się chorobę bez zostawiania w domu. Panie prokurencie! Proszę oszczędzać moich rodziców! Wszystkie te zarzuty, które mi pan teraz robi, nie mają żadnych podstaw, nie powiedziano mi też o tym ani słowa. Pan pewnie nie czytał ostatnich zamówień, jakie posłałem. Zresztą pojedę jeszcze pociągiem o ósmej. Proszę się już tylko nie fatygować, panie prokurencie; zaraz sam będę w przedsiębiorstwie, zechce pan być tak dobrym i wytłumaczyć mnie przed panem szefem!

I podczas gdy Gregor pośpiesznie wyrzucał z siebie to wszystko i ledwie wiedział, co mówi, z łatwością, zapewne wskutek ćwiczeń dokonanych jeszcze w łóżku, zbliżył się nieco do komody i teraz próbował się na nią wspiąć. Rzeczywiście chciał otworzyć drzwi, rzeczywiście chciał się pokazać i rozmawiać z prokurentem; bardzo pragnął przekonać się, co powiedzą na jego widok ci, którzy teraz tak bardzo go chcą widzieć. Gdyby się przestraszyli, Gregor nie ponosiłby już żadnej odpowiedzialności i miałby spokój. Gdyby jednak wszystko przyjęli spokojnie, wówczas i on nie miałby powodu do niepokoju i mógłby, gdyby się pośpieszył, rzeczywiście o ósmej być na dworcu. Najpierw ześliznął się kilka razy z gładkiej komody, lecz w końcu sprężył się do ostatniego skoku i stanął na niej wyprostowany; nie zważał już nawet na bóle w podbrzuszu, choć dokuczały mu bardzo. Teraz pozwolił sobie opaść na tylne oparcie pobliskiego krzesła; trzymał się mocno nóżkami jego poręczy. Wśród tego odzyskał też panowanie nad sobą i znieruchomiał, gdyż dał się teraz słyszeć głos prokurenta.

— Czy państwo zrozumieli choć jedno słowo? — pytał prokurent rodziców. — Czy on nie robi z nas jednak głupców?

— Na miłość boską! — wołała matka już we łzach. — On pewnie jest ciężko chory, a my go męczymy. Greto! Greto! — krzyknęła.

— Mamo? — zawołała siostra z drugiej strony. Porozumiewały się poprzez pokój Gregora.

— Musisz natychmiast iść po lekarza. Gregor jest chory. Szybko po lekarza. Czy słyszałaś przed chwilą głos Gregora?

— To był głos zwierzęcy — powiedział prokurent dziwnie cicho w przeciwieństwie do krzyku matki.

— Anno! Anno! — wołał ojciec poprzez przedpokój do kuchni i klaskał w dłonie. — Natychmiast sprowadzić ślusarza!

I obydwie dziewczyny, szeleszcząc sukniemi, biegły już przez przedpokój — jak też siostra zdołała się tak szybko ubrać? — i z trzaskiem otwierały drzwi od mieszkania. Nie było wcale słyhać, żeby je zatrzasnęły, widocznie zostawiły je otwarte, jak to zwykle bywa w mieszkaniach, w których zdarzyło się wielkie nieszczęście.

Ale Gregor znacznie się uspokoił. Nie rozumiano już wprawdzie jego słów, mimo że je-

mu zdawały się one wyraźne, wyraźniejsze niż przedtem, zapewne wskutek przyzwyczajenia się ucha. Ale bądź co bądź uwierzono już, że jest z nim coś nie w porządku i przygotowywano się do niesienia mu pomocy. Ufność i pewność, z jaką wydano pierwsze zarządzenia, dobrze na niego wpłynęły. Czuł się znowu wciągniętym w krąg ludzki i od obydwu: lekarza i ślusarza, właściwie dokładnie ich nie odróżniając, spodziewał się wspaniałych i zaskakujących rzeczy. Aby do zbliżających się decydujących rozmów mieć możliwie najwyraźniejszy głos, odkaszlnął nieco, starając się zresztą uczynić to całkiem cicho, gdyż nie wykluczone, że także i ten odgłos brzmiał inaczej niż ludzkie kasznięcie, czego on sam nie potrafił już stwierdzić. Tymczasem w pokoju obok zrobiło się całkiem cicho. Może rodzice siedzieli z prokurentem przy stole i szeptali, a może wszyscy nasłuchiwali oparci o drzwi.

Gregor z wolna przesunął się z krzesłem w stronę drzwi, potem opuścił krzesło i rzucił się ku drzwiom, zatrzymał się przy nich wyprostowany — końce jego nóżek były nieco lepkie — i odpoczywał chwilę po wysiłku. Następnie usiłował ustami przekręcić klucz w zamku. Niestety okazało się, że nie posiada prawdziwych zębów — czymże więc miał uchwycić klucz? Ale za to szczęki były widocznie silne; z ich też pomocą rzeczywiście wprawił klucz w ruch, nie zważając na to, że na pewno wyrządza sobie jakąś krzywdę, gdyż z ust wylała mu się brunatna ciecz, spływała po kluczu i kapała na podłogę.

— Proszę posłuchać — rzekł prokurent w sąsiednim pokoju — on przekręca klucz.

Była to dla Gregora wielka zachęta, lecz wszyscy, także ojciec i matka, powinni by nań wołać: „Żywo, Gregor — powinni by wołać — tylko tak dalej, z całej siły!” I wyobrażając sobie, że wszyscy z napięciem śledzą jego wysiłki, z całą mocą, na jaką mógł się zdobyć, obłądnie wgryzł się w klucz. W miarę obrotu klucza kręcił się wokół zamka; trzymał się teraz tylko ustami w pozycji pionowej, stosownie do potrzeby uwieszał się klucza albo też cisnął go w dół całym ciężarem swego tułowia. Wreszcie dźwięczniejszy odgłos odskakującego zanika sprawił, że Gregor jakby się ocknął. Odetchnął i powiedział sobie: — A więc obyłem się bez ślusarza — i złożył głowę na klamce, aby zupełnie otworzyć drzwi.

Ponieważ musiał otwierać je w ten sposób, drzwi były właściwie otwarte już dość szeroko, a on sam jeszcze był niewidoczny. Musiał dopiero z wolna okręcić się wokół skrzydła drzwi, i to bardzo ostrożnie, jeśli przy samym wejściu do pokoju nie chciał niezgrabnie upaść na grzbiet. Wciąż jeszcze zajęty był tym trudnym obrotem i nie miał czasu, by zwracać uwagę na coś innego, gdy usłyszał głośnie „Och!” prokurenta — zabrzmiało to jak szum wiatru. A teraz także zobaczył go, jak stojąc tuż przy drzwiach przyciskał dłoń do otwartych ust i z wolna się cofał, jak gdyby równomiernie napierała nań niewidoczna siła. Matka — pomimo obecności prokurenta stała tu z rozpuszczonymi jeszcze po nocy, wysoko nastroszonymi włosami — załamała ręce i najpierw spojrzała na ojca, potem podeszła dwa kroki w stronę Gregora i upadła wśród swych szeroko rozpostartych sukien, z głową bezradnie opuszczoną na piersi. Ojciec zacisnął pięści wrogim gestem, jak gdyby chciał wepchnąć Gregora z powrotem do jego pokoju, potem niepewnie rozejrzał się po mieszkaniu, wreszcie osłonił oczy rękami i zapłakał, aż łkanie wstrząsnęło jego potężną piersią.

Gregor nie wszedł wcale do środka pokoju, lecz oparł się od wewnątrz o nieruchome skrzydło drzwi, tak że widoczny był tylko do połowy jego tułów, a ponad nim pochylona na bok głowa, którą przechylił ku tamtym. Tymczasem zrobiło się znacznie jaśniej. Po drugiej stronie ulicy wyraźnie widać było fragment przeciwległego, ciągnącego się bez końca, szarocznego domu — był to szpital — z jego regularnymi ostro odcinającymi się od fasady oknami. Deszcz padał jeszcze, lecz tylko dużymi, widocznymi z osobna i jakby też z osobna spadającymi na ziemię kroplami. Na stole stała aż zbyt wielka zastawa ze śniadaniem, bo śniadanie było dla ojca najważniejszym posiłkiem dnia i przeciągał je godzinami przy lekturze rozmaitych gazet. Na przeciwnej ścianie na wprost wisała fotografia Gregora z czasów jego służby wojskowej, przedstawiająca go jako podporucznika — z ręką na szpadzie, beztroško uśmiechnięty budził respekt swoją postawą i uniformem. Drzwi od przedpokoju były

otwarte, a że otwarte były także drzwi od mieszkania, widać nawet było klatkę schodową i początek schodów wiodących w dół.

— A więc — mówił Gregor i zdawał sobie sprawę z tego, że tylko on jeden zachował spokój — zaraz się ubiorę, spakuję moją kolekcję i pojedę. Czy pozwolicie, czy pozwolicie mi jechać? A więc widzi pan, panie prokurencie, nie jestem uparty i pracuję chętnie; podróże są uciążliwe, ale ja nie mógłbym żyć bez podróży. Ależ dokąd pan idzie, panie prokurencie? Do firmy? Tak? I powie pan o wszystkim zgodnie z prawdą? Można być chwilowo niezadowolonym do pracy, lecz to jest w sam raz moment, aby przypomnieć sobie o tym, czego ktoś dawniej dokonał, i uświadomić sobie, że później, po usunięciu trudności, będzie pracował tym pilniej i z tym większą uwagą. Ja przecież jestem tak bardzo oddany panu szefowi, pan wie o tym doskonale. A ponadto opiekuję się rodzicami i siostrą. Jestem w kłopotcie, ale się z niego wydostanę. Niech mi go pan tylko nie czyni cięższym, niż jest. Niech pan trzyma w firmie moją stronę! Wiem, że nie lubi się komiwojażera. Myśli się, że on zarabia mnóstwo pieniędzy i przy tym pięknie sobie żyje. Po prostu ludzie nie mają specjalnego powodu, by lepiej rozważyć to uprzedzenie. Ale pan, panie prokurencie, pan ma lepszy wgląd w te sprawy niż reszta personelu, a nawet, mówiąc w zupełnym zaufaniu, lepszy wgląd niż sam pan szef, który na swym stanowisku przedsiębiorcy łatwo może pomylić się w opinii na niekorzyść pracownika. Wie pan też doskonale, że podróżujący agent, który prawie przez cały rok jest poza firmą, tak łatwo może stać się ofiarą plotek przypadkowych i bezpodstawnych oskarżeń, przed którymi zupełnie nie może się bronić, o których najczęściej nic nie wie, i dopiero później, gdy wyczerpany wraca z podróży, doświadcza w domu na własnej skórze skutków zła, którego przyczyn nie może dociec. Panie prokurencie, niech pan nie odchodzi, niech mi pan powie choć słowo, aby pokazać, że przynajmniej w małej części przyznaje mi pan słuszość!

Ale już przy pierwszych słowach Gregora prokurent odwrócił się i wzruszając ramionami patrzył teraz wstecz ku niemu, wydawszy wargi. A kiedy Gregor mówił, ani przez chwilę nie stał spokojnie, lecz nie spuszczać Gregora z oczu wycofywał się ku drzwiom, bardzo powoli, jak gdyby istniał tajemny zakaz opuszczania pokoju. Już był w przedpokoju, a po gwałtownym ruchu, z jakim oderwał wreszcie stopę od progu izby, można by sądzić, że właśnie spalił sobie podszewę. W przedpokoju zaś wyciągnął prawą rękę daleko w stronę schodów, jak gdyby czekało tam na niego nadziemskie zbawienie.

Gregor pojął, że w żadnym wypadku nie może pozwolić, aby prokurent odszedł w tym nastroju, jeśli nie chce swojej posady w przedsiębiorstwie narazić na największe ryzyko. Rodzice nie rozumieli tego tak dobrze; w ciągu długich lat nabrali przekonania, że Gregor miał tam na całe życie być zapewniony, a poza tym mieli w tej chwili tyle bieżących zmartwień, że zatracili wszelką przezorność. Gregor jednak był przewidujący. Prokurenta trzeba było koniecznie zatrzymać, uspokoić, przekonać i w końcu pozyskać; od tego zależała przecież przyszłość Gregora i jego rodziny! Gdybyż choć siostra tu była! Ona była mądra, płakała już, gdy Gregor leżał jeszcze spokojnie na grzbiecie. I z pewnością prokurent, ten kobieciarz, dałby się przez nią ugłaskać. Zamknęłaby drzwi od mieszkania i w przedpokoju wyperswadowałaby mu przestrach. Ale siostry akurat nie było, Gregor musiał działać sam. I nie myśląc o tym, że nie poznał jeszcze swych obecnych możliwości poruszania się, nie myśląc także o tym, że jego mowa być może, a nawet prawdopodobnie znów nie zostanie zrozumiana, opuścił skrzydło drzwi, przesunął się przez próg. Chciał podejść do prokurenta, który już na klatce schodowej obydwoma rękami śmiesznie uchwycił poręcz. Ale natychmiast, szukając oparcia, z lekkim okrzykiem opadł na swoje liczne nóżki. Ledwie się to stało, po raz pierwszy tego ranka doznał fizycznego zadowolenia. Nóżki poczuły się pewnie na podłodze, były mu w zupełności posłuszne, co zauważył ku swojej radości; czekały tylko na to, by go ponieść, dokąd zechce, i wierzył już, że zbliża się koniec wszelkich cierpień. Ale w tym samym momencie, gdy on, kołysząc się od wstrzymywanego ruchu, leżał tuż naprzeciw matki na podłodze, matka, która przecież wyglądała na kompletnie złamaną, skoczyła zaraz w górę, szeroko

rozłożyła ramiona, rozcapierzyła palce i zawołała; — Ratunku, na miłość boską, ratunku! — Głowę miała pochyloną, jak gdyby chciała lepiej widzieć Gregora, lecz wbrew temu, jak szalona odskoczyła do tyłu. Zapomniała, że poza nią stoi zastawiony stół, a gdy znalazła się przy nim, usiadła na nim szybko, jakby w roztargnieniu; i zdawała się całkiem nie zauważać, że obok niej z przewróconego wielkiego dzbanka kawa szerokim strumieniem leje się na dywan.

— Mamo, mammo — cicho powiedział Gregor i spojrzał na nią. Na chwilę prokurent zupełnie wypadł mu z myśli; natomiast na widok płynącej kawy nie mógł powstrzymać się od kilkukrotnego klapnięcia szczękami. Na to matka znowu krzyknęła, uciekła od stołu i padła w ramiona śpieszącego ku niej ojca. Gregor jednak nie miał teraz czasu dla rodziców; prokurent był już na schodach i oparłszy podbródek o poręcz po raz ostatni spojrzał poza siebie. Gregor wziął rozpęd, by jak najpewniej go dogonić, ale prokurent musiał coś przeczuć, bo wykonał skok przez wiele stopni i zniknął. — Uf! — krzyknął jeszcze, aż zagrzmiało w całej klatce schodowej. Niestety, owa ucieczka prokurenta musiała także zupełnie dezorientować ojca, który dotychczas był stosunkowo opanowany. Zamiast bowiem samemu pobiec za prokurentem lub przynajmniej nie przeszkadzać w pościgu Gregorowi, chwycił w prawą rękę laskę prokurenta, którą ten wraz z kapeluszem i zarzutką zostawił na krześle, w lewą dużą gazetę ze stołu i tupiąc nogami oraz machając laską i gazetą, starał się zapędzić Gregora z powrotem do jego pokoju. Nie pomagała żadna prośba Gregora, żadna prośba nie została zresztą zrozumiana, mógł nie wiedzieć jak pokornie kręcić głową — ojciec tym silniej jeszcze tupał nogami. Po drugiej stronie matka mimo chłodu gwałtownie otworzyła okno i wychylna daleko na zewnątrz, przyciskała dłonie do twarzy. Między ulicą a klatką schodową powstał silny przeciąg, powiewały firanki, na stole zaszleściły gazety, pojedyncze karty frunęły po podłodze. Ojciec nacierał nieubłaganie i syczał jak dzikus. Gregor nie miał jeszcze jednak doświadczenia w chodzeniu tyłem, szło mu to naprawdę bardzo powoli. Gdybyż Gregor mógł się odwrócić, znalazłby się zaraz w swoim pokoju, ale obawiał się zniecierpliwic ojca długotrwałym obracaniem się, a laska w ojcowskiej ręce groziła mu przecież każdej chwili śmiertelnym uderzeniem w grzbiet lub w głowę. W końcu nie pozostało jednak Gregorowi nic innego, gdyż zauważył z przerażeniem, że idąc tyłem nie potrafił zachować kierunku; zaczął więc, zerkając nieustannie i z lękiem w bok ku ojcu, obracać się jak tylko mógł najszybciej, w rzeczywistości jednak bardzo powoli, do tyłu. Możliwe, że ojciec widział jego dobrą wolę, gdyż nie przeszkadzał mu w tym, a nawet z daleka, końcem laski kierował tym obrotem. Gdybyż tylko nie syczał tak nieznośnie! Gregor całkiem tracił od tego głowę. Już prawie zupełnie się odwrócił, gdy wciąż słuchając tego syku pomylił się i znów cofnął się nieco z powrotem. Gdy jednak w końcu szczęśliwie umieścił głowę naprzeciw uchylonych drzwi, okazało się, że jego tułów był zbyt szeroki, by bez kłopotu się przez nie precisnąć. Ojcu w jego obecnym nastroju naturalnie ani się nie śniło, żeby otworzyć nieco drugie skrzydło drzwi i stworzyć Gregorowi odpowiednie przejście. Miał tylko tę jedną natrętą myśl, by Gregor jak najszybciej znalazł się w swym pokoju. Nigdy też nie pozwoliłby na to, aby Gregor odpowiednio się wyprostowawszy przedostał się może jakoś przez drzwi. Raczej popędzał teraz Gregora naprzód z wielkim hałasem, jakby nie istniała żadna przeszkoda. Hałas ten bynajmniej nie brzmiał już dla Gregora jak głos samego tylko ojca, naprawdę nie było żartów i — niech się dzieje, co chce — Gregor wcisnął się między drzwi. Jedna strona jego tułowia uniosła się — leżał pochyło w szparze — bok był boleśnie starty do krwi, na białych drzwiach zostały szpetne plamy. Wkrótce Gregor tkwił mocno w szparze i sam nie mógł dalej się poruszyć: nóżki z jednej strony drząc zawisły w powietrzu, z drugiej były boleśnie przyciśnięte do podłogi. Wtedy ojciec dał mu z tyłu, istotnie teraz zbawienne, mocne pchnięcie, i on, obficie krwawiąc, wpadł daleko w głąb pokoju. Drzwi zostały jeszcze zatrzaśnięte laską, a potem wreszcie nastąpił spokój.

## II

Dopiero o zmierzchu Gregor obudził się z ciężkiego snu, podobnego do omdlenia. Nie wiele później i tak by się ocknął, gdyż czuł się dostatecznie wypoczęty i wyspany, ale zdawało mu się, że zbudziło go jakby lekkie stąpanie i ostrożne zamknięcie drzwi wiodących do przedpokoju. Blask ulicznych lamp elektrycznych leżał tu i ówdzie blade na suficie i na wyższych częściach mebli, lecz niżej, wokół Gregora, było ciemno. Niezgrabnie macając czułkami, które teraz dopiero uczuł się cenić, posunął się zwolna ku drzwiom, by popatrzeć przez szparę, co się tam stało. Cały jego lewy bok wydawał się jedną wielką, nieprzyjemnie drażniącą blizną, a także kulał na dwóch rzędach swych nówek. Podczas porannych wypadków zranił sobie zresztą ciężko jedną nóżkę — był to prawie cud, że tylko jedną — i włókł ją za sobą jak martwą.

Dopiero przy drzwiach zwrócił uwagę na to, co go tu właściwie zwabiło — był to zapach czegoś jadalnego. Stała tam bowiem miska pełna słodkiego mleka, w którym pływały małe skrawki bielutkiego chleba. O mało nie roześmiał się z radości, gdyż był jeszcze bardziej głodny niż rano, i zaraz zanurzył w mleku głowę niemal po oczy. Wkrótce jednak wyciągnął ją rozczarowany, nie tylko dlatego, że jedzenie z powodu obolałego lewego boku sprawiało mu trudność — mógł jeść tylko wtedy, gdy współdziałał w tym. sapiąc, cały jego tułów — lecz ponadto mleko, będące dotychczas jego ulubionym napojem i z pewnością dlatego postawione tutaj przez siostrę, zupełnie mu nie smakowało, prawie ze wstrętem odwrócił się od miski i odpełznął na środek pokoju.

W pokoju rodzinnym, jak to Gregor widział przez szparę w drzwiach, palił się gaz, ale podczas gdy kiedy indziej o tej porze dnia ojciec zwykł matce, a niekiedy i siostrze czytywać głośno popołudniowe gazety, teraz nie dochodził żaden dźwięk. Może to czytanie, o którym siostra zawsze opowiadała mu i pisała, ostatnio w ogóle wyszło ze zwyczaju. Ale i naokół było bardzo cicho, chociaż mieszkanie na pewno nie było puste. — Cóż za spokojne życie wiodła jednak rodzina — powiedział sobie Gregor i tępo wpatrując się w ciemność, uczuł wielką dumę, że potrafił rodzicom i siostrze zapewnić takie życie w tak pięknym mieszkaniu. Lecz cóż stąd, gdy teraz cały spokój, cały dobrobyt i zadowolenie miały się tak przerażająco skończyć? Żeby nie pograżyć się w takich myślach, Gregor zaczął się ruszać i pełzał tam i z powrotem po pokoju.

Podczas długiego wieczoru raz jedne boczne drzwi, a raz drugie uchylały się nieco i szybko znowu zamknęły; ktoś pewnie miał ochotę, lecz zaudał się wejść. Gregor zatrzymał się więc tuż przy drzwiach od pokoju rodzinnego, zdecydowany zachęcić przecież jakoś wahającego się do wejścia lub dowiedzieć się przynajmniej, kto to taki. Ale drzwi nie otwały się już i Gregor czekał na próżno. Rano, gdy drzwi były zamknięte, wszyscy chcieli do niego wejść, teraz, gdy on otworzył jedne drzwi, a inne zostały widocznie otwarte w ciągu dnia, nikt nie przychodził, a klucze tkwiły już teraz ze strony przeciwnej.

Dopiero późno w nocy zgasło światło w pokoju rodzinnym, łatwo więc było stwierdzić, że rodzice i siostra czuwali tak długo, gdyż, jak można było dokładnie dosłyszeć, wszyscy troje oddalali się teraz na palcach. A zatem do rana na pewno już nikt nie wejdzie, Gregor miał więc dużo czasu, by spokojnie się zastanowić, jak powinien sobie teraz od nowa ułożyć życie. Jednak wysoki, pusty pokój, w którym uwięziony przywarł na płask na podłodze, przerażał go. Nie wiedział, z jakiej przyczyny, był to przecież jego własny, od pięciu lat zamieszkały przezeń pokój. Na pół świadomie obrócił się pod kanapą, gdzie mimo że czuł ucisk na grzbiecie i nie mógł podnieść głowy, poczuł się zaraz bardzo wygodnie i żałował tylko, że tułów ma zbyt szeroki, by mógł się cały pod kanapą zmieścić.

Pozostał tam przez całą noc. Spędził ją częścią w półśnie, z którego co chwila wyrывał go głód, częścią zaś wśród trosk i niewyraźnych nadziei, co jednak wszystko prowadziło do wniosku, że tymczasem musi zachowywać się spokojnie i cierpliwie oraz największymi



względami złagodzić rodzinie przykrości, które mimo woli wyrządził jej swoim obecnym stanem.

Już wcześniej rano, prawie jeszcze w nocy, miał Gregor sposobność doświadczyć siły swych dopiero co powziętych postanowień, gdyż siostra, niemal zupełnie ubrana, otworzyła drzwi od przedpokoju i w napięciu zajrzała do środka. Nie znalazła go od razu, ale gdy ujrzała go pod kanapą — na Boga, musiał przecież gdzieś być, nie mógł przecież wyfrunąć — przeraziła się tak bardzo, że nie mogąc się opanować, znów zatrzasnęła drzwi od zewnątrz. Ale jakby żałując swego postępowania, natychmiast otworzyła drzwi powtórnie i weszła na palcach, tak jak wchodzi się do kogoś ciężko chorego lub zgoła do obcego. Gregor wysunął głowę aż prawie do krawędzi kanapy i obserwował siostrę. Czy też zauważy, że zostawił mleko, i to bynajmniej nie z braku apetytu, i czy przyniesie coś innego do jedzenia, co by mu bardziej odpowiadało? Jeśliby tego nie uczyniła sama, wołałby raczej umrzeć z głodu niż zwrócić jej na to uwagę, mimo że właściwie coś potężnie parło go, aby wybiec spod kanapy, rzucić się siostrze do stóp i poprosić ją o cokolwiek dobrego do jedzenia. Lecz siostra natychmiast ze zdziwieniem zauważyła pełną jeszcze miskę i tylko odrobinę mleka rozchlapaną wokoło, wzięła zaraz naczynie, co prawda nie gołymi rękami, lecz przez szmatę i wyniosła. Gregor był ogromnie ciekaw, co przyniesie w zamian, i snuł o tym najrozmaitsze myśli. Lecz nigdy by nie zgadł, co siostra naprawdę zrobiła w swej dobroci. Aby wypróbować jego smak, przyniosła mu na starej gazecie wszystko do wyboru. Była tu stara, na pół zgniła jarzyna, kości z kolacji w zastygłym, białym sosie, kilka rodzynków i migdałów, ser, który Gregor dwa dni temu uznał za niejadalny, zeschnięty chleb, chleb posmarowany masłem oraz chleb posmarowany masłem i posolony. Przy tym wszystkim postawiła, już prawdopodobnie na stałe, dla Gregora przeznaczoną miskę, do której nalala wody. A ponieważ wiedziała, że Gregor nie będzie przy niej jadł, przez delikatność oddaliła się jak najszybciej i przekręciła nawet klucz w zamku, żeby tylko Gregor zrozumiał, że może zachowywać się tak swobodnie, jak zechce. Nóżki Gregora furczały, gdy siedł teraz do jedzenia. Zresztą jego rany musiały się też już zupełnie zagoić, nic mu już nie przeszkadzało, dziwił się temu i myślał o tym, jak przed miesiącem z górą skaleczył się całkiem lekko nożem w palec i jak ta rana jeszcze przedwczoraj dosyć mu dokuczała. „Czyżbym teraz był mniej wrażliwy?” — myślał i ssał już chciwie ser, który przed wszystkimi innymi potrawami pociągnął go natychmiast i nieodparcie. Szybko i ze łzami ukontentowania w oczach pochłonął jedno po drugim ser, jarzynę i sos; natomiast świeże potrawy mu nie smakowały, nie mógł nawet znieść ich zapachu i to, co chciał zjeść, odciągał nieco na bok. Od dawna był już ze wszystkim gotów i leżał tylko leniwie na tym samym miejscu, gdy siostra przekręciła z wolna klucz na znak, że powinien się wycofać. Natychmiast go to przestraszyło, mimo że już prawie drzemał, i znów pośpieszył pod kanapę. Ale pozostawanie pod kanapą choćby przez ten krótki czas, gdy siostra była w pokoju, wiele go kosztowało, gdyż od obfitego jedzenia ciało jego trochę się zaokrągliło i ściśnięty tam ledwie mógł złapać oddech. Wśród małych ataków duszności patrzył nieco wybałuszonymi oczami, jak siostra, nie mając o niczym pojęcia, zagarnęła miotłą nie tylko resztki, lecz także wcale przez Gregora nie tknięte jedzenie, jak gdyby i jego nie można już było zużyć, pośpiesznie wysypała wszystko do kubła, który nakryła drewnianą pokrywą, po czym wszystko wyniosła. Ledwie się odwróciła, Gregor wypełznął już spod kanapy, przeciągnął się i wzdął.

W ten sposób codziennie otrzymywał teraz Gregor swój posiłek; najpierw rano, gdy rodzice i służąca jeszcze spali, drugi raz po ogólnym obiedzie, bo i wtedy rodzice spali jeszcze chwilkę, a służącą siostra wysyłała po jakikolwiek sprawunek. Zapewne, i oni nie chcieli, żeby Gregor głodował, lecz może nie byli w stanie dowiadywać się o jego jedzeniu inaczej, jak tylko ze słyszenia, a może siostra pragnęła oszczędzić im nawet drobnej troski, gdyż w samej rzeczy dosyć już cierpieli.

Jakich użyto wymówek, aby owego pierwszego przedpołudnia odprawić z domu, mimo

wezwania, lekarza i ślusarza, o tym Gregor zupełnie nie mógł się dowiedzieć. Ponieważ jego nie rozumiano, nikt — nawet siostra nie pomyślał o tym, że on może rozumieć innych; musiał więc, gdy siostra była w jego pokoju, zadowolić się tym, że słyszał od czasu do czasu, jak wzdychała i wzywała świętych. Później dopiero, gdy się do wszystkiego trochę przyzwyczaiła — o pełnym przyzwyczajeniu się nigdy oczywiście nie mogło być mowy — pochwyił Gregor niekiedy uwagę, która była życzliwie pomyślana lub można ją było tak zrozumieć. — Ależ mu dzisiaj smakowało — mówiła, gdy Gregor dzielnie sprzątnął jedzenie, podczas gdy w przeciwnym razie, co z wolna zaczęło powtarzać się coraz częściej, mawiała niemal ze smutkiem: — Dziś znowu wszystko zostawił.

Chociaż jednak Gregor nie mógł bezpośrednio niczego się dowiedzieć, podsłuchiwał czasem coś niecoś z sąsiednich pokoi i skoro tylko usłyszał głosy, zaraz biegł do odpowiednich drzwi i przyciskał się do nich całym ciałem. Z początku zwłaszcza nie było rozmowy, która by nie dotyczyła go w jakiś sposób, choćby ukryty. Przez, dwa dni przy wszystkich posiłkach słychać było narady, jak należy się teraz zachować; lecz także pomiędzy posiłkami mówiło się na ten temat, gdyż zawsze co najmniej dwoje członków rodziny było w domu, nikt bowiem nie chciał pewnie zostać w domu sam i w żadnym wypadku nie można było przecież całkiem opuścić mieszkania. Także służąca zaraz w pierwszym dniu — nie było całkiem jasne, co i ile wiedziała ona o tym, co zaszło — na kolanach prosiła matkę o natychmiastowe zwolnienie, a gdy w kwadrans później zegnała się z domem, ze łzami dziękowała za zwolnienie jak za największe okazane jej tu dobrodziejstwo i choć tego od niej nie żądano, złożyła straszliwą przysięgę, że nikomu nie piśnie ani słówka.

Teraz więc siostra razem z matką musiały także same gotować; co prawda, nie sprawiało to wiele kłopotu, gdyż nikt prawie nic nie jadł. Gregor wciąż słyszał, jak jedno na próżno namawiało drugie do jedzenia, a nigdy nie było innej odpowiedzi, jak: — dziękuję, mam już dosyć — lub coś podobnego. Nic się też pewnie nie piło. Siostra często pytała ojca, czy nie chciałby piwa, i serdecznie ofiarowywała się, że sama je przyniesie, a gdy ojciec milczał, chcąc pozbawić go wszelkich skrupułów mówiła, że mogłaby także posłać po nie dozorczynię, lecz ojciec mówił w końcu wielkie: — nie — i więcej o tym nie mówiono.

Już w ciągu pierwszego dnia ojciec przedstawił zarówno matce, jak i siostrze całą sytuację majątkową i widoki na przyszłość. Co chwila wstawał od stołu i przynosił jakiś dowód lub jakieś zapiski z małej kasy wertheimowskiej, którą przed pięciu laty uratował ze swego zrujnowanego przedsiębiorstwa. Słychać było, jak odmykał, a po wyjęciu tego, czego szukał, znowu zamykał skomplikowany zamek. Ojcowskie wyjaśnienia były po części pierwszą pocieszającą rzeczą, jaką Gregor zdołał usłyszeć od czasu swego uwięzienia. Gregor mniemał, że ojcu z owego przedsiębiorstwa nic nie pozostało, przynajmniej ojciec nigdy nie mówił inaczej, a zresztą Gregor go o to nie pytał. Miał wówczas tylko tę jedną troskę, by uczynić wszystko, ażeby rodzina jak najszybciej zapomniała o nieszczęśliwych interesach, które wszystkich ich pogrążyły w całkowicie beznadziejnej sytuacji. Z niezwykłym wprost zapałem zabrał się wówczas do pracy i prawie z dnia na dzień z drobnego subiekta stał się podróżującym agentem, który naturalnie posiadał zupełnie inne możliwości zarabiania pieniędzy, a wyniki jego pracy natychmiast — w formie prowizji — zmieniały się w gotówkę, którą można było położyć w domu na stole przed zdumioną i uszczęśliwioną rodziną. Były to piękne czasy, i nigdy potem nie powtórzyły się, przynajmniej w takiej świetności, mimo że Gregor zarabiał później tyle pieniędzy, że był w stanie pokrywać i naprawdę pokrywał wydatki całej rodziny. Po prostu przyzwyczaili się do tego, tak rodzina, jak i Gregor. Z wdzięcznością brano od niego pieniądze, on ich chętnie dostarczał, ale nie było w tym już owego szczególnego ciepła. Tylko siostra wciąż jeszcze pozostała Gregorowi bliska, a że w przeciwieństwie do niego bardzo kochała muzykę i umiała wruszająco grać na skrzypcach, planował w tajemnicy, aby w przyszłym roku posłać ją do konserwatorium, bez względu na wielkie koszty, które to musi pociągnąć i które już w inny sposób musiałoby się pokryć. Podczas krótkich pobytów Grego-

ra w mieście, w rozmowach z siostrą, często wspomniano o konserwatorium, ale zawsze tylko jak o pięknym śnie, o którego urzeczywistnieniu nie było co myśleć. Rodzice niechętnie nawet słuchali tych niewinnych wzmianek; Gregor jednak myślał o tym bardzo stanowczo i zamierzał to uroczysto oświadczyć w wilię Bożego Narodzenia.

Takie, w jego obecnym stanie całkiem bezużyteczne, myśli chodziły mu po głowie, gdy wyprostowany stał tam przyklejony do drzwi i nasłuchiwał. Czasem ogólne zmęczenie nie pozwalało mu słuchać już dłużej i nieuważnie uderzał głową o drzwi, ale natychmiast znów ją podnosił do góry, gdyż nawet ów lekki stuk, jaki to wywoływało, słychać było obok i wszyscy milkli. — Co on tam znów wyprawia — mówił ojciec po chwili, widocznie zwrócony ku drzwiom, a potem dopiero z trudem nawiązywano przerwana rozmowę.

Gregor dowiedział się więc dokładnie — gdyż ojciec zwykł się powtarzać w swych objaśnieniach, po części dlatego, że sam od dawna już nie zajmował się tymi sprawami, po części zaś, bo matka nie wszystko rozumiała za pierwszym razem — że mimo całego nie-szczęścia pozostał jednak z dawnych czasów mały majątek, który powiększyły nieco nienaruszone przez cały czas procenty. Poza tym pieniądze, które Gregor co miesiąc przynosił do domu — dla siebie zatrzymywał tylko parę guldenów — nie były w całości wydawane i zebrał się z nich niewielki kapitał. Gregor z zapałem kiwał głową za swymi drzwiami, ucieszony tą nieoczekiwaną przezornością i oszczędnością. Właściwie, to mógł być z tych nadwyżek spłacić dalszą część długu ojcowskiego u szefa, i ów dzień, w którym mógłby rozstać się ze swą posadą, bardzo by się przybliżył, lecz teraz niewątpliwie lepiej było tak, jak to urządził ojciec.

Pieniądze te jednak wcale a wcale nie wystarczały, aby rodzina mogła żyć z procentów, być może, wystarczały tylko na utrzymanie rodziny przez rok, najwyżej dwa, lecz nie dłużej. Była to więc tylko suma, z której właściwie nie powinno się czerpać i którą trzeba było odłożyć na wszelki wypadek; pieniądze na życie trzeba jednak było zarobić. Tak, lecz ojciec był wprawdzie zdrowym, ale starym człowiekiem, już od pięciu lat nie pracował i w żadnym razie nie mógł zbytnio sobie ufać, w ciągu tych pięciu lat, które były pierwszymi wakacjami w jego pełnym trudu, lecz pozbawionym sukcesów życiu, bardzo obrósł tłuszczem i stał się wskutek tego dość ociężały. A może miała teraz zarabiać cierpiąca na astmę stara matka, którą trudziło już samo chodzenie po mieszkaniu i która z powodu duszności co drugi dzień spędzała na sofie przy otwartym oknie? I czy mogła zarabiać siostra, która przy swoich siedemnastu latach była jeszcze dzieckiem, a dotychczasowy godny pozazdroszczenia jej tryb życia polegał na tym, aby ładnie się ubrać, długo spać, pomagać w gospodarstwie, mieć parę skromnych rozrywek, a przede wszystkim grać na skrzypcach? Gdy zaczynało się mówić o tej konieczności zarobkowania, Gregor zawsze odchodził od drzwi i rzucał się na stojącą obok chłodną, skórzaną sofę, bo było mu gorąco od wstydu i smutku.

Często leżał całymi nocami, nie spał ani chwili i tylko godzinami drapał skórę. Albo nie szczenił wielkiego wysiłku, żeby przysunąć krzesło do okna, a potem wspiąć się na parapet i opierając się o krzesło przywrzeć do szyby, zapewne w niejasnej myśli o odprężeniu, jakim dawniej było dla niego patrzenie przez okno. Bo w samej rzeczy z dnia na dzień widział coraz bardziej niewyraźnie nawet niezbyt oddalone przedmioty, nie dostrzegał w ogóle przeciwległego szpitala, którego zbyt częsty widok dawniej przeklinał, i gdyby nie wiedział na pewno, że mieszka przy cichej, lecz typowo miejskiej Charlottenstrasse, mógłby uwierzyć, że ze swego okna patrzy na pustynię, w której szare niebo i szara ziemia łączyły się nierozzerwalnie. Wystarczyło uważnej siostrze, że dwa razy spostrzegła krzesło stojące przy oknie, i już za każdym razem po sprzątnięciu pokoju stawiała je tam z powrotem, a nawet od tej chwili zostawiała otwarte wewnętrzne skrzydło okna.

Gdyby chociaż Gregor mógł z siostrą porozmawiać i podziękować jej za wszystko, co musi dla niego robić, łatwiej przyszłoby mu znosić jej usługi, ale że było to niemożliwe, cierpiał. Siostra próbowała wprawdzie, jak mogła, zacierać przykre strony całej sprawy, i im

więcej mijało czasu, tym lepiej jej się naturalnie udawało, lecz i Gregor z czasem przejrzał wszystko o wiele dokładniej. Już samo jej wejście było dla niego czymś okropnym. Zaledwie weszła, nie tracąc czasu na zamknięcie drzwi, choć skądinąd bardzo zważała na to, by każdemu oszczędzić widoku pokoju Gregora, śpieszyła prosto do okna, otwierała je szarpnięciem porywczych rąk, jakby się dusiła, i choćby było bardzo zimno, zostawała chwilę przy oknie, oddychając głęboko. Dwa razy dziennie wzbudzała w Gregorze przerażenie tym ruchem i hałasem; przez cały czas drżał pod kanapą, a wiedział przecież bardzo dobrze, że na pewno chętnie by mu go oszczędziła, gdyby tylko można było wytrzymać przy zamkniętym oknie w pokoju, w którym znajdował się Gregor.

Pewnego razu, a minął już chyba miesiąc od przemiany Gregora, nie było więc szczególnego powodu, by siostra na widok Gregora wpadała w osłupienie, przyszła nieco wcześniej niż zwykle i zastała go jeszcze, jak nieruchomo i jak gdyby wystawiony na postrach, patrzył przez okno. Nie byłoby dla Gregora rzeczą nieoczekiwaną, gdyby nie weszła do pokoju, gdyż będąc w tym miejscu przeszkadzał jej w natychmiastowym otwarciu okna. Ale ona nie tylko nie weszła, lecz szybko się cofnęła i zamknęła drzwi. Ktoś obcy mógłby po prostu pomyśleć, że Gregor zaczął się na nią i chciał ją ugryźć. Naturalnie, Gregor natychmiast ukrył się pod kanapą, lecz musiał czekać aż do południa, zanim siostra wróciła, a wydawała się znacznie bardziej niespokojna niż zwykle. Po tym poznał, że jego widok wciąż jeszcze był dla niej nie do zniesienia i również na przyszłość pozostanie nieznośny oraz że ona sama musiała się pewnie bardzo opanowywać, żeby nie uciec na widok nawet tej małej części jego tułowia, która sterczała spod kanapy. Aby oszczędzić jej także i tego widoku, pewnego dnia — praca ta zabrała mu cztery godziny — zaniósł na kanapę prześcieradło i ułożył je w taki sposób, że był teraz całkiem zakryty i siostra nie mogła go widzieć, nawet jeśli się schyliła. Gdyby w jej mniemaniu to prześcieradło nie było potrzebne, mogłaby je przecież usunąć, gdyż było chyba jasne, że dla Gregora nie należało do przyjemności to zupełne odseparowanie się. Ona jednak zostawiła prześcieradło, tak jak było, a Gregorowi zdawało się nawet, że pochwycił jej wdzięczne spojrzenie, gdy raz ostrożnie uniósł prześcieradło głową, by sprawdzić, jak siostra przyjęła to nowe urządzenie.

Przez pierwsze czternaście dni rodzice nie mogli się przemóc, by wejść do niego, i słyszał często, jak wyrażali pełne uznanie dla obecnej pracy siostry, podczas gdy dotychczas często się na siostrę gniewali, bo wydawała się dziewczyną, z której niewiele jest pożytku. Lecz teraz często czekali oboje, ojciec i matka, przed pokojem Gregora, gdy siostra tam sprzątała, a ledwie wyszła, musiała bardzo dokładnie opowiadać, jak w pokoju wygląda, co Gregor zjadł, jak się tym razem zachowywał i czy daje się może zauważyć mała poprawa. Matka chciała zresztą już wkrótce odwiedzić Gregora, lecz ojciec i siostra powstrzymywali ją początkowo argumentami odwołującymi się do rozsądku, których Gregor bardzo uważnie słuchał i w zupełności uznawał je za słuszne. Później jednak trzeba ją było powstrzymywać gwałtem, a gdy wołała: — Puśćcie mnie do Gregora, przecież to mój nieszczęśliwy syn! Czyż nie pojmujecie, że muszę iść do niego? — Gregor myślał, że może i dobrze by było, gdyby matka przychodziła, naturalnie nie co dzień, lecz może raz w tygodniu. Znała się przecież na wszystkim znacznie lepiej od siostry, która mimo całej swej odwagi była tylko dzieckiem i ostatecznie może tylko z dziecięcej lekkomyślności wzięła na siebie tak ciężkie zadanie.

Wkrótce spełniło się życzenie Gregora, aby zobaczyć matkę. W ciągu dnia Gregor nie chciał już ze względu na rodziców pokazywać się w oknie, lecz po kilku metrach kwadratowych podłogi nie mógł też zbyt wiele pełzać, spokojne leżenie źle znosił nawet w nocy, jedzenie nie sprawiało mu już wkrótce najmniejszej przyjemności, przyzwyczał się więc dla rozrywki pełzać we wszystkich kierunkach po ścianach i suficie. Chętnie zwłaszcza wisiał na suficie; było to coś zupełnie innego niż leżenie na podłodze; oddychało się swobodniej, tułów kołysał się z lekka, a wśród szczęśliwej niemal zabawy, jaką Gregor znajdował tam w górze, mogło się zdarzyć, iż ku własnemu zaskoczeniu odrywał się i padał plackiem na podłogę. Ale

teraz naturalnie o wiele lepiej panował już nad swym ciałem, niż dawniej i nawet przy tak poważnym upadku nie wyrządzał sobie krzywdy. Siostra natychmiast zauważyła nową zabawę, jaką Gregor sobie wynalazł — pełzając zostawiał tu i ówdzie ślady swych lepkich nóżek — i wbiła sobie w głowę, by umożliwić Gregorowi pełzanie po jak największej przestrzeni, a więc usunąć meble, które w tym przeszkadzały, przede wszystkim komodę i biurko. Sama jednak nie była w stanie tego zrobić; ojca nie miała odwagi prosić o pomoc, służąca z pewnością by jej nie pomogła, gdyż ta mniej więcej szesnastoletnia dziewczyna trwała wprawdzie na posterunku po oddaleniu dawnej kucharki, ale wyprosiła sobie zgodę na to, aby trzymać kuchnię stale zamkniętą, a otwierać ją tylko na specjalne wezwanie. Nie pozostało więc siostrze nic innego jak pewnego razu pod nieobecność ojca iść po matkę. Matka nadeszła z okrzykami radości pełnej podniecenia, lecz pod drzwiami pokoju Gregora umilkła. Siostra oczywiście sprawdziła najpierw, czy w pokoju wszystko jest w porządku; dopiero potem pozwoliła matce wejść. Gregor w największym pośpiechu bardziej jeszcze naciągnął i sfałdował prześcieradło, wszystko to wyglądało naprawdę tak, jak gdyby tylko przypadkowo rzucono prześcieradło na kanapę. Gregor zaniechał tym razem szpiegowania spod prześcieradła; wyrzekł się tymczasem ujrzenia matki, cieszył się tylko, że oto jednak przyszła.

— Chodź, nie widać go — mówiła siostra i widocznie prowadziła matkę za rękę. Gregor słyszał, jak dwie słabe kobiety ruszyły z miejsca ciężką, starą komodę i jak siostra wciąż brała na siebie największą część pracy, nie słuchając ostrzeżeń matki, która obawiała się, że córka się oberwie. Trwało to bardzo długo. Chyba już po kwadransie pracy matka powiedziała, że jednak lepiej będzie może zostawić komodę na miejscu, bo po pierwsze jest za ciężka, nie będą gotowe przed przyjściem ojca i zostawioną na środku pokoju komodą zatarasują Gregorowi wszelkie przejście, po drugie zaś nie można być wcale pewnym, czy Gregorowi spodoba się usunięcie mebli. Jej wydaje się, że przeciwnie, widok pustej ściany wprost rani jej serce, czemu więc Gregor nie miałby odnieść tego wrażenia, skoro od dawna był przecież przyzwyczajony do mebli i mógłby się czuć opuszczony w pustym pokoju.

— I czyż nie jest tak — zakończyła matka całkiem cicho, mówiła w ogóle prawie szeptem, jak gdyby nie chciała, by Gregor, o którym nie wiedziała, gdzie się dokładnie znajduje, usłyszał choćby dźwięk jej głosu, bo o tym, że słów nie rozumie, była przekonana — i czyż nie jest tak, jak gdybyśmy przez usunięcie mebli pokazali, że utraciliśmy wszelką nadzieję na polepszenie i zostawiamy go bezwzględnie samemu sobie? Myślę, że będzie najlepiej, jeśli spróbujemy utrzymać pokój dokładnie w tym stanie, w jakim był poprzednio, ażeby Gregor, gdy znów do nas powróci, znalazł wszystko bez zmian i tym łatwiej mógł zapomnieć o tym, co się tymczasem działo.

Słuchając tych słów matki, pojął Gregor, że niemożność jakiegokolwiek bezpośredniego, ludzkiego odezwania się, w połączeniu z tym jednostajnym życiem pośród rodziny, musiała w ciągu tych dwóch miesięcy zmącić jego umysł. Inaczej bowiem nie umiał sobie wytłumaczyć, że mógł poważnie pragnąć, aby opróżniono jego pokój. Czyż istotnie miał ochotę zamienić ciepły i odziedziczonymi meblami przyjemnie urządzonego pokój w norę, w której co prawda bez przeszkód mógłby pełzać na wszystkie strony, zapominając jednak równocześnie szybko i zupełnie o swej ludzkiej przeszłości? Już był przecież bliski zapomnienia i wstrząsnął nim tylko od dawna nie słyszany głos matki. Niczego nie powinno się usuwać, wszystko musi pozostać, nie mógł obejść się bez dobrego wpływu mebli na swoje samopoczucie, a jeśli meble przeszkadzały mu w bezmyślnym pełzaniu, nie było to żadną szkodą, lecz wielką korzyścią.

Niestety, siostra była jednak innego zdania, przy omawianiu spraw Gregora przyzwyczaiła się, zresztą niezupełnie bez podstaw, występować wobec rodziców jako osoba szczególnie kompetentna; toteż i teraz rada matki była dla siostry była dostatecznym powodem, by upierać się przy usunięciu nie tylko komody i biurka, o których sama myślała poprzednio, lecz wszystkich mebli, z wyjątkiem nieodzownej kanapy. Naturalnie nie tylko dziecięca prze-

kora i tak ostatnio nieoczekiwanie, a z trudem zdobyta pewność siebie skłaniały ją do tego żądania; rzeczywiście przecież obserwowała, że Gregor potrzebuje do pełzania wiele miejsca, natomiast z mebli — o ile można było spostrzec — nie korzystał zupełnie. Być może działały tu jednak także marzycielskie skłonności dziewcząt w jej wieku, szukające zaspokojenia przy każdej okazji, teraz zaś nęcące Gretę do przedstawienia sytuacji Gregora w sposób bardziej jeszcze przerażający, by potem jeszcze więcej niż dotychczas móc się o niego troszczyć. Gdyż chyba żaden człowiek oprócz Grety nie odważyłby się nigdy wejść do pomieszczenia, w którym Gregor sam jeden panował nad pustymi ścianami.

Tak więc nie dała się matce odwieść od swej decyzji. Zresztą zdawało się, że w tym pokoju matka czuje się niepewnie i nieswojo. Wkrótce umilkła i w miarę swych sił pomogła siostrze przy usunięciu komody. No, bez komody Gregor od biedy mógł się obejść, ale biurko musiało już zostać. I zaledwie panie wraz z komodą, na którą ze stękaniem napierały, opuściły pokój, Gregor wysunął głowę spod kanapy, aby zobaczyć, jak mógł ostrożnie i możliwie najogólniej wdać się w tę sprawę. Na nieszczęście właśnie matka wróciła pierwsza, podczas gdy Greta w sąsiednim pokoju obejmowała ramionami komodę i sama próbowała popychać ją w tę i w tamtą stronę, nie mogąc naturalnie poruszyć jej z miejsca. A matka nie była przyzwyczajona do widoku Gregora, mógłby przyprawić ją o chorobę, więc przerażony pomknął cofając się aż pod drugi koniec kanapy, ale nie mógł już zapobiec temu, że prześcieradło z przodu nieco się uniosło. To wystarczyło, by zwrócić uwagę matki. Zatrzymała się, przez moment stała spokojnie, a potem wróciła do Grety.

Chociaż Gregor wciąż sobie mówił, że nie dzieje się nic nadzwyczajnego, przedstawia się tylko kilka mebli, to jednak wkrótce musiał przyznać, że owo chodzenie kobiet tam i z powrotem, ich ciche nawoływanie, szuranie mebli po podłodze działa na niego jak wielki, ze wszech stron ogarniający go zamęt. I wciągając głowę, kuląc nóżki, z ciałem przyciśniętym mocno do podłogi, musiał sobie otwarcie powiedzieć, że długo tego wszystkiego nie wytrzyma. One ogołacały jego pokój; zabierały wszystko, co mu było drogie, wyniosły już komodę, w której leżała laubzega i inne narzędzia; teraz wstrząsały silnie już zarytym w podłogę biurkiem, przy którym odrabiał swoje zadania jako student akademii handlowej, gimnazjalista, ba nawet jeszcze jako uczeń szkoły powszechnej — teraz naprawdę nie miał już czasu, żeby roztrząsać dobre zamiary dwóch kobiet, o których istnieniu zresztą prawie zapomniał, gdyż wyczerpane, pracowały już w milczeniu i słyszało się tylko ciężkie tupanie ich nóg.

Wyskoczył więc wreszcie — w sąsiednim pokoju kobiety oparły się właśnie o biurko, żeby nieco odsapnąć — cztery razy zmieniał kierunek swego biegu, doprawdy nie wiedział, co najpierw powinien ratować, nagle wzrok jego padł na obraz damy przystrojony w futro, wiszący na pustej już zresztą ścianie. Szybko uzupełnił w górę i przycisnął się do szkła, które go zatrzymało chłodząc przyjemnie jego gorący brzuch. Przynajmniej tego obrazu, który Gregor całkiem zakrywał, nikt z pewnością nie zabierze. Odwrócił głowę ku drzwiom pokoju rodzinnego, by ujrzeć wracające kobiety.

Już wracały po niedługim wypoczynku; Greta objęła matkę ramieniem i prawie ją niosła.

— A więc co teraz weźmiemy? — powiedziała Greta i spojrzała naokoło. Wtedy wzrok jej skrzyżował się ze wzrokiem Gregora na ścianie. Chyba tylko dzięki obecności matki zachowała przytomność umysłu, skłoniła twarz ku matce, by powstrzymać ją od rozglądania się, i powiedziała nierozważnie, z drżeniem:

— Pozwól, może raczej wrócimy jeszcze na chwilę do naszego pokoju?

Zamiar Grety był dla Gregora jasny, chciała zaprowadzić matkę w bezpieczne miejsce, a potem spędzić go ze ściany. No, niech tylko spróbuje! Siedział na swym obrazie i nie odda go. Raczej skoczyłby Grecie na twarz.

Ale dopiero słowa Grety naprawdę zaniepokoiły matkę, odstąpiła na bok, spostrzegła ogromną, brązową plamę na kwiecistej tapecie, i zanim właściwie dotarło do jej świadomości,

że to, co ujrzała, było Gregorem, zawołała wrzaskliwym, ochrypłym głosem: — Ach, Boże, ach, Boże! — i z rozpostartymi ramionami, jakby z gestem rezygnacji, padła na kanapę i nie ruszała się.

— Ty, Gregor! — zawołała siostra z podniesioną pięścią i ostrym spojrzeniem. Od chwili przemiany były to pierwsze słowa, które skierowała bezpośrednio do niego. Pobiegła do sąsiedniego pokoju po jakąkolwiek esencję, którą mogłaby ocucić matkę z omdlenia; Gregor także chciał pomóc — na ratowanie obrazu był jeszcze czas — ale przykleił się mocno, do szkła i musiał oderwać się siłą. Pobiegł potem także do sąsiedniego pokoju, jak gdyby mógł siostrze dać jakąś radę, tak jak dawniej, lecz w końcu musiał stać za nią bezczynnie, podczas gdy ona przebierała w rozmaitych flaszeczkach i jeszcze ją przestraszył, kiedy się odwróciła. Jedna flaszka upadła na podłogę i stłukła się; odłamek zranił Gregora w twarz, oblało go jakieś żrące lekarstwo. Greta, nie zatrzymując się dłużej, porwała teraz tyle flaszeczek, ile tylko mogła utrzymać, pobiegła z nimi do matki. Nogą zatrzasnęła drzwi. Gregor był teraz odcięty od matki, która z jego winy była może bliska śmierci; nie śmiał otworzyć drzwi, nie chciał spłoszyć siostry, która musiała zostać przy matce, nie pozostało mu nic innego, jak tylko czekać. I dręczony troską oraz wyrzutami sumienia zaczął pełzać, pełzał po wszystkim, po ścianach, meblach i suficie, a wreszcie w rozpaczy, gdy cały pokój zaczął już jakby kręcić się wokół niego, upadł na środek wielkiego stołu.

Minęła krótka chwila, Gregor leżał osłabiony, wokół panowała cisza, może był to dobry znak. Wtem rozległ się dzwonek. Dziewczyna naturalnie zamknęła się w kuchni, więc Greta musiała pójść otworzyć. Przyszedł ojciec.

— Co się stało? — to były jego pierwsze słowa; zapewne wygląd Grety powiedział mu wszystko.

Greta odparła stłumionym głosem, widocznie przycisnęła twarz do piersi ojca:

— Matka zemdlą, ale teraz już jej lepiej. Gregor uciekł.

— Spodziewałem się tego — powiedział ojciec. — Zawsze wam to mówiłem, ale wy kobiety nie chciałyście słuchać.

Dla Gregora było jasne, że ojciec źle zrozumiał zbyt krótką wiadomość usłyszaną od Grety i sądził, że Gregor dopuścił się jakiegoś gwałtu. Gregor musiał dlatego spróbować teraz ojca przebłagać, gdyż na to, by mu wszystko wyjaśnić, nie miał ani czasu, ani możliwości. Uciekł więc do drzwi swego pokoju i przycisnął się do nich, aby jak tylko ojciec wejdzie z przedpokoju, mógł wrócić do siebie i że nie potrzeba go wypędzać, lecz tylko otworzyć drzwi, a zaraz zniknie.

Ale nastrój ojca nie sprzyjał zwracaniu uwagi na takie subtelności. — Ach! — zawołał zaraz przy wejściu takim tonem, jak gdyby równocześnie był wściekły i wesoły. Gregor odchylił głowę od drzwi i uniósł ją ku ojcu. Doprawdy, nie wyobrażał sobie ojca takim, jaki stał teraz tutaj; ostatnio, co prawda, wskutek nowego nawyku pełzania przestał się tak jak dawniej troszczyć o to, co dzieje się w mieszkaniu, i właściwie powinien być przygotowany na to, że zastanie tu zmienione warunki. Mimo to, mimo to, czyż to był jeszcze ojciec? Ten sam człowiek, który leżał dawniej gnuśnie zagrzebany w łóżku, gdy Gregor wybierał się w handlową podróż; który wieczorami, gdy wracał, przyjmował go w szlafroku, w fotelu; nie był nawet w stanie powstać, lecz tylko na znak radości unosił ramiona; który podczas rzadkich wspólnych przechadzek w kilka niedziel w roku i w najważniejsze święta, idąc między Gregorem i matką, którzy już sami szli powoli, posuwał się naprzód zawsze jeszcze nieco wolniej, zawinięty w swój stary płaszcz i zawsze ostrożnie stawiając laskę, a gdy chciał coś powiedzieć, prawie zawsze zatrzymywał się a towarzystwo gromadziło się wokół niego? Teraz był dumnie wyprostowany. ubrany w obcisły, niebieski uniform ze złotymi guzikami, taki jaki noszą woźni bankowi; nad wysokim sztywnym kołnierzem surduta rozlewał się jego potężny, podwójny podbródek; spod krzaczastych brwi wybiegało żywe i uważne spojrzenie; rozczochrane, niegdyś białe włosy zaczesane były starannie i skrupulatnie w błyszczącą fryzurę z przedział-

kiem. Czapkę, do której przypięty był złoty monogram, prawdopodobnie bankowy, cisnął łukiem przez cały pokój na kanapę i odrzuciwszy poły swego długiego munduru, szedł ku Gregorowi z rękami w kieszeniach i zajadłym wyrazem twarzy. Sam chyba nie wiedział, co zamierza; unosił stopy niezwykle wysoko i Gregor dziwił się ogromnie wielkości jego podszew. Nie stał jednak przy tym w miejscu, wiedział przecież już od pierwszego dnia swego nowego życia, że ojciec uważał za słuszne stosować wobec niego tylko najwyższą surowość. Tak więc biegł przed ojcem, zatrzymywał się, gdy ojciec przystawał, i znów śpieszył naprzód, gdy tylko ojciec się poruszył. W ten sposób wielokrotnie okrążyli pokój i nie zdarzyło się nic decydującego, a wskutek powolnego tempa nie wyglądało to nawet na pościg. Dlatego też Gregor trzymał się tymczasem podłogi, zwłaszcza że obawiał się, iż ojciec mógłby uznać za szczególną złośliwość ucieczkę na ściany lub sufit. Zresztą Gregor musiał sobie powiedzieć, że nawet tego biegu długo nie wytrzyma, bo podczas gdy ojciec stawiał jeden krok, on musiał wykonać niezliczoną ilość ruchów. Zaczął już odczuwać duszności, tym bardziej, że i dawniej jego płuca nie były całkiem godne zaufania. Gdy się więc tak zataczał, zbierając wszystkie siły do biegu, ledwie otwierał oczy, w swym odrętwieniu nie myślał nawet o innym sposobie ratunku niż bieg; i już prawie zapominał, że stały mu otworem ściany, tutaj zastawione zresztą troskliwie rzeźbionymi meblami pełnymi haków i kantów. I wtedy nagle przeleciało coś tuż koło niego i potoczyło się przed nim. Było to jabłko, a zaraz nadleciało drugie. Gregor zatrzymał się przerażony. Dalszy bieg był zbyt ciężki, gdyż ojciec postanowił go zbombardować. Napełnił kieszenie owocami z tacy na kredensie i rzucał teraz, nie celując na razie dokładnie, jabłko za jabłkiem. Te małe, czerwone jabłka toczyły się w kółko po podłodze jak naelektryzowane i obijały się o siebie. Jedno, słabo rzucone, musnęło grzbiet Gregora, ale ześliznęło się, nie czyniąc mu szkody. Następne, rzucone zaraz po tamtym, dosłownie wbiło się w jego tułów. Gregor chciał powlec się dalej, jak gdyby zmieniając miejsce mógł ujść przed niespodzianym, niewiarygodnym bólem; czuł się jednak jakby przygwożdżony i rozciągnął się w zupełnym pomieszeniu zmysłów. Ostatnim spojrzeniem ujrzał jeszcze, jak gwałtownie otwarły się drzwi jego pokoju i przed krzyczącą siostrą biegła matka, w koszuli, gdyż siostra rozebrała ją, by jej w omdleniu zapewnić swobodny oddech. Petem matka pobiegła do ojca gubiąc po drodze suknie, które rozwiązane jedna po drugiej ześlizgiwały się na podłogę, potykając się o nie, matka dopadła ojca, objęła go kurczowo — wzrok Gregora odmawiał mu już jednak posłuszeństwa — i ściskając dłońmi głowę ojca błagała go o darowanie Gregorowi życia.

### III

Jabłko, którego nikt nie odważył się usunąć, tkwiło w ciele Gregora jako widoczna pamiętka, i zdawało się, że ciężka rana, z powodu której Gregor chorował ponad miesiąc, przypominała nawet ojcu, że mimo swej obecnej smutnej i obrzydliwej postaci Gregor jest jednak członkiem rodziny i nie należy traktować go jak wroga, lecz przeciwnie, obowiązek rodzinny nakazuje przemóc wstręt i mieć dla niego cierpliwość, już tylko cierpliwość.

Toteż choć teraz Gregor z powodu rany stracił prawdopodobnie na zawsze ruchliwość i na samo przejście pokoju potrzebował długich, długich minut, jak stary inwalida — o pełzaniu w górze nie było nawet co myśleć — w zamian za to pogorszenie się swego stanu otrzymał zupełnie w jego mniemaniu wystarczającą nagrodę. Polegała ona na tym, że zawsze pod wieczór zostawiano otwarte drzwi od pokoju rodzinnego, drzwi, które on już na godzinę lub dwie godziny przedtem zwykł był z napięciem obserwować, tak że leżąc w ciemnościach własnego pokoju i z pokoju rodzinnego niewidoczny, mógł patrzeć na całą rodzinę siedzącą przy oświetlonym stole i niejako za ogólnym zezwoleniem, a więc zupełnie inaczej niż da-



wniej, przysłuchiwać się rozmowom.

Zapewne, nie były to już ożywione gawędy z dawnych czasów, o których Gregor zawsze z tęsknotą myślał w małych pokojach hotelowych, gdy znużony musiał się rzucać na wilgotną pościel. Teraz mówiło się przeważnie tylko bardzo cicho. Ojciec wkrótce po kolacji zasypiał w swoim krześle; matka i siostra upominały się nawzajem o ciszę, matka, siedząc nachylona ku światłu, szyła delikatną bieliznę dla magazynu mód; siostra, która przyjęła posadę ekspedientki, uczyła się wieczorem stenografii i francuskiego, aby może kiedyś później móc objąć lepsze stanowisko. Niekiedy ojciec się budził i jakby wcale nie wiedział o tym, że zasnął, mówił do matki: — Jak długo znowu dzisiaj szyjesz — i natychmiast zasypiał z powrotem, podczas gdy matka i siostra wymieniały zmęczony uśmiech.

Nawet w domu wzbraniał się ojciec z dziwnym uporem zdejmować swój służbowy uniform, i podczas gdy szlafrok bezużytecznie wisiał na wieszaku, ojciec drzemał na swym miejscu całkowicie ubrany, jak gdyby zawsze gotów do służby i jakby nawet tutaj czekał na głos zwierzchnika. Wskutek tego uniform, już na początku nienowy, pomimo całej troskliwości matki i siostry nie grzeszył czystością, i Gregor często całymi wieczorami patrzył na owo wyplamione, lecz błyszczące zawsze wyczyszczonymi złotymi guzikami ubranie, w którym stary człowiek spał bardzo niewygodnie, a jednak spokojnie.

Skoro tylko zegar wybił dziesiątą, matka cichymi słowy próbowała obudzić ojca i nakłonić go, aby poszedł do łóżka, gdyż tutaj nie mógł się przecież dobrze wyspać, a sen był mu bardzo potrzebny, bo już o szóstej musiał rozpoczynać służbę. Lecz ojciec z uporem, który opanował go od czasu, gdy został woźnym, nastawał zawsze, żeby jeszcze dłużej pozostać przy stole, mimo że regularnie zasypiał i potem tylko z największym trudem dawał się nakłonić do zmiany krzesła na łóżko, choć matka i siostra nalegały nań wówczas delikatnie upominając, on całymi kwadransami powoli potrząsał głową, nie otwierał oczu i nie wstawał. Matka szarpała go za rękaw i mówiła mu do ucha pochlebstwa, siostra zostawiała swoje zadanie, by pomóc matce, ale na ojca to nie działało. Zapadał tylko jeszcze głębiej w krzesło. Dopiero gdy kobiety brały go pod ramiona, otwierał oczy, patrzył kolejno na matkę i na siostrę i zwykle mówił:

— To jest życie. To są spokojne dni mojej starości.

I wsparty na obydwu kobietach, podnosił się z trudnością, jak gdyby sam dla siebie był największym ciężarem, pozwalał im odprowadzić się do drzwi, tam oddał je skinieniem i dalej szedł już o własnych siłach, podczas gdy matka najspieszniej odrzucała przybory do szycia, a siostra pióro, aby pobiec za ojcem i dalej służyć mu pomocą.

Któż w tej zapracowanej i przemęczonej rodzinie miał czas, aby troszczyć się o Gregora więcej, niż to bezwzględnie było konieczne? Gospodarstwo domowe ograniczano coraz bardziej, oddalono przecież teraz służącą; rano i wieczorem przychodziła ogromna, koścista posługaczka z białymi, rozczochranymi włosami, aby wykonać najcięższą robotę; wszystko inne załatwiała matka przy mnóstwie swych krawieckich prac. Doszło nawet do tego, że rozmaite ozdoby rodzinne, które dawniej matka i siostra nosiły z wielką radością z okazji zabaw i uroczystości, zostały sprzedane, jak o tym Gregor dowiedział się wieczorem przy wspólnym omawianiu uzyskanych cen. Najwięcej jednak zawsze się skarżono, że nie można opuścić tego mieszkania, o wiele za obszernego na obecne warunki, gdyż trudno było obmyślić sposób przesiedlenia Gregora. Gregor pojmował jednak, że to nie tylko względ na niego utrudniał przeprowadzkę. Jego można było przecież łatwo przetransportować w odpowiedniej skrzyni i z kilkoma otworami dla dopływu powietrza. Tym, co przede wszystkim powstrzymywało rodzinę od zmiany mieszkania, była raczej zupełna rozpaczliwość sytuacji i myśl o tym, że spotkało ich takie nieszczęście, jakie nie dotknęło nikogo w kręgu krewnych i znajomych. Wypełnili do ostatka wszystko, czego świat żąda od ludzi biednych: ojciec przynosił śniadania drobnym urzędnikom w banku, matka naprawiała bieliznę obcych ludzi, siostra na rozkazy klientów tam i z powrotem biegała za ladą; ale na nic więcej nie starczyło już rodzinie sił. I

rana na grzbiecie zaczynała Gregora boleć od nowa, gdy matka i siostra, odprowadziwszy ojca do łóżka, wracały teraz, nie podejmowały roboty, siadały bliźniutko siebie, policzek, przy policzku, a matka, pokazując na pokój Gregora, mówiła; — Zamknij te drzwi, Greto — i teraz Gregor znowu pogrążył się w ciemności, a tuż obok kobiety mieszały swe łyzy lub nie płacząc nawet wpatrywały się milcząc w stół.

Noce i dni spędzał Gregor prawie zupełnie bez snu. Niekiedy myślał, że przy następnym otwarciu drzwi znów, całkiem tak jak dawniej, ujmie sprawy rodziny w swoje ręce; w myślach jego pojawiali się znów po długim czasie szef i prokurent, pomocnicy handlowi i praktykanci, mało pojętny służący, dwaj czy trzej przyjaciele z innych firm, pokojówka z hotelu na prowincji, miłe, ulotne wspomnienie, kasjerka ze składu kapeluszy, o której względy starał się poważnie, ale zbyt powoli — wszyscy oni zjawiali się, zmieszani z obcymi lub już zapomnianymi, ale zamiast pomóc jemu i jego rodzinie, byli wszyscy nieprzystępni i cieszył się, kiedy znikali. Potem jednak odchodziła go nagle ochota, aby troszczyć się o rodzinę, przepełniała go tylko wściekłość z powodu złej pielęgnacji, i chociaż nie mógł sobie wyobrazić niczego, na co miałby apetyt, robił przecież plany, jakby tu się udać do spiżarni i choćby nawet nie czuł głodu, zabrać stamtąd to, co mimo wszystko mu się należało. Teraz siostra, nie myśląc już wiele o tym, czym mogłaby sprawić Gregorowi szczególną przyjemność, w największym pośpiechu, zanim rano i w południe pobiegła do sklepu, wsuwała nogą do pokoju Gregora jakiegokolwiek jedzenie, aby wieczorem, nie zważając na to, czy zostało tylko skosztowane, czy — w najczęstszym przypadku — zupełnie nietknięte, wymieść je jednym zamachem miotły. Sprzątania pokoju, którym teraz zajmowała się tylko wieczorem, nie można już było załatwiać szybciej. Wzdłuż ścian ciągnęły się smugi brudu, tu i ówdzie leżały kupki kurzu i śmieci. Z początku Gregor z chwilą przyjścia siostry stawał w specjalnie odznaczającym się brudem kącie, aby tą pozycją uczynić jej niejako wymówkę. Ale mógłby tam chyba stać tygodniami, a siostra by się nie poprawiła; widziała ona brud równie dobrze jak on, ale zdecydowała właśnie, że go pozostawi. Przy tym zaś z całą, nową u niej drażliwością, której nabyła w ogóle zresztą cała rodzina, czuwała nad tym, aby sprzątanie pokoju Gregora pozostało jej sprawą. Pewnego razu matka podjęła się wielkiego sprzątania w pokoju Gregora, musiała zużyć na to parę kubłów wody — wiele wilgoci sprawiło zresztą także przykrość Gregorowi i rozparł się na kanapie rozgoryczony i nieruchomy — ale kara nie ominęła za to matki. Bo skoro tylko siostra zauważyła wieczorem zmianę w pokoju Gregora, natychmiast, zraniona do żywego, pobiegła do rodzinnego pokoju i tam, mimo że matka uniosła błagalnie ręce, wybuchnęła spazmatycznym płaczem, czemu rodzice — ojciec został naturalnie wypłoszony ze swego krzesła — przypatrywali się z początku zdumieni i bezradni. Potem i oni zaczęli się kłócić; ojciec z jednej strony robił wymówki matce, że nie zostawiła siostrze pokoju Gregora do oczyszczenia, z drugiej strony krzyczał na siostrę, że już nigdy nie będzie jej wolno go sprzątać. Podczas gdy nie posiadającego się ze zdenerwowania ojca matka próbowała zaciągnąć do sypialni, a siostra, wstrząsana łkaniem, bębniła swymi małymi piąstkami o stół, Gregor głośno syczał z wściekłości o to, że nikomu nie przyszło na myśl zamknąć drzwi, aby oszczędzić mu tego widoku i hałasu.

Ale nawet jeśli siostrze, wyczerpanej pracą zawodową, uprzykrzyło się troszczyć o Gregora tak jak dawniej, to przecież matka nie musiała jej zastępować, a mimo to Gregor mógł nie być zaniedbywany. Była bowiem teraz posługaczka. Ta stara wdowa, która dzięki swym silnym kościom potrafiła wytrzymać najgorsze w ciągu długiego życia, nie czuła właściwie do Gregora wstrętu. Bez żadnej ciekawości otworzyła kiedyś przypadkowo drzwi do pokoju Gregora i natknęła się na niego. Ogromnie przerażony, choć nikt go nie gonił, Gregor zaczął biegać tam i z powrotem, a ona stała zdumiona, z rękami założonymi na brzuchu. Od tego czasu nigdy nie omieszkała rano i wieczorem uchylić przelotnie drzwi i zajrzeć do Gregora. Z początku przywoływała go także do siebie słowami, które prawdopodobnie uważała za przyjazne:

— Chodź no tu, stary żuku! — albo: — Patrzcie no na starego żuka!

Na takie zaczepki Gregor nic nie odpowiadał, lecz trwał na swoim miejscu nieporuszony, jak gdyby w ogóle nikt nie otwierał drzwi. Gdybyż zamiast pozwalać na to, aby posługaczka przeszkadzała mu stosownie do swych kaprysów, wydano jej rozkaz, żeby codziennie sprzątnęła pokój! Pewnego razu, wczesnym rankiem — o szyby uderzał gwałtowny deszcz, może już znak nadchodzącej wiosny — Gregor, gdy posługaczka znów zaczęła swoje mówki, był tak rozdrażniony, że obrócił się ku niej, z wolna zresztą i cherlawo, lecz jakby do ataku. Ale posługaczka, zamiast się przestraszyć, podniosła tylko wysoko w górę krzesło znajdujące się w pobliżu drzwi i gdy stała tam z szeroko otwartymi ustami, wyraźny był jej zamiar zamknięcia ust dopiero wtedy gdy trzymane przez nią krzesło spadnie na grzbiet Gregora.

— A co, dalej już nie możesz? — spytała, gdy Gregor znów się odwrócił, i spokojnie postawiła krzesło z powrotem w kącie.

Gregor nic już prawie teraz nie jadł. Tylko, jeśli przypadkowo zbliżył się do przygotowanego jedzenia, brał dla zabawy jeden kęs w usta, trzymał go godzinami, a potem najczęściej wypluwał. Początkowo myślał, że to smutek, spowodowany wyglądem pokoju, powstrzymuje go od jedzenia; ale właśnie ze zmianami, które zaszły w pokoju, pogodził się bardzo szybko. Przyzwyczajono się wstawiać do tego pokoju rzeczy, których nie było gdzie umieścić, a rzeczy tych było teraz wiele, gdyż jeden pokój w mieszkaniu wynajęto trzem panom. Ci poważni panowie — wszyscy trzej mieli brody, jak Gregor ustalił raz, patrząc przez szparę w drzwiach — skrupulatnie zważali na porządek, nie tylko w ich pokoju, ale, skoro już się tutaj sprowadzili, w całym gospodarstwie, a specjalnie w kuchni. Nie znosili rzeczy nieużytecznych ani tym bardziej brudnych. Ponadto przywieźli ze sobą większość swoich własnych sprzętów. Z tego powodu stało się zbędnych wiele rzeczy, które wprawdzie nie nadawały się do sprzedania, ale których nie chciano także wyrzucić. Wszystkie one powędrowały do pokoju Gregora. Nawet skrzynie na popiół i na odpadki z kuchni. Co tylko w danym momencie było niepotrzebne, posługaczka, zawsze bardzo pośpiesznie, wrzucała po prostu do pokoju Gregora; Gregor widział najczęściej tylko odnośny przedmiot i rękę, która go trzymała. Zapewne posługaczka miała zamiar w wolnym czasie i przy okazji znów wynieść te rzeczy albo wszystkie wyprzątnąć za jednym razem, lecz w istocie zostały one tam, gdzie znalazły się, z chwilą gdy zostały rzucone, chyba że Gregor przeczołgał się, przez tę graciarnię i poruszył ją. Robił to najpierw zmuszony koniecznością, gdyż nie miał już wcale miejsca do pełzania, potem jednak z coraz większą przyjemnością, chociaż po takich wędrówkach, śmiertelnie znużony i smutny, znowu całymi godzinami leżał bez ruchu.

Ponieważ sublokatorzy jadali czasem kolację w domu, we wspólnym pokoju rodzinnym, drzwi od tego pokoju w niektóre wieczory pozostawały zamknięte. Gregor zniósł to jednak zupełnie łatwo, przecież już wielu wieczorów, podczas których były one otwarte, nie wykorzystywał, tylko leżał w najciemniejszym kącie swego pokoju, a rodzina nawet tego nie spostrzegła. Raz jednak posługaczka zostawiła drzwi do pokoju rodzinnego nieco uchylone, pozostały tak uchylone i wówczas, gdy wieczorem nadeszli sublokatorzy i zapalono światło. Usiedli przy stole na miejscach, na których dawniej siadali ojciec, matka i Gregor, rozłożyli serwetki i ujęli w ręce noże i widelce. Natychmiast w drzwiach pojawiła się matka z półmiskiem mięsa, a tuż za nią siostra z półmiskiem, na którym piętrzyły się kartofle. Jedzenie silnie parowało. Sublokatorzy schylili się nad postawionymi półmiskami, jak gdyby przed jedzeniem chcieli je sprawdzić, i rzeczywiście ten, który siedział pośrodku i wydawał się autorytetem dla dwóch pozostałych, odkroił kawałek mięsa jeszcze na półmisku, widocznie po to, aby ustalić, czy jest dość kruche i czy nie należy czasem odesłać go do kuchni. Był zadowolony, a matka i siostra, patrząc na to w napięciu, odetchnęły i uśmiechnęły się.

Sama rodzina jadła w kuchni. Mimo to ojciec, zanim poszedł do kuchni, wszedł do pokoju i ukloniwszy się jeden jedyny raz, z czapką w ręku obszedł stół naokoło. Sublokatorzy podnieśli się z miejsc i mruknęli coś w brody. Potem, gdy zostali sami, jedli w pełnym

prawie milczeniu. Dziwnym wydało się Gregorowi, że z wszystkich różnorodnych odgłosów wydawanych przy jedzeniu słyszał tylko wciąż zgrzytanie ich zębów, jak gdyby trzeba mu było pokazać, że po to, aby jeść, trzeba mieć zęby i że nawet najpiękniejszymi, lecz bezzębnymi szczękami nic się nie działo.

— Nie brak mi przecież apetytu — powiedział sobie Gregor, pełen troski — ale nie na te rzeczy. Oto ci panowie sobie jedzą, a ja ginę!

Właśnie tego wieczora rozległ się w kuchni dźwięk skrzypiec. Gregor nie przypominał sobie, czy słyszał go przez cały ubiegły czas. Sublokatorzy skończyli już wieczerzę, siedzący w środku wyciągnął gazetę, dwóm pozostałym dał po jednym arkuszu i teraz, rozparci, czytali i palili. Gdy skrzypce zaczęły grać, zwrócili na to uwagę, powstali i na palcach podeszli ku drzwiom od przedpokoju, przy których stanęli stłoczeni. Musiano ich usłyszeć z kuchni, gdyż ojciec zawołał:

— Czy ta gra sprawia może panom przykrość? Można ją natychmiast przerwać!

— Przeciwnie — powiedział ów, co przedtem siedział w środku. — Może panienska zechce przyjść do nas i zagrać tutaj w pokoju, gdzie jest przecież znacznie wygodniej i przyjemniej?

— Ależ proszę — zawołał ojciec, jak gdyby to on był skrzypkiem.

Panowie wrócili do pokoju i czekali. Wkrótce przyszedł ojciec z pulpitem do nut, matka z nutami i siostra ze skrzypcami. Siostra spokojnie przygotowała wszystko do gry; rodzice, którzy nigdy przedtem nie odnajmowali pokoju i dlatego przesadzali w uprzejmości wobec sublokatorów, nie odważyli się nawet usiąść na swych własnych krzesłach; ojciec oparł się o drzwi, prawą rękę wsunął między dwa guziki zapiętego munduru, ale matka usiadła na krzesło, zaofiarowanym jej przez jednego z panów, w kącie na uboczu, gdzie je ów pan przypadkowo postawił.

Siostra zaczęła grać. Ojciec i matka, każde ze swego miejsca, uważnie obserwowali ruchy jej rąk. Gregor, pociągnięty grą, odważył się posunąć nieco dalej i głowę trzymał już w pokoju rodzinnym. Trochę się dziwił, że ostatnio tak mało zważał na innych — dawniej owe względy dla innych były jego dumą. W dodatku właśnie teraz miałby więcej powodów, by się ukrywać, gdyż wskutek kurzu, który pokrywał cały jego pokój i unosił się przy najmniejszym poruszeniu, cały był nim pokryty; na grzbiecie i po bokach niósł ze sobą nitki, włosy, resztki jedzenia; jego obojętność na wszystko była zbyt wielka, aby się położyć na grzbiecie i — tak jak dawniej czynił to wielokrotnie w ciągu dnia — oczyścić się o dywan. A mimo to nie wahał się posunąć nieco naprzód po nieskazitelnej podłodze pokoju rodzinnego.

Nikt zresztą nie zwrócił na niego uwagi. Rodzina była całkowicie pochłonięta grą; natomiast panowie, którzy początkowo z rękami w kieszeniach od spodni ustawili się o wiele za blisko za pulpitem, jak gdyby wszyscy musieli zaglądać w nuty, co z pewnością siostrze przeszkadzało, wkrótce, rozmawiając półgłosem z opuszczonymi głowami, cofnęli się pod okno, gdzie też pozostali, troskliwie obserwowani przez ojca. Sprawiało to teraz aż nadto wyraźne wrażenie, jakby rozczarowali się sądząc, że posłuchają pięknej lub zabawnej gry, jakby mieli już dość całego przedstawienia i tylko z uprzejmości pozwalali jeszcze zakłócać sobie spokój. Zwłaszcza sposób, w jaki wszyscy wydmuchiwali w górę nosem i ustami dym z cygar, wskazywał na ich wielką nerwowość. A przecież siostra grała tak pięknie. Twarz przechyliła na bok, a wzrok jej badawczo i smutnie przebiegał linijki nut. Gregor dopełznął jeszcze kawałek naprzód, a głowę trzymał tuż przy podłodze, aby o ile możności napotkać jej spojrzenie. Czy był zwierzęciem, skoro muzyka tak go pociągała? Było mu tak, jak gdyby ukazała mu się droga do upragnionego, nieznanego pożywienia. Zdecydowany był dopełznąć aż do siostry, pociągnąć ją za sukienkę i dać jej w ten sposób do zrozumienia, że mogłaby przecież przyjść ze swymi skrzypcami do jego pokoju, gdyż nikt tutaj nie cenił jej gry tak bardzo, jak on pragnął ją cenić. Nie wypuściłby jej już ze swego pokoju, przynajmniej dopóty, dopóki by żył; jego okropna postać po raz pierwszy by mu się przydała; byłby równocze-

śnie przy wszystkich drzwiach swego pokoju i syczałby na napastników. Ale siostra powinna by zostać przy nim nie z musu, lecz dobrowolnie; siedziałaby tuż obok niego na kanapie, nachyliłaby ku niemu ucho, a on jakże chętnie zwierzyłby jej, że miał kiedyś mocny zamiar, aby ją posłać do konserwatorium, i gdyby tymczasem nie zdarzyło się nieszczęście, w ubiegłe Boże Narodzenie — bo przecież Boże Narodzenie już chyba minęło — powiedziałby to wszystkim, nie zwracając uwagi na żadne sprzeciwy. Po tym oświadczeniu siostra wybuchnęłaby łzami ze wzruszenia, a Gregor uniósłby się aż do jej ramion i pocałował ją w szyję, którą, odkąd chodziła do sklepu, miała odkrytą, bez wstążki i bez kołnierzyka.

— Panie Samsa! — zawołał ów środkowy pan do ojca i nie tracąc ani słowa więcej, wskazał palcem na wolno posuwającego się naprzód Gregora. Skrzypce umilkły, sublokator najpierw uśmiechnął się do przyjaciół potrząsając głową, a potem znowu spojrzął na Gregora. Ojcu zdawało się, że zamiast wypędzać Gregora, trzeba przede wszystkim uspokoić sublokatorów, choć ci bynajmniej nie byli zdenerwowani, a Gregor zdawał się bawić ich więcej niż gra na skrzypcach. Pospieszył ku nim i szeroko otwartymi ramionami próbował zmusić ich, by weszli do swego pokoju, a równocześnie własnym ciałem starał się zasłonić im Gregora. Teraz panowie istotnie nieco się rozgniewali, nie wiadomo, czy z powodu zachowania się ojca, czy dlatego że zrozumieli, iż nic o tym nie wiedząc mieli za sąsiada coś takiego jak Gregor. Żądali od ojca wyjaśnień, sami z kolei podnosili do góry ramiona, niespokojnie skubali brody i niechętnie, z wolna cofali się do swego pokoju. Tymczasem siostra przezwyciężyła odrętwienie, w które popadła po gwałtownie przerwanej grze. Przez pewien czas trzymała w bezwładnie opuszczonych rękach skrzypce i smyczek i jak gdyby jeszcze grała, wciąż patrzyła w nuty, lecz potem od razu zerwała się, położyła instrument na kolanach matki, która siedziała jeszcze na swym krześle dysząc ciężko w ataku duszności, i pobiegła do sąsiedniego pokoju, do którego ponagleni przez ojca sublokatorzy już się szybciej zbliżali. Widać było, jak pod wprawnymi rękami siostry leciały w górę, a potem porządnie układały się na łózkach kołdry i poduszki. Zanim jeszcze panowie doszli do pokoju, była gotowa ze ślaniem i wymknęła się. Ojciec wydawał się znów tak bardzo tkwić w swym uporze, że zapomniał o wszelkim respekcie, jaki był winien swym podnajemcom. Ponaglał ich tylko i ponaglał, dopóty, dopóki już w drzwiach pokoju ów środkowy pan nie tupnął grzmiąco nogą i w ten sposób ojca nie zatrzymał.

— Niniejszym oświadczam — mówił uniósłszy rękę, a wzrokiem szukał także matki i siostry — że ze względu na panujące w tym mieszkaniu i w tej rodzinie wstrętne stosunki — splunął przy tym krótko i zdecydowanie na podłogę — wypowiadam natychmiast swój pokój. Nie zapłacę też oczywiście ani grosza za poprzednie dni, podczas których tutaj mieszkałem, przeciwnie, zastanowię się jeszcze, czy nie wystąpię przeciwko państwu z jakimiś, proszę mi wierzyć, łatwymi do uzasadnienia pretensjami. — Zamilkł i spojrzął wprost przed siebie, jakby czegoś oczekiwał. Istotnie, jego dwaj przyjaciele natychmiast wpadli mu w słowo:

— My także od zaraz wypowiadamy. — Wówczas tamten chwycił za klamkę i z trzaskiem zamknął drzwi.

Macając rękami, ojciec dowlókł się i opadł na swoje krzesło; wyglądało to, jakby wyciągnął się do zwykłej wieczornej drzemki, lecz silne drżenie głowy, jak gdyby pozbawionej oparcia, wskazywało, że bynajmniej nie spał. Gregor przez cały czas leżał cicho w miejscu, w którym przyłapali go sublokatorzy. Rozczarowanie z powodu nieudania się jego planu, lecz pewnie także słabość spowodowana przez częste głodowanie uniemożliwiły mu poruszenie się. Obawiał się, i to z dziwną pewnością, że już w następnym momencie rozładuje się nad nim jakiś kataklizm. Czekał na niego. Nie przestraszyły go nawet skrzypce, które wysunęły się spod drżących palców matki, spadły jej z kolan i wydały głośny dźwięk.

— Kochani rodzice — powiedziała siostra i na wstępie uderzyła pięścią w stół. — Tak dalej być nie może. Jeśli wy tego nie pojmujecie, to ja to pojmuję. Nie chcę wobec tego potwora wymawiać imienia mojego brata i mówię tylko: musimy spróbować się go pozbyć.

Uczyniliśmy, co w ludzkiej mocy, aby go pielęgnować i znosić, myślę, że nikt nie może nam zrobić najmniejszego zarzutu.

— Ona ma po tysiąckroć słuszność — wypowiedział ojciec swój pogląd. Matka, która wciąż jeszcze nie mogła zaczerpnąć pełnego oddechu, poczęła z obłądnym wyrazem oczu głucho kaszleć w stuloną dłoń.

Siostra podbiegła do matki i podtrzymała jej czoło. Dzięki słowom siostry ojciec nabrał zdawało się lepszych myśli, usiadł prosto, bawił się swą służbową czapką wśród talerzy pozostałych na stole po kolacji sublokatorów, a od czasu do czasu spoglądał na spokojnego Gregora.

— Musimy starać się go pozbyć — mówiła siostra, teraz już wyłącznie do ojca, gdyż matka wśród swego kaszlu nic nie słyszała. — On was obydwój doprowadzi do grobu, wiem, że to się stanie. Jeśli już musi się pracować tak ciężko, jak my wszyscy, nie można jeszcze znosić w domu tej wiecznej męczarni. Ja też już tego nie wytrzymuję. — I wybuchnęła tak gwałtownym płaczem, że jej łzy trysnęły na twarz matki. Starła je machinalnie.

— Moje dziecko — rzekł ojciec ze współczuciem i z niezwykłą u niego wyrozumiałością — cóż jednak powinniśmy uczynić?

Siostra wzruszyła tylko ramionami na znak bezradności, która ogarnęła ją podczas płaczu zajmując miejsce poprzedniej pewności siebie.

— Gdyby on mógł nas zrozumieć — powiedział ojciec na pół pytająco. Siostra, płacząc, gwałtownie machnęła ręką na znak, że o tym nie ma nawet co myśleć.

— Gdyby on mógł nas zrozumieć — powtórzył ojciec i zamknął oczy, okazując w ten sposób, że podziela przekonanie siostry — wtedy, być może, można by się z nim jakoś umówić. Ale jak...

— On musi zniknąć — zawołała siostra — to jedyny sposób, ojczu. Musisz tylko pozbyć się wszelkiej myśli o tym, że to jest Gregor. Naszym nieszczęściem jest właśnie, że wierzyliśmy w to tak długo. Ale jakżeby to mógł być Gregor? Gdyby to był Gregor, od dawna by już rozumiał, że współżycie ludzi z takim stworem jest niemożliwe, i odszedłby dobrowolnie. Wtedy nie mielibyśmy brata, ale moglibyśmy żyć dalej i czcić jego pamięć. Teraz zaś najwidoczniej zagarnąć dla siebie całe mieszkanie, a nam każe nocować na ulicy. Spójrz tylko, ojczu — krzyknęła nagle — już znowu zaczyna! — I siostra, z całkowicie dla Gregora niezrozumiałym przerażeniem, opuściła nawet matkę, odepchnęła się wprost od jej krzesła, jak gdyby wołała raczej poświęcić matkę niż znaleźć się w pobliżu Gregora, i śpiesznie ukryła się za ojcem, który, poruszony jej zachowaniem, także się podniósł i wyciągnął ręce, jak gdyby w obronie siostry.

Ale Gregorowi nie przyszło nawet na myśl, żeby chcieć przestraszyć kogokolwiek, a zwłaszcza siostrę. Po prostu zaczął się odwracać, aby powędrować z powrotem do swego pokoju; wyglądało to zresztą dziwnie, ponieważ wobec niedyspozycji obrotu przychodziły mu z trudnością i musiał pomagać sobie głową, którą przy tym wiele razy unosił, to znów uderzał nią o podłogę. Zatrzymał się i obejrzał. Zdaje się, że rozumiano jego dobry zamiar; przestraszonych rodziny był tylko chwilowy. Teraz wszyscy patrzyli na niego w milczeniu i ze smutkiem. Matka leżała na swym krześle, nogi miała wyciągnięte, oczy jej zapadły się niemal z wycieńczeni. Ojciec i siostra siedzieli obok siebie; siostra zarzuciła ojcu rękę na szyję.

„Teraz już pewnie mogę się odwrócić” — pomyślał Gregor i znów zabrał się do pracy. Nie mógł stłumić sapania wywołanego wysiłkiem, musiał też od czasu do czasu wypoczywać. Nikt go zresztą nie popędzał, pozostawiono mu pełną swobodę. Gdy ukończył obrót, natychmiast zaczął wędrować z powrotem przed siebie. Dziwił się wielkiej odległości, jaka dzieliła go od jego pokoju, i zupełnie nie pojmował, jak mógł, przy swoim osłabieniu, przebyć dopiero co tę samą drogę niemal tego nie zauważając. Myśląc tylko o tym, by posuwać się jak najszybciej, nie zwracał prawie uwagi na to, że ze strony rodziny nie padło ani jedno słowo, ani jeden krzyk. Dopiero gdy był już w drzwiach, odwrócił głowę, niezupełnie zresztą, bo

czuł, że kark mu sztywnieje, ale zobaczył w każdym bądź razie, że nic się za jego plecami nie zmieniło, siostra tylko powstała z miejsca.

Ostatnie jego spojrzenie padło na matkę, która teraz całkiem już zasnęła.

Zaledwie znalazł się w swoim pokoju, drzwi zostały pośpiesznie zatrzaśnięte i zaryglowane. Gregor tak bardzo przestraszył się gwałtownego hałasu, że załamały się pod nim nóżki. To siostra tak się pośpieszyła. Stała już i tylko czekała, potem lekko podskoczyła, Gregor nie słyszał nawet kiedy, a przekręcając klucz w zamku, krzyknęła do rodziców:

— Nareszcie!

— I cóż teraz? — zapytał Gregor sam siebie i rozejrzał się w ciemności. Wkrótce odkrył, że już w ogóle nie może się poruszyć. Nie zdziwiło go to, raczej wydawało mu się nienaturalne, że aż do tej chwili potrafił się rzeczywiście poruszać na tych cienkich nóżkach. Zresztą było mu względnie dobrze. Czuł wprawdzie ból w całym ciele, ale zdawało mu się, jak gdyby były one coraz słabsze, słabsze, aż w końcu całkiem zanikały. Ledwie już czuł zgniłe jabłko tkwiące w grzbiecie i rozognione ciało wokół niego, całe pokryte miękkim kurzem. O rodzinie myślał znowu ze wzruszeniem i miłością. Jeszcze niemal bardziej niż siostra przekonany był o tym, że powinien zniknąć. Trwał wśród tych czczych i spokojnych rozważań do chwili, gdy zegar na wieży wybił trzecią nad ranem. Przeżył jeszcze pierwszy brzask świtu za oknami. Potem bezwolnie opuścił nisko głowę i ostatni, słaby oddech wypłynął z jego nozdrzy.

Gdy wczesnym rankiem przyszła posługaczka — mimo iż często proszono ją, aby tego unikała, trzasnęła w pośpiechu wszystkimi drzwiami tak silnie, że w całym mieszkaniu po jej przyjściu nie można już było spać spokojnie — gdy tedy przyszła, z początku, przy zwykłej, krótkiej wizycie u Gregora nie spostrzegła nic szczególnego. Sądziła, że on umyślnie leży tak nieruchomo i udaje obrażonego; przypisywała mu wszelki możliwy rozum. Ponieważ przypadkowo trzymała w ręce długą miotłę, próbowała od drzwi połaskotać Gregora. Gdy to nie odniosło skutku, rozgniewała się, popchnęła lekko Gregora, i dopiero kiedy ruszyła go z miejsca bez żadnego oporu, zwróciło to jej uwagę. Gdy wkrótce poznała prawdziwy stan rzeczy, zrobiła wielkie oczy, gwizdnęła pod nosem, ale nie zatrzymując się długo, z trzaskiem otworzyła drzwi od sypialni i głośno zawołała w ciemność:

— Spójrzcie tylko państwo, on zdechł! Leży sobie tutaj, na dobre zdechł!

Państwo Samsa zerwali się i usiedli w małżeńskim łóżu, starając się ochłonać ze strachu, jakiego nabawiła ich posługaczka, dopiero po chwili zrozumieli, z czym przychodzi. Potem jednak pan i pani Samsa, każde ze swojej strony, pośpiesznie wstali z łóżka; pan Samsa zarzucił kołdrę na ramiona, pani Samsa wybiegła tylko w nocnej koszuli; tak wkroczyli do pokoju Gregora. Tymczasem otworzyły się także drzwi od pokoju rodzinnego, w którym od czasu wprowadzenia się sublokatorów spała Greta; była zupełnie ubrana, jak gdyby wcale nie spała, jej blada twarz zdawała się to potwierdzać.

— Nie żyje? — spytała pani Samsa i niepewnie spojrzała na posługaczkę, choć mogła to przecież sama zbadać, a nawet przekonać się o tym bez badania.

— Chyba się nie mylę — powiedziała posługaczka i na dowód tego miotłą odepchnęła zwłoki Gregora jeszcze dość daleko na bok. Pani Samsa uczyniła ruch, jak gdyby chciała miotłę zatrzymać, ale nie zrobiła tego.

— No — powiedział pan Samsa — teraz możemy podziękować Bogu. — Przeżegnał się, a trzy panie poszły za jego przykładem. Greta, która nie odwracała oczu od zwłok powiedziała:

— Popatrzcie no, jaki był chudy. Bo też już od dawna nic nie jadł. Jak się wstawiało jedzenie, tak się je wynosiło. — Istotnie, ciało Gregora było zupełnie zwiotczone i wyschłe, widziało się to właściwie dopiero teraz, gdy nie unosił się już na nóżkach i można było bez przeszkody mu się przyjrzeć.

— Greto, choć no do nas na chwilkę — powiedziała pani Samsa, i Greta, nie przestając

ogłądać się na zwłoki, poszła za rodzicami do sypialni. Posługaczka zamknęła drzwi i szeroko otworzyła okno. Mimo wczesnego rana powietrze było już jakieś letnie. Był właśnie koniec marca.

Trzej panowie sublokatorzy wyszli ze swego pokoju i zdumieni rozejrzeli się za śniadaniem; zapomniano o nich.

— Gdzie jest śniadanie? — gderliwie zapytał posługaczki ów środkowy pan. Ale ona położyła palec na ustach, a potem szybko w milczeniu skinęła na panów, żeby przyszli do pokoju Gregora. Przyszli więc i z rękami w kieszeniach swych znoszonych nieco surducików stanęli w całkiem już teraz jasnym pokoju wokół zwłok Gregora.

Wtedy otwarły się drzwi od sypialni i pojawił się pan Samsa w swej liberii; po jednej stronie miał żonę, po drugiej córkę. Wszyscy byli trochę zapłakani; od czasu do czasu Greta przyciskała twarz do ramienia ojca.

— Panowie natychmiast opuszczają moje mieszkanie! — powiedział pan Samsa i nie puszczając od siebie kobiet wskazał na drzwi.

— Jak pan to rozumie? — zapytał nieco zaskoczony środkowy pan i słodko się uśmiechnął. Dwaj inni trzymali ręce założone do tyłu i bezustannie je zacierali, jakby w wesołym oczekiwaniu wielkiej kłótni, która musi jednak zakończyć się dla nich pomyślnie.

— Rozumiem to dokładnie tak, jak mówię — odrzekł pan Samsa i wraz ze swymi dwiema towarzyszkami postąpił ku sublokatorowi. Ten stał najpierw spokojnie i patrzył w podłogę, jak gdyby układał sobie dopiero na nowo myśli w swojej głowie. Następnie powiedział: — Wobec tego idziemy — i spojrzął na pana Samse, jakby w pokorze, która nagle nim owładnęła, prosił o zgodę nawet i na tę decyzję. Pan Samsa mrugnął mu tylko kilkakrotnie i krótko wielkimi oczami. Na to sublokator rzeczywiście poszedł natychmiast długimi krokami do przedpokoju; obydwaj jego przyjaciele już od chwili nasłuchiwali, trzymając ręce spokojnie, a teraz skoczyli wprost za nim jakby w trwodze, że pan Samsa mógłby przed nimi wkroczyć do przedpokoju i rozłączyć ich z ich wodzem. W przedpokoju wszyscy trzej zdjęli z wieszadła kapelusze, wyciągnęli laski ze stojaka, skłonili się w milczeniu i opuścili mieszkanie. Z jakimś zupełnie, jak się okazało, bezpodstawnym niedowierzaniem wyszedł pan Samsa na klatkę schodową wraz z obiema paniami; wszyscy troje, przechyleni przez poręcz, przypatrywali się, jak trzej panowie z wolna wprowadzie, lecz stale schodzili w dół po długich schodach, co piętro znikali za określonym zakrętem schodów, a po kilku chwilach zjawiali się znowu, im głębiej schodzili, tym mniej rodzina Samsy interesowała się nimi, a gdy naprzeciw nich wyszedł, a potem wysoko ponad nimi pojawił się dumnie czeladnik rzeźnicki z koszem na głowie, wtedy pan Samsa wraz z paniami puścili poręcz, i wszyscy jakby z ulgą wrócili do mieszkania.

Dzisiejszy dzień postanowili wykorzystać na wypoczynek i przechadzkę; nie tylko zaśleżyli na tę przerwę w pracy ale nawet bezwarunkowo jej potrzebowali. Usiedli zatem przy stole i napisali trzy listy z usprawiedliwieniami: pan Samsa do swojej dyrekcji, pani Samsa do swego zleceniodawcy i Greta do swego pryncypała. Podczas pisania weszła posługaczka, żeby powiedzieć, że odchodzi skończywszy swą poranną pracę. Troje piszących z początku skinęło głowami, nie patrząc, dopiero gdy posługaczka wciąż jeszcze nie chciała odejść, spojrzeli na nią gniewnie:

— No? — zapytał pan Samsa.

Posługaczka stała w drzwiach z uśmiechem, jak gdyby miała zawiadomić rodzinę o wielkim szczęściu, ale chciała to uczynić dopiero wówczas, gdy się ją dokładnie wypyta. Umieszczone na jej kapeluszu niemal pionowo małe strusie pióro, które odkąd tylko posługaczka nastąpiła, zawsze drażniło pana Samse, chwiała się lekko na wszystkie strony.

— Więc czego pani właściwie chce? — spytała pani Samsa, przed którą posługaczka miała jeszcze największy respekt.

— No — odparła posługaczka, a pełen uprzejmości uśmiech nie pozwolił jej zaraz



mówić dalej — no więc, nie potrzebujecie się państwo martwić, jak toto stąd uprzątnąć. To już załatwione.

Pani Samsa i Greta pochyliły się nad swymi listami, jak gdyby chciały dalej pisać; pan Samsa, który zauważył, że posługaczka chce teraz zacząć dokładnie wszystko opowiadać, powstrzymał ją stanowczo wyciągniętą dłonią. Skoro więc nie wolno jej było opowiedzieć, przypomniała sobie o tym, że bardzo się śpieszy, wyraźnie obrażona zawołała: — Adje wszystkim — odwróciła się z wściekłością i wyszła, straszliwie trzasnąwszy drzwiami.

— Wieczorem się ją oddali — powiedział pan Samsa, nie otrzymał jednak odpowiedzi ani od żony, ani od córki, gdyż posługaczka znów zakłóciła ich ledwie odzyskany spokój. Podniosły się, podeszły do okna i stały tam, trzymając się w objęciu. Pan Samsa odwrócił się ku nim ze swego krzesła, przez krótką chwilę obserwował w milczeniu, potem zawołał:

— Ależ chodźcie tutaj. Zostawcie już wreszcie te stare sprawy. Miejcie też trochę względów dla mnie.

Panie zaraz usłuchały, pośpieszyły do niego, ugłaskały go i szybko skończyły swoje listy.

Potem wszyscy troje wyszli razem z domu, czego nie robili już od miesięcy, i pojechali tramwajem za miasto. Wagon, w którym siedzieli sami, był cały prześwietlony ciepłym słońcem. Wygodnie oparci na swoich miejscach, omawiali widoki na przyszłość i przy dokładniejszym ich zbadaniu okazało się, że nie są one bynajmniej złe. Właściwie wcale jeszcze z sobą o tym nie mówili, lecz dla wszystkich trojga były ich posady nadzwyczaj korzystne, obiecujące wiele zwłaszcza na przyszłość. Największe i natychmiastowe polepszenie sytuacji osiągnie się oczywiście łatwo przez zmianę mieszkania; chcieli teraz wziąć mniejsze i tańsze, lecz lepiej położone i w ogóle praktyczniejsze niż obecne, które wyszukał jeszcze Gregor. Niemal równocześnie, gdy tak rozmawiali, przyszło na myśl panu i pani Samsa, patrzącym na swą coraz bardziej ożywiającą się córkę, że mimo wszelkich utrapień, które oblekły bladeścią jej policzki, rozwinęła się ona w piękną i bujną dziewczynę. Milknąc i niemal bezwiednie porozumiewając się wzrokiem, pomyśleli, że zbliża się czas, aby poszukać dla niej jakiegoś dzielnego męża. I jakby na potwierdzenie ich nowych marzeń i dobrych zamiarów, u celu drogi córka pierwsza podniosła się i przeciągnęła swoje młode ciało.

Przełożył *Juliusz Kydryński*

Bertolt Brecht

## **BESTIA**

Jak wieloznaczne może być zachowanie się człowieka, wykazało niedawno pewne zajście w atelier filmowym Mieź-Rad-Pom-Ruś; wprawdzie wydarzenie to nie miało wielkiego znaczenia i nie pociągnęło za sobą żadnych następstw, lecz mimo to samo w sobie było przerażające. W czasie kręcenia ujęć do filmu „Biały sokół”, przedstawiającego pogromy w południowej Rosji przed wojną i piętnującego postępowanie ówczesnej policji, w atelier zjawił się pewien starszy człowiek z prośbą o zatrudnienie. Przedarł się do portierni i rzekł portierowi, że pozwala sobie zwrócić uwagę obecnych na swoje szczególne podobieństwo z gubernatorem Muratowem. (Muratow był sprawcą owych krwawych rzezi; był główną postacią w wymienionym filmie).

Gość był już posunięty w latach, toteż portier choć go wyśmiał, nie wskazał mu natychmiast drzwi, a ów wysoki, suchy mężczyzna stał teraz z czapką w rękę, nieobecny w owej ci-

źbie statystów i zatrudnionych w atelier, prawdopodobnie ciągle jeszcze mając słabą nadzieję, iż przez swe podobieństwo z osławioną bestią uzyska chleb i schronienie na kilka dni.

Blisko godzinę stał tak, nieustannie usuwając się w bok, by zrobić komuś miejsce, w końcu zepchnięty został za jakiś pulpit, wówczas jednak miał zostać zauważony. Trwała właśnie przerwa w zdjęciach i aktorzy rozproszyli się w kantynach lub stali wokół, plotkując. Znany moskiewski aktor Kochalow, kreujący rolę Muratowa, udał się do portierni, by zatelefonować. Kiedy stał przy aparacie, trącił go szczerząc zęby portier; obróciwszy się, wśród głośnego śmiechu obecnych, Kochalow ujrzał mężczyznę za pulpitem. Aktor był ucharakteryzowany według historycznych fotografii, toteż wszyscy spostrzegli „łudzające podobieństwo”, o którym opowiadał portierowi człowiek zza pulpitu.

Pół godziny później starzec siedział wśród reżyserów i operatorów niby dwunastoletni Jezus w świątyni i omawiał z nimi swój angaż. Pertraktacje ułatwiała to, iż Kochalow od początku nie miał zbytnej ochoty narażać swej popularności przez odgrywanie wyjątkowego potwora. Stąd też natychmiast przystał na próby z Podobnym.

Nie należało do rzadkości, iż w Mieź-Rad-Pom-Ruś atelier role historyczne miast aktorami obsadzano amatorami podobnymi do przedstawianych postaci. Stosowano wobec nich specjalne metody reżyserskie, tak więc nowemu Muratowowi opisano po prostu wyjęty z kontekstu przebieg pewnego zdarzenia, które właśnie filmowano i poproszono go, by tytułem próby zagrał tego Muratowa właśnie tak, jak go sobie wyobraża. Oczekiwano bowiem, iż podobieństwu fizycznemu z prawdziwym Muratowem odpowiadać będzie pewne podobieństwo psychiczne.

Wybrano scenę przyjmowania przez Muratowa deputacji Żydów, która zaklina go, by położył kres dalszym mordom. (Manuskrypt strona 17: Deputacja czeka. Wejście Muratowa. Wieszka czapkę i szablę na wieszaku. Podchodzi do biurka. Przegląda poranną gazetę, itd.) Nieznacznie uszminowany, w mundurze carskiego gubernatora wszedł Podobny do atelier, którego część przedstawiała ów historyczny gabinet pałacu gubernatora i przed całym sztabem reżyserów zagrał owego Muratowa, „jak go sobie wyobrażał”. A wyobrażał go sobie w następujący sposób. (Deputacja czeka. Wejście Muratowa). Podobny wchodzi gwałtownie z rękoma w kieszeniach, sylwetka przygarbiona, przegięta do przodu. (Wieszka czapkę i szablę na wieszaku.) Widocznie Podobny zapomniał o wskazówkach reżysera. Natychmiast bowiem, nie zdejmując płaszcza, siada za biurkiem. (Przegląda poranną gazetę.) Podobny wykonuje to zupełnie machinalnie. (Rozpoczyna przesłuchanie.) W ogóle nie spojrzął na bijących pokłony Żydów. Z wahaniem odłożył gazetę, prawdopodobnie nie wie, w jaki sposób przejść do przesłuchania deputacji. Zaczyna się po prostu i zrozpaczony spogląda na grupę reżyserów.

Oni zaś wybuchnęli śmiechem. Jeden z asystentów uśmiechając się szyderczo wstał, z rękoma w kieszeniach wszedł wolno na scenę, usiadł na biurku obok Podobnego i usiłował mu pomóc.

— Teraz pora jedzenia jabłek — rzekł pocieszająco. — Muratow znany był z jedzenia jabłek. Jego działalność jako gubernatora prócz bestialskich rozporządzeń polegała w głównej mierze na spożywaniu jabłek. Przechowywał je właśnie w tej szufladzie. Widzi pan, oto jabłka. — Otwiera jedną z szuflad biurka, po lewej stronie Podobnego. — Deputacja posuwa się naprzód, a kiedy zacznie mówić pierwszy z delegatów, zacznij jeść jabłko, synu.

Podobny przysłuchiwał się młodemu człowiekowi z największą uwagą. Jabłka zdawały się wywierać na nim wrażenie.

W czasie ponownego kręcenia sceny Muratow w rzeczy samej lewą ręką wyjmuje powoli z szuflady jabłko i podczas gdy prawą kreśli na papierze jakieś litery, spożywa je, obojętnie, ruchem pozbawionym wszelkiej łapczywości. Kiedy deputacja przedkłada swe prośby, zajęty jest już rzeczywiście tylko swoim jabłkiem. Po pewnym czasie, chociaż widać niczego nie słuchał, w środku zdania jednego Żyda wykonuje niespokojny ruch prawą ręką, która jakby ucina zdanie i w ogóle załatwia sprawę.

Po pewnej chwili Podobny obrócił się pytająco w stronę reżyserów i mruknął: — Kto ich odprowadzi?

Reżyser nie poruszył się. — Tak, czy pan już skończył?

— Owszem, sądziłem, że ktoś ich odprowadzi.

Reżyser rozejrzał się wokół z ironicznym uśmiechem i powiedział:

— To nie takie proste z tymi oprawcami. Musi się pan nieco bardziej przyłożyć.

Po czym wstał i ponownie zaczął omawiać z Podobnym tę scenę.

— Tak nie zachowuje się żaden krwio pijca — mówił. — W ten sposób zachowuje się jakiś urzędniczyna. Widzi pan, niech się pan zastanowi. Trzeba to przemyśleć. Musi pan sobie wyobrazić tego potwora. Musi go pan mieć w małym palcu.

I zaczął tę scenę budować według dramatycznych reguł. Wzmocnił ją i zajął się charakteryzacją. Podobny okazał się nawet pojętny. Wykonywał wszystko według poleceń i to nieźle. Wydawało się, że był w stanie odtworzyć bestię jak każdy inny. Miał jednak widocznie mniej własnej inwencji. Po półgodzinnym opracowaniu scena wyglądała następująco:

(Wejście Muratowa). Ramiona wyprostowane, pierś do przodu, niezdarne ruchy głowy. Od drzwi już przeszył wzrokiem bijących pokłony Żydów, niczym sęp. (Wiesza czapkę i szablę na wieszaku.) Podczas wieszania spada mu płaszcz, nie podnosi go. (Podchodzi do biurka. Przegląda poranną gazetę.) Szuka pod nagłówkiem „teatry”. Wybija ręką takt jakiegoś szlagieru. (Otwiera przesłuchanie.) Jednocześnie w prostacki sposób wierzchem dłoni odprawia Żydów na odległość trzech metrów.

— Nie pojmuje pan tego. To, co pan wyprawia, nie nadaje się — orzekł reżyser. — To zwyczajny teatr. Łajdak według starej szkoły. Drogi panie, dziś co innego wyobrażamy sobie pod pojęciem bestii. To nie jest Muratow.

Pozostali asystenci powstali i zaczęli agitować Kochalowa, który się temu przyglądał. Wszyscy mówili jednocześnie. Potworzyły się grupy, omawiano istotę bestii.

Na historycznym krześle generała Muratowa, w przechylonej, wadliwej pozycji siedział zapomniany Podobny, udręczony, patrząc tępym wzrokiem przed siebie, lecz mimo wszystko nasłuchiwał. Wydawało się, iż z uwagą śledzi rozmowy. Usiłował widać opanować sytuację.

W dyskusji brali udział również statyści grający członków żydowskiej deputacji. Przez chwilę słuchano dwóch starych Żydów, mieszkańców miasta, którzy ongiś byli członkami wymienionej deputacji. Owych starców zaangażowano, by ujęcie uczynić bardziej wiernym i charakterystycznym. O dziwo, uważali oni, że pierwsza gra Podobnego nie była wcale taka zła. Nie mogli powiedzieć, jak oddziaływała ona na pozostałych, nie biorących w niej udziału, lecz na nich, właśnie to, co było najbardziej zwyczajne i biurokratyczne, sprawiało ongiś okropne wrażenie. Tę właśnie postawę oddał Podobny dość wiernie. Również sposób, w jaki w czasie pierwszego ujęcia jadł jabłko, zupełnie obojętnie, aczkolwiek w czasie ich rozmowy Muratow nie jadł jabłka. Asystent reżysera nie zgodził się z tym. — Muratow zawsze jadł jabłka — powiedział ucinając dyskusję. — Czy w ogóle byliście przy tym?

Żydzi nie chcąc, by padło na nich podejrzenie, że nie znajdowali się wówczas wśród kandydatów na śmierć, przerażeni wysunęli przypuszczenie, iż Muratow zjadał być może jabłka krótko przed lub krótko po audiencji.

W tym momencie w grupie stojącej wokół reżysera i Kochalowa powstało poruszenie. Podobny odsunawszy stojących przed nim, dotarł do szefa. Po czym z wyrazem łapczywości i pośpiechu na twarzy jął do nich przemawiać. Prawdopodobnie pojął, czego ci ludzie od niego wymagali i w obawie, że straci chleb, wpadł na pomysł i zaproponował:

— Sądzę, że wiem, co pan ma na myśli. To ma być bestia. Wie pan, to można przedstawić na przykładzie jabłek. Niech pan po prostu wyobrazi sobie, że biorę jabłko i podsuwam je pod nos Żydowi. „Żryj”, mówię. — I zwróciwszy się do aktora odgrywającego rzecznika deputacji, rzekł: — Uważaj, podczas gdy zaczynasz jeść jabłko, w tym śmiertelnym strachu ono oczywiście staje ci w gardle, lecz musisz dalej jeść, kiedy ja, gubernator, ci je daję, zresztą

zupełnie życzliwie, z mojej strony jest to wszak życzliwy gest wobec ciebie, nieprawda — i zwracając się do reżysera dokończył — i mógłbym też podpisać wyrok śmierci. A ten, który je jabłko, widzi to.

Reżyser przez moment spoglądał nań zdziwiony. Starzec stał przed nim pochylony, chudy, podekscytowany i zgaszony, wyższy o głowę, tak że mógł spoglądać ponad jego plecami, i przez chwilę reżyser sądził, że stary zamierza się z niego naigrywać, gdyż wydawało mu się, że w jego pałających oczach zauważył błyskawiczne, ledwie dostrzegalne szyderstwo, coś nad wyraz pogardliwego, niestosownego. Lecz wkrótce rozmowę podjął Kochalow.

Kochalow bowiem uważnie się wszystkiemu przysłuchiwał, a proponowana przez Podobnego scena z jabłkami pobudziła jego artystyczną wyobraźnię. Odsunąwszy Podobnego brutalnym ruchem na bok, rzekł do sztabu:

— Wyśmienicie, on to zapewne ma na myśli.

I zaczął odgrywać scenę w taki sposób, że wszystkim dech zaparło. W momencie, kiedy spocony Kochalow podpisał wyrok, całe atelier zaczęło bić brawa.

Sprowadzono lampy. Poinstruowano Żydów. Nastawiono kamery. Ujęcie się zaczęło. Kochalow grał Muratowa. Ponownie wykazał, iż samo podobieństwo z jakimś okrutnikiem o niczym naturalnie nie świadczy i że sprawą sztuki jest, oddać wyraz prawdziwego bestialstwa.

Były carski gubernator Muratow zabrał z portierni swą czapkę, uklonił się uniżenie portierowi i poszedł w październikowe zimno z powrotem do miasta, gdzie znikł w kwaterach biedoty. Tego dnia zjadł dwa jabłka i zdobył drobną sumę pieniędzy, wystarczającą na zapłacenie noclegu.

Przełożyła *Maria Szematowicz*

## Georg Britting

# BRATOBÓJSTWO NA WODACH STARORZECZA

Są to zielonoczarne bajora, nad którymi zwisają gałęzie wierzb i z brzękiem latają wazki, to znaczy trzeba to traktować jako bajora i małe stawki, a także jako duże stawki, a przecież jest to tylko woda Dunaju, oddzielona kamiennymi wałami od wielkiego zielonego nurtu, słowem — starorzecze, jak to się mówi. W wodach starorzecza są ryby, jest dużo ryb, których królem jest tołkuń — drapieżnik z zębatą, drapiącą płetwą grzbietową, ze złymi oczami, żarłocznym pyskiem, mieniący się zielonkawoczną barwą jak woda, w której poluje. A jak gorąco tu latem! Wierzby pochłaniają wiatr wiejący od nurtu rzeki. Z mułu zaś podnosi się odór zgnilizny, błota i śmierci. Nie można znaleźć lepszego miejsca do zabawy dla chłopaków od tego drzemiącego w zieleni terenu. Tu właśnie zdarzyło się to, co teraz opowiem.

Trzej chłopacy Hofbergera — jedenastoletni, dwunastoletni i trzynastoletni — byli wtedy, w sierpniu, codziennie na gorących wałach kamiennych, wysiadali pod wierzbami, bawili się w Indian w chaszczach i splotach korzeni, zrywali jeżyny, błyszczące czarną wilgocią i chronione kolcami, kryli się w trzcinie wyrosłej w długie pałki, cięli sobie witki z wierzbiny, brali się za łby, zadali też raz najmłodszemu, jedenastoletniemu, głęboką ranę, tak że jego twarz była usmarowana czerwono jak maska ludożercy, rzucili się jak jelenie z krzykiem przez zarośla i rowy do płynącego szerokim korytem Dunaju, umyli okrwawioną głowę, a kiedy przykryli ranę włosami, znów byli w najlepszej zgodzie. Rodzice, oczywiście, nie powinni dowiedzieć się nic o takich figlach, toteż wśród śmiechów wszyscy trzej umówili się jak zawsze: „W domu nic o tym nie powiemy!”

Łachy starorzecza ciągną się kilometrami wzdłuż Dunaju. Pewnego razu w czasie wło-

częgi trzech chłopcy dotarli daleko w zielone odludzie, dalej niż kiedykolwiek, aż do stawu większego od wszystkich widzianych, o czarnym zwierciadle wody. U brzegu znajdowała się łódź rybacka, uwiązana na łańcuchu. Pal, do którego przymocowany był łańcuch, wyrwali z mulistego gruntu, wrzucili łańcuch i pal do łodzi, wsiedli do niej, a ponieważ przy łodzi było wiosło, wyjechali na środek stawu.

Byli teraz piratami, śnili i wymyślali dzikie plany. Słońce świeciło na niezakryte głowy, łódź stała bez ruchu, nie poruszała się też trzcina na przeciwległym brzegu, w gęstym powietrzu fruwały z cichym brzękiem kolniszki — małe krwiopijce, ale zahartowani chłopcy nie czuli ich ukłuć.

Trzynastoletni chłopiec zaczął bujać lekko łódź. Zaraz dwaj inni przyłączyli się do kołysania — do góry i w dół, tak że przez staw przebiegały wodne kręgi, fale z pluskiem uderzały o brzeg, sitowie poruszało się i chwiało. Chłopcy rozkołysali łódź tak silnie, że krawędź jej pochylała się aż do lustra wody, a wprowadzona w ruch woda wpadała z chlupotem do łodzi. Najmłodszy chłopiec, ten jedenastoletni, postawił stopę na krawędzi łodzi i z okrzykami radości brał udział w huśtaniu.

Wtem najstarszy dał znak dwunastoletniemu, żeby wystraszyć małego, więc nagle obaj rzucili się na tę stronę łodzi, po której stał mały. Łódź przechyliła się mocno, najmłodszy wpadł do wody i zaczął krzyczeć, poszedł pod wodę, uderzał z dołu w łódź, nie krzyczał już i nie stukał, i nie wydostał się już spod łodzi, nie wydostał się spod łodzi, już nigdy.

Obaj bracia siedzieli bez słowa i bladzi jak kreda na ławkach wioślarskich w prażącym słońcu, jakaś ryba plusnęła, wyskoczywszy z wody. Na wodzie przestały tworzyć się kręgi, sitowie znów znieruchomiało, kolniszki brzęczały złośliwie i kłuły. Bracia wrócili łodzią do brzegu, wbili pal z łańcuchem z powrotem w nadbrzeżny muł, wysiedli, pobiegli długim wałem kamiennym, pobiegli do miasta, nie mieli odwagi spojrzeć na siebie, biegli jeden za drugim, nie zważając na gałęzie wierzb, które smagały po twarzach, na kolce krzewów jeżynowych, które kaleczyły, potykali się o węzowate korzenie drzew, biegli, biegli i biegli.

Łachy starorzecza zostały w tyle, zbliżył się zielony Dunaj, szeroki i zażywny, z szumem podpływał ku miastu, ujrzeni pierwsze domy, ujrzeni katedrę, ujrzeni dach domu rodzinnego. Zatrzymali się, zlani potem, drżąc ze zmieszania — chłopcy, mordercy, a potem starszy powiedział jak zawsze po jakimś figlu:

— W domu nic o tym nie powiemy!

Drugi skinął głową, zagłuszony dziką nadzieją, i poszli, zdecydowani na wieczne milczenie, w stronę drzwi domowych, które wchłonęły ich w swój czarny otwór.

Przełożył *Henryk Paweł Anders*

## Georg Britting **POJEDYNEK KONI**

Oba konie, oba ogiery, rude jak lisy, z iskrami w wielkich ślepiach, ach, jakżeż one chlastały ogonami, niczym gorejącymi główkami, w roje komarów, otaczające je na kształt bzykającej chmury! W rozmachu ogony smagały im prawie piersi, a potem wracały chwiejnym łukiem i odstawały sztywno od zadów tak, że siedzącego na koźle wozu po prostu laskotały w nos. Drzewa uciekały, a ziemia rozprostowywała się, usiana dachami i błyskającymi stawami, które wyglądały jak rozrzucone po łąkach srebrne talary.

Od dwóch lat oba ogiery chodziły w zaprzęgu i skoro tylko uszu ich doszło wołanie pana, podrzucały łby do góry i pomykały chyżo naprzód, jak gdyby chciały, niczym w wyścigu, wyprzedzić jeden drugiego; tkwił jednak pomiędzy nimi stale dyszel, więc ze swawoli traçały się figlarnie mokrymi pyskami i tętniąc kopytami pędziły szosą.

W stajni kopyta ich postukiwały sennie o dyle podłogi. Gdy tylko zatrzeszczały drzwi i

wdarł się wiew powietrza, już podnosiły ostro uszy, podrażnione płomyki, zwracały ku sobie łby, wpatrzone w siebie wielkimi, obłąkanymi ślepiami. Oko lśniło krągłością i blaskiem, biegnącym w głąb jak szklany szyb, bez końca, i rozniecającym w najdalszej głębinie czerwone iskrzenie, z którego wytryskała iskierka, z oka do oka. Następnie podrywały się jednocześnie na wszystkie cztery nogi i odskoczywszy od siebie, przyciskały się mocno do drewnianej ściany, wystraszone, z jakimś szataństwem przepływającym przez wszystkie naczynia krwionośne.

Posiedziciel majątności miał w stajni jeszcze ponad dziesięć koni, szkapy robocze z kudłatymi kosmykami przy grubych pęcinach, oprócz tego wierzchowce, przyjemne stworzenia o niespokojnych ruchach, pełną jednak miłością obdarzał oba rude ogiery. Przepelniała go największa rozkosz, gdy czuł je w cuglach, a ponieważ się zestarzał, nie wskakiwał już tak często i tak chętnie na siodło jak dawniej, lecz raczej zajmował miejsce na wysokim siedzeniu wozu i pędził płomienistą drogą w rozżarzoną ciemność letniego wieczoru. Często też zatrzymywał się w stajni przy zwierzętach, których drzemające łby kołysały się jak wahadła zegarów, napędzane wszakże nie oliwą, lecz krwią.

Gdy kucharka zabiera się do skrobania wielkiej ryby nożem, jakżeż wtedy fruwać wokół łuski, jak leżą i błyszczą rozsypane na desce, srebrzyste, jedne na drugich. Tak samo przed panem von M., właścicielem majątności, leżała rozłożona teczka, leżała jak martwa ryba, z rozplatanym brzuchem, a białe kartki były rozrzucone po stole jak łuski teczki-ryby. Były tam sztychy Dürera, proste, pełne artyzmu i potężne, były ilustracje według drzeworytów mistrzów wielkiego średniowiecza niemieckiego i były odbitki wszystkich prac Hansa Baldunga zwanego Grienem, który, uczepiony pięściami, pazurami i paznokciami noża, rozszarpywał, rozmiądział nim drewno płyty jak gwałciciel mordujący ofiarę w ciemnym gąszczu leśnym. Jaskrawe światło stojącej na stole lampy zalewało białe czworokąty, na których w obramieniu czterech czarnych linii wykrzywiały się najokropniejsze potworności. Drżąc cały, pan von M. oglądał drzeworyt za drzeworytem i podawał je przyjaciółom, którzy siedzieli pochyleni wokół stołu i dziwili się temu drzeworytnikowi o usposobieniu perwersyjnego mordercy.

Hałas stukających kopyt łomotał w głowie parobka, który jednak spał dalej, śniąc tylko o jakimś dudnieniu. Wtem jak igła ukłuło go krótkie, wysokie, przenikliwe rzenie. Poderwał się szybko i zapalił światło. Pilnował stajni, czy więc miał zajrzeć do koni? Chorobliwie blade ciało świętego Sebastiana, który w postaci malowanej figurki z drewna stał w nogach ponad jego łóżkiem, naszpikowane było strzałami, a u każdej strzały wisiał, wesoło powiewając, niebieski, czerwony lub żółty proporczyk. Teraz dopiero parobek obudził się na dobre, dużym palcem nogi przysunął ku sobie trzewiki i poszedł. Gdy zamknął drzwi, chorągiewki u strzał świętego wionęły radośnie i okrutnie w górę.

Na drzeworycie Hansa Baldunga zwanego Grienem, który pan von M. trzymał właśnie w ręku, szalało rozpętane stado koni, olbrzymich rumaków i klaczy, o okrągłych, kulistych oczach ludzkich, jakby wyciętych z kamienia, i jędrnych udach, na których uwydatnione mięśnie wiły się jak węże. Ciała nie były z mięsa, z drgającego mięsa końskiego, te ciała były z białego kruszcu. Pyski nie były pyskami końskimi, były to twarze ludzkie, gęby demonów, a sztywne ogony były zgięte tak, jak zagina się strumień wody, z trudem spadający ze studziennej rury. Długie cielska, pochłonięte igraszkami i walką, kłębiły się kurczowo niczym rozkręcone i postrzępione końce grubego powrozu.

A w stajni działo się, co następuje: Oba ogiery, bawiąc się, ocierały wzajemnie o siebie rozgrzane nozdrza. Machając w zabawie niedbale ogonem, ogier, który miał w okolicy ucha okrągłą czarniawą łatę, zaczął, węsząc i drażniąc, przesuwając drugim nosem wzdłuż szyi w górę i w dół, w górę i w dół, wciąż w górę i w dół. Mimochodem odsłonił przy tym zęby i uchwycił swawolnie kawałek jędrnej skóry drugiego. Ten mimo woli uniósł łeb, odepchnął pierwszego tak, że kawałek skóry, który tamten trzymał pieszczotliwie w zębach, prawie mu

się wymknął. Usiłując przytrzymać to, co mu się wymykało, właściwie prawie już wymknęło, przygryzł skórę nieco mocniej. Tylko trochę mocniej, ale tak, że tego drugiego zabolalo. Ten więc pochwycił ogiera z łatką za grzbiet. Ugryzienie było głębokie, tak głębokie, że skóra pękła i ząb zagłębił się w ciało.

Wtedy rozpoczął się pojedynek ogierów. W oku tego z łatką rozbłysły gdzieś aż z głębin skry. Wysunął naprzód wargi ułożone w kształt lejka, obnażając oba półkola długich zębów, i z wściekłością zatopił je w ciało drugiego konia, ugryzł, pociągnął i oderwał pasemko skóry, które ociekając krwią zwisało i zadyndało na długość ręki. Ugryziony ogier wydał wówczas z siebie ów wysoki, przenikliwy dźwięk, który zbudził parobka. Już zęby ugryzionego tkwiły w grzbiecie konia z łatką i już zwisał z tamtego pas długości ramienia, czerwony pas skóry długi jak ramię, plaskający o ścianę brzucha. Ze ślepiami nabiegłymi krwią, z głowami na kształt masek nienawiści oba konie zatrzymały się na chwilę równą uderzeniu serca. Następnie znówu rozpoczęły krwawe dzieło, wydając z gardzieli nieprzerwany charkot.

Gdy ogier z łatką poczuł w ciele ząb przyjaciela, było mu tak jak studentowi, którego ktoś uderzył w twarz, jak dziewczynie, którą pozbawiono niewinności. I czy to znieważona dziewczyna uzyska satysfakcję za pomocą sztyletu lub łez, albo jednego i drugiego, czy też wstydlivość jakiegoś prymitywnego narodu zostanie naruszona wyuzdanym i zaciekawionym palcem sąsiada z drugiej strony dyszla (dyszlel jest tutaj linią graniczną), a dziesięć tysięcy mężów niebieskich z tej strony i dziesięć tysięcy mężów czerwonych z tamtej strony ruszy, by obdzierać się wzajemnie ze skóry — oba konie, oba rude ogiery, ten z łatką i ten bez łatki uległy temu samemu prawu co student, co dziewczyna, co wyprowadzony z równowagi naród.

Parobek otworzył gwałtownie drzwi, jakiś dziki wyziew buchnął na niego, a w niepełnym świetle lampy zwisającej z powały ujrzał straszny widok. Uniósł ramiona, ale zdołał wybełkotać tylko „Jezus, Maria!” i uciekł, zostawiając drzwi otwarte. Dobiegł przez podwórze do dworku pana, a gdy się jeszcze raz odwrócił, zobaczył czworokąt drzwi stojących oblanym czerwonym blaskiem, w wykroju ich zaś czarną przewalającą się kotłowaniną. Po dachu płaśało żółte światło księżyca, a parę kałuż wody mieniło się ciemnym aksamitem.

Znalazłszy się w pokoju, zawołał tylko: „Ogiery!”, tak że pan von M. położył drzeworyt Hansa Baldunga zwanego Grienem, dał znak przyjaciołom, że mają pozostać, i poszedł za parobkiem.

Pod nogami obu koni nagromadziły się kałuże krwi. One same zachowywały się niczym zaczarowane i nie walczyły już jak wojownicy, których przepelnia gniew i wściekłość, lecz działały tak, jak gdyby wypełniały obowiązek i wypełniały go dobrze, do ostateczności. Ogier z łatką na głowie zatrzymał się, poczuł chrupot ugryzienia, wyczuł strzępiące szarpnięcie, które oderwało mu od żeber okrwawione pasmo skóry. Potem dopadł on, ten z łatką, i zdarł z drugiego ogiera pas, jak gdyby korę z drzewa. Następnie przyszła znów na tego drugiego kolej cierpliwego wytrzymania katuszy, tak że wreszcie długie strzępy skóry zwisały z odsłoniętych żeber obu koni.

Gdy pan von M. wszedł do stajni, dramat, który rozegrał się na kształt ceremonii odbytej w oparach krwi przez stąpających ciężko bogów, dobiegł końca. Ogiery stały jeszcze, z uginającymi się kolanami, obroczone krwią. Jakby konie biorące udział w turnieju, przykryte kapami i czaprakami, tak otulał je płaszcz świecący posoką, a zwisające pasy osłaniały nogi.

Weterynarz, oczywiście, nie mógł tu już nic pomóc, toteż trzeba było pojedynek zastrzelić.

Przyjaciele pojechali po nocy do domu. Na rozstaju cztery drogi wybiegały w cztery strony świata, wozy toczyły się, każdy swoją bladą wstęgą, wśród blasku wschodzącego, żółtego jak ser księżyca.

Gdy jeden z powracających, sam prowadzący pojazd, zaczynał odczuwać przygnębienie wywołane upiornie bladą samotnością i z radością dojrzał już wylaniającą się zza pagórka

spiczastą wieżę kościelną swojej wioski, nagle usłyszał za sobą — tak mu się wydawało — jakiś odgłos. Odwrócił się na koźle: szły za nim klusem dwa szkielety końskie o ludzkich twarzach i diabelskich ogonach, a pomiędzy ich gołymi żebrami świeciło się czerwone serce, błyszczały niebieskie płuca i kołysał śmierzący kłęb trzewi.

Nazajutrz oba poszarpane trupy końskie leżały jeszcze w stajni, a pan von M., który próbował uśmiechać się i podśmiewać z kodeksu honorowego rudych ogierów, byłby się o mały włos pośliznął i upadł w obrzydliwą juchę. Wyszedł przeto czym prędzej na dwór.

Przełożył *Henryk Paweł Anders*

## Eugen Gottlob Winkler W ORANŻERII

Była jesień. Postanowiłem pójść do oranżerii, czego nigdy nie robię w lecie.

W tym celu trzeba przejść przez cichy zawsze i opuszczony park, leżący zbyt daleko, by stał się dla zapracowanych mieszkańców miasta miejscem codziennych spacerów, zbyt blisko zaś, by być celem wycieczek. Stąd odwiedzali go tylko nieliczni, zdolni jeszcze odczuwać wewnętrznie rytm życia: starcy, zakochani i artyści, którzy nie zwykli liczyć się z czasem. Kochają ciszę i dlatego lubią też nieco pedantyczną wytworność starego parku, pełną szacunku powściągliwość, z jaką otacza swych wielbicieli cudami przyrody oraz życzliwą wyrozumiałość dla wszystkich zajętych sobą dusz, posuwającą się aż do wyboru roślin.

Spacerują samotnie po zawile — dla nich jednak i tak zbyt prosto — biegnących drózkach, stawiając powolne kroki na czerwonym piasku spowitym ciągle aurą niedzielnej czystości. Przechadzają się majestatycznie pośród ciemnych, puszystych zarośli wypielęgnowanych tak starannie, jakby parkowi stróże, brodaci weterani wojny prusko-francuskiej ściągnęli z nich właśnie przed chwilą ochronny, bawełniany pokrowiec. Spacerują obok elegijnie nastrojających, wyglądających, jakby miały zaraz zwiędnąć buków, obok wierzb płaczących, wiotkich i wzruszających jak te stojące nad nagrobkami ze starych miedziorytów, obok błękitnoczarnych, smętnie pochylonych świerków, aż w końcu park, zrzucając z siebie subtelną otoczkę melancholii wychodzi w pole, jakby chciał pokazać teraz swym miłośnikom kawałek twardszego życia. Czyściutkie jak nowe zabawki krowy, pasące się latem na skraju rozkładanych dzień w dzień na nowo trawiastych dywanów sprawiają jednak, że i wieś nabiera charakteru anielskiej sielanki.

W takim to właśnie otoczeniu leży oranżeria, granicząca z letnim mauretańskim pałacem.

Pałacyk zbudowano kiedyś na rozkaz króla, który życzył sobie, aby w krajobrazie rządzonej przez niego Wirtembergii powstała scenografia dla któregoś z jego ulotnych snów. Budowle rozpościerają się wśród wzgórz, dwa kompleksy mieszkalne, jeden na wzniesieniu, drugi w dole: z pedantyczną dokładnością nachodzące na siebie sześciany z pomalowanego w czerwone i ochrowożółte prążki piaskowca, opatrzone nielicznymi, wąskimi oknami, zdobnymi w kamienne filigrany. Hale spacerowe, przedłużające i łączące z boku obie fasady tworzą długi, wznoszący się w górę prostokąt, którego mury strzegą czarownych powabów perskiego ogrodu. Okrągły stawek otoczony jest różanym żywopłotem, równiutko przyciętymi krzewami i palmami chronionymi zimą w zielonych kubłach. Między strumyczkami spadającego ze wzniesienia wodotrysku wiodą pod górę szerokie, wygodne schody, których stopnie prowadzą na wąskie tarasy, wypełnione po brzegi nieposkromioną czerwienią geranii.

Na górze, ciągle jeszcze w atmosferze orientalnego przepychu, wzrok zajęty do tej pory jedynie drzewami gingo, magnolią i napisem z arabskimi zawijasami może wreszcie prze-



nieść się nad murami w wolną przestrzeń. Srebrna wstęga i łagodne zakole — rzeka. A za doliną Neckaru rytmiczny ciąg wzgórz, połyskująca z daleka, nasycona winem, czerwona ziemia, zieleniąca się rzędami winorośli.

Ale teraz późna pora roku pozbawiła wieczne zbocza wszelkich zabezpieczeń. Na jesiennym niebie ich kontury wydają się zabawnie lekko zarysowane. Odcinają się od niego tylko barwą, przejrzystym, wpadającym w fiolet brązem, przez który wrona przedrze się z równą łatwością jak przez blade błękit nieba. Niezniszczalna zdawałoby się latem forma wzgórz staje się niewiarygodnie płaska, rozplywając się w delikatnych tonach jak na japońskim obrazku. Sklepienie zaś jest jak gładka, prosta ściana. Jesienią nie sposób ocenić pod nim odległości, bo przedmioty zatracają w chłodnym, przejrzystym powietrzu swe przestrzenne relacje: to, co odległe, wydaje się bliższe, duże spotyka się z małym, jak na płaszczyźnie obrazu pozbawionego trzeciego wymiaru, nierzadko tuż obok siebie lub oddzielone zaledwie na grubość palca.

Znany krajobraz wydaje mi się obcy i zmieniony, jakby miał za chwilę zniknąć. Oko nie znajduje w nim spoczynku, ponieważ odkrywam ciągle nowe, wprowadzające mnie w zakłopotanie cechy, które wkradają się na jego oblicze. I tak z delikatnie zarysowanego, bezlistnego lasu wyłania się nagle dom, którego nigdy przedtem nie widziałem, nierzeczywisty, jakby był jedynie wyobrażeniem domu, dziwny dom, zbudowany na pierwszy rzut oka wcale nie z kamienia, niezamieszkały, niedostępny dla wędrowca szukającego schronienia i w ogóle niepewnie wkomponowany w płaszczyznę jesiennego obrazu.

Czy rzeczywiście stoi wśród pajęczyny nagich drzew? Mógłby wznosić się przecież równie dobrze na stoku wzgórza, które — skrywając jedną ze swych krawędzi — opada obok niego łagodnie w dół.

Spogląda tu, nierzeczywisty uduchowiony stwór, jakby składał się tylko z jednej ściany, z tej, którą pokazuje: mała, biała plama w obrazie jesiennego niepewności.

Nie mniej złudne są też i bliższe obiekty. Drzewa wypierają się swej zieleni. Lecz czym są bez liścianego ciała zamykającego w sobie przestrzeń? Niczym więcej jak myślami, ulotnym, bliżej nieokreślonym wyobrażeniem drzew, naszkicowanymi arabeskami pnia i gałęzi, które płaskie i czarne zarysowują się na ciemnym tle obrabowanym z przestrzeni.

Spoglądam bliski zawrotu głowy na park. W dole trwa jednak uporczywie pośród jesiennego rozkładu nierozpuszczalna jak krystaliczny twór, obramowana ostrymi krawędziami dróżka wiodąca po oranżerii. Jaśniej niż cokolwiek innego połyskuje w matowym świetle październikowego dnia szklany dach cieplarni, jakby iluminował od środka własną jasnością. Niezdolny stawić czoła ulegającej rozkładowi rzeczywistości, speszony złudnością jesiennego świata podążam szybkim krokiem w stronę szklarni w nadziei, że uwolnię się tam otoczony nienaruszonymi zgnilizną przedmiotami od nieznośnego uczucia bezsilności.

Zapłaciwszy przy bramie za bilet przeszedłem z uczuciem radosnego oczekiwania przez ogrzany przedsionek, by znaleźć się w końcu zupełnie sam przed wąskim, ciągnącym się w nieskończoność pomieszczeniem wypełnionym najpiękniejszą ciemną zielenią. Nieprzeniknione, cisnące się na siebie ze wszystkich stron zarośla przesłaniają widok. Ścieżka, którą posuwam się do przodu, wijąca się misternymi meandrami wśród krzewów, ucieka się do podstępu, by przedłużyć mój pobyt pośród przynoszącej ulgę zieleni. Zanim bowiem przekaze ją drugiej ścieżce, wiodącej do następnego pomieszczenia, zatacza łuk wokół wypełnionej złotymi rybkami sadzawki, w której z cichym pluskiem rozbija się strumień wody. Nie mogę się od niej wyzwolić. Meandry dróżki zniewoliły mnie do wędrówki ich biegiem. Bezwolnie zapuszczam się w zielony przestwór, którego tak bardzo pragnąłem na dworze ziejącym jesienną pustką. Ożywcza zieleń uspokaja mnie, sama zaś myśl, iż jest coś, co potrafi oprzeć się jesieni, wprowadza mnie w taki zachwyty, że udaję się tą samą drogą w drugą stronę. Stopy poruszają się bez wysiłku po żółtym, drobnym jak pyłek kwiatowy piasku. Poznawszy już rytm zakrętów, zamykam oczy i daję się wieść nogom, by zakosztować zapachu rodzącej

ziemi.

Mieszana zapachów liści i kwiecica, zanikający zapach letniej wody i ziemi zroszonej strugami deszczu: rozchodząca się we mnie woń kamelii, wypełniająca umysł jakby pod działaniem pobudzającej cieczy.

Zaczyna pracować pamięć. Zmęczony, osłabiony jesienną rzeczywistością umysł budzi się z letargu, lecz nie po to, by określać się w tej rzeczywistości. Zapachy są dla niego jedynie okazją, pierwszym ogniwem w łańcuchu luźnych, nieuporządkowanych skojarzeń, które stanowią jednak podstawę, by mógł — produkując ciągle nowe — odwoływać się za ich pomocą do przeszłości.

Tam odnajduję na nowo poranki i ciepłą wilgotność minionej wiosny, obraz jeziora oraz nagle wspomnienie zapomnianej już dawno godziny, w której nie zdarzyło się nic ponad to, że słońce uszczęśliwione przez starzejący się rok dłuższym obiegiem przeczekowało, aż przejdzie deszcz i przebiło się raz jeszcze przez chmury, by pozwolić wilgotnym owalom liści w ogrodzie, na który oboje spoglądaliśmy z góry, schwytać zamierające, choć migoczące jeszcze i połyskujące w nieskończoność światło. Otwieram oczy. Przede mną kłębią się wypełnione zielenią kontury o wyraźnym, uchwytnym wnętrzu: chłodna, mięsista substancja. Złamany liść zdradza w miejscu skaleczenia niewypowiedziane jasną zieleń, która wytryskuje na krawędziach w formie cieczy, tak że można ją — zdawałoby się — dotknąć palcem i skosztować koniuszkiem języka. Lecz czyż są to dowody na istnienie przyłapanego na ucieczce umysłu?

Więcej! Gdziekolwiek jaśnieją już w listopadzie zupełnie rozkwitnięte kamelie. A na wszystkich krzewach pełno jest pąków, najczęściej pękniętych już i wybuchających od środka barwami: czerwien i biel tryskające z wysuszonej torebki. Nie zważając na zakaz, biorę do ręki delikatną skórkę kwiecica i nagłym ruchem rozgniatam ją między dwoma palcami w nadziei, iż brunatna skaza na niezmaconej czystości zwyciężonej przez barwy materii da mi odczuć, że stawia opór: coś realnego, co kryje się pod pretekstem koloru, coś, co w namacalny sposób reaguje na bodźce z zewnątrz.

Na próżno! Kolor jest silniejszy niżby się mogło wydawać: ulotna, nienaruszalna czerwień pozbawia rzeczywistości moje otoczenie, stawiając nad nim znak zapytania.

Zwrócone ku południowi zbocza, muskane tyłoma pełnymi zachwyty spojrzzeniami! Rozzieleniona niecka wypełniona powietrzem i wodami podłużnego jeziora! A w połowie stoku: poczucie bezpieczeństwa w osłoniętym ogrodzie domu! Niewyraźny obraz pierwszej towarzyszki!

Wspomnienie wysysa z otaczającej mnie rzeczywistości życiodajny eliksir, którego potrzebuje, by napoić nim na podobieństwo przeszłości wysuszone z pragnienia chimery: zieleń, woń, światło. Skostniałe, dawno już nie odczuwane obrazy ożywają się nagle na nowo, wyraźne i bliskie otaczają mnie, zaczynają się poruszać, wciągając mnie w swe zbudzone zniemacka ze snu istnienie. Mam wrażenie, że znów zdany jestem na życie pośród pamiętek przeszłości, lecz te zdają się być nowe i rzeczywiste zarazem, uciążliwe i męczące nawet w najszcześniejszej konstelacji, wzbogacone o bolesną świadomość straconych okazji i popełnionych błędów.

Nieważny staje się tym samym porządek, określający świadomość w rzeczywistości aktualnego miejsca i czasu. Zastępują je realia przeszłości, realia nieobecnych już miejsc, które obciążają znużonego ducha dobitnością stającej się nie do zniesienia teraźniejszości.

A on cierpi, myśli o kolejnej ucieczce. Tylko dokąd?

Daje sygnał nogom, jakby można oczekiwać od nich zbawiennej ulgi, żeby posuwając się śpiesznie naprzód zmieniły przykre otoczenie. I tak biegnę jak opętany po zastawionej przez wspomnienie starymi kulisami scenie, odgrywając po raz n-ty wbrew własnej woli ową wiecznie tragiczną sztukę. I znów ten jakże znany nieszczęsny finał, z którym muszę się jakoś pogodzić, choć już dawno wymyśliłem lepsze zakończenie. Chcę stąd jak najszybciej wyjść,

droga kończy się nagle. Ostatni krzew kamelii jest pobielony. Z trzaskiem zamykają się za mną szklane drzwi. Gdzie jestem?

Przyjemny pot zrasza mi czoło.

Łagodnie owiewa mnie ciepło tropiku, w którym wyczuwa się zapach egzaltowanej ziemi. Kłębiąca się tu wszędzie zieleń jest obca i niebezpieczna, niknie w oddali w żarłocznym półmroku.

Zmysły wibrują jak oszalałe. W uszach dudni pulsująca krew. Nawet język uczestniczy w doznawaniu nieokiełznanej obcości, odczuwając smak nieznannej, słodkawej goryczy.

Czy da się jeszcze uratować zmęczoną świadomość? Nawet i sen byłby tu ucieczką, a może i niebezpieczeństwem. Dlaczegoż nie miałbym więc przyznać się do słabości i znieść cierpliwie panowanie zmysłów? Nic nie można by mi przecież zarzucić! Czyż umysł nie opuścił mnie samowolnie? Pozostało jedynie z n u ż e n i e, matka śmierci, i tak zmysły obejmują władzę nad pozostawionym bez opieki duchem, czemu ja nie mogę w żaden sposób zapobiec.

Materia zdaje się myśleć, myśl zaś przybiera znienacka barwę i cielesne kształty.

Zmysł wzroku pławi się w swawolnej zabawie zamieniania, oczarowany jakimś zjawiskiem używa mu ze szczerzego serca władzy nad bezpieczną myślą lub też nie zważając na umysł, produkujący jakąś nieokreśloną jeszcze myśl, wyciska na niej piętno przedmiotowości.

A ja, uwolniony od ciężaru, nie próbuję wcale sprzeciwić się wybrykom, jakich dopuszczają się zmysły wobec umysłu i materii. Radośnie oddaję się obserwacji tej przemiany, przyglądam się przedmiotom nie rozróżniając między tym, co one przedstawiają, a co uczyniły z nich moje oczy. Roślina myśli, ja tymczasem obserwuję z uwagą to, co za mnie wydułała.

Czymże byłaby orchidea bez wilgoci i tłuszczu żyznej ziemi, warstwiającej się na zbutwiałym konarze. Ale i obumarłe gałęzie — przepelniona zagadkowymi zmysłami stęchła wiklanina grubego drewna — musiały przyczynić się do tego, że z ich stopniowego rozkładu kwiat pobiera teraz pokarm.

Cieniutkie, różowe żyłki, niepowtarzalna plecionka igiełek na pięciu jakże różnych od siebie kwiatkach.

Ornament na pięciu bladoliliowych płatkach, gwieździcie odchylających się z drobiazgowo wydoliberowaną lubieżnością wokół kielicha.

Zwieszony ku dołowi jedynie ciężarem swego przeznaczenia ciemnofioletowy kielich z kędziorami na krawędziach, rozchylających z westchnieniem wargi, by zdradzić ciemny, usiany białymi i czerwonymi cętkami oranż zarodni.

Wśród matowozielonych, nieprzeniknionych liści na łodydze nie ma ani jednego, którego wybujałe, geometrycznie dokładne kształty nie byłyby owocem nieokiełznanej płodności gleby.

Cienki, rozczapierzony po kurczowym utrzymywaniu się w powietrzu, z trudem jedynie zachowując zamierzoną grację, stale pod groźbą niemożliwych do stłumienia konwulsji, które ostrym zgięciem zniweczyć mogą łagodny kontur, liść, miotając się do przodu, to znów do tyłu staje w końcu dęba, tworząc w ekstazie wymyślną figurę. Ileż przestrzeni zagrabiają owe rozpychające się na wszystkie strony rośliny! Toporne, ale szczerze w swej zbitej masie zwieszają się w dół gałęzie oblepione gęsto liśćmi. Na powierzchni są matowe i nieprzeniknione jakby w obawie przed nieskończonością przestrzeni. Powietrze zdaje się przylegać do nich jak skóra.

Te pasożytnicze roślinne twory, mimo że ich cienkie łodygi wcinają się w przestrzeń niewielką tylko ilością liści, wybuchając na końcach rozrzutnością kwieciami, wdzierają się ostrym konturem w powietrze, rezerwując dla swego użytku nieskończoną objętość przestrzeni. Pomiedzy rosnącymi w dużych odstępach roślinami liściastymi rozpanoszył się zupełnie inny świat niż ten poza ich obrębem. Jest to królestwo skrywającej się w gąszczu listowia orchidei, dzikiej i obcej, wydzielającej najsilniejszą woń, przed którą przestrzeń powietrzna

ustępuje w popłochu dalej niż sięgają granice roślinnego świata.

CATTLEYA — czytam nazwę na drewnianej tabliczce, oczarowany tym, czego doznał mój wzrok i powonienie, zbyt zmęczony, by wyjaśnić sens tego słowa. W ucho wpada samowolnie pusty dźwięk, bez najmniejszego oporu poddaje mu się zdolność oceny i odróżniania wrażeń.

CATTLEYA — jej dziwaczna postać jawi mi się jako dwuznaczny twór. Raz jako forma najwyższego rozkładu, tchnienie, cień widoczny tylko przez moment, gdy odporne substancje zakrzepną na chwilę, by dokonać aktu pozornego zjednoczenia; to znów jako obraz najwyższej czystości, namacalnej zdawałoby się na widok nieskażonej materii, z której składa się kwiecie.

CATTLEYA — barwa, miąższ, zapach tego imienia, którego słodycz zionie rozkładem ciała. Nie jest to nazbyt okropne, lecz raczej zwodnicze wrażenie, poddaję mu się łagodnie, z przyzwalającą biernością, podobnie jak czynię to, gdy nadchodzi czas niewiarygodnej wprost płodności, czas przyrody w otoczce harmonijnego współbrzmienia, który przemija, tętniąc żarliwą muzyką.

Nawoływanie i wysłuchiwanie tego obcego imienia, wzmocnione postacią i zapachem rośliny, przenosi mój umysł w swawolny stan snu. Ociężały ze słabości, zawiedziony i cierpiący pod ciśnieniem przytłaczającego swą wyrazistością świata zanurza się z ulgą w tajemniczym królestwie złudy. Wszystko jest tu umowne. Zjawiska, barwy, zapachy zmieniają charakter jak rękawiczki, zanim zdążą utkwić w pamięci. Nazwy roślin dają ku temu bez przerwy okazję: *Nidularium striatum* — *Vanda Klimballiana* — *Caraguata cardinalis*. Rozdwajają się niby miecze, rozszczepiają na koła, gwiazdy i mistyczne znaki, pną się w górę dziwnymi, usypanymi kwieciami łodygami jak wybuch potężnej rozkoszy, bądź też zwisają cienkie i bezradne, nie mogąc utrzymać się w żarłocznym powietrzu. Baldaszki, dygocące kłosa i pojedyncze szlachetne rośliny mieszają swe zapachy, tworząc wir odurzającej woni... zapomnienie! Ulga, jaką przynosi, jest wystarczającą rekompensatą za niebezpieczeństwa, na które mnie wystawia. Przed zniszczeniem i tak nie ma ucieczki, może mnie przecież wszędzie dopaść, lecz nie ma już tej siły i nawet gdyby mnie dosięgło, nie byłoby tak straszne. Śmierć jest niczym więcej jak tylko zamknięciem powiek, nie jest przeciwieństwem, lecz raczej składnikiem tego płodzącego bezustannie w szklanych ścianach świata. Przychodzi mi do głowy zwodnicza myśl, podpowiadająca uparcie, że zapomnienie i zniszczenie, wykluczając się nawzajem żyją jak brat i siostra — w zadziwiającej harmonii. Widzę je wszędzie, jak zalotnie daje mi znaki. Jeden kwiat więdnie, a obok niego zakwita już drugi. Nie wiem, w jaki sposób znalazłem się nagle w innym pomieszczeniu, stopniowo dochodzę do siebie, usiłując rozeznać się w nowym otoczeniu. Podnoszę z wysiłkiem wzrok i dostrzegam, że kwadraty szyb zaszyły na krawędziach parą, jakby chciały ukryć jakąś nieznośną prawdę. Jedynie dzięki małym owalom pośrodku szyb, wolnym od pary istnieje jakiś kontakt ze światem na zewnątrz: mroczne cienie, fragmenty przedmiotów... trudne do zdefiniowania plamy.

Na środku stoi sięgający mi bioder, okrągły basen, wieńczący ośmiokątne pomieszczenie, które chciałoby być rzecz jasna kołem. Prócz niego nie ma tu nic, na czym mógłby spocząć wzrok, przyciągany przezeń magiczną siłą.

Idąc szybko wokół basenu, odkrywam dziwne owoce rosnące na pnączach, które wiją się po ścianach. Jeden z nich — bezkształtna, pozbawiona skorupy bryła mięsistoczerwonej, klejącej się mocno do palców substancji — usiany jest ogromną ilością twardych jak stal ziarenek. Inny tropikalny owoc, podłużny jak ogórek, odrywa się przy każdym najdelikatniejszym nawet dotknięciu od łodygi, rozpryskując na wszystkie strony swą śluzowatą zawartość. Ale to tylko ulotne wrażenia spoza magicznego kręgu sadzawki. Wzrok postrzegając je, spoczywa zarazem nieustannie w centralnym punkcie basenu, gdzie w absolutnej samotności zasiada na tronie królowa dalekich, martwych wód między zwrotnikami raka i koziorożca: *Viktoria regia*, której kwiat otoczony jest okrągłymi, gładkimi na powierzchni liśćmi wielko-

ści blatu małego stolika, z podwiniętym brzegiem i wystającymi na zewnątrz kolcami. Liście dotykają swymi spodami lustra wody z taką odrazą i ostrożnością, jakby ich siłą rzeczy zbratane z sobą powierzchnie popadły wskutek późniejszych wypadków we wzajemną wrogość.

Rozglądam się, zamieniam się właściwie cały we wzrok, ponieważ w odurzającej duchocie pomieszczenia zatraciłem stopniowo pozostałe zmysły. Na posterunku utrzymuje się jeszcze tylko wzrok, choć i on ograniczył przecież swój zasięg do niezwykle małego zakresu. Nie postrzega nic poza kwiatem na środku basenu — centrum tego wrażliwego, sztucznego kosmosu. Ale za to z jaką ostrością! Malutkie pole widzenia, w którym mieści się tylko ów kwiat, penetrowane jest z tak niezwykle dokładnością, że bacznej uwadze oka nie ujdzie najdrobniejsza nawet zmiana. Wzrok dokonuje projekcji swych spostrzeżeń na oświetlony jaskrawym światłem ekran duszy, gdzie wszystko ulega powiększeniu do niesamowitych rozmiarów.

Patrzę i stopniowo zatracam poczucie rzeczywistości, podczas gdy kwiat dokonuje cudu rozkwitania. Widzę, jak ciasno przywierające do siebie czubki rozbijają ciemną torebkę pąka. Jego biel przypomina jeszcze z początku jutrzenkę owianą na brzegach efemerycznym różem, niknącym stopniowo wraz z konwulsjami towarzyszącymi odchyłaniu się kolejnych płatków od rdzenia kwiecia. Światłu, spojrzeniu i owadom objawia się teraz migotliwa biel wierzchniej strony płatków: biel tak gęsta, jakby zgromadziły się w niej wszystkie odcienie kolorów, jakby zebrała w sobie całą gamę nieprzeniknionych półtonów — a jednocześnie tak nierzeczywista, jak gdyby była spadkobierczynią wszystkich możliwych barw, biel tak doskonała, iż zdają się drzeć w niej jak zakłute tajemnice śmierci i narodzin, tworząc splątane z sobą w uścisku jedno wspólne misterium.

Płatki, jeden po drugim, odchylając się od pąka, tworzą świetlistą aureolę sterzących niby ostrza lanc promyków bieli. Pozbawione świadomości życie skrywające swą namiętność za zasłoną ciszy i bezruchu ukazuje w tym akcie swe prawdziwe oblicze, nadając w pośpiesznej żarliwości rozdygotanej z podniecenia roślinie niebiański kształt kwiecia. Ów nagły ruch jest tym bardziej zadziwiający, że w szklanym świecie oranżerii nie mogę doszukać się, oszołomiony tym faktem, jakiegokolwiek siły, która mogłaby go była spowodować. Absolutna cisza, ni tchnienia wiatru. Sam kwiat musi więc być źródłem tego ruchu: perpetuum mobile, ożywiona biel szukająca wyrazu.

Zupełnie jakby żałowała teraz pojawienia się pośród tego bezruchu, gdzie nie drgnie nawet najmniejszy listek i wszystko zakrzepło w niemym oczekiwaniu — osobliwa siła opuszcza naraz ożywioną przez siebie zaledwie przed chwilą materię, porzuca rozpromienioną w zachwycie biel, i nie dając jej czasu do namysłu, ciska ją w nieprzerwany nurt śmierci. Podczas gdy rozkwita jeszcze ostatni, wewnętrzny wianek płatków, nie mogąc doczekać się, by odsłonić w końcu ukryty w środku złocisty pyłek, zaczynają powoli mięknąć zewnętrzne płatki aureoli; słabną i zwijają się, poczynając stopniowo więdnąć.

Pochylam się nad basenem. Parne powietrze opada mnie jak nieznośny ciężar. Wzrok słabnie zmęczony wpatrywaniem się w mętną mgiełkę spadającą jak kurtyna na osamotniony kwiat.

Zanurzam rękę w wodzie i nie odczuwam oporu, jakiego spodziewałem, się przed chwilą, spoglądając na jej ciemne lustro. Jest czarna i cieplejsza niż powietrze, pokryta miejscami jasnozielonymi plamami, wśród których pływa we wnętrzu misternie wyrzeźbionej łódki mały termometr, pokazując na swej wrażliwej, srebrnej duszy ciepłość wody. Z cichym pluskiem podrywa się czasem z dna basenu gnuśna bańka, wybałuszając na powierzchni wody niewiarygodnie długo swe koślawe oko, zanim pęknie w końcu bezgłośnie w najmniej spodziewanym momencie.

Nagle spokojna dotąd ciemna toń zaczyna się poruszać. W bezkształtnej wodnej masie rysuje się niewyraźny kontur: trudny jeszcze do rozpoznania przedmiot, mroczny, choć jednak jaśniejszy niż nieprzeniknione dno. Błyskawicznie wypływa na wierzch, przy czym jego

upiorna szarość poczyna naraz zmieniać barwę, ukazując na mgnienie oka tylko czerwono-półskujący oranż ciała, by natychmiast uniknąć na powrót w mętnej ciemności.

Jaką wieść chce mi przekazać niezbadana głębia? Za chwilę znak znów się powtarza. Tu i ówdzie jarzą się w nierównomiernych odstępach czasu raz mocniej, raz słabiej jasne plamy, aż w końcu pojawiają się na powierzchni całe błyszczące kręgi, zupełnie jakby ktoś wymachiwał w mroku pochodniami.

To małe rybki z błyszczącą łuską, które przedarły się do przejrzystej wierzchniej warstwy wody, zamorskie stwory z obrzękłymi głowami i szklistymi, wyłupiastymi oczami, wątłe kształty spowite w zwiewne treny i welony.

Bez obawy zbliżają się do mojego palca zanurzonego w wodzie, otwierają miękkie pyszczki i łaskoczą skórę. Człowiek, nieznaną istotą, jest dla nich tylko obiektem rajskiego zaciekawienia. Badają palec, nie wietrząc w nim żadnego niebezpieczeństwa. Sprawiają na mnie wrażenie trochę przerażonych, rozmyślających w napięciu, czym może być ten dziwny przedmiot. Dają mu w końcu spokój, by — kreśląc na wodzie wymyślną pętlę — zastanowić się w tym czasie nad całą sprawą. Po czym wracają, żeby raz jeszcze, znów bez skutku, sprawdzić, czy podłużny przedmiot nie nadaje się przypadkiem do spożycia. Badają mój palec, podobnie jak zwykły to czynić z obumarłym liściem wodnej rośliny, kiedy opadnie zniecka na dno ich królestwa, służąc latami jako pożywienie. Nie znają zła, bo w wodach ich basenu życiu ryb nie zagroziło nigdy niebezpieczeństwo. Zagrożenie odczuwali być może jedynie pierwsi mieszkańcy z chwilą, gdy zostali tu zakwaterowani. Okazało się jednak, że zamknięta w okręgu sadzawki wodna toń, po której z początku trwożliwie przemykały, nastawiona była do nich niezwykle przyjaźnie, tak iż instynkt obronny zapomniał stopniowo o możliwości niebezpieczeństwa. Dla ich potomków harujących teraz wesoło wokół mojego palca tajemnicze głębie basenu są już światem, w którym poruszają się ufnie, bez cienia podejrzeń. Jakaś nieznaną rybom wyższą siłą strzeże drobniutkiego mułu na dnie, okrągłych, porośniętych algami ścian sadzawki i ciepłych, przychylnych im wód, by do ich królestwa nie zakradły się wrogie stwory. Jakaż to radość być dla nich obiektem zainteresowania, przed którym nie czują lęku! Wreszcie powstał pomost nad przepaścią przeciwieństw, w której od wieków rodzi się strach. Początek i koniec, ruch i spoczynek, życzenie i spełnienie stanowią tu jedność upragnioną zwykle jedynie przez narodzoną z bólu myśl.

Nie zrażone jednostajnością wymyślnie zakręcanych pętli rybki ślizgają się niezmordowanie po lustrze wody: spokój przechodzący wolniutko w stan poruszenia, ruch dla samego ruchu, nie służący konkretnemu celowi, najmniej zaś ucieczce. Ruch spełniający się sam w sobie, nie będący wynikiem przypadku ani też gwałtownie podjętej decyzji, by zmusić oporną naturę do egzystencji w harmonii.

Swobodne i lekkie jak tancerz szukają okazji, by wprawić w ruch swe złociste ciała. Znikąd nie nadchodzi strach, który mógłby zakłócić spokojne płąsy. Sztuczny kosmos basenu uwolnił od bolesnego uczucia lęku ruchy dokonujących w nim żywota ryb. Żyją tylko swym życiem. Nieświadome kreślą z niebiańską gracją, jakby były obrazem samej boskości, wymyślne figury na unoszącej zwinne ciała przejrzystej, bezkształtnej substancji, dziękując jej wykwitającym w obłoku płetw uśmiechem, że jest tak uległa ich zamiarom. Nieznużone zakreślają wciąż na nowo wokół mego palca znikające bez śladu kręgi, aż w końcu sam ruch zdaje się być cielesną postacią.

Pochyliwszy się nad basenem, patrzę jak zakłęty w wodę. Ruchliwe stwory znaczą złotem — by mój wzrok mógł je odnaleźć — miejsce swojego pobytu. Nad mroczną tonią powstaje świetlista figura przyprowadzająca mnie swym pięknem o utratę zmysłów.

Zagubiony, czuję, jak nie stawiając najmniejszego oporu, zapadam się w nieznaną żywioł. Ból istnienia, przedostający się do najodleglejszych zakątków wrażliwości sparaliżował śmiertelnie moją świadomość. Chciałbym gnać bez celu pośród niszczycielskiego tłumu, by uwolnić się od natrętnych myśli. Zrzućnowane oblicze niemocy odwraca jednak wzrok i wy-

krzywiąjąc w uśmiechu rozbite usta, wytrzeszcza oczy w czeluść wyczerpanej studni.

Poddaję się. Rzeczywistość zaczyna pękać w szwach. Przez szpary przedostają się niepostrzeżenie ulotne, rozmazane fragmenty obrazów, z początku jedynie czarne kontury przedmiotu rysującego się stopniowo coraz wyraźniej na tle innych. W mroku poczynają zatracać granice i przekształcając się po szelmowsku w nicość, ustępuje powoli miejsca następnym obrazom.

Spowite w złoty welon zwierzę zamienia się w gładki, podłużny owoc, który znajduje się w nieustannym ruchu, szybując nad mroczną głębią basenu. Nagle owoc zaczyna tracić obłe kształty, aż w końcu ciemność formuje z niego cienki, ostro wyszlifowany trzpień. Widać już tylko ruchliwe pomarańczowe plamy tworzące na powierzchni wodnej otchłani pofałdowaną ramę, w której dostrzegam moją postać kołyszącą się bez lęku nad przepaścią.

Nawet nicość potrafi dobyć z siebie grację, jeśli trzeba uśmierzyć ból.

Oddaję się jej bez zastrzeżeń, bo jest zdolna wypełnić otaczającą mnie pustkę, zdobiąc jej czoło wieńcem splecionym ze złotego maku. O ile łatwiej można ją teraz znieść! Wszystko, co mi drogie zdaje się z nią spokrewnione, jakby czekało tylko na to, by zniknąć w niej bez śladu. Nie ma rzeczy, która byłaby w stanie się jej oprzeć. Pustka ogarnia mnie jak przyjemny sen bez obrazów. Czyżbym stał się wreszcie podobny tym cichym stworzeniom, które egzystują nieświadomie ponad nicością, kreśląc spokojnie swe wymyślne figury?

Nagle zupełnie niespodziewanie odczuwam drgnienie mojej dłoni tkwiącej od dawna — o czym zdążyłem już zapomnieć — w wodzie. Palce zaciskają się same w pięść. Czuję, jak oślizły przedmiot usiłuje wyrwać się z pułapki.

Pośpiesznie wyciągam rękę z wody i ciskam ją zdobycz na zielony liść rosnącej nad sadzawką „Viktorii”.

Przyglądam się teraz z ulgą, jak rybka podrygując miota się na wszystkie strony: ofiara złożona człowieczeństwu. Mam jednak wrażenie, że było to konieczne.

Spoglądam na nią. Widzę ją przerażająco jasno i dokładnie. Nic trudnego schwytać takie niewinne żyjątko, ale mimo to ogarnia mnie nieopanowane uczucie triumfu.

Mały stwór na próżno próbuje zbiec przed śmiertelnym powietrzem. Zmordowany niezliczonymi podskokami leży na boku z rozdziawionym pyszczkiem trzepocząc skrzelami. Zgasła jarząca się przedtem wszystkimi kolorami tęczy łuska. Ciało nabrało odcienia mętnej szarości. Płetwy spowite są bezkształtnym, skurczonym na powietrzu welonem.

Zaciekawiony przesuwam małe ciało palcem po taflę liścia, jak rzecz, którą widzi się po raz pierwszy w życiu, usiłując dociec, co to też może być. Oglądam je dokładnie, obmacuję zupełnie jakbym nie wiedział, że to nic innego, jak najnormalniejsza w świecie ryba. Dla mnie jest w tej chwili tylko bezimienną masą i obserwuję jej postać, jakbym chciał znaleźć odpowiednie dla niej określenie.

Mój wzrok zatrzymuje się nagle na wylupiastych oczach wystających z koniuszka nieruchomego ciała. Jakże żaloszny widok! Wygląda to, jakby całe życie, które opuściło właśnie ciało, stłoczyło się w ucieczce w tych dwóch małych punktach. A to, co wyziera z nich, wybałuszając na mnie oczy w błagalnym spojrzeniu, jakbym nie był wrogiem, lecz dobrotliwym, niosącym pomoc wybawcą, zdaje się być mi znane, wspólne mnie i temu niepodobnemu człowiekowi stworzeniu: strach.

Jeszcze raz niepokoję dotknięciem szczupłą, wykrzywioną jak w śmiertelnym skurczu masę. Czuje to, porusza się. Lecz nie jest to ruch przedmiotu, który byłby powodowany energią poszturchnięć mojego palca.

Ten szary przedmiot ma energię sam w sobie i zrozpaczony zbiera, podrygując, resztki sił — cierpiące stworzenie, które w walce z bólem musi oddać życie. Podrywa się, zakreślając niewiarygodny łuk we wrogim powietrzu, nieświadome sytuacji próbuje dostać się na powrót do życiodajnej sfery. Wielokrotnie powtarza jeszcze swój wyczyn, choć wyznacza w powietrzu coraz mniejsze łuki. Opada wyraźnie z sił, a każdy skok zbliżający je do nicości jest dla mnie

bolesnym ukłuciem, które przywraca mi poczucie rzeczywistości.

Dochodzę do siebie. Odnajduję się znów do tego stopnia, iż jestem w stanie podnieść z liścia małe, wyczerpane ciało, zanim wyda ostatnie tchnienie i odesłać je na powrót w niosącą ulgę wodną toń, gdzie — o czym przekonuję się natychmiast z zadowoleniem — znów będzie mogło poruszać się bez celu, kreśląc z gracją pętle i koła.

Przełożył *Marek Przybecki*

Franz Werfel

## NIEBUDUJĄCA LEGENDA O PĘKNIĘTYM STRYCZKU \*

### I

Niepocieszającej prawdy, że sprawiedliwym źle się wiedzie na tym świecie, a złoczyńcy otrzymują „wspaniałą nagrodę” przeważnie jeszcze za życia, Biblia nie przemilcza. Dla wierzących lub gotowych uwierzyć prawda ta z pewnością stanowi twardy orzech do zgryzienia, dowodzi bowiem, że sprawiedliwość nadziemskich potęg wydaje się jeszcze bardziej zawodna, powolna, zawikłana, nawet bardziej obojętna niż prawo obowiązujące na ziemi i że nasze żarliwe wyobrażenia o etycznym porządku tego świata wcale nie są zgodne z owym ponadludzkim, ale i nieludzkim ładem, nadanym wszechświatowi w akcie stworzenia.

Ten stan rzeczy może jednak stać się czasem nieznośny nawet dla najbardziej zagorzałego ateisty. Zdarzają się bowiem znaki i cuda, wyraźne znaki i niewątpliwe cuda w tym celu, aby uratować złoczyńców i przez wyrafinowaną ingerencję niebios uchronić złych ludzi od kary. W porządku świata można przy tym dopatrzeć się pewnej logiki na tyle, że faworyzowanie przestępców małych nie pozostaje wcale w sprzeczności z praktyką protegowania przez tenże porządek złoczyńców wielkich. Ostatnio pewien człowiek opowiedział o takim, przykładowym wręcz, cudzie zdziałanym przez niebiosa na rzecz szatana. Człowiek ów wrócił przed kilkoma tygodniami z hiszpańskiej wojny domowej do naszego miasteczka, łasego na wszelkie wiadomości.

\* Sens oryginalnego tytułu niemieckiego jest podwójny, gdyż słowa „vom gerissenen Galgenstrick” znaczą także (przenośnie) „o cwany szubieniczniku”. Treści utworu odpowiadają obie wersje tytułu, ale jego dwuznaczności, zapewne zamierzonej, przez autora, niepodobna oddać w języku polskim jednym określeniem. Przypis tłumacza.

### II

Ostatnie kolumny srogo nękanej milicji opuściły Malagę około południa. Awangarda oddziałów Generała wkroczyła do tego miasta nazajutrz rano. Pomiędzy wymarszem jednych a wejściem drugich nie upłynęła nawet cała doba. Podobnie jak istnieje ziemia niczyja, przestrzeń niczyja pomiędzy frontami, tak powstaje również czas niczyj, luka czasowa między będącymi w ruchu wrogimi armiami. Wszystkie miasteczka i miejscowości, które kiedykolwiek spotkało nieszczęście dostania się w orbitę działań wojennych, znają ową lukę w czasie, która, prawdę mówiąc, nigdzie nie daje się tak dotkliwie we znaki jak w zasięgu wojny domowej.

Wydaje się wówczas, jak gdyby bieg zjawisk przyrody uległ zatrzymaniu. Ptaki przestają nagle śpiewać jak podczas zaćmienia słońca, a ich oniemienie, pełne zafrasowania, akurat wszędzie jest słyszalne. Wiatr ustaje i rozprzestrzenia upiornie podstępłą ciszę, mimo to skąpy dym z kominów nie wzbija się w górę, tylko pełźnie tchórzliwie po dachach domów. Ko-



guty nie pieją. Tu i ówdzie skomli jakiś kundel. Nie tylko ludzie siedzą w ukryciu, lecz nawet szmaragdowozielone jaszczurki wybiegają teraz dygocąc i jakoś bardziej zaniepokojone ze szczelin murów ogrodowych, odgraniczających cienistość drzew, w których czai się coś wieloznacznego. Nastąpiła pauza, uosobienie zastygłej w lód, a jednak pękającej z napięcia pauzy pomiędzy dwoma okrzykami przerażenia.

Każdy człowiek w mieście wiedział już od wielu dni, że sprawy muszą przybrać taki, a nie inny obrót. Komendantura lojalnej załogi bynajmniej nie tała przed ludnością oczekującego ją losu. Osoby zagrożone miały ogromnie dużo czasu na znalezienie bezpiecznego schronienia. Wielu też wykorzystało odpowiednio ten okres. Spora liczba niezdecydowanych jeszcze w ostatniej chwili przyłączyła się pospołu z kobietami i dziećmi oraz całym dobytkiem do wycofującej się milicji. Innych znów nie można było nakłonić do ratowania się. Nie słuchali dobrych rad i odmawiali opuszczenia miasta, w którym tkwili korzeniami całego życia. Nie potrzeba specjalnie podkreślać, że chodziło prawie wyłącznie o tak zwanych idealistów. Było wśród nich kilku lekarzy, kilku urzędników państwowych i adwokatów, wydawca miejskiej gazety wraz z redaktorami, dwóch dobrze w kraju znanych pisarzy, jeden malarz, znany nawet za granicą, pewna liczba profesorów, nauczycieli, inżynierów oraz mnóstwo zwyczajnych ludzi, na których mimo to czyhała nienawiść zwycięzców.

Przyczyną ich pozostania w mieście nie było wcale bezpłodne bohaterstwo, lecz niefrasobliwość, lekkomyślność, a w przeważającej liczbie wypadków wygodnictwo i pożałowania godna niezdolność uzmysłowienia sobie, co to jest zło, niezdolność, która często naraża wartościowych ludzi na niebezpieczeństwo. Co chwila można było z ust tych i im podobnych ludzi usłyszeć pewne zgubne wypowiedzi, świadczące o upartości natury ludzkiej:

— To przecież nie może już długo potrwać.

— Ależ, nie będzie wcale tak źle.

— Mnie osobiście nic się stać nie może.

— Nie można mi na pewno nic zarzucić. Nigdy nie zajmowałem się polityką i nikomu nic złego nie wyrządziłem.

A jednak trwało długo i trwa wciąż jeszcze. I było gorzej, niż bojaźliwa fantazja mogła sobie wymarzyć w snach. Komu nic nie mogło się stać, temu akurat się stało. Właśnie jego obciążono zarzutami i wyrządzono mu zło, którego nikomu nie wyrządził.

Nowy zakład karny leżał na peryferiach miasta. Złożony był z pewnej liczby rozsądnie urządzonych budynków i dziedzińców ożywionych drzewami, z których, jako prawdziwego dowodu postępowych zasad, bardzo byli dumni wszyscy zwolennicy humanitaryzmu. W tych dniach ów smutny, a jednak na swój sposób szacowny zakład stał się ośrodkiem wydarzeń.

Zaraz w pierwszej godzinie po wmaszerowaniu oddziałów Dyktatora pozmiatano zewsząd owych wspomnianych nieszkodliwych idealistów i wyładowano ich w więzieniu. Z niepojętą prędkością obywatele pięknego miasta przeobrazili się z bezwarunkowych stronników rządu w fanatycznych adherentów rebelii Generała. To, co przepływało przez ulice, było naprawdę nie tylko sztuczną mobilizacją entuzjazmu. Przejawów t a k i e j postawy, naturalnie, mało poprzednio widziano. Spłodzona przez wojnę domową, wylęgnięta przez lukę czasową, postawa ta ujawniła się dopiero pod koniec pauzy. Pomimo to nie tylko ofiary dziwiły się temu, ile znanych od dawna i życzliwych przedtem twarzy zdemaskowało się teraz jako zdrajcy, szpicle, tajniacy, denuncjanci, jako pałający zemstą bojownicy i pionierzy zwycięzcy, chępiąc się wszędzie głośno tym, że jako przykładni obywatele już od dawna byli na judaszowym żółdzie.

Przed kratami wysokich bram nowego zakładu karnego tłoczył się zбитy motłoch i chóralnymi okrzykami domagał się uwolnienia więźniów politycznych, których rząd pozostawił pod kluczem. Jeszcze przed rozbrzmieniem południowych dzwonek wyprowadzono ich triumfalnie. Tytułem rekompensaty powędrowała do opróżnionych właśnie cel dziesięciokrotna liczba uwięzionych. Już pierwszego dnia było ich przeszło tysiąc, wśród nich przede

wszystkim owi nieszkodliwi idealisci oraz wielka masa kunktatorów i maruderów, połapanych w winnicach, na polach, w zagrodach i stodołach w czasie posuwania się wojska. Pomieszczenia bynajmniej nie były wystarczające. W celach przeznaczonych dla trzech więźniów słażano dwunastu, piętnastu. Areszt odosobniony stosowano jedynie do nielicznych spośród szczególnie ważnych sztuk łupu. Zniesiono granicę między oddziałami dla więźniów politycznych i kryminalnych. Ciasnota mieszkaniowa miała jednakże złaagodnieć aż nazbyt prędko. Około godziny jedenastej w nocy zajechała na zewnętrzny plac więzienny większa liczba *camiones*. Na razie znalazło się w nich miejsce dla mniej więcej dziewięćdziesięciu mężczyzn.

Zaczęły się chwile grozy...

### III

Wśród kryminalnych lokatorów wzorowego zakładu penitencjarnego — było takich podówczas zaledwie dwa tuziny — znajdował się niejaki Estaban Ahimundo y Abreojos. Świadek, który wrócił z Hiszpanii, zaręczał, że nazwisko to brzmiało właśnie tak lub podobnie, w żadnym jednak razie nie skromniej.

Noszący takie nazwisko z pewnością wywołuje skojarzenie ze wspaniałą postacią jakiegoś posępnego *hidalga*, *granda* hiszpańskiego zwariowanego na punkcie honoru, jakby wyjętego z dramatu Lopego de Vegi spod znaku płaszcza i szpady. Estaban Ahimundo y Abreojos był jednak mordercą, oczywiście nie mordercą zwyczajnym, tylko takim — wypisz, wymaluj — z książki, tak, z ilustrowanej książki. Na jego twarzy natura bynajmniej nie pokusiła się o stworzenie fałszywych pozorów, lecz obsadziła rolę potwora właściwym wykonawcą i dobrała mu maskę niemal z przesadą. Zwisające brwi na grubych wałeczkach. Poniżej brwi mysie oczki, malutkie, cofnięte, o rozbieranym spojrzeniu człowieka dręczonego ustawicznym niepokojem, szukającego ciągle jakiegoś punktu wypadowego. Niskie, cofnięte czoło pod spłśnionymi kędziorami. Usta dziadka do orzechów z wyzywającym, kanciastym podbródkiem. Zwalista postać lekko pochylona, z byczym karkiem, przygarbiona jakby wskutek poniżenia, złośliwości i niesmaku. Klatka piersiowa niczym kasa pancerna. Wymachujące owłosione łapy goryla, gotowe do duszenia. Cały człowiek stanowił doskonały eksponat do muzeum patologii kryminalnej, klasyczny przypadek typowego przestępcy, nadający się znakomicie do zademonstrowania na seminarium. Nie było w nim nic pojednawczego, odrobiny resztki dzieciństwa, nie było wzbudzającej litość ułomności ani słabości, które można dostrzec u każdego prawie złoczyńcy. Nie, Estaban Ahimundo y Abreojos był wcieleniem zmory mieszkających samotnie wdów, które strach w nocy wybija ze snu.

Przestępstwa, które miał odpokutować, z ledwością dały się policzyć na palcach. Główne jego dzieła — to dwa morderstwa na tle seksualnym i trzy rabunkowe. By nie przeciągać procesu w nieskończoność, ograniczono się tylko do wybranych wyczynów Abreojosa, takich zaś drobnostek, jak zwykle włamania i kradzieże, w ogóle nie objęto dochodzeniem. Proces przeciw Abreojosowi — w trybie postępowania doraźnego, jednakże nie poprzedzonego zmu-dnym śledztwem — odbył się podczas obu ostatnich dni oblężenia. Mianowicie w początkowym okresie wojny domowej prawowite władze przykładały najwyższą wagę do tego, by prowadzenie spraw publicznych kontynuowano w normalny sposób tak dalece, jak to tylko było możliwe. Teatry, *variétés*, kina dawały spektakle, sądy odbywały posiedzenia. Wojenny sąd doraźny w Maladze skazał wielokrotnego mordercę na garotę — śmierć przez uduszenie, jak można przypuszczać. Natychmiast jednakże zaznaczyła się w dziwny sposób owa osobliwa ingerencja wyższych potęg na rzecz złoczyńcy. Wyroku śmierci nie można już było wykonać, bo właśnie nastala luka czasowa, znikła legalna władza, którą przywłaszczyli sobie triumfujący generałowie wraz ze swymi dobrze wyćwiczonymi hordami.

Nowy komendant miasta przejął sprawy pomsty we własne ręce i w tym celu urzędował przez kilka godzin dziennie w kancelarii więzienia, by osobiście przesłuchać co ważniejsze ofiary i nasycić się ich bezsilnością. Był nim *colonel* — pułkownik w młodym wieku, jakby wyniszczony żywionym uczuciem nienawiści, z monoklem wtopionym w oblicze na modłę pruską, ponadto w błyszczących butach z ostrogami — na modłę włoską. Gdy taki gatunek człowieka przez pewien czas, miast karać innych, sam jest trzymany w karbach, jak to się działo pod reżimem rządu hiszpańskiego, wówczas naładowany jest potokami złości i moralnej zgnilizny ponad wszelką miarę. Z wypalonych rysów pułkownika można było wyczytać, że cierpienie przysparzało mu to, iż nie mógł szerzyć nic gorszego od śmierci.

Komendantowi przedłożono też, zgodnie z przepisami, akta Estabana Ahimundo y Abrejos. *Colonel* siedział w kancelarii z wyprostowanymi daleko przed siebie nogami, a każdym z założonych wspaniałych butów do konnej jazdy, z żółtej skóry, zajmował się z najwyższą gorliwością inny pucybut, wyposażony w pastę, szmaty i szczotki. Pośrodku leżącego na biurku stosu papierów urzędowych, z których każdy decydował o życiu i śmierci jednego człowieka, stała szklanka z zielonym jak trucizna aperitifem. *Colonel*, ciągnąc w zamyśleniu chłodny napój przez słomkę, czytał wyrok skazujący wielokrotnego mordercę na śmierć. Słównikiem bąkniętym półgłosem rzucił w stronę otaczających go i nasłuchujących oficerów i urzędników cywilnych rozkaz przyprowadzenia zbrodniarza, którego luka czasowa wybawiła od garoty.

Widok tego okazu potworności, który daleko odbiegał od najbardziej oklepanych wyobrażeń postaci przestępców, napełniał, jak się zdawało, komendanta zadowoleniem. Strzelił mu do głowy wyśmienity pomysł. Natychmiast przemienił go w podyktowany obojętnym głosem do maszyny rozkaz, wydany technicznemu kierownikowi dzieła pomsty. Ponieważ śmierć zadana prochem i ołowiem była, zdaniem pułkownika, bardzo łagodną karą dla bojowników o wolność, pacyfistów, demokratów, socjalistów, komunistów i innego humanistycznymi ideami otumanionego tałatajstwa, przeto śmierć pierwszej partii tych sflaczałych psów idealistycznych niech przynajmniej osłodzi to, że będzie im wolno ponieść ją w zaszczytnym towarzystwie pięciokrotnego mordercy, który zabijał dla rabunku i z seksualnej perwersji.

Tuż po północy załadowano na dziedzińcu więzienia *camiones* przeznaczonym dla nich frachtem. Wśród notabli pomsty generalskiej, złożonych na ogół z wytwornych głów i dostojnych postaci, siedział kudłaty potwór i mrugał wokół siebie niespokojnymi, skrytobójczymi oczkami. Inni, przeważnie starsi mężczyźni, patrzeli przed siebie jak wyrwani ze snu, trochę przerażeni, a mimo to — tak się wydawało — zupełnie nieświadomi tego, co ich czekało. Uruchomione silniki zawyły wśród przygaszonej ciszy i kłamiwej wymarłości tej nocy. Celem, ku któremu pędziły wozy, był centralny cmentarz miejski.

W toku wojny domowej wytworzyła się po stronie Generała praktyczna forma załatwiania każdej sprawy na miejscu, tam mianowicie, gdzie przyczyniała ona najmniej kłopotu i nie groziła higienicznymi niebezpieczeństwami. Ciężarówki przejechały po pańsku pędem wysoko bramę cmentarza i skręciły w główną aleję, nie zważając zupełnie na konieczność zachowania spokoju wobec cywilnych i wysoce szacownych zmarłych, którzy spoczywali tutaj w okazałych grobowcach i mauzoleach ze szczęśliwych czasów feudalnych. Zatrzymały się wreszcie w najbardziej oddalonej części cmentarza, leżącej jeszcze odłogiem.

Tam czekały już inne *camiones*, stał również ekwipaż z reflektorami wojskowymi. Rażące światło olbrzymich reflektorów bębnowych z sykiem rozdzierało mrok, wypuszczając swobodnie szeroki pas dławiącej jaskrawości, po którego brzegach znów wspinała się wysoko gęstwina nocy. W tej wydzielonej przestrzeni nienaturalnego, a jednak tak szczególnej wagi światła stały z karabinami u nogi w niedbałym ordynku trzy oddziały żołnierzy, a mianowicie pluton *regulares*, gromada czarnobrazowych *moros* i kilku falangistów, rozpoznawalnych po fioletowej frędzli na czapkach. Z nieco dalszej odległości słychać było szorstkie głosy docho-

dzące z głębi ziemi, a ciężkie ładunki łopat staczały się ciemnymi bryłami po szerokim wysypie ziemi, który jak skarpa zasłaniał widok na byle jak wykopany grób masowy. Był mniej więcej dwanaście kroków długi, osiem kroków szeroki i trzy metry głęboki.

Masakra przebiegała bez pośpiechu, ale także bez najmniejszej ceremonii. Załatwiano sprawę z niezrównaną rzeczowością, nie jak w dawnych czasach wśród głuchego bicia werbli, makabrycznych komend i sygnałów, lecz jakby bez ustalonego z góry porządku, po wirtuozywsku, niejako od ręki. Sądzić by można było, że nie chodzi tutaj o przerażające zabijanie niewinnych ludzi, lecz o jakąś obojętną precyzyjną robotę techniczną w świetle reflektorów. Nie można było wyczuć nic ludzkiego, ba, nawet nic szatańskiego, nawet infernalnej rozkoszy zemsty, nawet perwersyjnego zadowolenia z przelewu krwi. Ludzie nowego typu, którzy tutaj działali, znaleźli dla swej ulubionej czynności właściwe słowo: położyć. Kładziono więc mężczyzn (trupem) jak drągi.

Jakiś oficer wywołał nazwiska pierwszych dziesięciu. Nazwiska najlepszych, którzy wpadli nieprzyjaciołom w ręce. Ściągnięto ich z wozu: dwóch lekarzy, którzy nie mieli nic wspólnego z polityką, wydawcę gazety i jego trzech współpracowników. Pisarza i słynnego malarza, i trzech nic nie znaczących urzędników obalonego reżimu. Twarze ich nie były śmiertelnie blade, ponieważ były jaskrawo białe od światła reflektorów. Postacie poruszały się w nim jak przy nakręcaniu filmu. Owych dziesięciu, nawet nie skrępowanych, popchnięto ku wykopanej skarpie. Nikt się nie bronił, nikt nie ozwał słowem. Szarże zbliżyły się i rozkazały: „Zdjść marynarki!” Ofiary wykonały posłusznie rozkaz.

Dopiero teraz, ujrawszy się wzajemnie w przesadnie białych koszulach, zdawali się pojmować całą beznadziejną prawdę. Poczęli mówić wysokimi, zdławionymi głosami, którymi, krzycząc jeden przez drugiego, usiłowali całkowicie zobojętniałym katom dać jakiegokolwiek szybkie i decydujące wyjaśnienia. Tymczasem uzbrojeni żołnierze powoli i wciąż jeszcze bez słowa komendy odgradzili jaskrawo oświetlone miejsce. Dziesięciu ludzi zapędzonych na skarpe nie miało już innej możliwości ucieczki jak tylko w wielki grób masowy. Żaden z nich jednak nie myślał o tej ostateczności. Gadali coraz żywiej, coraz gwałtowniej, jeden przez drugiego.

Wtem rozległ się terkot. To karabin maszynowy, ustawiony zupełnie blisko, którego dotąd wcale nie zauważono. Tylko jedna taśma z nabojami, nie więcej. Raz wzdłuż całego rzędu tam i na powrót. Tylko kilka sekund trwał ów suchy terkot. Dostojne siwe głowy popękały jak skorupki jaj. Wśród trzasku można było wysłyszeć odgłos rozsadzanych czaszek. W świetle reflektorów, nie znoszącym wcale kolorów, czernią spływały potoczki krwi, które, szukając się wzajemnie języczkami, zbiegały w jeden strumień.

*Regulares* i *moros* przystąpili do leżących i wpakowali im z mauzerów jeszcze kilka kulek w ciało, zupełnie obojętnie, całkiem mimochodem, tak jak się zdeptuje nogą uparcie nie gasnące resztki papierosów. Następnie chwycili ciała za ramiona i nogi i z rozmachem wrzucili do jamy. Pierwsza warstwa pokonanych bojowników o wolność leżała tak, jak legła. Rzucono na nich kilka szufli ziemi i gaszonego wapna.

Gdy procedurę tę miano przeprowadzić po raz ósmy, na lewym skrzydle śmiertelnego szeregu stanął jako jedenasty i ostatni mężczyzna — szlachetny Estaban Ahimundo y Abrejos. Pozostałych dziesięciu, którzy byli siedmiokrotnie świadkami czekającego ich losu, zdawało się prawie już nie żyć. Nie było już słyszeć gmatwaniny wysokich głosów męskich, tylko tu i tam zduszony charkot człowieka, któremu zbiera się na wymioty. Jedynym przytomnym wydawał się Abrejos. Stał spokojnie, wyprostowany, nie chwiał się — jak bohater. Oczywiście błędziły czujnie tu i tam, jak zawsze. Od czasu do czasu podnosił ciężką łapę i wykrzykiwał hasło nacjonalistycznej Hiszpanii:

— *Arriba España!*

Czyżby czynił to w celu przypochlebiania się śmierci, której nastawienie było jawnie całkowicie nacjonalistyczne?

W momencie, w którym zaterkotał karabin maszynowy, Estaban Abreojos padł na ziemię. Na tyle było j e g o zasługą, a nie zasługą interweniującej potęgi, że kulka go ominęła. Obserwował mianowicie z zimną rozważą obsługę broni automatycznej. Ciąg dalszy, ma się rozumieć, nie zależał już doprawdy od niego. Albowiem któż chciałby uznać za oczywiste to, że dwóch członków Falangi (owej na poły cywilnej, na poły wojskowej gromadki, która dotąd pełniła tylko urząd obserwatorów) nagle odczuło nieprzewyciężoną potrzebę wzięcia aktywnego udziału w tym miłym uśmiercaniu? Wobec tego jednak, że wszyscy przeznaczeni do „położenia” już leżeli, obaj przystąpili z fasonem do jedynej winowajcy, który, z twarzą ku ziemi, wyciągniętymi kończynami kurczowo trzymał się błota, bez wątpienia zabity na amen.

Falangistów nie uważano za stuprocentowych żołnierzy. Z tego powodu nie byli też uzbrojeni w mauzery, tylko w staroświeckie remingtony. Ze strzelb tych, zużytych prawdopodobnie w dwudziestu kampaniach kolonialnych, nie oddano podczas hiszpańskiej wojny domowej ani jednego strzału — aż do tej chwili. Obie lufy zbliżyły się teraz do patologicznie uformowanej potylicy mordercy, by wykonać pierwsze w tej wojnie zadanie. Przeszkód w naładowaniu jednego z remingtonów nie można z pewnością nazwać jeszcze cudem. Natomiast fakt, że i druga flinta zawiodła, czyż wolno potraktować wciąż jeszcze jako czysty przypadek?

Obaj młodzieńcy spojrzeli bezradnie na karabiny, a potem wzajemnie na siebie. Nie mieli jeszcze dwudziestu lat, pochodzili z bogatych rodzin, ręce ich były białe jak ręce dzieci otoczonych dobrą opieką. Prawdopodobnie na widok kałuż krwi i rozbryzganego mózgu żołądek podchodził im do gardła i odwaga sromotnie ich opuściła. Zawstydzili się nagle, że dali się wciągnąć w to ohydne dzieło, i w dodatku bez sukcesu. Inni byli przypuszczalnie pochłonięci rzezią wystarczająco namiętnie i wcale nie zauważyli, że zawiodły zarówno zużyte karabiny, jak i rozpieszczone sumienia.

Abreojos leżał bez ruchu. Na prawo i na lewo od niego rozlegały się trzaski ostatnich strzałów kierowanych przez *moros* i *tercios* w drgające ciała ofiar. Olbrzymie cielsko mordercy zdawało się zakrywać kałużę własnej krwi. nikt nie zauważył purpurowych twarzy obu wytwornych chłopczyków. Oni zaś dołączyli się do *regulares*, tak jak gdyby wykonali zadanie i wszystko było teraz w najlepszym porządku. Nad ich głowami, niczym ostro wytryskujące strugi wodne, syczały reflektory i — nagle zgasły. Stek wymyślań i przekleństw. Szybko zaimprovizowano kilka pochodni. *Moros* pochwycili zwłoki i rozkołysawszy je rytmicznie, powrzucaли do głębokiej jamy. Rozhuścili też Estabana Ahimundo y Abreojos i wrzucili do masowego grobu, ale jako ostatniego człowieka, leżał wszak na samym końcu skrzydła. Upadł miękko. Nie złamał sobie ani kosteczki. Był uratowany.

#### IV

Już nazajutrz o szóstej rano dostawiono Estabana Ahimundo y Abreojos ponownie do więzienia. Jego szczęście, jak się zdaje, polegało wyłącznie na tym, że chroniło go od krwawej śmierci, ale poza tym wcale się nie uśmiechało do przelewcy krwi. Wartownicy przychwycili go w pobliżu wielkiego cmentarza w chwili, gdy w pewnej speluncie chciał uzyskać pieniądze przez sprzedaż kilku złotych obrączek ślubnych. Miał tego towaru sześć czy siedem sztuk na łopaciastych paluchach zbrodniczych rąk. W kieszeniach znalazło się jeszcze więcej, wraz ze złotymi oprawkami okularów, papierośnicami i spinkami do mankietów. Ponadto przedstawiał jeszcze bardziej odrażający widok niż zazwyczaj. Koszula i spodnie były zbrukane krwią i poźarte wapnem. Na rękach widać było wielkie plamy od zadraśnięć. Jednakże w mysich, wszystko bacznie lustrujących oczkach nie można było wyczytać krztyny strachu przed śmiercią, cienia moralnej udręki, nic ze zmasowanych okropności, przeżytych minionej nocy.

Pułkownik komendant miasta, do którego później doprowadzono Abrejosa, odwrócił od niego wzrok. Wtopiony między oko i brew monokl oficera zdawał się zachodzić parą od wyteżonego myślenia. *Señor* usiłował prawdopodobnie dojść przyczyny jakiegoś zagadkowego związku. W końcu jednak przepłoszył z czoła dokuczliwe myśli, ruchem niezrównanie eleganckim uniósł przegub dłoni i rzucił znudzone spojrzenie na maleńki zegarek na ręce. Szklanka z zielonym jak trucizna aperitifem, na pół opróżniona, pobłyskiwała w słońcu. Jakiś ulotny grymas obrzydzenia zadrgał mu na ustach.

— Szkoda naboju dla niego — mruknął pod nosem i kazał sporządzić rozkaz, którego wykonanie miano mu zameldować jeszcze przed następnym świtem.

Meldunek nie mógł być złożony, albowiem natychmiast zaczęły się wtrącać do gry owe wyższe siły działające na korzyść mordercy.

Jak we Francji gilotyna, w Niemczech topór, w Ameryce krzesło elektryczne, a w innych krajach szubienica, tak w Hiszpanii zwyczajowym narzędziem tracenias jest tak zwana garota. Jest to drewniane krzesło na drewnianych nogach i z wysokim oparciem; z tyłu oparcia znajduje się urządzenie z żelaznych klamer i śrub, których dokręcenie powoduje uduszenie delikwenta. Istnieje okropny rysunek Francisca de Goi z czasów hiszpańskiej wojny domowej sprzed przeszło stu lat, przedstawiający garotowanego na krześle. Kto raz tę grafikę zobaczył, nigdy jej nie zapomni. Straceniec ma na niej oblicze Chrystusa, który wydaje się zamieniać krzyż na garotę.

Ale dla Estabana Ahimundo y Abrejosa żaden cieśla garoty nie wystrugał. Szukano jej w rekwizytorni więzienia, lecz nie znaleziono. Wyszła z użycia w ostatnich latach przed powstaniem generalskim. Brakło zatem środka ustawowego do przetransportowania złoczyńcy z życia w krainę śmierci. Aliści od chwili wkroczenia zwycięzców nie było innego prawa i innego przepisu niż chwilowy kaprys nowych dzierżycieli władzy. Cywilny zarząd więzienia przekazał natychmiast wszystkie sprawy wojsku i trwożliwie trzymał się z dala od nich. *Colonel* przeto znów musiał zadać sobie fатыgę w sprawie Abrejosa.

— Powiesić go na podwórzu więziennym na którymś z drzew! — syknął przez zęby, pokazując przy tym ich niepokalaną biel.

Wykonania rozkazu podjął się stary sierżant z Legii Cudzoziemskiej, której dwa plutony przydzielono więzieniu. Sierżant ten, olbrzym pod względem wzrostu, grubości i wagi, przerastał potężnego Abrejosa jeszcze o pół głowy. Był Szkipetarem z okolic Skutari i zwano go Mehmedem. Uzbrojony po zęby również poza służbą, Mehmed chodził po wewnętrznych dziedzińcach zakładu penitencjarnego, szukając odpowiedniego punktu na szubienicę.

Na podwórzu więźniów politycznych rosły łaskawie dwa stare platany, daleko wyprężające gałęzie ze skąpym listowiem. Więźniowie generalicji, którzy mogli w danej chwili korzystać z przywileju spacerowania po świeżym powietrzu, stanęli nagle z wytrzeszczonymi oczami. Zobaczyli mianowicie, jak sierżant Mehmed, któremu roześmiany legionista przytrzymywał drabinę, uwiązywał starannie pętlę pokaźnego stryczka do jednej z muskularnych gałęzi platana. Przerazenie pojawiło się w oczach tych czekających na śmierć ludzi. Mehmed uczeplił się obiema rękami stryczka, odepchnął drabinę i zawisł przez kilka sekund na trzy stopy ponad ziemią, by wypróbować należyłą wytrzymałość gałęzi i stryczka; sierżant był mianowicie skrupulatnym mistrzem w swoim rzemiośle.

Gałąź nie wytrzymała próby. Zewnętrzne pozory zdrowia pokrywały wewnętrzną zgniliznę i wyschnięcie konara. Zatrzeszczał pod ciężarem olbrzyma i złamał się z trzaskiem. Mehmed upadł na kolana. Więźniowie odwrócili się. Gałąź była złamana i doradzała przez to katowi wybór mocniejszej. Stryczkowi natomiast nie stało się nic. W tych dwóch faktach tkwił, jak to się jeszcze okaże, ponowny podstęp owych potęg, które tak życzliwie były usposobione wobec pospolitego zbrodniarza.

Później niepoprawni sceptycy twierdzili, że ktoś musiał potajemnie manipulować nożem przy stryczku, na przykład ów śmiejący się legionista, który niósł stryczek za sierżantem.

Pozwolił sobie na ten pomysłowy żart, ażeby odporny na kule delikwent okazał się odporny i na stryczek. Jest to wprawdzie możliwe, ale nie stanowi wcale dowodu przeciw cudownej ingerencji, igrającej gałęzią i stryczkiem nie inaczej niż tępym dowcipem żołnierskiego mózgu. Tylko jeden rodzaj cudów, mianowicie ten przekazany świętą tradycją, likwiduje naturalny porządek rzeczy. Natomiast drugi rodzaj, znacznie częstszy, który sami potrafimy od czasu do czasu dostrzec w razie baczniejszej obserwacji, ten biegnie gładko torem zjawisk naturalnych i codziennej rzeczywistości. Taki rodzaj cudów kiełkuje w bruzdach związku przyczynowego jak lotne nasiono niesione podmuchem wiatru.

## V

Estaban Ahimundo y Abreojos sam, jak się zdawało, przeczuwał, że doznaje jakiejś tajemniczej protekcji. Był tak zobojętniały na wszystko i spał tak twardym snem, iż z trudem się go dobudzono, gdy nadszedł czas stracenia. Nawet jego mysie oczki przestały być rozbiegane z czujności. Księżyc już zaszedł, a kilka palących się lampek karbidowych wydzielało smród i wywoływało ściskanie serca, gdy wartownicy z oddziałów *tercios* prowadzili go do platana, który miał mu być szubienicą. Za prętami krat wszystkich cel dookoła pojawiły się nadmiernej wielkości oczy, błyszcząc jak trzeszcze zwierzyny.

Wydawało się teraz, że wszystko przebiegnie już dokładnie jak powinno. Znalazł się nawet przepisowy kapłan, który temu kolosowi bez uczucia i biednemu grzesznikowi niepotrzebnie dodawał odwagi. Mimo kajdanek Abreojos palił wprawnie jednego papierosa za drugim, które wtykał mu do ust Mehmed, jego sympatyczny kat.

W tym samym czasie na cmentarzu Malagi karabiny maszynowe „położyły”, bez wyroku i bez dodawania otuchy, siedemdziesięciu niewinnych, jak gdyby to były wściekłe psy.

Estaban Ahimundo y Abreojos, stojący już na drabince, wypluł z ust wielkim łukiem ostatni koniuszek papierosa, kiedy sierżant Mehmed zakładał mu na szyję dobrze naoliwioną pętlę. Zbrodniarz nie mógł wprawdzie podnieść już rąk, ponieważ skrępowano mu je wreszcie na plecach, ale nieokrzesanym głosem wykrzyknął głośno i z entuzjazmem jak wczoraj:

— *Arriba España!*

Była to niewątpliwie formuła czarodziejskiego zaklęcia, gdyż w pięć sekund później znalazł się na ziemi. Gałąź wytrzymała. Stryczek — pękł. Niedoszły wisielec stracił przytomność. Może też tylko udał nieprzytomnego.

Sierżant i jego ludzie stali bardziej niż bezradni. Jakiegoś „czerwonego” byliby po tym niepowodzeniu załatwili bezzwłocznie rewolwerem i sztyletem. Tu jednakże leżał przed nimi nie zwyczajny przeciwnik ideowy, tylko prawowity delikwent, a zatem wartość zaliczona do aktywów skarbu państwa, wobec czego należało złożyć z niej rachunek. Sprowadzono lekarza więziennego, który — cóż za śmieszna sytuacja! — podjął gorliwe usiłowania przywrócenia do życia tego, który dotąd stawiał tak wytrzymały opór wszelkiej próbie zabicia go. Abreojos w każdym razie wystrzegał się tego, by nie odzyskać przytomności zbyt prędko. Z klatki piersiowej wydobywało mu się rżężenie zdolne zmiękczyć nawet kamienie. To rżężenie i jęczenie dopraszało się podstępnie zwłoki i litości.

Niedopowieszony skazaniec otworzył oczy dopiero wtedy, gdy zjawili się panowie oficerowie. Mehmed posłał mianowicie żołnierza z meldunkiem do Grand-Hotelu, gdzie mieszkał pułkownik komendant garnizonu. Ten nie spał jeszcze i pił w hotelowym barze z kilkoma młodszymi panami, wśród których znajdowali się także dwaj sztywni, szykowni lotnicy niemieccy. Nie pił tym razem nic jadłowicie zielonego ani rubinowo czerwonego przez słomkę, tylko pociągał whisky bez wody sodowej — by dostosować się do potrzeb sojuszników. Meldunek o tym, że zadanie Estabanowi Ahimundo y Abreojos śmierci ręką kata znów spełzło na niczym, wzbudził zdumienie, podziw i cyniczną wesołość. Całe towarzystwo,

mniej więcej dwunastu panów, poszło bardziej lub mniej pewnym krokiem za pułkownikiem do więzienia.

Abrejos leżał oparty łagodnie o pień starego płatanu, który wydawał się osłaniać go po matczynemu. Karbidowe światło syczało i śmierzdzało. Ciemności spowijały nagie mury z czworokątnymi zakratowanymi okienkami. Oczy mordercy rozpoczęły natychmiast wędrować tam i z powrotem po oficerach, bacznie ich obserwując. Wypróbowane *Arriba España!* spływało mu z warg ciężkimi jękami, jak gdyby chciało go mimo wszystko napomnieć, by nie ustawał w objawach patriotyzmu.

Pułkownik podszedł bliżej i wpatrzył się w Abrejososa z wyjałowioną uwagą.

— Przeklęty małpiszonie — rzekł dość cicho i monologując — czemu robisz mi takie trudności? Czemu nie chcesz nam umrzeć?

Jednakże Estaban Ahimundo y Abrejos wznosił uwolnione już z kajdan ręce ku panom oficerom. Dźwięk jego głosu był wciąż jeszcze zduszony. Krakał nim osobliwie, jak gdyby musiał go z trudem przywlekać z dalekiej odległości:

— Umrzeć... bardzo chętnie... Ale umrzeć dla was, *señores...* *Arriba España...*

Nie da się zaprzeczyć, że wywołało to pewne poruszenie wśród członków orszaku. Dlaczego miały umrzeć ten człowiek, który dzięki oczywistemu cudowi wyszedł dwukrotnie zwycięsko z przygody ze śmiercią, ba, wstał nawet z nieuszkodzonymi członkami z grobu masowego? Właściwie szkoda byłoby prowokować śmierć jeszcze trzeci raz i przez to kwestionować oba kosztowne zwycięstwa. Wojna jest wojną. Umierać ma wróg, ten czerwony pies, ta zguba dla ludu, który chce usunąć własność i zniszczyć lepszych ludzi, zniszczyć panów. Jedynie na nim ma się skoncentrować wszelka nienawiść, jedynie i wyłącznie na tym miękkim, sflaczałym wrogu, na tym skomlącym szerzycielu zrównania, który pojęcia nie ma o życiu w niebezpieczeństwie. Ten człowiek jest mordercą. Ślicznie! Kto z nas tu stojących nie jest mordercą? Bez mordy nie jest możliwe przywrócenie dawnego porządku. Do tak dalece niebezpiecznej szczerości posunęły się zdania rozweselonych i rozswawolonych oficerów. Pułkownik patrzył przed siebie odrętwiałym wzrokiem, palił papierosa i milczał. W rysach jego zaczęła się nieprzenikniona drwina.

Wtem z grupy wystąpił kapitan, którego pierś była udekorowana do granic możliwości orderami i medalami. Lewe oko zasłaniała przepaska, prawe ramię spoczywało w temblaku. To imponujące uosobienie wojennej okropności odrzuciło teraz energicznie papierosa, a przybrawszy z opanowaną elegancją właściwą postawę wobec komendanta, dobyło z siebie skrzypiącego basu:

— Mój pułkowniku! Niech pan mi łaskawie przekaże tego człowieka!

Z zaskoczeniem w oczach spojrział komendant na kapitana Sanrubia. Tenże Sanrubio z oddziałów *tercios* był w armii nacjonalistycznej bardzo grubą rybą, bohaterskim szaleńcem, specjalnie wymienianym w wielu komunikatach wojennych, nieprzytomnym taranem, którego generałowie używali zwykle do akcji w każdej ofensywie i w ważnych zadaniach. Oddział szturmowy łajdackiego krzykacza był postrachem dla przyjaciela i nieprzyjaciela. W przeciwieństwie do tego chwata młody, szykowny pułkownik był raczej talentem strategicznym i dyplomatycznym. W pierwszych liniach rowów frontowych lub w zgiełku walki wręcz — czuł się na wskroś obco. Podobnie krwawe rzemiosło nie należało też zresztą do jego obowiązków. Pomimo to ogarniała go w stosunku do bohatera szczypta niepewności. On sam odczuwał ją jako dobroduszną słabość mającego przewagę nauczyciela wobec nieszczególnie inteligentnego, ale za to karkołomnie zabawnego ucznia. Żaden przełożony nie mógł, doprawdy, odmówić prośbie tego bohatera.

Pułkownik zapytał z uśmiechem:

— A co pan zamierza począc z tym niebezpiecznym jaskiniowcem, drogi Sanrubio?

Kapitan wydawał się dość zdziwiony niedorzecznym pytaniem komendanta.

— Ależ, *colonel mio* — mruknął pobłażliwie — takich właśnie typów nigdy nie mam



za dużo...

Resztką formalizmu państwowego zmusiła pułkownika do szybkiego rozważenia kilku okoliczności. Dwa morderstwa na tle seksualnym, trzy morderstwa rabunkowe, wyrok śmierci! Jednakże wyrok ten wydał sąd doraźny kwestionowanego, obalonego i dlatego nielegalnego rządu. Wobec tego wyrok jest całkowicie nieważny. Proces Estabana Abreojosa musiałby być rozpoczęty od nowa. A my mamy lepsze rzeczy do roboty, jak zabawić się sprośnymi procesami kryminalnymi. Jeśli jednak spojrzeć odpowiednio na sprawę, to ten antropoid tam, dopóki nie zostanie uznany za winnego przez nasze własne sądy, może być uważany w najlepszym razie za oskarżonego (jeżeli akt oskarżenia zostanie ponownie wniesiony), w każdym zaś razie nie za winnego. Jako komendant garnizonu mam prawo wziąć ten przypadek niejako na przechowanie i później, po zakończeniu działań wojennych, zdecydować o tym, czy nadać mu dalszy bieg czy go zataić. Taki oto był subtelny tok myśli człowieka, noc w noc bez jakichkolwiek toków myśli tego rodzaju składającego religii nienawiści w ofierze hekatomby ludzi, których cała wina polegała na tym, że byli innych przekonań.

Zanim jednak pułkownik zdołał powziąć decyzję, stało się, że zwrócony życiu potwór wstał spod platana. Nastąpiła w nim osobliwa przemiana, jak gdyby defetystyczna śmierć w połączeniu z żądaniem kapitana Sanrubia zwróciła spadłemu z szubienicy nikczemnikowi poczucie honoru i godności ludzkiej. Mysie oczki pod obu byczymi wałkami na czole zatrzymały się. Napelniła je ponura duma. Skulony grzbiet, w który przechodził byczy kark — znikł. Cała postać wydawała się teraz szczuplejsza i bardziej wyprostowana.. Estaban Ahimundo y Abreojos stał się naraz autentycznym nosicielem tego hidalgowego nazwiska. Dzięki niewiarygodnemu ponownemu uprzytomnieniu sobie przymiotów od dawna zatraczonych zawodowy ten zbrodniarz najgorszego gatunku przeobraził się w jednej chwili w jakiegoś ponurego *caballero*.

Wstrętną łapę, na której łopatowatych palcach — o dziwo! — wciąż jeszcze znajdowały się trzy lub cztery obrączki ślubne, przycisnął do potężnego torsu i wykonał w stronę komendanta nieskazitelny ukłon, pewny siebie Andaluzyjczyk w każdym calu. On, z którego ust dotąd nawet podczas procesu nie usłyszano prawie ludzkiego słowa, tylko przeważnie jakieś obojętnie pogardliwe pochrząkiwanie, dowiódł, że zwykł udawać goryla jedynie ze względu na własny wygląd zewnętrzny; kiedy jednak zaszła potrzeba, zdolny był wygłosić dobrze skomponowaną mówkę z należytą przyzwoitością.

— *Señor colonel* — powiedział ani bezczelnie, ani pokornie — niech pan zechce spełnić życzenie tego jaśnie wielmożnego pana. Zwycięska armia nie pożałuje tego. Schwytano mnie jedynie wskutek kilku głupich przypadków, kiedy właśnie chciałem uzbierać pieniędzy, by przedostać się przez linie czerwonych morderców w celu zgłoszenia się w mężnych oddziałach wysokiej *generalidad*. Oto cały powód niesprawiedliwego potraktowania, które przypadło mi w udziale. Sam Pan Bóg nie chciał, bym stał się ofiarą tej niesprawiedliwości, niech szlachetni señores wezmą to pod uwagę. Pochodzę ze starej, czcigodnej rodziny, która podupadła wskutek srogich zarządzeń losu, Niech pan pozwoli mi umrzeć raczej za Hiszpanię niż, dosłownie, za nic!

Po tym przemówieniu, którego nie spodziewano się z tak niewydarzonych ust, zapanała grobowa cisza. Nikt się nie zaśmiał. Pułkownik jednak nie patrzył na Abreojosa. Lewy kącik ust wykrzywił mu się nieco ku górze, tworząc minę rozpieszczoną wyniosłości i aroganckiej niepewności.

— No więc dobrze, Sanrubio — zwrócił się do kapitana pobrzękującego szlachetnym metalem. — Ale niech pan przyjmie łaskawie do wiadomości, że zostanie pan pociągnięty do odpowiedzialności za każde nowe przestępstwo tego podziwu godnego potomka dostojnego rodu...

Po tym ostrzeżeniu Estaban Abreojos podszedł już swobodnym krokiem bliżej ku panom oficerom, stuknął obcasem o obcas i podniósł dwa paluchy prawej łapy do przysięgi:

— Nie obawiajcie się niczego, *señores!*... Nie będziecie mieli powodu do skarg... Przyśięgam na krew naszego Zbawiciela...

Niezmiernie poważnej przysiędze szubienicznika, który wielokrotnie uszedł karze, nie zabrakło podniecającego komizmu. Teraz oficerowie roześmiali się. Również legionści wybuchnęli śmiechem. Tu i ówdzie zza niewidocznych krat też rozległ się głuchy śmiech. Ale Estaban Ahimundo y Abreojos był uratowany od śmierci z ręki kata. Należy sądzić, że potrafiłby także pokonać śmierć na polu bitwy.

Kapitan Sanrubio przekazał go sierżantowi Mehmedowi pod opiekę i do wyszkolenia wojskowego. Resztę nocy kat i skazaniec spędzili na wspólnej popijawie. Pęknięty stryczek sprzedali w ciągu następnych dni na decymetry za drogie pieniądze. Każdy z nich obu wszakże zostawił sobie po kawałeczku na szczęście.

## VI

Sierżantowi Mehmedowi koniuszek pękniętego stryczka nie przyniósł wcale szczęścia, gdyż poległ w bitwie pod Talaverą. Estaban Ahimundo y Abreojos, awansowany tymczasem na kaprała, został jego następcą.

Należy zgodnie z prawdą przyznać, że były delikwent dotrzymywał złożonej przysięgi. Kapitan Sanrubio nie miał w stosunku do niego najmniejszych zastrzeżeń. Chociaż czyny jego nie zostały uwiecznione w żadnej pieśni bohaterskiej, a większość towarzyszy twierdziła stanowczo, że Abreojos jest nikczemnym i perfidnym psem, to jednak nie odróżniał się zbyt od reszty wspaniałych postaci hiszpańskiej soldateski. Na górnej wardze nosił maleńki wąsik, niczym nalot wdzięku, nadający nawet kryminalno-patologicznemu obliczu rys niedzielnej galanterii. Złowroga potylica traciła pod furazerką, a już zupełnie pod hełmem stalowym, napawającą strachem okropność. W miejscu zaś, w którym nad płaską nasadą nosa zrastały się gęste brwi, Abreojos wygalał sobie teraz uspokajającą przerwę. Tym sposobem stał się żołnierzem po równi z innymi (stwierdzenie to jednak nie ma nic wspólnego z zakresem cnót żołnierskich). Jego „akta” pleśniały, zapomniane, w jakiejś kancelarii.

Kapitan Sanrubio milczał o prehistorii tego człowieka i poczytywał jego poprawę za jasny jak słońce dowód dobroczynnego wpływu zdatności do noszenia broni na moralny poziom narodów. Zaprawdę, wszystko w Estabanie się poprawiło, jedynie jego ręce, których nie można było przeinaczyć kłamstwem, pozostały jego rękami.

Po śmierci Szkipetara Mehmeda awansował Abreojos na sierżanta, na profosa i na niezbędnego szefa egzekucji. Osiągnięcie awansu na stanowisko kata przez człowieka, który co najmniej dwakroć był tracony, to bądź co bądź kariera zupełnie cudowna. Jednakże mimo cudowności była to kariera najbardziej odpowiednia i naturalna. Człowiek, którego udziałem stał się rozlew krwi, nie miał być, ze względu na proces moralnej odnowy, na nic narażony, wręcz przeciwnie. Był tak potwornie przeciążony, że musiano go wycofać z linii ogniowej.

Gwałtownik z własnej woli rozwinął się wspaniale w zdyscyplinowanego egzekutora gwałtu. W taki sposób w świecie przyrody węże i inne gady niszczą wszelkie możliwe stwory uznawane przez ludzi za szkodliwe. Krwawe czyny, które napawały serce mordercy rozkosznym zadowoleniem, były obecnie na usługach tak zwanego społeczeństwa i stanowiły dobre uczynki.

Opartej na dokumentach legendzie, takiej jak niniejsza, tym mniej wolno wpadać w przesadę niż jakiejś dowolnie wymyślonej historyjce. Liczba tych, których stracił ten straceńiec (za pomocą karabinu zwykłego i maszynowego, rewolweru, a także bagnetu i uderzenia kolbą), była bardzo duża. Mówić jednak o dziesięciu tysiącach i większej liczbie — to już nieodpowiedzialny i tendencyjny nonsens. Sierżant Estaban Ahimundo y Abreojos prosperował w tym twardym zawodzie zdumiewająco. Z dnia na dzień nabierał pewności siebie i

posepnej grandezzy. Mysie oczki nie biegały już z jednej postaci na drugą, tylko pozostawały małe i wpatrywały się sztywno w ofiarę. Cechy dziedzicznego hidalga, tkwiące głęboko w jego naturze, uwydatniały się w sposób coraz bardziej poważny. Małpowatość znikła całkowicie z kształtów twarzy i korpusu. Przełożeni stwierdzali zgodnie, że jest to jedna z najsilniejszych osobowości w oddziale.

Abreojos przeto nie mógł ująć sławie. Śmierć postąpiła rozumnie, odmawiając przyjęcia go. Co więcej, dawała mu nadal dowody życzliwości. Pewnego razu podczas posuwania się naprzód zawalił się nad nim cały budynek chłopski. Było dziewięciu zabitych i rannych, on jedyny wyszedł bez szwanku. Urodził się z przeznaczeniem, by umrzeć najwygodniej w łóżku, by oczekiwać owego szczęśliwego końca, który według słów Biblii osiąga wybranych wtedy, kiedy nasyca się już życiem.

W dniu triumfu Estaban Ahimundo y Abreojos należał dzięki marsowej postawie słusznie do tych, którym wolno było w Madrycie przedfilować przed Caudillem. Bez upiększania sprawy należy przyjąć, że pewne akta procesowe są od dawna zniszczone oraz że zasłużonego i wielokrotnie odznaczonego sierżanta oczekuje należycie odmierzona porcja ogólnego łupu w postaci co najmniej dobrze płatnej synekury w resorcie wymiaru sprawiedliwości.

— Dlaczego sprawiedliwym źle się dzieje na ziemi, a złoczyńcy otrzymują wspaniałą nagrodę? — wykrzykują uczciwe dusze, wierzące i niewierzące, gdy coś takiego słyszą, a uwierzyć w to rzeczywiście nie mogą.

Bądźcież spokojni! Dlaczego krzyczycie i przeszkadzacie w przedstawieniu, zanim spadła kurtyna przed antraktem? Nie użalajcie się na rażącą sprzeczność! To nie ona sprawia, że sztuka jest bez sensu. Ubolewajcie raczej nad tym, że przybyliście do teatru za późno i że musieliście go za rychło opuścić. Przeżywacie tylko drobny fragmencik sztuki, a już chcielibyście krytykować logikę i etykę dzieła. Kto miałby z etapu ostatniej sceny możliwość spojrzenia wstecz na cały dramat, ten przyznałby może, że nawet Estaban Ahimundo y Abreojos był monotonnym wprawdzie, ale nieodzownym aktorem charakterystycznym oraz że jego mocodawcy musieli zwyciężyć — mimo że nasze serce zżyma się na to — aby poszczególne sceny następowały prawidłowo po sobie w czasie, do którego należymy przez moment, mimo że on do nas nie należy. O tym poucza nas inny Hiszpan — Calderon de la Barca.

Bo ma się rozumieć, że bardziej warto, mimo krwi i ognia, stać na scenie, niż siedzieć na widowni wśród patrzących.

Przełożył *Henryk Paweł Anders*

## Noty biograficzne

BERTOLT BRECHT, ur. 1898 w Augsburgu, zm. 1956 w Berlinie, dramaturg, poeta i prozaik, reżyser, teoretyk dramatu, eseista, twórca koncepcji tzw. teatru epickiego. W roku 1933 opuszcza Niemcy, przebywa kolejno w Austrii, Szwajcarii, Francji, Skandynawii, Związku Radzieckim i Stanach Zjednoczonych. Po wojnie wraca do Niemiec (1948) i zakłada słynny Berliner Ensemble (wspólnie z żoną, Heleną Weigel). Już we wczesnej fazie twórczości (zbliżony do lewego odłamu ekspresjonizmu) uwidaczniają się akcenty krytyki społecznej, której ostrze skierowane jest głównie przeciwko niemieckiemu militaryzmowi i imperialistycznemu wyzyskowi. W latach czterdziestych krystalizuje się ostatecznie jego światopogląd oparty o ideologię marksistowską. Do najbardziej cenionych sztuk Brechta należą *Opera za trzy grosze* (1928), *Strach i nędza III Rzeszy* (1938), *Matka Courage i jej dzieci* (1939), *Kariera Arturo Ui* (1941), *Kaukaskie koło kredowe* (1949), *Pan Puntila i jego sługa Matti* (1940), *Życie Galileusza* (1938—39), *Dobry człowiek z Seczuanu* (1938—42). Spośród utworów prozą największy rozgłos uzyskała *Powieść za trzy grosze* — „transpozycja w epickość” utworu scenicznego, oraz tomy krótkiej prozy *Opowiadania z kalendarza* (1949) i *Rozmowy uchodź-*

ców (1961). Brecht napisał też liczne wiersze i ballady m.in. słynną *Legendę o poległym żołnierzu i Krucjatę dziecięcą*. Jest także autorem szeregu esejów i rozpraw teoretycznych (*Małe organon dla teatru, Pięć trudności przy pisaniu prawdy* i. in.).

GEORG BRITTING, ur. 1891 w Regensburgu, zm. 1964 w Monachium, powieściopisarz, poeta, autor opowiadań. W czasie I wojny światowej był żołnierzem, od roku 1920 mieszkał w Monachium zajmując się wyłącznie pisarstwem. Liryka Brittinga została uznana przez literaturoznawstwo hitlerowskie za tzw. ludową („völkisch”), jego twórczość zaś zaliczona niesłusznie do „Heimatlidung”. Najbardziej znany utwór Brittinga to *Żywot męża opasłego zwanego Hamletem* (1932), gdzie odgradzanie się bohatera od świata skostniałych konwenansów, intryg i zbrodni jest jedyną dostrzeganą przez niego możliwością obrony. Opowiadania ukazały się w zbiorach *Der verlachte Hiob* (1921), *Das treue Eheweib* (1933), *Die kleine Welt am Strom* (1933), *Der Scheckenweg* (1941), *Der Eisläufer* (1948) i in.

ALFRED DÖBLIN, ur. 1878 w Szczecinie, zm. 1957 w Emedingen k. Freiburga, pisarz, eseista, publicysta, z zawodu lekarz psychiatra. W roku 1933 uszedł przed faszystami do Francji, a następnie do USA. Po powrocie osiedlił się w RFN, ale już wkrótce rozczarowany, ponownie wyemigrował do Francji. Debiutował utworami ekspresjonistycznymi (*Die drei Sprünge des Wang-Lun*, 1915; *Wallenstein*, 1920). Najślynniejszy utwór: *Berlin Alexanderplatz* — powieść wielkiego miasta (Berlin lat dwudziestych) i człowieka uwikłanego w zależności osobowościowe i środowiskowe. Stosuje tzw. „przebiegi narracyjne”, technikę montażu i strumień świadomości. Nieustannie poszukuje przyczyny wszechrzeczy, błądząc między koncepcjami deistycznymi, panteistycznymi i materialistycznymi. Inne utwory: *Pardon wird nicht gegeben* (1935), *Amazonas* (trylogia południowoamerykańska, 1937—48), *November 1918. Eine deutsche Revolution* (trylogia, 1937—50), *Hamlet, czyli kres długiej nocy* (1956).

ALEXANDER MORITZ FREY, ur. 1881 w Monachium, zm. 1957 w Zurychu, powieściopisarz, nowelista, autor opowiadań. Studiował prawo i filozofię w Heidelbergu, Freiburgu i w Monachium. Po objęciu władzy przez Hitlera wyemigrował do Austrii, następnie zbiegł przed faszystami do Szwajcarii. W utworach Freya odnaleźć można podzwęki ekspresjonizmu i surrealizmu, cechuje je skłonność do fantastyki, groteskowych przerysowań i baśniowości. Największy rozgłos przyniosła mu antywojenna powieść *Die Pflasterkasten* (1929), oprócz niej napisał m. in. *Solnemann der Unsichtbare* (1914), *Kastan und die Dirnen* (1918), *Robinsonade zu Zwölft* (1924), *Verteufeltes Theater* (1957). Zbiory nowel: *Dunkle Gänge* (1913), *Der Mörder ohne die Tat* (1918), *Spuk des Alltags* (1920), *Aussenseiter* (1927). Groteski: *Der unheimliche Abend* (1923), *Sprünge* (1923).

GEORG VON DER GABELNTZ, ur. 1868 w Lemnitz, zm. 1940 w Münchenbernsdorf. Studiował w Lozannie i w Lipsku, pracował jako attaché wojskowy, następnie jako dyrektor Sächsisches Hoftheater. Autor opowiadań i powieści niesamowitych, cechujących się nastrojem grozy i tajemniczości. Utwory: *Das weisse Tier* (1904), *Tage des Teufels* (1911), *Das glückhafte Schiff* (1912), *Unsere Brüder da draussen* (1918), *Die Verführerin* (1920), *Das Geheimnisvolle* (1921), *Geschehen aus einer anderen Welt* (1923), *Masken Satans* (1925), *Das Rätsel Coriander* (1929), *Das Teufelsei* (1931), *Drei Nächte* (1935) i in.

GEORG HEYM, ur. 1887 w Jeleniej Górze, zm. 1912 w Berlinie, poeta, dramaturg i nowelista, jeden z najwybitniejszych twórców wczesnego ekspresjonizmu niemieckiego. Ponure wiersze pełne grozy i niesamowitości, nocna sceneria i tajemniczy krąg bohaterów (często pomyłenci, chorzy itp.), klimat niepewności i strachu stawiają Heyma w szeregu najbardziej niezwykłych pisarzy niemieckich tego okresu. Centralny motyw: wielkie miasto jako źródło demonicznych sił, mających prowadzić do nieuchronnego końca cywilizacji mieszczańskiej. Zbiory wierszy: *Der ewige Tag* (1911) i *Umbra vitae* (1912), pośmiertnie wydany tomik opowiadań *Der Dieb* (1913).

FRANZ KAFKA, ur. 1883 w Pradze, zm. 1924 w Kierliem pod Wiedniem, powieściopisarz, autor opowiadań. Pochodził z zamożnej rodziny żydowskiej, pracował jako urzędnik. Za jego życia ukazało się zaledwie kilka niewielkich utworów, po śmierci spuściznę jego wydał, łamiąc obietnicę

daną pisarzowi, jego przyjaciel Max Brod. Światowy rozgłos zyskał więc Kafka dopiero po śmierci i to poza Europą (USA), jego powieści *Proces* (1925), *Zamek* (1926) i *Ameryka* (1927) oraz opowiadania (np. *Wyrok*, 1916; *Kolonia karna*, 1919; *Przemiana* 1916) określano jako „ziemski powóz ciągniony przez nieziemskie konie”, obracają się one w gruncie rzeczy wokół jednego tematu: zagubienia samotnego człowieka w koszmarnym, niezrozumiałym dla niego i niszczyielskim świecie, który jawił się Kafce jako współistnienie nieprzewidywalnych sprzeczności. Tajemnicza siła górująca nad światem, identyfikowana przez krytykę najczęściej z silami nadprzyrodzonymi, dopuszcza w wieloznacznej prozie Kafki także krańcowo różne interpretacje. W latach pięćdziesiątych ukazało się dziewięciotomowe wydanie zbiorowe dzieł Kafki, w roku 1967 nie publikowane do tej pory Listy do Felicji. Kafka jest także autorem pamiętników i opowiadań *Der Heizer* (1913), *Ein Landarzt* (1920), *Ein Hungerkünstler* (1924), *Beim Bau der chinesischen Mauer* (1931), *Vor dem Gesetz* (1934) oraz *Listów do Mileny* (1952).

ISOLDE KURZ, ur. 1853 w Stuttgarcie, zm. 1944 w Tybindze, powieściopisarka, autorka opowiadań, poetka, eseistka. Wychodząc z założenia „demonicznej istoty wszelkiego bytu” Kurz pisała powieści i opowiadania umieszczane przez krytykę w tradycji tzw. szwabskiego romantyzmu. Zafascynowana była epoką renesansu (spędziła kilka lat we Włoszech) i niezbadanym „ja” ludzkim. Interesowała się sytuacją i rolą kobiety we współczesnym jej świecie. Napisała m.in. powieści *Nächte von Fondi* (1922), *Der Despot* (1925), *Vanadis. Der Schicksalsweg einer Frau* (1931) oraz opowiadania *Floriantiner Novellen* (1890), *Italienische Erzählungen* (1895), *Von dazumal* (1900), *Cora* (1915), *Die Stunde des Unsichtbaren* (1927).

GUSTAV MEYRINK, ur. 1868 w Wiedniu, zm. 1932 w Starnbergu, powieściopisarz i nowelista, po ukończeniu Akademii Handlowej w Pradze pracował w bankowości. Na jego pisarstwo wpływ wywarła twórczość E.T.A. Hoffmanna i E.A. Poe; ze swą skłonnością do groteski, fantastyki, niesamowitości i grozy (z elementami krytyki społecznej) oraz ostrą satyrą na filisterstwo, korupcję, zakłamanie mieszczaństwa uważany jest niekiedy za prekursora Kafki; interesował się też okultyzmem i religiami Wschodu. Najślynniejsza powieść *Golem* jest kabalistyczną opowieścią o sztucznie stworzonym człowieku. Meyrink jest także autorem powieści *Zielona twarz* (1916), *Noc Walpurgii* (1917), *Der Engel vom westlichen Fenster* (1920), *Biały dominikanin* (1921), *U progów zaświata* (1923) oraz licznych opowiadań.

FRANZ WERFEL, ur. 1890 w Pradze, zm. 1945 w Beverly Hills (USA), prozaik, poeta, dramaturg i eseista, przyjaciel Kafki i Broda. Tuż przed wybuchem II wojny światowej wyemigrował do Francji, następnie do Stanów Zjednoczonych. Zaliczany jest do najbardziej typowych pisarzy wczesnego ekspresjonizmu, początkowo skłonny do patosu i ekstazy, na emigracji bardziej powściągliwy. Zbiory wierszy: *Der Weltfreund* (1911), *Wir sind* (1913), *Einander* (1915); dramaty: *Die Troerinnen* (wolny przekład z Eurypidesa, 1913), *Juarez und Maximilian* (1924), *Jakobowsky i pan pułkownik* (1941—42); nowele: *Nie morderca jest winien, lecz zamordowany* (1929), *Śmierć drobnomieszczanina* (1927), *Rodzeństwo z Neapolu* (1931), *Die vierzig Tage des Musa Dagh* (1933); powieści: *Pieśń o Bernadecie* (1941) i *Stern der Ungeborenen* (1946).

EUGEN GOTTLÖB WINKLER, ur. 1912 w Zurychu, zm. 1936 w Monachium, prozaik, poeta i eseista. Studiował romanistykę, germanistykę i historię sztuki (doktorat u K. Vosslera). Uważał sztukę za jedyną możliwość istnienia w świecie chaosu i wyobcowania. Jego dzieło jest nieustanną walką przeciwko bliżej nieokreślonemu Czemuś zagrażającemu ludzkiej egzystencji, dla której ratunku szukał w pojednaniu ducha i materii, ducha i formy. Jego samobójcza śmierć była przyznaniem, że sztuka nie jest wystarczającym orężem do ujarzmania wymykającego się świata. Drukiem ukazało się dwutomowe wydanie pism (m. in. opowiadania *Nachtmahl* i *Im Gewächshaus*), listy i spuścizna pośmiertna (*Dichtungen, Gestalten und Probleme. Nachlass*, 1956).

Opracował: Włodzimierz Bialik

## Posłowie

Dwukrotnie strach, lęk i groza zawładnęły atmosferą literatury niemieckiej: po raz pierwszy w okresie romantyzmu i postromantyzmu, na przestrzeni mniej więcej pięćdziesięciu lat, po raz wtóry zaś w ciągu pierwszych dziesięcioleci naszego wieku. Oba „przypadki” są zjawiskami oryginalnymi; właściwymi tylko literaturze niemieckiego obszaru językowego. Zaprotestują być może niektórzy czytelnicy, powołując się przy tym na głośnych autorów anglosaskich, francuskich czy rosyjskich, choćby na reprezentantów powieści gotyckiej w osobach Lewisa, Maturina, Ann Radcliffe i Bram Stokera, na mistrza Edgara Allana Poe'a, na Prospera Mérimé, na Adama Villiers de L'Isle'a, czy wreszcie Mikołaja Gogola. I słusznie. Jeśli jednak pominąć okres narodzin i rozkwitu powieści gotyckiej, która wywarła zresztą niebagatelny wpływ na niemiecką literaturę romantyczną, to nie znajdziemy poza obszarem mowy niemieckiej zjawiska o podobnej intensywności i literackości. W ciągu kilkunastu zaledwie lat ukazały się opowieści Tiecka, E.T.A. Hoffmanna, Adalberta Chamisso, Eichendorffa i Clemensa Brentano. Natomiast najistotniejsze teksty ekspresjonistów — zdradza to nawet sama chronologia powstania utworów ujętych w antologii *Gabinet figur woskowych* — mieszczą się w granicach dwóch dziesięcioleci. To niespotykane zagęszczenie zmusza do refleksji. Co łączy, co dzieli oba okresy? Skąd to zainteresowanie strachem i lękiem, „grą ze strachem”, zabawą w „straszenie”? (A właśnie: zainteresowanie strachem czy zainteresowanie lękiem? A może grozą? Ale czy nie jest to aby spór o słowa?).

Refleksja nad strachem, lękiem i dalszymi przygranicznymi kategoriami nie jest bynajmniej monopolem literatury pięknej, ale przejawia się również w filozofii, tyle że z różną intensywnością, zaś od niedawna również w psychologii (społecznej), antropologii i biologii. Najbardziej żywe spory wywołują teksty Kierkegaarda, Freuda i Lorenza, choć na nich się przecież lista zafascynowanych lękiem uczonych nie kończy. Wprowadzając rozróżnienie między lękiem, pojętym jako stan raczej i nastroj, a strachem intencjonalnie zorientowanym dał Kierkegaard początek rozważaniom rozwiniętym przez Heideggera, Jaspersa i Sartre'a. Wszyscy oni upatrują w lęku jedną z kluczowych kategorii egzystencjalnych. Dla Kierkegaarda będzie to na przykład bojaźń przed wolnością, dla Heideggera — lęk przed Byciem w świecie, dla Sartre'a natomiast nierozłączny towarzysz wszelkiego działania. Od filozoficznej teorii lęku i bojaźni, odwołującej się do kategorii egzystencjalnych, różni się psychoanalityczna koncepcja Freuda, wyłożona w pracach *Symptom und Angst* i *Hysterie und Angst*.

Trzecią, zainteresowanemu literaturą najbliższą, wydaje się socjologiczna „teoria lęku”, upatrująca genezę stanów lękowych w zakłóceniach tożsamości grupowej i osobniczej. Konieczność ciągłego łamania i ponownego konstruowania tożsamości społecznej nie może nie prowadzić do lęku, przede wszystkim przed wyzbyciem się własnej tożsamości albo też — wręcz przeciwnie — przed całkowitym wyizolowaniem się z grupy. Przyjmując tę wykładnię będziemy zmuszeni szukać „literatury lęku” w tych przedziałach czasu historycznego, w których społeczne niepokoje piętrzą się i przybierają na sile. Z jednym zastrzeżeniem: Literatura nie jest prostą reprodukcją spraw społecznych, lecz symuluje ona to wszystko, co wyobraźnię społeczną wypełnia. Nie wolno również zapominać o ciśnieniu konwencji literackich, o sile tradycji poszczególnych literatur narodowych. Stąd „zabawa w literackie straszenie”, a lęk wyrażony literaturą to nie to samo. Jeśli w romantycznych opowieściach atmosfera strachu pełni przede wszystkim funkcję katalityczną (krytycy mówią niekiedy o „wymyślnych rajach strachu”), to w prozie ekspresjonistycznej zabawa w straszenie jest raczej refleksją nad lękiem, analizą poczucia zagrożenia. S t r a c h przychodzi z zewnątrz, jest bowiem nierozłącznie związany z czymś lub kimś konkretnym (L ę k natomiast osacza człowieka od w e w n ą t r z; tkwi przecież w nim, czekając odpowiedniej chwili). Jest zagrożeniem, niebezpieczeństwem s p o z a obszaru tożsamości człowieczej. Ale samo niebezpieczeństwo nie gwarantowałoby jeszcze efektu „straszenia”. Dopiero dzięki szczypcie tajemniczości i zaskoczenia otrzymujemy wypiek z rumieńcami grozy. Umieszczone na początku antologii opowieści Izoldy Kurz oraz von Gabelntza stanowią próbkę tej zabawy w straszenie. Po takiej lekturze teza Lorenza, autora głośnej pracy *Tak zwane zło*, zgodnie z którą „duchy i zjawy są projekcją drapieżników, polujących nocą”, wydaje się wielce prawdopodobna. Dodajmy tylko, że taką wykładnią dotykamy ponownie płaszczyzny styku strachu genetycznie zakodowanego i społecznie uwarunkowanego oraz literacko ukształtowanego. Nasuwa ona wcale istotne pytanie: Strach i lęk odczuwał człowiek zawsze. Nie zawsze jednak dawał temu wyraz w literaturze. Dlaczego?

Spróbujmy nawinąć nić odpowiedzi od końca. Teksty Meyrinka, Georga Heyma, Alfreda Döblina i innych, zarówno te nieliczne, umieszczone w antologii, jak i dziesiątki innych, z konieczności pominiętych, tematyzują nie tyle lęk jako taki oraz „w ogóle”, ale sprowadzają go do pułapu mniej lub bardziej wyraziście zarysowanych postaci, które dadzą się stosunkowo łatwo usystematyzować według określonych kryteriów. Nie ma w literaturze niemieckiej okresu, który zaludniałyby podobnie zuniformizowane kohorty obłąkanych, przestępców oraz przedstawicieli innych grup pogranicza społecznego. Fragment głośnego manifestu Ludwiga Rubinera pt. *Der Mensch in der Mitte* (1917) powie nam to samo, co niezliczone studia nad ekspresjonistyczną typologią postaci: „I cóż to za towarzysze? prostytutki, poeci, lumpenproletariat, kolekcjonerzy pogubionych przedmiotów, złodzieje z przypadku, nieroby, pary w uścisku miłosnym, religijni szaleńcy, pijacy, nałogowi palacze, bezrobotni, nienasyceń, kloszardzi, włamywacze, krytycy, motłoch...” W tak zestawionej galerii outsiderów społecznych stężenie stanów lękowych musi przekroczyć tzw. normalne granice. Lęk rodzi się (i potęguje patologicznie) tam, gdzie rzeczywistość przerasta możliwość jej rozumienia. Jeśli pojmiemy lęk i chaos jako przeciwieństwo zaufania, łatwiej zrozumiemy ową eksplozję ekspresjonistycznych (i nie tylko) utworów, podejmujących motyw konfliktów jednostki z otoczeniem. Zaufanie możliwe jest bowiem wyłącznie w świecie stabilnym, uporządkowanym. Lęk natomiast towarzyszy wszelkim zaburzeniom tego harmonijnego świata. Rozpad osobowości jest komplementarny do rozpadu rzeczywistości, jest odpowiedzią na ten rozpad. Nie tylko u pisarzy, ale również w twórczości grafików, malarzy oraz twórców filmowych gaśnie od chwili narodzin naszego stulecia przekonanie o ładzie otaczającego ich świata. I wojna światowa, i jej następstwa zadały temu przekonaniu cios śmiertelny. Tracą na znaczeniu obowiązujące (jeszcze) normy i reguły zachowania racjonalnego. Rośnie zatem potrzeba zbudowania nowej tożsamości. I stąd rosnąca fala osobistych kryzysów twórczych jest czymś więcej aniżeli frustracją środowiskową czy zawodową. Prawda, że konflikt artysta-mieszczanin, zwłaszcza w formie charakterystycznej dla Tomasza Manna, jest niczym innym jak wyolbrzymionym wyrazem kryzysu artysty określonego okresu kultury mieszczańskiej, ale przecież lęk przed światem przemocy, a zatem przed światem niezrozumiałym, był jak najbardziej uzasadniony. Siegfrieda Kracauera wykładnia klimatu grozy niemieckiego filmu ekspresjonistycznego prowadzi nieprzypadkowo „od Caligariego (aż do Hitlera)”. „Kaligaryzmem” tchną filmy Murnaua, Langa i wielu innych reżyserów republiki weimarskiej, oraz grafika Alfreda Kubina (który pierwotnie miał stworzyć scenografię dla filmu *Gabinet doktora Caligari!*), płótna Maxa Beckmanna (choćby słynna *Noc* z roku 1918) i wielu innych twórców, wreszcie proza Georga Heyma, Georga Brittinga, Gustava Meyrinka, Franza Kafki, Alfreda Döblina i wielu innych. Innych, bowiem liczba autorów okresu ekspresjonizmu drążących zjawisko grozy i lęku nie kończy się na pisarzach, uwzględnionych w antologii. Zapomniani (chyba niesłusznie) przez krytykę, wydawców i czytelników autorzy, tacy jak Franz Spunda, Oskar Panizza, Robert Müller, Jakob Elias Poritzky, Paul Lepping, Willy Seidel, zasługują na przypomnienie choćby w posłowie. Ten niebagatelny zastęp pisarzy, lepszych i gorszych, bardziej i mniej znanych czy nawet zapomnianych każe traktować literacką epidemię lęku i grozy niezdawkowo.

Doszukując się w zebranych tu utworach przestrogi przed nadchodzącą grozą Trzeciej Rzeszy nadwyreżylibyśmy je zapewne interpretacyjnie. Są one jednak nie do pomyślenia poza klimatem pierwszych dziesięcioleci naszego wieku. Na przełomie stuleci jedynie kilka „martwych” czy też „umierających” miast europejskich wabiło pisarzy swą topografią (Bruggia, Wenecja, Toledo, Praga). Potem lęk literacki stał się mniej wybredny; mógł się narodzić, trwać oraz potęgować (aż do samozagłady tożsamości czy unicestwienia innych) w każdych niemal warunkach. Nie była to wprawdzie jeszcze owa „zwyczajna groza” antologii opowieści, wydanych przez Petera Handkego (*Der gewöhnliche Schrecken*, 1969), ale jakże już wizją bliska mechanizmom zagłady i samozagłady lat trzydziestych i czterdziestych. Zagładę poprzedza teoria i praktyka stygmatyzacji społeczno-politycznej. „Inni”, a więc schizofrenicy i paranoicy, włóczędzy i żebracy, uruchamiają zepchnięte w podświadomość mechanizmy agresji. Ale to jeszcze nie koniec eskalacji agresji. Ucieczka przed rzeczywistością w świat paranoicznych urojeń może być równie niebezpieczna co zbiorowa agresja. Zarówno dla twórców tych urojeń jak i dla otoczenia. Opowieści Meyrinka i Döblina sygnalizują to dość negatywnie. Światem marzeń i chcień postaci „normalnych” jak i „anormalnych” rządzą te same prawidłowości. Różnią się te postacie jedynie charakterem i gwałtownością reakcji na konflikty i nieprzystosowanie.

Zwarta opowieść Brechta, zaadaptowana nie tak dawno na potrzeby szklanego ekranu, stawia jak gdyby kropkę nad „i”: okrucieństwo ludzi zwykłych, przeciętnych, a więc „normalnych” jest

równie niepojęte (albo inaczej: równie zrozumiałe) jak zachowanie postaci odbiegających od zwyczajowej „normy”.

Trudno jednoznacznie orzec, który ze sposobów tematyzowania grozy i lęku jest celniejszy: czy winklerowski „model” atmosfery zagrożenia, lękiej od niedomówień, czy kafkowski, niepokojący rozbieganą alegorycznością, czy wreszcie model brechtowski, zasadzający się na piętrowej refleksji nad złem ludzi, normalnych banalnością. Ale jedno jest pewne: groza zła powszedniego, zapewne mniej efektowna od dusznej aury, otulającej postacie ze stygmatem niezwykłości, jest przez swój realny zasięg oddziaływania znacznie niebezpieczniejsza od urojeń i zachowań poszczególnych indywiduali, odbiegających od tzw. normy. To przecież Eugen Gottlob Winkler, osaczony przez grozę nazistowskiej powszedniości popełnia w rok od napisania opowieści *W cieplarni* samobójstwo, a nie Bertolt Brecht. Symulowany w literaturze i sztuce „Gabinet figur woskowych” Madame Tussaud ożył na wystarczająco długo, by „zawstydzić” wyobraźnię lękową wszystkich, ale to wszystkich bez wyjątku autorów: Meyrinka i Georga Heyma, Kafki i Brechta, Brittinga i Döblina.

*Hubert Orłowski*

## Spis rzeczy

ISOLDE KURZ	
Słoneczna mara ( <i>Mittagsgespenst</i> )	002
GEORG VON DER GABELENTZ	
Goryl ( <i>Der Affe</i> )	011
Biały zwierz ( <i>Das weisse Tier</i> )	018
GUSTAV MEYRINK	
Mózg, który wyparował ( <i>Das verdunstete Gehirn</i> )	029
Gabinet figur woskowych ( <i>Das Wachsfigurenkabinett</i> )	033
GEORG HEYM	
Obłąkaniec ( <i>Der Irre</i> )	039
Statek ( <i>Das Schiff</i> )	046
ALFRED DÖBLIN	



Mord na kwiecie kaczeńca ( <i>Die Ermordung einer Butterblume</i> )	052
GUSTAV MEYRINK	
Mężczyzna na butli ( <i>Der Mann auf der Flasche</i> )	058
FRANZ KAFKA	
Kolonja karna ( <i>In der Strafkolonie</i> )	063
ALEXANDER MORITZ FREY	
Paszport ( <i>Der Pass</i> )	078
GUSTAV MEYRINK	
Jak doktor Hiob Paupersum zaniósł swej córce szkarłatne róże ( <i>Wie Dr. Hiob Paupersum seiner Tochter rote Rosen brachte</i> )	087
FRANZ KAFKA	
Przemiana ( <i>Die Verwandlung</i> )	093
BERTOLD BRECHT	
Bestia ( <i>Die Bestie</i> )	120
GEORG BRITTING	
Bratobójstwo na wodach starorzecza ( <i>Brudermord im Altwasser</i> )	122
Pojedynek koni ( <i>Duell der Pferde</i> )	124
EUGEN GOTTLOB WINKLER	
W oranżerii ( <i>Im Gewächshaus</i> )	126
FRANZ WERFEL	
Niebudująca legenda o pękniętym stryczku ( <i>Die arge Legende vom gerissenen Galgenstrick</i> )	134
Noty biograficzne	146
Posłowie	148